

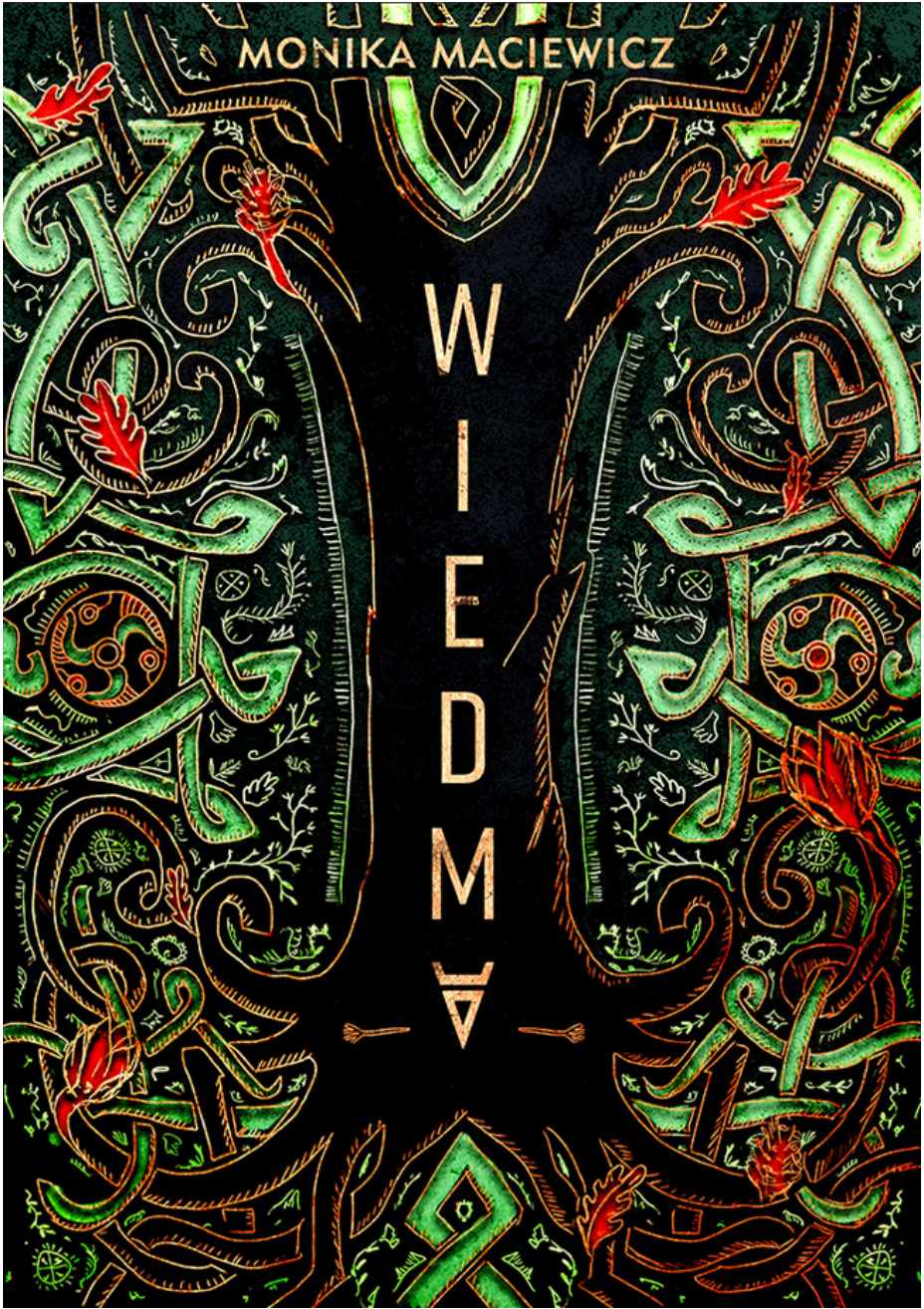
MONIKA MACIEWICZ

W
I
E
D
M
A



MONIKA MACIEWICZ

W
I
E
D
M
A



*Monika
Maciewicz*

Wiedma

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Monika Maciewicz
Wiedma

ISBN

Copyright © by Monika Maciewicz, 2021
Copyright © for this edition by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2021
All rights reserved

Redakcja Julia Młodzińska
Korekta Daria Kozierska, Katarzyna Marcisz
Projekt typograficzny i łamanie Grzegorz Kalisiak
Projekt graficzny okładki Tobiasz Zysk

Wydanie I w tej edycji

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 2519
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Ręce boga

Bliźni brat

Święty Dąb

Domowik i mandragora

Inicjacja

Uroczne oczy

Pójdźka

Stado

Przeznaczenie

Zażynki

Wieńcowe

Aura

Smyrtnica

Krzemień pasiasty

Flis

Caryczka

Dar

Łowca

Przynęta

Zapleciny

Agma

Nauka

A kysz!

Sabat

Walka o Żmigród

Kneź

Misja

Wiedma

Powrót

Rozstania

Słownik słowiańskich bogów, demonów i wierzeń

Słownik roślin

Ręce boga



Las wokół jeziora Lędo jeszcze się nie przebudził do nocnego życia. Trwał w bezruchu i ciszy, jakby nasłuchując z niepokojem, czy nie powróci burza, która niczym despotyczny władca panoszyła się, przgniatając do ziemi niepokorne drzewa i roztrzaskując w pył każdego, kto ośmielił się unieść czoło w jej obliczu. Ręce boga Peruna raz po raz miały błyskawicami i nie sposób było przewidzieć, z której strony uderzą. Przyroda zamarła więc w trwodze, czekając, aż gniew boga bogów minie. Ptaki pochowały się między konarami drzew, w dziuplach, inne zwierzęta w norach i gęstych zaroślach.

Złowrogą ciszę przerywał tylko cichy, rytmiczny plusk wody. To ludzie. To oni są najmniej pokorni wobec potęgi Natury. Niewielkie czółno przemykało po spokojnej już tafli ciemnej wody. W jego wnętrzu siedzieli dwójce ludzi. Szeroki w ramionach mężczyzna, z wprawą przecinający wiosłem czarną wodę, i młodzianka dziewczyna, odwrócona od przewoźnika, spoglądająca w kierunku, w którym podążała łódź.

Dziewica była odświętnie ubrana w beżową, lnianą, długą suknię, spod której wystawał płowy fragment spodniej części odzieży. Na stopach miała ciężmy z cielęcej skórki z rzemykiem owiniętym wokół kostki. Buty były nowe, jeszcze trochę uciskały nieprzyzwyczajone nogi. Włosy, rozpuszczone na znak żałoby, ujarzmiła kolorowa krajka. Podobna opasywała jej biodra. Tuż przy nogach leżał skrupulatnie związany worek wypełniony niewielkim dobytkiem.

Dwoje ludzi płynących czółnem nie zamieniło ze sobą ani słowa. Mężczyzna nie chciał rozmawiać z młodą kobietą, która nocą udaje się TAM. To miejsce zawsze budziło jego lęk. Często przybijał do tej wyspy, bo mieszkał w pobliżu jeziora, więc wynajmowano go jako przewoźnika. Nigdy jednak nie wysiadał z czółna i z ulgą oddalał się, wypełniwszy swoje zadanie.

Ona też nie próbowała nawiązać rozmowy. Zamyślona trzymała w dłoni przewieszony na szyi święty kamyk. Zastanawiała się, jaki los ją czeka. Przypominała sobie pierwsze spotkanie z wiedźmą, panią Ostrowia. Już kilka wiosen temu właścicielka wyspy wydawała jej się bardzo stara. Pamiętała, że energia i siła staruchy nie pasowały do jej pochylonej sylwetki. Czarownica budziła powszechny strach i respekt. Ludzie bali się jej, a jednocześnie mieli świadomość, jak bardzo jest im potrzebna. Nazywano ją Wiedźmą, bo dużo wiedziała: jak leczyć zwierzęta, ludzi, jak przyjmować porody, jak zapewnić ziemi urodzaj. Mówiono, że ma magiczną moc. Pamiętała jej przenikliwe, siwe oczy. Nigdy wcześniej ani później takich nie widziała. Było w nich życie i była w nich śmierć.

Młoda kobieta zanurzyła dłoń w zimnej toni. Chłód jeziora przeniknął do jej serca. „Może wskoczyć do wody?” – pomyślała. „Gdybym zrobiła to szybko i niespodziewanie, nie zdążyłby mnie wyłowić” –

rozważała. Mocniejszy plusk wody, uderzonej przez wiosło, otrzeźwił ją i szybko wyjęła rękę z toni. „O czym ja myślę?” – uzmysłowiła sobie z przerażeniem.

Łódź mknęła dalej. Księżyc powoli przegrywał w walce z ciemnością. Mgły, unoszące się nad wodą i lasem, pochłaniały jego blask. „Za chwilę nic nie będzie widać” – pomyślała ze smutkiem. Zauważyła jednak, że łódź zaczyna kierować się w stronę brzegu. Ostrowie – rozpoznała to miejsce, choć nigdy tu nie była. Słyszała jednak opowieści tych, którzy je odwiedzali. Ojciec też opowiadał matce, gdy myśleli, że ona już śpi.

Wyspa nie miała łagodnie schodzących ku wodzie brzegów, ale ostre, kamieniste skarpy. Rosnące na klifach drzewa pochylały się, rozpościerając rozczapierzone konary i sprawiając wrażenie, jakby chciały pochwycić w swe szponiaste ramiona śmiałków, którzy odważyli się zbliżyć.

Przewoźnik wiedział, że jest jedno miejsce, do którego można podpłynąć łodzią. Dziewczyna wkrótce też je ujrzała. Był to niewielki cypel wcinający się w wodę. Stała tam słusznej postury, ciemna postać. „Jestem oczekiwana” – uzmysłowiła sobie młoda niewiasta i poczuła lekki zawrót głowy.

Mężczyzna, którego rysów dobrze nie widziała, pomógł jej wysiąść z łodzi, gestem ręki pokazał, że ma iść za nim, i od tej pory ani się nie odwrócił, ani nie przemówił. Kolejna wędrówka, tym razem piesza, również odbywała się w milczeniu. Człowiek szedł powoli i pewnie, jakby znał drogę na pamięć. Dziewczyna starała się dorównać mu kroku i choć czuła, że idą po wydeptanej ścieżce, co chwila o coś się potykała.

Wokół rosły drzewa. Miała wrażenie, jakby zagajnik był pełen żywych istot. Nie widziała ich, ale wydawało jej się, że je słyszy. „To tylko krople deszczu spadają z drzew” – przekonywała się w duchu. Po chwili ujrzała małe światełko, unoszące się między drzewami. Potem drugie, trzecie. Było ich coraz więcej. „Świetliki” – uśmiechnęła się w duchu. „Skąd tu one? Przecież jeszcze chłodne noce” – zdziwiła się. Świetliste robaczki wyraźnie były nią zainteresowane. Otaczały ją wokół, kłębiły się, towarzysząc przez chwilę. Nagle zawirowały koliście i tłumnie odleciały w kierunku, w którym podążali.

Szli blisko stromych brzegów, gdyż dziewczyna słyszała od czasu do czasu plusk wody dochodzący gdzieś z dołu. Po chwili ujrzała drewnianą chatę, z której wydobywała się smużka dymu. Gdy zbliżali się, wokół domostwa wszczął się niewielki ruch, jakiś ptak poderwał się z zarośli z głuchym krzykiem, po nim usłyszała tupot kopyt, szum w zaroślach, jakby coś się spieszyło w nich chowało.

Mężczyzna pchnął uchylone drzwi, za którymi pełgało światło. Nie wszedł jednak, tylko przytrzymał je, przepuszczając gościa. Dziewczyna, drżąc nieco ze strachu i zimna, wsunęła się do środka. W pomieszczeniu unosiła się woń wrotycza. Na legowisku pod miękkim, futrzanym nakryciem leżała właścicielka chaty oraz całej wyspy.

„Zmieniła się” – pomyślała dziewczyna, przyglądając się kobiecie, która budziła we wszystkich taki strach. Leżała z przymkniętymi oczami, włosy niegdyś srebrzyste stały się białe, twarz i nos wyostrzyły się, przybyło zmarszczek, oddech miała ciężki, świszczący, głowa jej lekko drżała.

– Jestem – powiedziała cicho, niepewna, czy staruszka śpi, czy tylko odpoczywa. Wiedźma otworzyła oczy. Dziewczynę przeszedł dreszcz. Prawie przezroczyste tęczęwki przypominały niebo po burzy.

– Dotrzymałaś obietnicy – powiedziała zachrypniętym głosem. Dziewczyna nic nie odrzekła.

W izbie zrobiło się jaśniej, ogień w palenisku zachłannie obejmował świeże drewno, które przed chwilą dołożył mężczyzna. Dwa koty – jeden o srebrzystej sierści, drugi o złocistej – leniwie odsunęły się od zbyt gorącego żaru. Staruszka z trudem usiadła.

– Wyrosłaś na piękną niewiastę, Biwio – stwierdziła, mierząc wzrokiem gościa. – Usiądź – wskazała drżącą ręką swoje posłanie.

Dziewczyna posłusznie usiadła. Staruszka chwyciła jej gładką dłoń i zajrzała w oczy.

– Przeliczyłam się. Mój czas się zbliża. Nie zdążę cię nauczyć – mówiła z trudem.

„Nauczyć?” – dziewczyna nie bardzo rozumiała, o czym mówi stara kobieta.

– Tak. Nauczyć – powiedziała wiedźma, jakby czytała w jej myślach. – Nie potrzebowałam niewiasty do posług. Chciałam ci przekazać wiedzę.

Staruszka opadła na posłanie. Mówienie ją męczyło. Oddech stawał się przyspieszony i coraz bardziej świszczący.

– Moje ciało staje się nieposłuszne – powiedziała, przymykając oczy. Odwróciła głowę do ściany.

– Aczli zostaniesz, wyrzekniesz się stadła, będziesz budzić strach, bo ludzie nie lubią inszości. Nauczę cię, ile zdołam, ale nie zdążę przekazać wszystkiego. Przeto masz prawo odejść. Miłosz cię jutro o świcie odwiezie.

Zapadło milczenie. Biwia rozejrzała się, nie wiedząc, co robić ani jak się zachować. Koty podniosły się z podłogi i wskoczyły na posłanie swojej pani. Mężczyzna siedział przy palenisku, z napięciem spoglądając w jej stronę.

Pomyślała o rodzinnym domu, ojcu, matce, siostrach oraz ukochanym bracie, który nigdy nie pogodził się z jej decyzją. Przypomniła sobie jego prośby, błagania, nawet łzy. Odgrażał się, pragnął płynąć zamiast niej. Nie chciał słuchać żadnych argumentów. Biwia obiecała mu, że wróci.

– Zostanę z tobą – zwróciła się do wiedźmy.

Wiedziała, że postępuje słusznie. „To dla ciebie, bracie” – pomyślała.

Bliźni brat



Ogień w palenisku powoli skrywał się w drobinach żaru. W izbie zrobiło się ciemno. Mężczyzna zniknął na stryszku i słychać było, jak układa się do snu. Biwia, leżąc na włochatym, szorstkim posłaniu, wsłuchiwała się w świszczący, nierówny oddech wiedźmy. Nie mogła zasnąć. Przymknęła oczy, znów powracając do wspomnień, do ostatniego z nią spotkania. Zaczęła sobie przypominać zrozpaczonych, bezradnych rodziców: zapłakaną matkę i trzęsące się ręce ojca. Nikt nie zwracał zbytnej uwagi na krzyczące w kołysce niemowlę. Rodzice z niepokojem spoglądali na posłanie, gdzie leżał Bartus. Dusza jej duszy, powiernik wszystkich myśli, uczuć, pragnień, lustrzane odbicie – bliźni brat. Chłopiec miał przymknięte oczy, na twarzy złanej potem, pokrytej czerwonymi plamami widoczne były rezygnacja i ból. Ciałem, upstrzonym wybroczynami, wstrząsały dziwne dreszcze.

– Wyruszasz jeszcze dziś – Biwia usłyszała stłumioną rozmowę rodziców.

– Pamiętasz? Wtedy nam pomogła – indagował ojciec, a matka tylko nerwowo usiłowała stłumić drżenie własnych ramion.

Biwia domyślała się, o kim rozmawiali. Poprzedniej nocy słyszała podobną, prowadzoną szeptem, gorączkową dyskusję. Zrozumiała, że ojciec wybiera się na Ostrowie, wyspę Wiedmy.

O świcie już go nie było. Biwia na zmianę z matką nosiły ciężkie cebry wody, zanurzały w nich lniane prześcieradła, chusty i okrywały nimi rozpalone ciało Bartusa. W kołysce pod ścianą kwiliła niedawno urodzona siostrzyczka, dla której nikt teraz nie miał czasu.

Nagle w drzwiach stanęła... ona. Nozdrza mieszkańców podrażniła kamforowa woń wrotycza. Kobieta miała na sobie szarą suknię i długą wełnianą narzutkę w tym samym kolorze. Głowę skrywał głęboki kaptur. Wydawało się, że staruszka ma garb, dopiero, gdy rozsypała pleciony sznurek na piersi i zdjęła pelerynę oraz kaptur, Biwia odkryła, że był to duży worek przewieszony na plecach. Talię wiedźmy opasywał jasnobezowy sznur, na którym było zawieszonych mnóstwo mniejszych woreczków. Kobieta nie nosiła czepca. Dziewczynka przyglądała się jej długim, srebrzystym włosom, zaplecionym w koronę. Największe jednak wrażenie wywarły na niej oczy Wiedmy. Półprzezroczyste, przenikliwe spoczęły na Biwii, kołysce i w końcu na Bartusie. Staruszka podeszła do niego i dotknęła twarzy chłopca, z uwagą przyglądając się czerwonym plamom.

– Cały gorze – powiedziała wreszcie. – Przyniescie jajec – zażądała.

Matka właśnie przystawiła do piersi płaczące całą siłą swych płuczek niemowlę, więc Biwia prędko pobiegła do komory. Gdy wróciła z koszykiem jaj, zobaczyła, że wiedźma masuje stopy brata. Potem starucha sięgnęła do kobiałki, wyjęła dwa jajka, rozbiła je i rozlała na piersiach oraz brzuchu chorego.

– Zimnej wody przynieś. I dołóż do ognia, bo musi zawrzeć – wydawała kolejne polecenia.

Jeszcze nie skończyła mówić, a Biwia stała już z cebrzykiem u progu. Wracając do izby, zobaczyła Wiedmę pochyloną nad bratem. Stara dotykała jego czoła, szyi, piersi, szepcząc półgłosem zaklęcia. Kobieta, widząc zainteresowanie dziewczyny, zaczęła mówić głębiej:

– Idź precz, dziki gościu, tam, gdzie człek nie mieszka, gdzie wiatr nie wieje, gdzie kur nie pieje.

Potem splunęła. Najpierw na wschód, potem na południe i zachód.

Dziewczynka dołożyła do ognia i nastawiła w glinianym garncu wodę, przypatrując się bacznie poczynaniom wiedźmy. Stara kobieta wysupłała z woreczka wosk.

– Włóż to do miski i postaw na kamieniu przy ogniu – zwróciła się do dziewczyny. – Trza odczynić uroki.

Biwia pilnowała roztapiającego się w naczyniu wosku. Zastanawiała się, jak wygląda odczynianie uroków. Tymczasem Wiedma znów uciskała stopy Bartusa. Musiała bardzo mocno je ugniatać, gdyż chłopiec chwilami aż kurczył się z bólu. Siostra zaniepokojona stanęła tuż obok brata, obawiając się, że wiedźma zamiast mu pomóc, tylko wzmacnia jego ból.

Kobieta obejrzała się. Dziewczyna twardo wytrzymała jej przenikliwe spojrzenie.

– Zetrzyj to z niego – powiedziała wiedźma, wskazując ręką na mokrą chustę w cebrzyku i na pół ścięte białko z jajek na ciele chłopca.

Wiedźma uważnie obserwowała Biwię.

– Teraz zrób ze świeżymi jajcami to samo co ja – staruszka wydawała polecenia, nie przestając wpijając pazurów w stopy Bartusa. Dziewczyna bez słowa wykonywała wszystko, co nakazywała jej ta niezwykła kobieta.

Skrzypnęły drzwi. Ojciec wniósł gałęzie tarniny i zaczął układać przy palenisku.

– Czy będą dobre? – zapytał nieśmiało.

– Tak, Dagonie – wiedźma chwyciła przez zapaskę gorącą miskę z woskiem. – Wrzuć tarninę do ognia, niech złe przepędzi. A ty – zwróciła się do Biwii – weź czerpak i nabierz zimnej wody. Teraz podłóż, bo wosk łać będziem.

Biwia przytrzymała czerpak nad głową Bartusa, a wiedźma, lejąc do nabieraka wosk, zaczęła inkantację:

– Mocny, północny, wschodni i zachodni, gnębiący, życie odbierający, polewam cię wodą i odsyłam do suchego gaju, w złoty piach. Tam hulaj, dokazuj, ale jego zostaw. Czerwonej krwi nie pijaj, sinych żył nie wyciągaj. Mocny, północny, wschodni i zachodni, gnębiący, życie odbierający, polewam cię wodą...

Po trzykrotnym powtórzeniu zaklęcia Wiedma odstawiła misę. Wzięła czerpak i przyjrzała się pływającemu wosku.

– Dagonie, zabierz czerpak z woskiem i jajca odczyniające. Wynieś je het na rozstaje dróg poza sioło i tam zakop w piachu.

Biwia sprawnie zaczęła zbierać rozlane jajko z piersi i brzucha Bartusa, potem przemyła jego ciało szmatką. Podała to wszystko ojcu, który szybko wyszedł z chaty z nieczystym, by pozbyć się go jak najprędzej.

Gdy dziewczyna posprzątała wokół łóżka brata, wiedźma wyciągnęła jeden z woreczków.

– Zdejmij garniec z ognia. Wrzuć trzy garści ziela i przykryj.

– Może ja pomogę – podeszła usłużnie matka Biwii, której udało się wreszcie usnąć niemowlę.

– Nie – odezwała się oschle wiedźma. – Ona mi pomaga.

– Nastaw znowu wodę. Potrzebny jest drugi napar – rzuciła w stronę zwinnej pomocnicy.

Sama natomiast schłodziła mokrą chustą czoło i skronie chłopca, który otworzył już całkiem przytomnie oczy. Biwia zauważyła, że jego ciało już nie podrywało się w dziwnych wstrząsach. Leżał spokojnie, patrząc to na wiedźmę, to znów na Biwię.

Starucha wyjęła z worka niewielkie gliniane naczynie i nasmarowała chorego lepką, żółtawą mazią.

– Dajcie co ciepłego do okrycia.

Matka zdjęła z belki chustę. Gdy Bartus już leżał szczelnie owinięty, wiedźma poczęła z kolejnych woreczków wysypywać suche ziele, mrucząc coś pod nosem. Zdjęła garniec z ognia i powtarzając zaklęcia śpiewnym głosem, przyrządzała kolejny napar. Pierwszy, przygotowany przez Biwię, nie był już wrzący. Staruszka uniosła nieco ciało chłopca i podała mu miksturę. Chory pił chętnie, nawet łąpczywie. Jednak po paru łykach wiedźma odsunęła od jego ust naczynie.

– Podawajcie mu ten napar o jutrze, w południe, wieczorem i dwa razy w ciągu nocy. Jeśli dożyje rana, będzie zdrow – powiedziała, kładąc go ostrożnie na posłaniu.

– Ten drugi napar jest dla was. Pijcie go aż do nowiu, zanim zaczniecie śniadać i wieczerać, to może was niemoc nie weźmie. Przyjdę, gdy Dadźbóg zacznie nowy dzień.

Pozbierała swoje worki, zarzuciła pelerynę, kaptur i ruszyła ku wyjściu. Przy drzwiach zatrzymała się na chwilę. Wzięła opartą o ścianę wiklinową miotłę. Biwia była przekonana, że zaraz zdarzy się coś niezwykłego, że zobaczy, jak czarownica poleci na niej. Ta jednak tylko odwróciła drapakę i postawiła wiechciem ku górze.

– I niech tak stoi, by złe odstraszało.

Zniknęła za drzwiami, a w chacie jeszcze długo unosiła się woń wrotczyca.

Córka Dagona na zmianę z matką czuwały przy Bartusie całą noc. Słońce było już wysoko, gdy wiedźma po raz kolejny stanęła u progu, a za nią ojciec. Mężczyzna wyglądał, jakby minęło już parę lat, a nie godzin. Włosy stały się bielsze, oczy zapadły gdzieś głęboko za żółtawą opuchlizną twarzą. Nie przywitał się, o nic nie zapytał, tylko podszedł do śpiącego i chwycił go za rękę. Bartus drgnął, otworzył oczy i uśmiechnął się. Twarz ojca natychmiast się wypogodziła. Chłopiec wyglądał o wiele lepiej. Starucha zebrała z jego ciała lepki maź i nałożyła świeżę.

– Będzie żył – powiedziała krótko. – Dawajcie mu ten napar tak samo przez trzy dni i noce. A ten drugi pijcie świtaniami i przed nocą.

Starucha stanęła gotowa do wyjścia, ale nie wychodziła. Wyraźnie nad czymś się zastanawiała, na coś czekała.

– Jak możemy ci się odwdziżyć? – spytał ojciec.

– Dobrze wiecie, czego chcę. Ale czy mi to dacie?

Rodzice spojrzeli na siebie zdziwieni. Matka nerwowo zaczęła kołysać na rękach niemowlę. Ojciec rozejrzał się po izbie, jakby zastanawiając się, czym mógłby obdarować wybawicielkę.

– Nie wiemy, Wiedmo – odparł cicho. – Czego od nas żądasz?

– Chcę... ją – odparła starucha, wskazując kostur na Biwię.

– Co takiego?! – krzyknęła matka, kładąc szybko niemowlę do kołyski i osłaniając swoim ciałem starszą córkę.

– To, to niemożliwe – powiedział cicho ojciec.

– Życie jest dużo warte – powiedziała wiedźma i oparłszy się o kostur, czekała. – Macie bliźnie dziatek. A sami wiecie, że jedno dla ludzi, a drugie dla bogów przeznaczone. Syn was na starość będzie wspierał, drugiej córki też się doczekaliście – dodała, wskazując na kołyskę. – Pewnie jeszcze się i następne narodzi. A ja potrzebuję niewiasty do pomocy.

– Nie mogę ci jej oddać – zaszlochała matka, przytulając pierworodną.

- Ja pójdę do niej – powiedziała Biwia, wysuwając się delikatnie z roztrzęsionych ramion matki. Podeszła do wiedzymy i patrząc jej prosto w oczy, powiedziała krótko:
- Możesz mnie zabrać, Wiedmo. – Biwia mogłaby przysiąc, że na twarzy staruchy przemknął uśmiech.
- Wrychle przyjdiesz. Jeszcześ nie żrzała. Będę na ciebie czekać – powiedziała. Uniosła dłonie za głowę, rozsypała rzemyk. Biwia ujrzała okrągły kamyk z wydrążonym przez wodę otworem. Nawęza¹ należąca do Wiedmy spoczęła na jej piersiach.
- To święty kamień. Niechaj ci służy, zapewni dobry los i nie pozwoli zapomnieć o obietnicy. Po chwili już jej nie było.

¹ Nawęza – amulet słowiański.

Święty Dąb



O budziło ją ciepło i mruczenie. Bursztynowy kot leżał rozciągnięty tuż przy jej twarzy. Gdy się ruszyła, zabłyśły jego złociste ślepia, miauknął krótko, jakby na przywitanie, i z powrotem położył głowę, wydobywając gdzieś ze swojego wnętrza przyjazne mruczenie. Biwia dotknęła delikatnie jego puszystego futra, potęgując hipnotyczne brzuchomówstwo towarzysza. Rozejrzała się. Nikogo w izbie nie było. Słońce przez szpary dostawało się do wnętrza chaty. Ogień znów wesoło tańczył żółtym płomieniem, obejmując duży garniec. Przy ścianie, obok przepierzenia, stał kamienny piec, a przy nim sążnista ława zastawiona glinianymi i drewnianymi naczyniami. Po drugiej stronie izby stała druga, nieco niższa, na której rozłożone było legowisko Wiedmy, a przy nim rzeźbiona, drewniana skrzynia. Drzwi, otwarte na oścież, skrzypiały poruszane wiatrem.

Dziewczyna, zawstydzona swoim lenistwem, pospiesznie złożyła posłanie, układając pled i skóry pod ścianą. Gdy się odwróciła, zobaczyła u wejścia chaty mężczyznę. Był to ten sam człowiek, który przyprowadził ją poprzedniego wieczoru. Poznała go po barczystych, choć już nieco pochylonych ramionach. Był stary. Miał siwe włosy, opadające bezładnie na plecy, twarz ogorzałą od słońca. Niby spoglądał na nią, uśmiechając się przyjaźnie, ale jednocześnie jego wzrok sięgał gdzieś dalej, jakby dostrzegał ją w innym miejscu, niż stała. Przytrzymał dwa jesionowe kłocę. Musiały być dość ciężkie, bo żyły na jego rękach nabrzmiały od wysiłku.

– Może w czymś pomóc? – zapytała pospiesznie. Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy, wtaczając się do wnętrza izby i zrzucając drewno przy palenisku.

Wyszła z chaty. Przed przestronną komorą siedziała Wiedma i przesypywała ziola, mrużąc śpiwnie pod nosem. Rzuciła szybkie spojrzenie na dziewczynę i nie przerywając monotonnego śpiewu, powróciła do swojego zajęcia. Biwia, czując wyrzuty sumienia, rozejrzała się i dojrawszy wiklinową miotłę, chwyciła ją pospiesznie.

– To ja może pozamiatam – ofiarowała się, chcąc jak najszybciej zatrzeć złe wrażenie, i wzniosła brudnoszary pył zamaszystymi pociągnięciami drapaki.

– Ostaw to – Wiedma nawet nie podniosła wzroku. – Ty masz się uczyć, a nie tracić czas.

Młoda adeptka pokornie odstawiła miotłę wiechciem do góry. Chciała wytrzeć ręce w siebie, ale przypomniała sobie, że ma nowo uszyty strój, więc strąciła dłonią z dłoni niewidoczny pył.

– Jestem gotowa – oświadczyła z zapałem.

– Do czego? – starucha uniosła brwi i uważnie spojrzała na dziewczynę.

– Do nauki – odparła zdziwiona pytaniem.

– Pierwej musisz przebyć próbę, bych mogła cię wprowadzić – Wiedma perfekcyjnie maskowała wszelkie emocje na twarzy.

– Próbę? – Biwia spojrzała z lękiem na susz rozłożony na wyciosanym z drewna stole.

– Tako. Próbę – powtórzyła beznamiętnie czarownica. – Inicjację. Jeśli ją przebędziesz, odczytasz znaki i nimi się pokierujesz, staniesz się wiedźmą. Wtedy dopiero pojmiesz, czym jest magia.

– A jeśli nie zdołam?

– To już niczego nie pojmiesz. I nie polatasz na miotle – zaśmiała się, jak z dobrego żartu. – Nawet nią nie pozamiatasz.

– Jak ona będzie wyglądać? Ta inicjacja – Biwii humor staruchy jednak nie bardzo się udzielał.

– To, dziecino, wie tylko ten, kto ją przebył. Jutro ostatnia noc pełni. Musimy się spieszyć. A teraz chodźmy śniadać. Miłosz uwarzył nam kaszę.

Stara z trudem się podniosła. Dziewczyna usłużnie pochwyliła ją pod ramię, pomagając wstać.

– Miłosz to twój mąż?

Intrygowała ją ta milcząca postać. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który wbrew tradycji wykonuje tyle kobiecych prac.

– Brat – sapnęła wiedźma. – Pomaga mi. Prowadzi gospodarstwo, uprawia ziemię przy chacie, warzy jadlo.

– Ani razu nic nie rzekł.

– Bo on nie mówi.

Dzień upłynął Biwii na poznawaniu wyspy. Starucha pokazała jej zbiory ziela, nasion, korzeni i kory złożone w specjalnie na nie przeznaczonej szopie, zwanej owinem. Weszły również do wkopanej głęboko ziemianki, w której przechowywali żywność. Biwia zauważyła, że tego mieszkańcom wyspy nie brakowało, bo ludzie odwiedzili się, jak mogli, za pomoc w chorobach, odczynianiu uroków, zamawianiu Pogody i urodzaju Matki Ziemi Mokoszy. Oglądała też zioła przy chacie, które kwitły rozbujając się wiosennym słońcem, wykluwające się z ziemi jarzyny, zboża. Odwiedziła zwierzęta w zagrodzie, nakarmiła kozy. Życie z pozoru przebiegało tu zwyczajnie. Niepokoiło jednak Biwię zachowanie wiedźmy, która co pewien czas zwracała się do jakichś wymyślonych postaci, to pokrzykiwała na kogoś, kogo nie było, to znów uśmiechała się, potakiwała albo zaprzeczała. Dziewczyna słyszała, że ludzie przed śmiercią widzą jakieś osoby, rozmawiają z nimi, jednak ci, w których życie jeszcze mocno siedzi, nie dostrzegają ich. Bała się, czy aby Wiedma nie jest właśnie w takim stanie. Jednak z drugiej strony staruszka była bardzo ożywiona. Wyglądała znacznie lepiej niż poprzedniego wieczoru.

Potem udały się do Świętego Gaju. Położony był w zachodniej części wyspy. Ogrodzony żerdziami, składający się głównie z dębów, wśród których najważniejszą rolę odgrywał najstarszy, rozłożysty, częściowo zwęglony od uderzenia pioruna. Kobiety weszły na świętą ziemię w nabożnym skupieniu. Złożyły pod Perunowym drzewem ofiarę z koziego mleka i kurzych jaj. Dąb, osmolony ręką boga, przyjął łaskawie żertwę². Kobiety trzykrotnie go obeszyły, Wiedma rozpoczęła inkantację, prosząc o siłę i wytrzymałość dla młodej adeptki czarownictwa, o pomyślną inicjację i cierpliwość w zdobywaniu wiedzy. Kazała dziewczynie dotknąć dębowego pnia i czekać, aż spłynie na nią energia, która drzemie w sokach drzewa.

– To moc płynąca z jego korzeni, z Matki Ziemi, ale i z niebios, od Pana Nieba, który objawił swą siłę piorunem, przeorał korę pnia świętego drzewa, by złączyć się z Mokoszą – wyjaśniła Wiedma.

Biwia czuła tę energię, którą dąb się z nią dzielił. Część drzewa była uschnięta i zwęglona, ale reszta

żyła, tworząc swoistą dychotomię. Drzewo scalało w sobie witalność i obumieranie. Dziewczyna wzruszona osunęła się na kolana i dotknęła czołem kory pnia.

– Dziękuję ci, Święty Dębie, łączniku Nieba i Ziemi, życia i śmierci. Panie, którego korona sięga chmur, a druga wrasta głęboko w ziemię. Dziękuję za moc, której mi udzieliłeś.

Modlitwa w ustach dziewczyny układała się sama. Stara Wiedma z zadowoleniem patrzyła, jak Wybrana jednoczy się z Naturą. Była dobrej myśli.

Domowik i mandragora



Delikatne drapnięcie w szyję przeraziło Biwię. Odruchowo sięgnęła dłonią, natrafiając na miękkie futro bursztynowego kota. Przeciągał się, plącząc pazury w jej włosach. W chacie panował jeszcze półmrok, ale śpiew ptaków na zewnątrz ogłaszał nowy dzień.

Biwia poderwała się, rozglądając pospiesznie. Włosy, splecione wieczorem w warkocz, teraz rozpuszczone i skołtunione plątały się po twarzy, ramionach. Wyglądały jak konopne pakuły. Dziewczyna nie znosiła, gdy ktoś dotykał jej włosów, nigdy nie pozwalała się nikomu uczesać ani nawet pogłaskać. Spojrzała gniewnie na kocura jak na winowajcę.

– A uczciłaś po wieczery domowika? – spytała Wiedma, wyraźnie rozbawiona widokiem niecodziennej fryzury przyszelej adeptki czarownictwa.

– Zapomniałam – westchnęła dziewczyna.

– Nasz domowik jest bardzo usłużny, ale gniew go bierze, gdy się go zaniedba. Dobrze, że cię nie pocałował, bobyś miała krosty przez kilka zachodów Dadźboga.

Biwia energicznie wzięła się za składanie pledu. Co chwila jednak chwytała włosy i spoglądała na nie z nieszcześliwą miną.

– Legnij jeszcze. Przed tobą ciężki dzień. Potrzeba ci dużo sił.

– Wyspałam się, Wiedmo. Pójdę do studni zmoczyć włosy.

– Weź łągu i ciepłej wody z garnca. Umyj się cała, bo tak się godzi. Wszak dziś twoje przejście. Na przepierzeniu wisi płótno, wytrzesz się nim. I weź to – staruszka trzymała w ręku rogowy, zdobiony reliefami grzebień.

Kiedy Biwia wróciła, Wiedma wciąż siedziała na posłaniu i zbierając kosmki siwych włosów, które wyslizgnęły się z niezgrabnie splecionej kosa, nuciła śpiewne zaklęcia na rozpoczęcie dnia. Zaśpiewki jakby dodawały staruszce sił. Z większą werwą zarzuciła suknię, ale paski po bokach, które się rozplątały, wymykały się ze zgrabiących rąk.

– Pomogę ci – zaofiarowała się Biwia.

Starucha pokornie pozwoliła na to. Odziana jak należy, wzięła oparty o ścianę kostur i wspierając się na nim, sięgnęła po leżący na klepisku wór. Bez słowa wyszła na zewnątrz. Biwia prędko otuliła się ciepłą, wełnianą peleryną i ruszyła za nią.

– Ty zostań – osadziła ją Wiedma. – Wysusz włosy przy ogniu, posil się teraz, bo wieczerzać dzisiaj nie będziemy. Odpoczywaj.

– A! – odwróciła się jeszcze na odchodnym. – Zawrzyj przyjaźń z domowikiem! I zadbaj o kota, bo

on już sobie ciebie wybrał na panią. Okaż mu, że się zgadzasz.

Gdy Biwia umyta grzała się przy ogniu, wszedł Miłosz. Spojrzał na nią życzliwie, choć był wyraźnie zatroskany. Szukał czegoś dłużej w skrzyni, potem wyszedł. Powrócił ze skopkiem mleka i kozim serem. Dziewczyna wzięła ułożone na ławie miski i cztery spośród nich napełniła mlekiem. Podniosła ostrożnie pierwszą i zaniosła w kącie chaty.

– Domowiku, dobry demonie, opiekunie tego domu, przyjmij tę skromną żertwę i przyjmij mnie w tych progach.

Postawiła miskę na klepsku i ruszyła po drugą. Tę położyła przed bursztynowym kotem.

– Kocie, wybrałeś mnie na swą panią, więc teraz jako twoja pani nadaję ci imię Jantar. Od dzisiaj będę cię karmić i strzec. Ciebie też proszę o opiekę, gdy zajdzie potrzeba.

Trzecią podała Miłoszowi.

– Dziękuję ci za posiłek. Będzie to dla mnie zaszczyt śniadać z tobą.

Miłosz wypił jednym haustem mleko. Urwał kawałek sera i włożył do ust. Położył dłoń na ramieniu Biwii, zmuszając ją delikatnie, by usiadła. Gestem ręki pokazał, by zaczekała. Zniknęła na stryszku. Po chwili wrócił i z zadowoleniem wręczył dziewczynie zawiniątko. Odwinęła burą szmatkę. Aż jęknęła na widok odsłoniętej zawartości. Trzymała w ręku korzeń będący ludzką karykaturą. Wyglądał jak rozłożona wygodnie na posłaniu postać. Wydawało się, że miała przymknięte oczy i szelmowski uśmiech. Na bocznym korzeniu, podobnym do ręki, widniała okrągła narośl.

– Mandragora – wyszeptwała z nabożną cziłą. – Ponoć strach ją zbiera bez magicznych obrzędów, bo potrafi zabić krzykiem. Mówili w siole, że otwiera dźwirze, zdradza miejsca, które bogacą, uśmierza ból i przynosi szczęście. I że rodzi się z nasienia wisielca.

Miłosz z powagą pokiwał głową. Potem sięgnął do paska i wyciągnął nóż. Był to kozik z żelaznym ostrzem i rogową rękojeścią, na której widniała lunula – symbol Księżyca w pierwszej kwadrze. Mężczyzna pokazał na migi, że chce uciąć fragment korzenia. Biwia przyklękła i z namaszczeniem położyła zawiniątko na ziemi. Gdy Miłosz zbliżył ostrze noża do mandragory, dziewczyna zatrzymała jego rękę.

– Chyba nie powinniśmy jej kaleczyć.

Miłosz zaprzeczył ruchem głowy i znów zbliżył żelazo do humanoidalnego korzenia.

– Poczekaj – Biwia chwyciła jego rękę. – Zapytajmy ją, czy możemy. Ponoć potrafi mówić.

– Mandragoro, magiczny alumniku, azali pozwolił nam użyć twojej mocy? Oddaszli część siebie na nasz użytek?

Zaczęli z napięciem przyglądać się rozspanej postaci. Mandragora milczała. Jednak po chwili dostrzegli delikatne poruszenie. Głowa magicznej istoty pochyliła się w lekkim ukłonie, jakby na powitanie albo na znak przyzwolenia. Miłosz zdecydowanym ruchem odciął narośl w miejscu przypominającym dłoń. Biwia obmyła mandragorę w mleku, potem w wodzie i delikatnie osuszyła. Na powrót otuliła płócienną szmatką i ostrożnie ułożyła na pieńku przy ścianie, obok swoich rzeczy. Potem wzięła od brata Wiedmy odcięty kawałek korzenia.

– Nada się dziś w nocy, nieprawdaż? – spytała niemego.

Miłosz przytaknął z powagą.

Dziewczyna wyciągnęła z podróżnego worka płócienny mieszek i umieściła w nim fragment magicznej rośliny. Potem przytroczyła go do krajki opasującej suknię.

– Niech mi sprzyja – szepnęła.

Inicjacja



Swaróg właśnie posyłał swego syna Dadźboga na odpoczynek. Ostatnie blaski zachodzącego Słońca czerwieniły niebo. Nadchodziła noc.

Biwia siedziała przed chatą i czekała. Wiedmy nie było cały dzień. Dziewczyna z niepokojem jej wypatrywała. Wreszcie zobaczyła, jak staruszka z przewiazaną na plecach płachtą, wspierając się na zakrzywionym kosturze, zmierzała z werwą w stronę chaty. Aż trudno było uwierzyć, że to ta sama niewiasta, która dwa dni temu zapowiadała swoją rychłą śmierć. Pod nogami starej wiedźmy płatał się srebrzysty kocur, który nie odstępował jej podobnie jak Jantar swej nowej pani.

– Już czas – mruknęła Wiedma. Pochyliła się jeszcze nad stojącym pod chatą cebrem i wyjęła żeń coś, co wydawało się skrzydłem dziwnego ptaka. Wrzuciła je do zawieszanej na plecach płachty. Dziewczyna nie śmiała zapytać, co dalej. W milczeniu obserwowała krzątanię. Bursztynowy kot był niespokojny, patrzył podejrzliwie na przygotowania, od czasu do czasu przeciągle miaucząc.

Wyruszyły przed zapadnięciem zmroku, tylko we dwie. Siwowłosa mężczyzna został w chacie.

– Nie może iść z nami, to zbyt niebezpieczne – wyjaśniła Wiedma, widząc nieme pytanie malujące się na twarzy Biwii.

Przeprawiły się przez jezioro i skierowały na pobliskie wzniesienie, porośnięte gęstym lasem. Starucha, pomimo zapadającego zmroku i podeszłego wieku, poruszała się tym razem nad wyraz sprawnie, z łatwością odnajdując w ciemności pozostałości czegoś, co kiedyś było ścieżką. Na nieboskłon pomału wspinał się Miesiąc – drugi syn Pana Nieba. Rozświeślał im dzisiaj drogę. Choć był w pełni, wydawał się jakby inny, zimny i wyblakły. Świetliki tym razem się nie pojawiły, ich miejsce zajęły nietoperze, co chwila przemykające nad głowami. Weszły do lasu. Piskliwe pohukiwania sów zaczęły górować nad gwarem leśnej braci, zagłuszając nawet hałaśliwe granie świerszczy.

Niewiasty szły w milczeniu. Potężne gałęzie pomiędzy drzewami wyznaczały im drogę. Skały były coraz więcej. Wiedma nagle skręciła koło jednej z nich, podeszła do naprzeciwległej ściany i zniknęła. Biwia krzyknęła ze strachu. To miejsce nie wyglądało przyjaźnie, czuła wręcz bijącą od niego dziwną moc.

– Cicho, tu jestem.

Zobaczyła rękę wysuwającą się zza skały, podeszła bliżej i wtedy w świetle Księżycy ujrzała ciasną szczelinę, w której stała Wiedma.

– Chodź za mną, pomału – wyszeptła. Jej głos brzmiał przyjaźnie, uspokajająco.

Szły wąskim przesmykiem pomiędzy skałami. Droga się dłużyła. Wilgotne gałęzie sączyły krople

padające na twarz i włosy niewiast. Biwia kurczowo trzymała się dłoni Wiedmy, która zdawała się widzieć w ciemności. Zatrzymały się na chwilę.

– Masz przy sobie korzeń mandragory? – zapytała czarownica.

– Mam – odpowiedziała cicho.

– To weź go teraz i żuj. Wyostrzy ci wzrok i uśmierzy ból.

– Ból?! – Biwia była przerażona. Rozdygotanymi rękami zaczęła rozsypywać przytroczone do krawki woreczek. Wyjęty fragment korzenia zdawał się lekko opalizować. Biwia posłusznie włożyła go do ust, prosząc w myślach, by jej pomógł przejść tę budzącą strach próbę.

Po chwili jej wzrok się wyostrzył. Bez trudu dostrzegła wszelkie żałomy skalne, szczeliny, drobne gryzonie przemykające chyłkiem pod ścianami przesmyku. Jej źrenice się rozszerzyły, wzrok stał się koci.

W końcu weszły do niewielkiej jaskini, oświetlonej gdzieś od góry blaskiem Księżycy, przenikającym przez szczelinę. Biwia w półmroku dostrzegła duży kamienny blok, na którym wyrte były nieznanne jej symbole. Zwęglone kawałki drewna obok monolitu pozwalały przypuszczać, że było tu palenisko.

– Rozdziej się – krótko rozkazała Wiedma, sama biorąc się za rozpalanie ognia.

– Jak to? – próbowała protestować Biwia.

– No już! – warknęła starucha. Nie była przyzwyczajona do jakiegokolwiek sprzeciwu.

Dziewczyna niezdarnie zaczęła ściągać z siebie przyodziewek, pozostając w lnianej koszuli.

– To też. I kładź się na kamieniu! – rozkazała stara kobieta.

Biwia bała się. Zimno monolitu przenikało przez skórę, wywołując dreszcze. Wiedma podniosła się znad paleniska, wydobyla zza pazuchy błyszczący nóż i podtrzymując się na kosturze, zaczęła od wschodniej strony zakreślać krąg. Mamrocząc pod nosem zamykające i wzmacniające zaklęcia, wyrzyła rytualnym ostrzem trzy kręgi oddzielone od siebie odległością około jednej stopy.

– Mocy nie można rozpraszać – wyjaśniła, widząc nieme pytanie na twarzy przerażonej dziewczyny. Przykuśtykała do kamiennego stołu i z namaszczeniem odłożyła nóż. Po chwili Biwia ujrzała w jej rękę glinianą miseczkę.

– Maść czarownic – wskazała na zawartość naczynia. – Zawiera wilczą jagodę, mandragorę, bieluń, lulek i borsucze sadło. Przeniesie cię tam, gdzie twój cel. To ona pozwoli ci się unieść wysoko. Czarownice nie latają na miotłach. Czarownice wznoszą się dzięki tej maści i przeżywają chwile, jakie innym się nawet nie śnią.

Zaczęła rozcierać specyfik na ciele dziewczyny. Zatrzymała się na chwilę przy niewielkiej brodawce pod lewą piersią.

– Nosisz znamię wiedźmy – stwierdziła.

– Co takiego? – Biwia nie zrozumiała, ale Wiedma już jej nie słuchała. Wzywała imiona różnych czarownic. Wznosiła modły do Księżycy, pana, który sprzyja wszystkim wiedźmom. Zwraçała się do mandragory, bielunia, lulka i wilczej jagody, prosząc, by zaprowadziły młodą adeptkę czarodziejstwa daleko, ale nie na tyle, by nie mogła powrócić. Potem wrzuciła do ogniska przygotowane wcześniej suche zioła.

Jej zaklęcia były coraz cichsze, Biwia przestała rozróżniać słowa. Słyszała już tylko monotonną melodię. Jaskinię zaczęły wypełniać kłęby pachnącego tajemniczymi ziołami dymu. Opary nie unosiły się, lecz rozpyływały, zasłaniając dno pieczary. Wyglądały jak tafla jeziora pokrytego mgłą. Dziewczyna z niepokojem patrzyła, jak sięgają coraz wyżej i wyżej, muskają jej skórę, wgrzyzają się w oczy i nozdrza. Nie mogła się poruszyć, czuła jakby dym przylepił jej ciało do kamienia. Suchość w ustach

stawała się coraz bardziej nieznosna. Wiedma, jak zjawa płynąca we mgle, podeszła do niej z parującym naczyniem, jej twarz była dziwnie blada i pokryta kropelkami potu, błyszczącymi w księżycowej poświacie. Biwia ze zdziwieniem skostatowała, że starucha jest naga.

– Pij – powiedziała chrapliwie, przytykając naczynie do jej ust. Odurzona dziewczyna posłusznie połknęła ciepki płyn, który parzył usta i gardło. – Jeszcze – usłyszała.

Piła krótkimi łykami, bojąc się poparzyć.

– Jeszcze...

Przenikliwe gorąco zaczęło się w niej rozrastać. Ból wydawał się rozgałęziać niczym konar drzewa i rozdzierać wewnątrz ciała. Płyn nagle stał się wrzątkiem, wlewającym się w żyły. Czowała, że płonie, że pali się od środka. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle, chciała się zerwać, zeskoczyć z kamienia, ale okowy tajemniczego dymu nadal trzymały ją jak w kajdanach. Coś błysnęło, Biwia nie widziała wyraźnie. Jej oczy okrywała mgła. Zacisnęła na chwilę powieki i otworzyła je, by się lepiej przyjrzeć. W oparach dymu znowu coś mignęło. Dziewczyna z przerażeniem stwierdziła, że to nóż. Chciała krzyknąć. Rozpaczliwe „Nie!” rozległo się tylko w jej głowie. Nie potrafiła wyartykułować żadnego dźwięku. Wiedma prostym, mocnym ruchem skaleczyła sobie dłoń i zbliżyła do jej twarzy. Kropłe krwi spłynęły w rozchylone w niemym cierpieniu usta. Zachłysnęła się. Kamienny stół zniknął nagle, a Biwia poczuła, jak spowija ją czarna, lepka otchłań.

„Ciemność. To już koniec? Dlaczego tak boli? Azali śmierć boli? Czuję bicie serca, każde uderzenie jest jak uderzenie młota. Wali w moje żebra, w moją głowę. Rozsadza mi ją. Niedobrze mi. Muszę coś zrobić. Muszę się wyswobodzić”.

Biwia poderwała się. Zapagnęła unieść się wysoko ponad opary dymu. Nagle zorientowała się, że znajduje się nad nimi. Ból zelżał. Światło Księżycy, przenikające przez szparę w jaskini, przyciągało swym magicznym blaskiem. Uniosła ręce jak do nurkowania i przemknęła przez skalną szczelinę. Rozejrzała się. Lewitowała nad skałami ukrytymi pośród lasu. Widziała zwierzęta, różne dziwne postacie przemykające między drzewami. Przechyliła się i skierowała swój lot w stronę jeziora Lędo. Na wyspie, przed wejściem do chaty, stała jakaś postać. Podleciała bliżej. Tę potężną posturę, szerokie, lekko pochylone plecy rozpoznała bez trudu. Miłosz.

– Biwio.

Zaskoczona zniżyła lot i stanęła przed nim. Spoglądał gdzieś poza nią, jakby dobrze nie widział.

– Biwio – jego głos był niski, głęboki.

– Miłoszu? Ty mówisz?

Uśmiechnął się nieznacznie. To miała być odpowiedź.

– Chodź ze mną – Miłosz odwrócił się i ruszył w stronę łąki.

W tym momencie po przeciwnej stronie zabłysło światło. Emanowało ciepłem. Biwia czuła, że coś z jego głębi bezgłośnie ją przywołuje. Poczwała chłód wiatru na skórze i chęć ogrzania się w ciepłym blasku wzmogła się. Dziewczyna zatrzymała się niezdecydowana. Kusilo ją łagodne światło w oddali. Jednak zmierzający w przeciwnym kierunku mężczyzna też miał w sobie ciepło. Najbardziej intrygował ją jego głos. Brat Wiedmy, niemowa, przemówił! Biwia odwróciła się i ruszyła za nim, jak pierwszej nocy, gdy przybyła na wyspę. W pewnym momencie Miłosz zatrzymał się i podał jej rękę.

– Zamknij oczy – poprosił.

Posłusznie przymknęła powieki. Gdy je otworzyła, zobaczyła kamienie podobne do żaren. Jej ręce były brązowe, spalone od słońca. Rozcierała suchą, pokrytą drobnymi włoskami roślinę. Wsywała proszek do parującej wody, po czym podała do picia kobiecie leżącej obok. Bacznie się przyglądała, czekając na reakcję. Niewiasta zasnęła.

Znów zamknęła oczy.

Silny, punktowy ból sprawił, że z prerażeniem uniosła powieki. Znów zabolalo i dostrzegła spadający na ziemię kamień. Wokół rozszalały tłum krzyczał coś w szaleńczym zapamiętaniu. Spoglądały na nią twarze wykrzywione w grymasie nienawiści. Ludzie, gestykułując, wskazywali na coś poza jej plecami. Obejrzała się – zobaczyła stos ułożonych drewnien. Ktoś brutalnie zaczął wyłamywać jej ręce i szarpać, pociągając w kierunku pala wbitego pośrodku stosu. Potknęła się, ale silne, brutalne ręce ją podniosły, wywołując jeszcze większy ból wywichniętych ramion. Przywiązali ją. Rozjadły tłum nagle zaczął radośnie pokrzykiwać. To ogień podłożony pod stos wywołał taki entuzjazm. Pełgał powoli w jej kierunku. Języki ognia robiły się coraz większe, czuła ich gorąco. Tłum zaczął wiwatować. Po chwili była już tylko parzącym, niemiłosiernym bólem. Zaczęła szlochać, zaciskając z całych sił powieki.

Zaplakana otworzyła oczy i ze zdziwieniem się rozejrzała. Krajobraz zmienił się nie do poznania. Wokół sterczały kikuty wysokich budowli. Nigdy takich nie widziała. Zorientowała się, że kłęczy przy młodym mężczyźnie, pokrytym błotem i pyłem. Młodzieniec był podobny do Bartusa, miał dziwny ubiór i biało-czerwoną szmatkę na ramieniu. Pochylała się nad nim i delikatnie obmywała mu twarz pokrwawionym gałgankiem. Jej ręce były umazane krwią i błotem. Wokół rozlegał się nieustanny huk. Podniosła brudną dłoń, by otrzeć łzy.

Znów coś się zmieniło. Wokół zapanowała cisza. Zdziwiona otworzyła oczy. Siedziała przy niespotykanie gładkim i połyskliwym stole. Na nim leżała dziwna skrzynka ze świecącym oknem. Jej palce dotykały małych kwadracików, pokrytych runami, a w oknie pojawiały się takie same runiczne znaki. Tuż obok skrzynki spał spokojnie czarny kot. Z okienka emitowało światło, które bardzo męczyło oczy. Przymknęła je.

Gdy je otworzyła, znów była w jaskini na kamieniu. Wokół krążyły w ekstatycznym tańcu kobiety. Były różne: stare, młode, w sile wieku, rude, czarnowłose, jasnowłose. Jedyne, co je łączyło, to nagość. Trzymały się za ręce i podrygiwały w rytm śpiewanej pieśni. Kręciły się wokół ołtarza coraz szybciej. Biwia czuła, jak wszystko wokół zaczyna wirować. Zastoniła twarz jak dziecko, które wierzy, że gdy zamknie oczy, inni też przestaną je widzieć. Jej krzyk zagłuszył śpiew zebranych.

Słyszała już tylko własny głos, odbijający się echem. Odsłoniła twarz. Siedziała na rozstaju dróg. Na jednej z nich w oddali majaczyła jakaś barczysta postać. Miłosz czekał na nią. Podniosła się i znów ruszyła za nim. Podążali w stronę gór. Znad wzniesień zbliżał się ku nim ptak. Wydawało się, że dojrzał ofiarę, bo nagle zaczął schodzić w dół szybkim, pikującym lotem. W ostatniej chwili tuż przy ziemi rozłożył skrzydła i przysiadł. Biwia ze zdziwieniem odkryła, że to kobieta. Piękna, czarnowłosa, w długim płaszczu z sokolich piór. Niewiasta wyglądała na rozgniewaną, jej ciemne oczy aż iskrzyły złością.

– Ona dokończy, co zaczęte – powiedział Miłosz.

Czarnowłosa rozpostarła ręce i płaszcz na powrót zamienił się w skrzydła. Uniosła się.

– Leć za nią – zachęcił Miłosz.

Biwia go usłuchała. Jednak nie miała takiej zwinności i szybkości jak kobieta-sokół. Na próżno próbowała ją dogonić. Zatrzymała się na szczycie góry, otoczonej kamiennym wałem. Księżyc oświetlał pozbawione roślinności stoki, pokryte skalnymi rumowiskami. To były gołoborza. Osuwające się głazy nie dawały przystępu drzewom. Rozejrzała się. Była tam sama. Ogarnęło ją poczucie bezradności. Nagle usłyszała poszum skrzydeł. Sokół niespodziewanie pochwylił ją w swe szpony i zaczął unosić coraz wyżej w stronę rzucającego magiczny blask nocnego syna Swaroga. Dziewczyna przerażona wysokością zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, ujrzała bladą poświatę Księżycy przenikającą przez skalną szczelinę. Siedziała skulona na kamiennym ołtarzu. Bolało ją całe ciało, ale ból był już znośny. Dym gdzieś zniknął. Po tańczących kobietach nie było śladu. Pod skalną ścianą siedziała w szarej sukni skulona Wiedma. Twarz miała ukrytą w dłoniach.

– Wiedmo – zachrypiała cicho. Suchość w ustach nie pozwalała powiedzieć nic więcej.

Staruszka podniosła głowę i uśmiechnęła się. Chwyliła oparty o ścianę kostur i wsparła się na nim. Niezgrabnie kuśtykając, podeszła do ogniska i podniosła z trudem czarę z jakimś płynem. Kiedy zbliżała się z nią, Biwia na wspomnienie ostatniego napoju zasłoniła dłonią usta, a drugą wysunęła przed siebie z gestem odmowy.

– Nie bój się – uspokoiła ją Wiedma. – To na rzeźkość. Doda ci sił.

Przystawiła czarę do ust dziewczyny. Biwia z ociąganiem wypila łyk. Nic się nie zdarzyło. Wzięła więc naczynie do rąk i zaczęła pić łapczywie aż do ugaszenia pragnienia.

Wiedma znów się pochyliła, podnosząc coś z ziemi, tuż przy ołtarzu. Srebrna misa uderzyła z echem o blat kamiennego stołu. Dziewczyna ze zdziwieniem spojrzała na jej zawartość.

– Pazur rysia, kręgi węża, zęby konia, skóra łasicy, zwęglone drzewo osiki, gałąź jarzębiny, suszona ruta, wrzos, korzeń gołębiej żegotki i krzesiwo z krzemienia pasiastego – staruszka wymieniała składniki, wygarniając je po kolei z misy i wrzucając do płóciennego woreczka. – Do tego święty kamień – dodała, zdejmując amulet zawieszony na piersiach dziewczyny. Jedyna rzecz, z którą Biwia nigdy się nie rozstawała, nawęza, подарowana przez Wiedmę parę lat temu, gdy ratowały życie Bartusa. Gdy otoczek zniknął w głębi mieszka, staruszka sprawnie zacisnęła tasemką woreczek i zawiesiła na szyi Biwii.

– Twoja kaptorga³. Twoje narzędzie i twoja ochrona.

Ucałowała adeptkę magii w usta, po czym uroczyście pokłoniła się, wypowiadając słowa:

– Młoda Wiedmo, witam cię w imieniu wszystkich wiedźm.

Biwia zrozumiała, że stało się. Inicjacja skończona. Z niedowierzaniem dotknęła magicznej kaptorgi.

Stara tymczasem otworzyła znajdującą się przy ołtarzu okazałą skrzynię. Biwia mogłaby przysiąc, że gdy wchodziła na płaski monolit, nie było w jaskini tego przedmiotu. Staruszka niezdamnie wydobyla grubą, wełnianą narzutkę. Uniosła ją, przyglądając się z zainteresowaniem spiralnym wzorom i ozdobom do niej przyczepionym. Były tam ptasie pióra, wysuszone kwiaty i kolorowe kamienie. Z przodu połyskiwała żelazna fibula do spinania szaty.

– Dostałaś krasny podarek, Biwio, Młoda Wiedmo.

– Podarek? – spytała zdziwiona Biwia, zsuwając się z kamiennego stołu.

– Wiedzmy się postarały – mruknęła starucha. Otuliła nagie ciało dziewczyny ciepłą narzutką.

Biwia usiadła na ziemi i oparła się o monolit.

– To znaczy, że one tu były naprawdę?

Stara przycupnęła obok. Przytuliła głowę dziewczyny do piersi i pogłaskała ją po włosach.

– Potrzebowałam dużo siły. Przybyły, żeby podzielić się z tobą swą mocą.

Biwia, choć nie znosiła głaskania, była tak zmęczona i przejęta, że nawet nie zwróciła uwagi na pieszczotliwy gest nestorki. Zaczęła sobie przypominać wizje.

– Wiedmo, tam był ze mną Miłosz, on mnie prowadził.

– Miłosz? – zdziwiła się stara.

– Tako. I jeszcze niewiasta-sokół. On mnie do niej zaprowadził. Znalazłam się na górze. Jej szczyt był łyśy, bez drzew, a wokół roztaczał się kamienny wał i rumowiska kamieni.

– Łysiec – szepnęła wiedźma.

– Znasz to miejsce? – zapytała Biwia.

Wiedma uśmiechnęła się lekko, wspomnienia ożywiły jej rysy, wesoły błysk w oczach przykryła powiekami.

– Tako. Bywałam tam. Twoja droga widać też tam prowadzi.

– Widziałam też dziwne miejsca i rzeczy niepodobne do żadnych innych. Jakby nie z tego świata.

– Krąg ujawnił twój dar. Pewnikiem obaczyłaś przyszłość. Nowe wcielenia. Wiesz już, jaką moc winnaś w sobie rozwijać.

– Wiedmo, czy twoje przejście też tak wyglądało?

– Rytuał jest zawsze taki sam, ale droga całkiem inna. Nie wolno nikomu o tym opowiadać. Każda przechodzi drogę inaczej, bo każdej co innego pisane – odpowiedziała wykrętnie. – Już świta. Pora na nas – stara zaczęła się z trudem podnosić, rozprostowując ściernięte nogi. – Chodźmy do domu.

Biwia zdjęła na chwilę narzutkę, wdziała spodnią i wierzchnią suknię. Przepasała krajką. Znów osłoniła się wełnianym płaszczem przed chłodem poranka. Myślni krążyła wciąż wokół tego, co zobaczyła podczas inicjacji. Było jeszcze coś, co nie dawało jej spokoju.

– Wiedmo – zagaiała znowu – w moich wizjach Miłosz potrafił mówić.

Starucha, która właśnie chowała do worka srebrną misę, zatrzymała się w połowie gestu. Misa znów uderzyła o monolit, a staruszka jakby skurczyła się w sobie, pochyliła głowę i oparła ręce o kamień.

– Bo Miłosz ongiś mówił – wydusiła przez ściśnięte gardło. – To przeze mnie... na złość... z rozpacz... – mówiła niezbyt składnie. – Kiedyś ci opowiem. Na dzisiaj za dużo tego.

Staruszka zebrała się w sobie, poprawiła wiązanie u peleryny, wzięła misę i energicznie zapakowała do worka. Ruszyła w stronę wyjścia.

– Idziemy – obejrzała się na Biwię.

Wychodziły w milczeniu, zasłuchane w świergot budzących się ptaków. Nagle młoda wiedźma przystanąła. Staruszka odwróciła się zaniepokojona.

– Obacz! – dziewczyna wskazała ręką w górę.

Na nieboskłonie w świetle porannej zorzy unosił się potężny, ognistoczerwony ptak. Rozpostarł skrzydła, jakby chciał na chwilę zatrzymać się w locie. Poszybował tak przez chwilę i zaskrzeczał głośno. Jego głos przypominał rozzdzierający wrzask pawia. Niewiasty w tym momencie uświadomiły sobie, że wszystkie zwierzęta wokół zamilkły. Ognisty ptak załopotał trzykrotnie skrzydłami, uderzając gorącą falą powietrza, i pomknął w stronę wschodzącego Słońca. Zniknął, jakby rozplywając się w jego promieniach.

– Raróg – wyszeptła z przejęciem Wiedma. – Niewielu śmiertelnikom się objawia. To dobry znak, Młoda Wiedmo. Swaróg ci błogosławi.

Kiedy szły przez las, Biwia rozglądała się z niekłamanym zdziwieniem. Pod sosną zobaczyła starca z długą, zmierzwioną brodą, przetykaną runem leśnym, i z równie zmierzwionymi włosami, przystrojonymi kwitnącym wilczym łykiem. Stał z założonymi na krzyż rękami, dumnie spoglądając na przechodzące kobiety. Biwia przestraszona oglądała się co chwila, nie wiedząc, co zrobi ów dziwny mężczyzna. W pewnym momencie z miejsca, gdzie stał leśny starzec, poderwał się ogromny puchacz i wzleciał, sadowiąc się na grubym konarze. Nagle gdzieś z boku zaczął narastać głośny, wibrujący dźwięk. Dziewczyna spojrzała w tym kierunku, krzyknęła i upadła na ziemię, zasłaniając głowę. Dziwny stwór przeleciał tuż nad nią. Wyglądał jak karłowaty człowiek z nieproporcjonalnie małą głową i skrzydłami bąka.

– Uwważaj, jak latasz, błotniku! – krzyknęła za nim Wiedma.

Biwia podniosła głowę. Zobaczyła nędznie ubraną kobietę w podartym odzieniu, z chustką na głowie,

zawiązaną pod szyją. Niewiasta spojrzała na nią ze smutkiem i weszła w pień drzewa, zlewając się z nim. Dziewczyna, przestraszona, poderwała się na równe nogi.

– To bieda – oznajmiła Wiedma, widząc przerażenie uczennicy. – Słyszałaś ją często. Płacze, gdy pali się mokre polana.

– A tamten człek z brodą, który zamienił się w puchacza?

– Leszy. Pan tego lasu. Nie wchodzimy sobie w drogę – wyjaśniła staruszka. Wzięła Biwię za rękę w obawie, że znów się potknie lub przewróci.

– Skąd oni wszyscy nagle się tu wzięli? – spytała dziewczyna.

– Zawsze tu byli – odparła Wiedma. – Teraz ich widzisz. Witaj, Biwio. Witaj w naszym świecie.

Uroczone oczy



O budził ją gwar. W izbie domowik z Jantarem bawili się w chowanego. Opiekuńczy demon domowy był niewielkiego wzrostu i nie różnił się zbytnio od ludzi. Miał rude włosy i równie rude wąsy, brodę oraz krzaczaste brwi. Kiedy śmiał się, jego oczy przypominały kablączki⁴ zawieszane na krajkach wystrojonych niewiast. Nosił szarobury strój gospodarski przypominający barwę klepisko w chacie. Łatwo mu więc było ukryć się w izbie, choć jego rude włosy były niewidoczne tylko na tle ognia.

Domowik z kotem dokazywali, ale nie oni byli sprawcami hałasu. Dochodził z zewnątrz. Biwia szybko się przyodziała i wyjrzała przez uchylone drzwi. Na ławie przed chatą siedziały trzy niewiasty. Na drugiej naprzeciw rozsiadła się Wiedma, drżące ręce wspierając na kosturze. Jedna z przybyłych skarżyła się na coś, popłakiwała, wycierając co rusz oczy i nos w zapaskę. Nerwowo poprawiała co chwila chustkę na głowie, wciskając pod nią siwe włosy. Druga słuchała narzekań pierwszej, kiwała głową ze współczuciem, aż przekrzywił się jej czepiec. Trzecia była o wiele młodsza od pozostałych. Miała dziecięcą twarz i wielkie, zielone oczy. Siedziała na samym brzeжку ławy, zapatrzona gdzieś w dal, zdawała się nieobecna myślami.

Pierwsza opowiadała o chorobie męża. Nie mogła go przyprowadzić, bo stary nie mógł chodzić.

– Taka puchlina – żywo gestykulowała, pokazując na swoje kolano. – Kraśna cała. I grudowata.

Wiedźma przywołała ruchem głowy Biwię.

– Młoda Wiedma – przedstawiła dziewczynę kobietom. – Przyuczta się.

– Słyszeliśmy. Ludzie w siole gadali – pospiesznie przytaknęła kobieta w czepcu.

Biwia przycupnęła nieśmiało obok swej nauczycielki.

– Mąż jej zaniemógł – starszka wyjaśniła uczennicy. – Nie może chodać. Kolano mu spuchło, pokraśniało. Mówi, że grudowate.

– Jakby kto mu tam ostrych kamieni nasypał – płacliwie dodała kobieta w chustce.

– Widzi mi się, że podagra go złapała – zawyrokowała Wiedma. – Co byś radziła na takową niemoc? – zwróciła się do Biwii.

Młoda czarownica skuliła się, miętosząc w dłoniach zapaskę. Miesiąc ostatniej nocy już zdążył powrócić na niebo w całej swej okazałości od pamiętnej chwili, gdy był świadkiem jej przejścia. Do tego czasu poznała już wiele ziół, dowiedziała się, jak i kiedy je zbierać, przechowywać, podawać i na jakie przypadłości pomagają. Uczyla się też zaklęć. Lecz cóż znaczy jeden powrót nocnego syna Swaroga? Jej wiedza była jak kropla w jeziorze Lędo.

– Zdaje się, że podagrycznik trza podać i korzeń łopianu – zaczęła wymieniać. – Sok z żegawki pomoże pozbyć się grudek.

– Żegawkę macie pewno pod chatą – Wiedma zwróciła się do kobiety. – Zbierać codziennie po rosie, zalewać wrzącą wodą i trzymać chwilę pod przykryciem, aż ciepłe się zrobi. Niech wasz dużo pije. Do żegawki dodacie podagrycznik. A z korzenia łopianu zrobicie odwar.

– Przynieś z owinu podagrycznik i łopian – nakazała Wiedma Biwii. Dziewczyna z ulgą ruszyła w stronę szopy. Dopiero co wczoraj skończyła oczyszczać korzenie młodego, wiosennego łopianu. Drugie ziele też już знаła.

– Jutro będziem na przysiółku, to do was zajrzym. Zaklęcia trzeba odprawić – usłyszała, jak stara mówi do kobiety w chustce.

Gdy wracała z owinu, Wiedma właśnie skończyła wypytywać kobietę, co jadają na co dzień.

– Szczawiu ani grochu mu nie podawajcie. A jak wisznie będą, niech ich dużo je. Zaszuscie mu, to potem kompot wiszniowy będziecie warzyć.

– A ja wam mówię, że to przez sąsiadkę. Ona ma takie urocne oczy, że jak pojrzy, to aże przeszywa. Ać była u was kilka dzionków temu – perorowała druga kobieta, zwracając się do tej w chustce.

– Ta ciągle swoje. Blekotu się najedliście? Soli chciała nabyć – odparowała pierwsza. – Sól odstrasza złe moce, chroni od uroków. Uciekałyby przed słonym, a nie prosiłaby, iżby jej dać.

– Ja wam mówię. Jak pojrzała na moją krowę, Mućka mleka przez tydzień nie dawała.

– Bo jakby wasz nie zgonił biduli, toby i mleko miała – kobieta w chustce twardo broniła sąsiadki.

– Do Peruna! Urok waszemu mężowi zadała, a wy jej jeszcze bronicie? – oburzyła się ta w czepcu.

– Sól odstrasza złe, a u nas soli pod dostatkiem – odparła małżonka chorego na podagrę. – Bo mój w żupach solnych robi – wyjaśniła wiedźmom. – Dlatego ja tu wam za poradę dwa garnce soli przyniesłam.

Druga, nie chcąc w niczym ustąpić sąsiadce, też się zwróciła bezpośrednio do starej wiedźmy:

– Ja się wolę od uroków ustrzec. Widać sól nie ma takiej mocy. Nie będę czekała, aż mnie jaki paralizs chwyci i dlatego się tu do was, Wiedmo, wybrałam. Bo tu samo plucie nie wystarczy.

– Młoda Wiedma wam podpowie, jak się przed urocznymi oczami, a i złymi zaklęciami ustrzec – odparła starszka.

– Urwijcie ruty i noście w kaptordze dzień i noc. Ona nawet przed bazyliżskowymi oczami uchroni – Biwia musiała pokonać nieśmiałość, służąc potrzebującej radą.

– Tylko tyle? – zapytała zawiedziona kobieta.

– Możecie też wziąć trzy pazury kreta, oko borsuka i wnętrzności żaby. To wszystko polać krwią z czarnego kura zarżniętego na rozstaju dróg, gdy Miesiąc jest w nowiu. Potem zmieszać z niedźwiedzim sadłem i posypać popiołem ze spalonej osiki. Po trzech dniach pomazać tym ciało, a urocne oczy odwrócą się – przedstawiła alternatywną recepturę Wiedma.

– Do Peruna! Żabę to ja jeszcze najdę, ale oko borsuka? I kreta upolować! Hm. Do nowiu jeszcze daleko. A kur nie może być taki nakrapiany? Albo biały z czarnymi piórami na szyi?

– Czarny – ucięła krótko Wiedma.

– Oj, tyle fatygi – rzekła zafrasowana kobieta w czepcu. – Kobiałkę jajek wam tu przyniesłam za poradę – postawiła koszyk z darami pod stopami wiedźm. – To mnie już mus iść, iżby za dnia czarnego kura po domach poszukać. Może gdzie dostanę? – dodała.

Kobieta poprawiła czepiec, z desperacją szarpnęła suknią i na odchodnym zwróciła się do sąsiadki:

– Mój czeka w łodzi, to was też przewiezie, jak i nas przywiózł.

– A podwika⁵? – spytała kobieta w chustce, pokazując na młodą dziewczynę siedzącą na samym

brzeżku ławy. Dziewczątka rzeczywiście do tej pory ani razu się nie odezwało.

– Ja wrócę z przewoźnikiem albo wplaw popłynę – odparła cichutko, przestraszona nagłym zainteresowaniem.

– Wplaw? Przed świętowaniem Stada? Chceszli, żeby cię utopiec pochwycił? – zbulwersowała się kobieta w czepcu. – Jak tam sobie chcesz. Może cię za żenę weźmie. Teraz na pewno szuka jakiej podwinki do swačby.

Machnęła ręką na dziewczynę. Kobiety ruszyły w drogę. Ta w czepcu żywo gestykułowała, co chwila chwytając się za głowę. Druga szła, milcząc. Przyciskała do piersi zawinięte w zapasce zioła, mające uleczyć jej męża.

– Przecie taka maść zmieszana z krwią po trzech dniach będzie wydawać paskudną woń – rozmyślała na głos Biwia.

– Acz jak się taką omaści, każdy ją ominie z daleka. I ten z urocznymi i ten z nieurocznymi oczami – uśmiechnęła się Wiedma.

– Dlaczego nie wołała ruty? Rośnie jej pod dostatkiem.

– Niektórym się zdaje, aczli więcej w co trudu włożą, to pewniejszy będzie skutek – odparła staruszka z westchnieniem. – No i będzie miała o czym opowiadać.

– A ty czego chcesz, dziecino? – stara zwróciła się do nieśmiałej zielonookiej dziewczyny. – Sercowe strapienia?

Dziewczę pokiwało głową i spuściło wzrok.

– Wy wszystko wiecie, Wiedmo.

– Do tego nie trza jasnowidzieć. Miętosisz ten lubczyk w garści, aż ci ręce zzieleniały.

– Bo ja go podaję memu oblubieńcowi już wiele dzionków, a on nic, ani myśli o swačbie. Może lubczyk nie taki? – wyciągnęła w stronę starej wiedźmy dłoń ze zmiętym zielskiem.

– A ty chcesz, żeby cię za żenę wziął i stadło z tobą założył?

– No tak. Jak każda – odparła zawstydzona dziewczyna.

– Lubczyk dziecino – zaczęła wyjaśniać Wiedma – to pomaga w afekcie, ale nie zmusi młokosa do ustatkowania. Wrzuc do ognia zdechłego nietoperza. Potem weź jego gnatki. Tylko uważaj – te w kształcie widel odpędzają miłość, a te jak grabie – przyciągają.

– Drwicie ze mnie jak z tamtej w czepcu? – spytało nieufnie dziewczę.

– Ja z niej nie drwiłam. Każdy wybiera taki lek, jaki mu odpowiada – odparła poważnie starucha. – Jest też inna rada na twe troski. Trza nosić w kaptordze kawałek sznura wisielca. Oderwij z takowego powrozu jedno włókno i wrzuc lubemu do piwa. Obaczysz, że uchwyci kawalera. Młodzian będzie jak pies na niewidzialnym sznurze.

– Skąd ja wezmę nietoperza, a tym bardziej sznur wisielca? – zmartwiło się dziewczę. – Jeden sąsiad to się powiesił na jabłoni dwie wiosny temu i nikt go nie chciał tknąć, bo mówili, że nieczysty. Już taki smród się rozchodził, że trzeba było z daleka omijać. Wreszcie dali wędrownemu cały wór słoniny, żeby wisielca zdjął i zakopał za siołem. To go wziął razem ze sznurem.

– Wędrowny go ze sznurem na pewno nie zakopał. Kto by tam się takiej nawęzy pozbył – Wiedma uśmiechnęła się cierpko. – Idźcie obie – zwróciła się do Biwii i zatroskanej dziewczyny. – W owinie do belki na górze jest przytroczony sznur. Weźcie kozik od Miłosza i odetnijcie powróż tak na pół paznokcia.

Po chwili obydwie panny z przejściem majstrowały przy narzędziu, które kiedyś przyniosło komuś śmierć.

– Jak cię wołają? – spytała Młoda Wiedma.

– Libusza – odparło zielonookie dziewczę.
– Gdzie będziesz świętować Sobótki?
– Na Bukowym Grabie. Przyjdiesz?
– Nie wiem. Obaczę, co Wiedma powie – oparła. – A jaki jest ten twój luby? – spytała z ciekawością.
– Rosły i silny jak dąb. A jak się uśmiechnie, aż jaśniej się robi. I tak na mnie patrzy, że czuję, jakby sama Łado na mnie zstępowała.

– Oj, miły ci jest – westchnęła Biwia.
– A ty nie masz jeszcze oblubieńca? – spytała Libusza.
– Nie. Tu tylko starzy albo chorzy bywają. A i czasu na miłowanie nie ma – westchnęła Młoda Wiedma. – Ty nie musisz nawet czarów używać na tego swojego. Masz oczy jak młode listki brzozy, możesz zauroczyć każdego.

– Ja tam wolę mu do piwa wrzucić włókno powrozu. To pewniejsze. Nawet jak oczy zamknę, to się mi nie urwie – stwierdziła rozsądnie.

Po chwili Libusza oddalała się z Miłozem w stronę łodzi. Wiedma trzymała w ręku dwa kablączki z brązu – dar za pomoc w swačbie. Odwróciła się w stronę Biwii i zawiesiła je na krańce opasującej czoło dziewczyny, tuż przy skroniach.

– Na Sobótki jak znalazł – stwierdziła, z satysfakcją przyglądając się Młodej Wiedmie. – Pasują do twych żywicznych oczu.

⁴ Kablączek – wczesnośredniowieczna ozdoba słowiańska w kształcie otwartego krążka; noszona przez niewiasty; kablączek skroniowy.

⁵ Podwika – młoda kobieta.

⁶ Swačba (swadźba) – małżeństwo, słowiańska ceremonia zawarcia ślubu.

Pójdźka



Kończyły już obchód drugiej wsi. Wstępowały tu i ówdzie do chorych, ciężarnych czy uskarżających się na uroki rzucone przez nieprzychylnych ludzi. Nie wchodziły nigdy do chat nieproszone, bo było też wielu takich, którzy na ich widok pluli i chowali się w obawie przed czarami. Wieść o ich pobycie szybko się rozchodziła. Przychodzili do nich z różnymi problemami. To prosili o okadzenie nowej chaty. To znów pytali, co zrobić z ropiejącą raną. Zasięgali rady, jak uspokoić wciąż płaczące niemowlę. Albo chcieli, żeby sprawdzić, czy dziecko w łonie dobrze ułożone do porodu. Tacy chętnie u siebie gościli wiedźmy, częstowali je, czym mogli. Zapraszali na świętowanie w najbliższych dniach i na modlitwy o plony. Pojawiali się też tacy, którzy dopytywali, jak dokuczyć złośliwej sąsiadce.

Wyszły już poza wieś i zatrzymały się zmęczone przy kamieniu pod lasem. Łąka mała się różnymi barwami kwiatów. Biwia zaczęła zbierać rumiany i inne zioła, ale tym razem nie do suszenia, tylko ot tak, dla przyjemności. Usiadła obok swej nauczycielki i zaczęła pleść wianek na głowę.

– Na Bukowym Grabie byś chciała Sobótki świętować? – spytała Wiedma.

– Jak mi pozwolicie – odparła, pochylając się nad wiankiem.

– A na Białą Górę na sabat nie chcesz?

– Pójdę, gdzie każecie. Ale na Bukowym Grabie Bartus też pewno będzie, a dawnom go nie widziała – westchnęła dziewczyna.

– Po tańcach i śpiewach Bartus pobiegnie za jaką pięknicą, a ty?

Biwia nic nie odpowiedziała. Staruszka bacznie się jej przyjrzała.

– Gdy brat twój będzie oddawał cześć Mokoszy, to i ty byś chciała, bo wy za jedno odczuwacie. Aczli upatrzyś sobie młodzieńca, to i dobrze. Trza Matkę Ziemię pobudzić do płodności, by piękny plon wydała. A niewiasta i mąż we wspólnym uścisku taką moc jej posyłają. Ale tyś jest wiedźmą i nie możesz o tym zapomnieć. Tobie nie jest pisane zakładanie stadła. Raduj się życiem z innymi, folguj sobie w tym względnie, ale oblubieńca do swańby nie szukaj.

Biwia w zamyśleniu wiała wianek. Rozważała słowa swej nauczycielki. Wydawało się, że dyskutowała sama ze sobą. Toczyła jakąś wewnętrzną walkę.

– Wiesz, jak unikać macierzyństwa, nie wyrzekając się radości spółkowania? – spytała staruszka.

– Nie wiem – odparła dziewczyna.

– Trza do kurzego jaja wpuścić parę kropeł krwi miesięczkowej, zakopać pod chatą na dziewięć nocy,

potem wyjąć i spalić w ogniu. Potem musisz młodzieńca napić wywarem z wysuszonych jąder bezpłodnego wołu, a sama wypić sproszkowaną macicę łasicy – zaczęła stara.

– Wiedmo, przestań! – Biwia znała już ten ton udzielania magicznych rad.

– No dobrze. To od razu przejdę do tych prostszych – uśmiechnęła się stara. – Wrzucisz do studni wydmuszkę z jaja kurzego, wypełnioną ziarnem maku, trzykrotnie wypowiadając zaklęcie: *Toń ziarno płodności, chłoń wodę, bo ja płodną być nie mogę*. Pij rano i wieczorem nalewkę z owoców jałowca i ruty. No i żuj to – Wiedma ściągnęła z baldaszka dzikiej marchwi garstkę nasion.

– Wiedmo! – usłyszały z dala wołanie. Biegł ku nim młody mężczyzna. Przytrzymał szerokie szarawary pod rozchełstaną koszulą.

– Gdym z pola wracał, dopierom usłyszał, że wiedźmy były w naszym siole. A u nas w chacie zgryz wielki. Wróćcie, proszę, i pomóżcie nam w kłopotcie. Ja was za to powiem wozem do samego Łędo.

Stara powoli wstała z kamienia. Biwia założyła na głowę wianek i podała nauczycielce rękę.

– Co was trapi, gospodarzu? – spytała Wiedma.

– Już dwie noce z rzędu pójdzka woła do Nawii. Siada na lipie tuż przy naszej chacie i przywołuje na tamten świat. Ojciec, jak ją posłyszał dwa wieczory temu, tak leży bez życia i czeka na śmierć. Co dzień rano moja znajduje na jego posłaniu krew. Skądś mu się puszcza.

– Mówi co? – zainteresowała się staruszka.

Szła powoli, wspierając się z jednej strony na swej uczennicy, a z drugiej na kosturze. Mężczyzna co chwila przyspieszał kroku, ale musiał się zatrzymać i czekać na kobiety.

– Nie. Krew mu gardło zalała i stracił mowę.

– To mu się gębą puszcza posoka? Niedobrze – westchnęła wiedźma. – Oj, zejdzie nam nocka, zejdzie – westchnęła.

Dadźbóg już powoli zmierzał ku zachodowi, gdy kobiety weszły do chaty chorego. Izba była obszerna. Mężczyzna leżał na usłanej skórą, szerokiej ławie. Wydawało się, że spał. Miał siwe włosy, rozrzucone w nieładzie, twarz ziemistą, zszarzałą. Otwarte, głęboko zapadnięte usta w bezzębnej szczęce były pokryte strupami zaschniętej krwi.

– Toż on ma strupy jak od ugryzień – szepnęła przejęta Biwia.

– Mało krwi w nim – stwierdziła Wiedma, trzymając kciuk na przegubie dłoni starca.

– Wyjdźcie – zwróciła się do gospodarzy. – Wróćcie, jak pierwszy kur zapieje.

Małżonkowie zabrali swoje pedy i wyszli z ociąganiem. Kiedy zamknęli drzwi, Wiedma odwróciła się do swej uczennicy. Ta aż się cofnęła, przerażona jej wyrazem twarzy. Szeroko otwarte oczy, jak u kogoś obłąkanego, i bladość nie wróżyły nic dobrego.

– Masz przy sobie kaptorgę? – spytała.

– Nigdy się z nią nie rozstaję – odparła dziewczyna, wyciągając zza dekoltu sukni woreczek, który otrzymała po inicjacji.

– Musimy się spieszyć, zanim zmrok zapadnie. A dziś szybko to nastąpi, bo Miesiąc w nowiu – rzuciła starucha i wyciągnęła zza pazuchy kozik. Podała go dziewczynie.

– Zakreśl koło, ale mocno, iżby linia była wyraźna.

Biwia wiedziała już, że Księżyca w nowiu sprzyja złym demonom i duchom. Z pośpiechem więc wbiła ostrze noża w twarde klepisko. Powoli na kolanach okrążyła ławę, na której leżał starzec.

– Stawiam zagrody, by złe nie wyrządziły nam szkody – szeptała.

Wkrótce krąg został zamknięty i ostatnie zaklęcia zamykające wypowiedziane.

Wiedma w tym czasie wyciągnęła z wora, który ostatnimi czasy nosiła za nią Biwia, gałązki ruty.

Rozrzuciła je po podłodze wewnątrz kręgu. Część wrzuciła do paleniska. Chata wypełniła się mocnym zapachem ziela. Starucha wysupłała czarne, zasuszone kulki.

– Trzy owoce wilczej jagody dla ciebie i trzy dla mnie, abychmy widziały lepiej w mroku. Pogryź i połknij – wyciągnęła drżącą dłoń. Biwia wybrała je z garści staruszki i posłusznie rozgryzła.

– Teraz weź pod język jarzębinę – rozkazała Wiedma. – Chroni przed złymi duchami. Wyjdiesz z chaty i poszukasz tarniny albo głogu. Potrzebujemy do ognia. I niech Swarozyc Ogień, syn Pana Nieba, nam sprzyja i pomoże się ustrzec przed złym – dodała.

Dziewczyna wyjęła z woreczka owoce jarzębiny. Włożyła kilka z nich pod język. Starucha zrobiła to samo. Potem wrzuciła do jej kaptorgi główkę czosnku.

– Jakby się okazało, że to wąpierz – wyjaśniła. – Daj kozik. Tu sam krąg może nie starczyć. Trzeba znak gwiazdy nakreślić.

Dziewczyna oddała nóż. Zaczynała już odczuwać działanie wilczej jagody. Zmysły powoli się wyczuwały, źrenice rozszerzyły. Spojrzała swymi sarnimi oczami na staruchę. Źrenice Wiedmy zasłoniły całą półprzezroczystą tęczęwkę. Wszystkie dźwięki dochodziły do nich ze zdwojoną mocą. Słyszały płytki oddech chorego i uderzenia jego serca.

Biwia wyszła z chaty. Obraz na chwilę się rozmazał. Poczula zawrót głowy. Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, zobaczyła już całkiem wyraźnie głóg rosnący nieopodal lipy. Podeszła do rozłożystego krzewu i poprosiła go o użyczenie kilku gałęzi. Zaklinając półseptem oblamywany głóg, nasłuchiwała, rozglądając się co chwila.

Robiło się coraz ciemniej. Młodej Wiedmie nie przeszkadzał zmrok, gdyż poszerzone źrenice wychwytywały każdy szczegół. Nagły trzepot skrzydeł ją przestraszył. Szarpnęła ręką i zahaczyła o kolczastą gałąź. Poczula delikatne pieczenie. Krople krwi zaczęły leniwie wybrzuszać się na opuszku palca. Włożyła go do ust, wysysając słodkawą posokę.

Na lipie usiadła pójdzka. Odwróciła głowę jak koło w żarnach i z zainteresowaniem obserwowała dziewczynę. Nie okazywała żadnego lęku. Biwia powoli, nie spuszczać z niej wzroku, ruszyła w stronę chaty. Gdy była już blisko drzwi, powietrze przeszył piskliwy wrzask. Biwia już wiele razy słyszała pójdzki i wiedziała, że wydają różne dźwięki, wszystkie brzmią jak rozdzierający kobiecy krzyk. Ten odgłos był jednak bardziej przerażający niż wszystkie dotychczas. Z łatwością można było usłyszeć, jak sowi pisk układa się w słowo „Pójdz!”.

Biwia w jednej ręce trzymała gałęzie głogu, drugą chwyciła krawędź drzwi, pociągnęła je, zostawiając na drewnie plamkę krwi. Wsunęła się szybko do chaty i zawarła wejście.

Ujrzała Wiedmę stojącą w środku pentagramu oraz koła. Zachrypniętym głosem nuciła zaklęcia. Coś uderzyło o zamknięte drzwi. Biwia przerażona wbiegła w ochronne ramy pięcioramiennej gwiazdy. Stara, trzymając w dłoniach czosnek i osikowy kołek, nie przestawała śpiewać. Dziewczyna zwróciła uwagę, że bicie serca chorego starca przyspieszyło. Otworzył oczy, klatka piersiowa zaczęła mu się unosić w niespokojnym oddechu.

Młoda wiedźma wrzuciła głóg do ognia. Gdy płomień, skwiercząc, zaczął obejmować wilgotne gałęzie, coś zaczęło skrobać w drzwi. Po chwili zaskrzypiały i uchyliły się. W wejściu stanęła niewielka istotka. Wyglądała na dwuletnie dziecko. Stwór otrzepał się. Wokół posypały się sowe pióra. Dziecko stało na przykurczonych nogach. Długie, zlepione od brudu włosy opadały mu na plecy i ramiona. Płócienne giezło, zwisające na nim w strzępach, było pokryte błotem i plamami krwi. Oczy szeroko otwarte przypominały ślepie sowy.

Widok kobiet otoczonych ochronnym okręgiem i pentagramem zdziwił pokraczną istotę. Pochyliła

się jak do skoku, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Dym, rozchodzący się po chacie, drażnił ją. Próbowała się go pozbyć, pocierając szponiastą łapą po nozdrzach.

Starzec powoli odwrócił głowę w stronę małej bestii. Potworkowatemu dziecku zabłysły oczy. Otworzyło usta, odsłaniając nienaturalnie duże zęby i wyraźnie odstające kły. Wrzasnęło rozzdzierającym sowim wraskiem i skoczyło w stronę chorego. Niewidzialna ściana pentagramu zatrzymała je. Zawyło boleśnie jak oparzone i skuliło się. Po chwili znów przycaiło się do skoku i ponownie zaatakowało. Skutek był ten sam, tylko rozzdzierający sowi wrask przeszedł w płacz cierpiącego dziecka. Mała bestia, zawodząc, zaczęła osłaniać głowę szponiastymi rękami, jakby broniła się przed uderzeniami.

– Nie! Działdza! Nie! – wrzasnęła i wyskoczyła przez uchylone drzwi.

Po chwili usłyszały ruch przy chacie, szamotaninę, wierzgnięcia kopyt i bolesny ryk krowy. Biwia chciała wybiec, zobaczyć, co się dzieje, ale Wiedma powstrzymała ją, chwytając za rękę. Stara odwróciła się i spojrzała na leżącego. Dziewczyna podążyła za jej wzrokiem. Patrzył na drzwi chaty. Bruzdy pod oczami były wilgotne od łez.

Niewiasty wraz z chorym czekały w zamkniętym kręgu i pentagramie aż do świtu. O brzasku weszli do chaty gospodarze. Zobaczyli zmęczone, niewyspane kobiety przytulone do siebie u stóp ławy, na której leżał starzec. Wiedma z trudem się podniosła i usiadła na łożu chorego. Biwia zaczęła zbierać rzeczy.

– Wiecie już, co ojcu dolega? – spytał gospodarz domu.

– Sumnienie – odparła krótko stara wiedźma.

– Sumnienie? – powtórzyła ze zdziwieniem gospodyni.

Podeszła do teścia. Zaczęła mu poprawiać posłanie. Przyglądała się z ukosa wiedźmie, która uporczywie wpatrywała się w leżącego. Wiedma odsunęła usługne ręce młodej gospodyni. Pochyliła się nad chorym i chwyciła go za poplamioną krwią koszulę.

– Gdzie je zakopał? – rzuciła krótkie pytanie.

Starzec z przerażeniem otworzył oczy. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Gdzie? – powtórzyła.

Chory wyciągnął drżącą dłoń i wskazał kierunek. Starucha puściła jego odzienie, wstała, pochyliła się, podnosząc z ziemi drewniany kołek. Pokracznie ruszyła ku wyjściu. Biwia usługnie podała jej kostur. Gospodarze w milczeniu podążyli za czarownicami. Wyszli przed chatę. Wiedma przeszła jeszcze kilkanaście kroków w stronę, którą wskazał starzec, i długo spoglądała na mieniącą się wiosennymi barwami łąkę, na której skraju rosły dwie lipy.

– Tam najdziecie ciało. Gdy je wygrzebiecie, tym przebijcie – podała gospodarzowi osikowy kołek. – Utnijcie też głowę i połóżcie w nogach twarzą do ziemi.

– Jakie ciało? – spytała przerażona gospodyni. – O czym ty mówisz, Wiedmo?

Kobieta miętosiła zapaskę. Spoglądała to na męża, to na wiedźmy, to znów na lipy.

– Było u was czędo²? Takie około dwóch, trzech wiosen? Dzieweczka? – Wiedma zwróciła się do pytającej.

– O Nyjo! Pani Nawii! Nasza Miłka tam leży? – zapytała z niedowierzaniem kobieta. – Skąd? Jak? – i rozplakała się na dobre. – Dwie wiosny miała. Zniknęła nagle, bez śladu. Wołaliśmy, szukali. A ona tu... tak blisko... – opowiadała, wycierając co rusz nos w zapaskę. – Jak to się mogło stać? Kto to uczynił? Dlaczego?

– Dobrze wiecie dlaczego – odparła czarownica.

Małżonkowie spojrzeli na siebie. Zrozumieli, że przed Wiedmą nic się nie ukryje.

– Była taka krasna. Miała wielkie, mądre oczyska i jasne włoski. Tylko te zęby. Oseski rodzą się bez nich, żeby nie ranić karmiących macior. A ona już taka przyszła na świat. Z zębami – zaczęła opowiadać młoda gospodyni.

– Nie chcieliśmy pokazywać sąsiadom, żeby zemsty dziecku nie robili – dodał gospodarz. – Nigdzieśmy nie chodzili i nie gościli nikogo, nawet rodziny. Jak chcieli ku nam zajść, gadaliśmy, że chora, że musi wydobrzeć.

– Ktoś się jednak zwiedził – stwierdziła żona.

– Ktoś? Jak nic ojciec wasz zatłukł wnekę – orzekła Wiedma. – Tak się tych zębów bał, ale nie pomyślał, że takie dziecię to i dwa serca ma i dwie dusze. Teraz jedna w Nawii odpoczywa od świata, a druga zemsty szuka. Wasza córka przedzierzgnęła się w strzygę.

Kobieta zdarła z głowy zawój, usiadła na ziemi i zaczęła zawodzić. Mąż odwrócił się od pozostałych i ukrył twarz w dłoniach.

– A niechby mu wyssała całą krew! Żeby tak jutrzeńki nie dożył! – zaczęła złorzeczyć zrozpaczona białogłowa. – Nie będziemy jej ruszać. Żadnego ucinania głowy i przebijania kołkiem. Nie pozwalam! Moje dziecię! – zawodziła.

Wiedma dotknęła ramienia mężczyzny. Opuścił ręce. Miał wilgotne, przekrwione oczy.

– Musicie zrobić, com rzekła. Zeszłej nocy strzyga spiła posokę z waszej krowy. Będzie tak co nowo przychodzić. A krwi dziadowi jednemu na długo nie starczy, iżby się posiliła.

Mężczyzna skinął głową. Wiedma rozejrzała się. Swaróg piękną pogodą powitał nowy dzień. Ptaki śpiewały, świergotały, zajęte godami nie zwracały uwagi na dramat dwojga ludzi. Pszczoły, trzmiele i bąki na swój sposób wtórowały w wiosennym chórze. Przyroda rozbudzała się do życia.

– Na nas już czas. Gospodarzu, obiecaliście odwiedzić. Młoda Wiedma musi się wyspać, bo tej nocy Sobótki – przypomniała staruszka.

Stado



Stado – wiosenne święto płodności czcili wszyscy. W chatach unosiła się pod ślemię⁸ i dalej poza strzechę woń pieczonych kołaczy i świeżego tataraku rozdeptywanego na klepiskach. Domostwa przyozdabiano liściastymi gałązkami i wznoszono modlitwy do Peruna, pana burzy i grzmotów, prosząc, by oszczędził umajony na zielono dobytek. Pasterze wyganiaли na pastwiska krowy i woły, które ze zdziwieniem potrząsały ukwieconymi rogami. Dorośli ucztowali i obserwowali, jak młodzi konkurują w rozmaitych zabawach oraz zawodach. Gromady dzieci przewalały się po stokach wzgórz, na których palono ogniska. Ciepłe noce zachęcały do zabawy. Echo roznosiło wesołe śpiewy i klaskanie, towarzyszące tańcom.

Biwia po kąpieli rozczesywała włosy rogowym grzebieniem i nuciła piosenkę, którą śpiewała jej i bratu mama, gdy byli jeszcze mali. Myślami była przy Bartusie. Poprzednimi laty jako dzieci wybrane, niczym Lel i Polel – święte bliźnięta, inicjowali Stado. Ich zadaniem było wykrzesać dla mieszkańców wioski żywy ogień. Potem rozżarzano w nim drewniane koło, symbol Słońca, i tocząc je za pomocą długiej żerdzi, roznoszono znamię Swarożycza do wszystkich domostw w osadzie. Tym samym zarzewiem rozpalano na pobliskim wzgórzu ogniska zwane Sobótkami.

Wspomnienia minionych świąt to nie jedyny powód rozmyślań o Bartusie. Od wielu dni czuła napływ bardzo silnych emocji ze strony bliźniego brata. Chwilami była to jakaś irracjonalna radość, wręcz euforia, innym razem dojmujące przygnębienie. Miała wrażenie, jakby jakaś wszechwładna moc zaprzętnęła jego umysłem i sercem. Martwiła się o niego i z niecierpliwością czekała na spotkanie.

Na wilgotne włosy nałożyła świeżo upleciony wianek i rozejrzała się za Miłoszem, który miał przygotować dla niej łośdź. Zobaczyła, jak stoi pośród drzew na niewielkim wzniesieniu w pobliżu chaty. Często tam chodził i zostawiał różne smakołyki. Domyślała się, że to dary dla zmarłych.

Zdarzało się, że przy świetle Miesiąca widywała tam małą dziewczynkę w srebrzystej sukience. Gdy podchodziła do niej, dziecko rozplątywało się w księżycowej poświacie. Wiedma, która zawsze chętnie opowiadała jej o demonach wodnych, powietrznych, leśnych, polnych, górskich duchach opiekuńczych, zmorach, wążkach, zapytana o księżycowe dziecko zbywała ją milczeniem.

Miłosz już zbliżał się szybkim krokiem, na jego twarzy malowało się podekscytowanie. Z dumą wręczył dziewczynie wiklinowy kosz, którego zawartość okryta była białą chustką. Biwia spojrzała z wdzięcznością w jego niedowidzące oczy. Z radością przyjęła dar i zajrzała do kobiałki. Pod płócienną szmatką leżał pulchny, pachnący kołacz oraz niewielkie gliniane naczynie z wieczkiem kryjące złocisty miód.

– Będzie czym świętować. Dziękuję – uśmiechnęła się do zadowolonego z siebie mężczyzny.

Z owinu wyszła Wiedma. Niezgrabnie splatała długie łądygi ziela.

– Opasz się piółnem dla ochrony – nakazała, oplatając nim kibić dziewczyny. – A wianka na wodę nie puszczaj, żeby który młodzian nie wyłowił go. Bo jak se umyśli, że ma do ciebie prawo, to tylko kłopot z nim będzie.

Tak wyposażona Młoda Wiedma udała się w stronę cypla, by przeprowić się na drugi brzeg jeziora. Wkrótce przycumowała łódź i szybkim krokiem ruszyła wydeptanymi ścieżkami w stronę Bukowego Grabu. Ludzie z sąsiednich wiosek powoli się schodzili. Nieśli plety, kosze pełne prowiantu. Czują, że Bartus jest już bardzo blisko. Widocznie wyszedł jej naprzeciw. Zbliżała się do rzeki zwanej Sanem, która swymi meandrami prowadziła do stóp wzgórza. Na jej brzegach roilo się od młodzieży. Dziewczęta puszczały wianki, które młodzieńcy usiłowali pochwycić, bo zdobywając je, zdobywali przychylność ich właścicielek. Młodzi żartowali, dokuczali sobie, było wesoło i gwarno. Nieco dalej brzeg piął się prawie pionową skarpą, w tym też miejscu gaj schodził do rzeki. Biwia zobaczyła Bartusa stojącego na skraju lasu, spoglądającego na nurt wody. Trzymał w ręku mokry wianek. Był tak zamyślony, że poczuł jej obecność dopiero, gdy była tuż przy nim. Odwrócił się. Ich bursztynowe oczy się spotkały. Siostrze wystarczyła ta chwila, żeby zrozumieć, co się dzieje. Wpadli sobie w objęcia.

– Kim ona jest? – spytała.

– Wołają ją Kele.

– To jej wianek? – zagadnęła, nie przyglądając się zbytnio roślinnej plecionce.

– Tak. Jest najkrańszą dziewicą, jakom kiedykolwiek widział.

– Nie wątpię. Togodla rozbudziła miłowanie w twym sercu, bracie. Poznam ją dziś?

– Nie wiem. Ona unika gromady. Ale dzisiaj obiecała mnie zaprowadzić do swych siostr.

– To ty też przyprowadź swoją siostrzycę – zaproponowała.

Bartus wahał się. Sprawilo jej to przykrość. Wiedziała, że miłość to potężna moc. Bierze we władanie nie tylko serce, ale i duszę oraz rozum. Biwia miała dziwne uczucie, że traci brata.

– Zapytam jej – odparł. – Przyjdzie tu za chwilę z siostrami. – Póki co mam znaleźć odpowiedź na jej zagadkę.

– Zagadkę? – zdziwiła się Biwia. – Jaką?

– Co to za kwiat, który przed ostatecznym rozkwitem został zerwany – powtórzył z uwagą usłyszane wcześniej pytanie. – Każdy kwiat przecież można zerwać, gdy jest pąkiem. Myślisz, że to chodzi o pąk? – poradził się siostry.

– Wszystkie kwiaty mają pąki. A tu chodzi o ten jeden – odparła rezolutnie. Postanowiła zmienić temat:

– Jak się miewają rodzice i siostry?

– To może kwiat paproci, który rozkwita w najkrótszą noc? – rozważał, jakby nie słyszał ostatniego pytania.

– Paproć nie rozkwita, to jak zerwać kwiat, którego nie ma? – Biwia zniecierpliwiła się. – Pytałam, jak się miewa nasza rodzina.

– Ten kwiat już został zerwany – brat nie dawał się sprowadzić na inny temat.

Usłyszeli kobiece śmiechy i nawoływania. Powoli szarzało, więc trudno było dostrzec w leśnej gęstwinie rozradowane czymś niewiasty. Dziewczęta, ukryte w gąszczu, najwyraźniej przywoływały Bartusa. Młodzieniec zaczął się niecierpliwić.

– Wybacz, siostró, ale teraz cię ostawię. Pojdę szukać mej lubej. Dzisiaj święto Stada, a ja mam jej wianek. Może zostanie moją na zawsze.

Młoda Wiedma spojrzała na wspomniany wianek. Różnił się od tych, które panny plotły na Sobótki. Nie było w nim piołunu, dziurawca ani ruty – podstawowych ziołowych składników. Uwity był z konwalii i bluszczu. Zaniepokojona dotknęła go. Poczula tchnienie wiatru. Najpierw przeniknął ją chłód i uczucie pustki, potem pojawiła się jakaś euforia. Czyżby radość? Nie, to chyba nie radość. Radosną ekstazę zniekształcało pragnienie zemsty.

– Bracie, nie idź tam. Mam złe przecucie – rzuciła koszyk i chwyciła go za ramiona.

Zdjął jej dłonie i przytrzymał przez chwilę. Wianek zsunął się na jej ręce. Parzył ją, jakby był z pokrzyw i ostu. Nadgarstki dziewczyny pokryły rozlewające się pod skórą bąble. Bartus nie zauważył tego. Śmiechy i śpiewy młodych niewiast zbyttnio przyciągały jego uwagę.

– Biwio, kiedyś cię błagał, byś nie szła do Wiedmy, nie usłuchałaś mnie. Zrobiłaś to, co chciałaś. Pozwól, że teraz ja zrobię, co zechcę. Pójdę tą drogą, którą ja wybiorę.

Puścił jej dłonie, chwycił wianek i odwrócił się. Ruszył w kierunku lasu, skąd rozlegały się śpiewy i perliste śmiechy dziewcząt.

– Bartusie! – zawołała młoda wiedźma. Obejrzał się. – Powiedz jej, że to ona!

– Że co ona? – nie zrozumiał.

– To odpowiedź na zagadkę. Ona jest tym kwiatem!

Po chwili młodzieniec zniknął za zielonymi krzewami gaju. Biwia została, wsłuchując się w pozornie beztroskie śmiechy i nawoływania. Chciała uszanować wolę brata, jednak niepokój o niego był silniejszy. Czuli, że łącząca ich nić porozumienia, współodczuwania urywa się. Wzięła koszyk i podążyła za nim. Poruszanie się o zmroku w gęstym lesie nie było łatwe. Przedzierała się na północ, skąd dochodziły głosy roześmianych kobiet. Dotarła wreszcie na polanę, ale nikogo już tam nie było. Po chwili znów je usłyszała, ale tym razem od wschodniej strony. Skierowała się zatem na wschód. Jednak przerwała marsz, gdy głosy zaczęły dobiegać od zachodu. Uświadomiła sobie, że traci orientację. Nie była też już pewna, czy słyszy niewiasty, które przywołały Bartusa, czy też ludzi świętujących nad rzeką i na pobliskim wzgórzu.

– Belcie, dlaczego mnie zwodzisz? – spytała niewidzialnego demona lasu.

Bełt jednak, jak to miał w zwyczaju, nie odpowiedział. Trudno było więc stwierdzić, czy to jego sprawa czy owych niewiast, których wesoły nastrój niepokoił Biwię. Dziewczyna nie wiedziała już ani gdzie jest Bartus, ani gdzie Bukowy Grab. Zrezygnowana usiadła pod drzewem.

– Chyba tutaj spędzę tegoroczne Stado – mruknęła cicho i wyjęła z koszyka kołacz.

Bułka zapachniała. Dziewczyna oderwała kawałek, zamoczyła w bursztynowym miodzie i położyła pod grabem, gdzie odpoczywała.

– To dla ciebie, dobrochoczy. Miej za mnie tu uszy i oczy.

Zasiadła do posiłku. Nagle gałąź drzewa zniżyła się i chwyciła złożoną przed chwilą ofiarę. Dziewczyna zerwała się przestraszona. Stała przed sporych rozmiarów grabem, który beztrosko podawał kawałek kołacza z gałęzi do gałęzi.

– No, wreszcie słodycz – usłyszała słowa przypominające poszum wiatru. – Zawsze tylko sól i sól. Niech no dorwę tego, kto rozpuścił plotkę, że tylko słone lubię.

– Dobrochoczy! – Biwia uradowana objęła pień grabu.

– No, krasna podwiko, słodki miód i kołacz, a do tego słodki dotyk piersi młodej niewiasty to nie lada gratka. Gotów jestem nie wypuścić cię z tego lasu – zaszumił.

Dziewczyna zawstydzona odsunęła się od drzewa.

– Poczęstuj się jeszcze, dobry duchu lasu. Albo weź wszystko – uniosła koszyk w górę.

Po chwili dar powędrował w górę korony drzewa. Rozległo się mlaskanie i przyjemne mruczenie.

– Czego chcesz w zamian, piękna podwiko? – spytał dobrochoczy.

– Pomocy – odparła dziewczyna i opowiedziała mu o spotkaniu z Bartusem, o przerażającym wianku jego ukochanej i daremnych poszukiwaniach w lesie.

– Twój brat ruszył w płasy z boginkami – westchnął demon lasu. – Nie ma ratunku dla tego, kto zobaczył tańczące wiły. Ich szaleństwo stało się już i jego udziałem.

Biwia nie traściła jednak nadziei. Przecież spotkanie dobrego ducha lasu nie mogło być przypadkowe.

– Nie można temu jakoś zaradzić?

– Już go pewnie wciągnęły w odmęty rzeki albo zabawiły na śmierć. Mszczą się za to, że przedwcześnie odebrano im życie.

– Mszczą się – powtórzyła Biwia w zamyśleniu. – Tak właśnie to odczułam. Kwiat zerwany przed rozkwitem – dodała, przypominając sobie słowa zagadki. – Dobrochoczy, mój brat żyje! Ja to wiem! Dla tego muszę go odnaleźć. Wskaż mi, proszę, drogę do boginek.

Grab wzruszył konarami i rozłożył gałęzie jakby w geście bezradności.

– Mogę ci wskazać drogę na Bukowy Grab, gdzie ludzie świętują – zaszumiał.

– Jeśli zostawię tak Bartusa, nigdy sobie nie wybaczę. Sam mówisz, że grozi mu niebezpieczeństwo. Wszak imię twe znaczy tyle, co „dobrze chcący”. Pomóż mi, proszę. Zaprowadź ku boginkom.

Płócienna chustka, w którą zawinięty był kołacz, opadła na lesne runo. Biwia podniosła ją. Demon lasu westchnął:

– Chcę dobrze, togodla radzę wrócić do ludzi na wzgórze. Aleć skoroś uparta, spełnię twą prośbę.

Liście grabu zaczęły się poruszać, ocierając o gałęzie, wydając charakterystyczny, świszczący szum. Po chwili wokół konarów rozmigotały świetliki. Kłębiły się przez chwilę wokół korony drzewa, po czym ruszyły niczym świetlista, falująca kula.

– Świetliki zaprowadzą cię, mała wiedźmo, ale nie spodziewaj się, że odzyskasz brata.

Biwia w obawie, żeby nie stracić z oczu poruszającego się dość szybko drogowskazu, nie wybierała drogi, przedzierając się przez gęste krzewy, wysokie paprocie. Niespodziewanie potrącana, uspióne gałązki drzew smagały ją po twarzy, kolczaste jeżyny rozdrapywały skórę, rozdzierały suknię. Dziewczyna bezwiednie ścierała białą chustką krew, sączącą się z zadrapań. Wkrótce las zaczął się przederzać. Świetlikowa kula wtoczyła się na polankę i eksplodowała, rozsypując się na setki drobnych, migoczących punkcików, które rozproszyły się pośród drzew. Biwia została sama. Tak przynajmniej jej się wydawało.

Nagle poczuła piekący ból. Chwyliła za bolące ramię. Wtedy coś uderzyło ją w głowę. Ostoniła ją. Posypał się grad uderzeń, tym razem niezbyt bolesnych, ale nieprzyjemnych. Uświadomiła sobie, że to szyszki. Trudno było ocenić, skąd leciały, wydawało się, że ze wszystkich stron.

– Przestańcie! – krzyknęła, ale na próżno.

Wtulając głowę w ramiona, odłamała najbliższą gałąź, wybiegła na polanę i nakreśliła okrąg, szybko wypowiadając zaklęcie zamykające. Szyszki przestały w nią uderzać.

– Coś za jedna? Jesteś wiedząca? – w świetle coraz bledszego Księżyca zamajaczyła jakaś postać, niezbyt różniąca się od krzewu, zza którego się wychyliła.

Biwia nie odpowiedziała. Uważała, że nie ma jeszcze na tyle wiedzy i umiejętności, by nazywać się wiedźmą, ale też nie była już zwyczajną dziewczyną.

Kobieca postać wysunęła się i zbliżyła nieco, zachowując jednak spory dystans. Trudno więc było zobaczyć dokładnie, jak wygląda.

– Czego tu szukasz? Idź stąd! – krzyknęła zirytowana do nieproszonego gościa.

– Szukam Bartusa, mojego brata.

Śmiech, przypominający bardziej rechot, rozległ się z różnych stron. Najgłośniej śmiała się rusalka, która zaczęła rozmowę.

– Twojego? – spytała sarkastycznie. – On już nie jest twój. Należy do Kele, naszej siostry.

– Nie można im teraz przeszkadzać – wtrąciła inna, która bezszelestnie zbliżyła się do Młodej Wiedmy.

Nowa fala śmiechu rozniosła się po lesie. Dziewczyna się odwróciła. Tuż przy niej stała rusalka. Była naga, tylko jej piersi zasłaniały długie, ciemnozielone włosy.

– Siostra nie zaznała swańcy jako niewiasta, teraz musi sobie to odebrać – nimfa pokazywała wymownymi gestami, co teraz robi młoda para.

Rechot rusalek wzmagął się. Młoda Wiedma miała wrażenie, że boginki osaczyły polanę.

– Nie pozwoliła go wciągnąć w wir rzeki, bo rozwiązał jej zagadkę – krzyknęła inna z głębi lasu.

– Ale może się podzieli z siostrami – dodała ta, która pierwsza zaczęła rozmowę. – Tej nocy już pewno nie, ale tyle pięknych nocy przed nami.

– Siostry! Świta już. Czas na spoczynek! – zawołała boginka stojąca tuż za wiedźmą.

– Poczekaj! – Biwia ponownie odwróciła się ku niej. – Dam ci płócienną, białą chustkę, a ty mi powiesz, gdzie są Bartus i Kele.

Wyciągnęła rękę, trzymając poplamiony krwią kawałek materiału. Boginka przyglądała się Młodej Wiedmie z rozbawieniem. Podzuciła ręką włosy, odsłaniając piersi.

– Nie wiem, skąd ten zwyczaj darowania nam płótna. Wszak my go nie potrzebujemy – wymownie wskazała na własne ciało. – To chyba z zazdrości, byśmy osłoniły to, czym się szczycimy.

– To daj go Kele i mojemu bratu. Rzeknij, że to podarek ślubny – poprosiła rusalkę.

– Dlaczego miałabym go dawać? Nie mam na to ochoty! – nimfa odwróciła się i pomknęła w las. Opustoszało. Boginki umykały przed wschodzącym powoli Słońcem. Śmiechy zamilkły, za to rozległ się śpiew ptaków witających nowy dzień.

– Nie dotkniemy niczego, co należy do ciebie! – usłyszała nagle.

Pod lasem stała niewysoka rusalka o jasnych, zielonkawych włosach, zwijających się w strączki.

– Brzydko pachniesz! Czuć od ciebie piołun i inne zioła! – zawołała mała nimfa i zniknęła za pobliskim drzewem.

Młoda Wiedma ścisnęła chustkę. Ukryta w niej bylica puściła swe zielone soki, które zmieszane z plamami brunatnej krwi tworzyły kolorową mozaikę. Zrezygnowana upuściła ją. Płócienna szmatka opadła na zieleń polany. Dziewczyna powoli ruszyła w stronę wschodzącego Słońca, spodziewając się, że dotrze wkrótce do rzeki. Łzy płynące po jej policzkach mieszały się z poranną rosą opadającą z liści. Oplakiwała brata i własną nieudolność.

⁸ Ślęmię – element konstrukcji dachu, górna belka oparta na słupach.

Przeznaczenie



Jestem tylko wiedźmą, jak mówią w siołach – babą. Nie wiem, jak pomóc twojemu bratu. Zresztą może on tego nie chce? Może mu to było pisane?

Wiedma siedziała na legowisku, splatając, jak to miała w zwyczaju, siwe włosy w kosę. Biwia, zapłakana, kulila się w kącie chaty. Obok w misce stało nietknięte mleko. Domowikowi udzielił się ponury nastrój i stracił apetyt. Spacerował wokół paleniska, gładząc w zamyśleniu swoją płomienną brodę. Nawet kot nie mógł znieść tej atmosfery i wyniósł się z domu.

– Wierzysz w przeznaczenie? – dziewczyna spytała z powątpiewaniem.

– Inaczej nie byłoby tu ciebie – mruknęła starucha.

– To nie przeznaczenie. To był mój wybór.

Rozpacz i bezradność Biwii powoli przeradzały się w bunt. Zastanawiała się, jak by się potoczyły losy Bartusa, gdyby została w rodzinnym domu. Uświadamiała też sobie, że nawet wiedźma, która zawsze była dla niej autorytetem, nie ma mocy, by zmieniać rzeczywistość. A kimże jest ona? Młoda Wiedma? Nikim. Nie posiada nawet części wiedzy swojej nauczycielki. A gdyby nawet posiadała tę mądrość, to i tak nie będzie miała żadnej mocy sprawczej.

– Sami wybieramy swoją drogę – powiedziała z naciskiem, przypominając sobie rozmowę z bratem.

Wyszła z chaty. Nie potrafiła się zająć niczym konkretnym. Postanowiła więc przejść się do zagajnika, poszukać ukojenia w spokoju drzew. Pomyślała o Świątym Dębie i skierowała kroki w jego stronę. Minęła puchacza, który z zainteresowaniem obserwował tę wędrowną. Biwia wiedziała, że to leszy. Z lekceważeniem spojrzała na pana tego lasu.

– Wydaje się wam, że wiele możecie. A wy nic nie znaczący! – rzuciła w jego kierunku.

Puchacz przyjął z obojętnością jej wyrzut. Tylko jego wielkie oczy wydały się bardziej zdziwione niż zwykle. Po chwili jednak zerwał się, łopot jego skrzydeł wywołał w okolicy poruszenie. Stado kowalików nagle się rozwrzeszczało. Biwia usłyszała głuche, przytłumione nawoływania zwierząt ostrzegających się przed niebezpieczeństwem. Już na tyle znała mowę lasu, że domyśliła się, iż na wyspę przybył ktoś obcy. Zawróciła i pospiesznie ruszyła sprawdzić, co się dzieje.

Zamaszyście otworzyła drzwi chaty. Na jej posłaniu leżała kobieta, której wielki, obnażony brzuch i rozłożone nogi mówiły za siebie. Rodziła. Właśnie trwała w bolesnym skurczu. Nad rodzącą klęczała Wiedma, odmawiając formuły.

– Zostaw roztrwarte dźwirze – starucha przerwała zaklęcia. – Rozewrzyj skrzynię, rozsuplej wszystkie węzły, bo dziecko zaplątane.

Biwia szybko wykonała polecenia, zdjęła też pokrywę z garnca, rozsypała zapaskę i sznur owijający leżące przy palenisku badyle. Rozpuściła warkocz i podeszła do rodzącej. Niewiasta miała czarne, przyprószone siwizną włosy, zmatowione od brudu i potu. Wychudzona twarz, nadmiernie wystające kości policzkowe nadawały jej upiorny wyraz. Kobieta mocno zaciskała powieki w kolejnym bolesnym skurczu. Kiedy je na chwilę otworzyła, Biwia ujrzała w jej oczach zmoczoną deszczem czarną ziemię.

– Przynies z owinu dębowe szczapy – zażądała Wiedma.

Po chwili starszka rzuciła je wokół rodzącej, wypowiadając głośno zaklęcia otwierające. Dziewczyna podążyła za nią, naśladowując słowa i gesty swojej mentorki.

– Jako Pan Nieba roztworzył Matkę Ziemię wiosennym piorunem, tak i ty, święte drzewo, roztwórz łono tej niewiasty – powtarzała za Wiedmą. Ostatnie szczapy wrzuciły do paleniska.

– Umyjmy dokładnie ręce, Biwio. Przynies ługu, wody i wór lnianych szmat – zarządziła stara.

Wiedma pokazywała swej uczennicy, jak powiększać dziecku wyjście, jak je obracać, by wyplątało się z pepowiny i wydostało główką. Były to zabiegi bardzo bolesne dla rodzącej. Gdy rozwarcie było już zadowolające i zaczynały się bóle wywołane parciem, Biwia przytuliła cierpiącą kobietę, głaszcząc ją po twarzy. Zazdrościła jej. Świadomość, że jako wiedźma musi się wyrzec macierzyństwa, była dla niej cierniem.

Przypominała sobie, jak niedawno przyszła na świat jej kolejna siostra. Biwia bardzo chciała być przy porodzie, ale dziecko urodziło się, gdy ona z innymi dziewczętami zbierały chrust w lesie. Matka nie chciała wzywać Wiedmy, a i ojciec zbytnio na to nie nalegał. Poród jednak odbył się szybko i Biwia po powrocie z lasu mogła już przytulić maleńką siostrę. Cieszyła się z tych narodzin, bo miała nadzieję, że gdy ona odejdzie z domu, rodzice nie będą za nią tak tęsknić. Wielokrotnie pytała matki, kiedy nadejdzie czas, by udać się do Wiedmy.

– Gdy dojrzejesz – odpowiadała, nie patrząc córce w oczy.

Biwia długo nie wiedziała, kiedy dojrzeje. Co o tym decyduje. Nagabując matkę, zawsze spotykała się z wymijającą odpowiedzią:

– A cóż to? Już byś chciała nas opuścić?

Dziewczyna wtedy milkła, postanawiając cierpliwie czekać na to, co ma nadejść, na właściwy czas.

Pamięta swoje przerażenie, gdy ujrzała krew na posłaniu. Myślała, że jest chora. Pobiegła do matki. Jej lęk wzmógł się, gdy ta, słysząc, co się stało, zdjęła swój wielki, biały czepiec, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła zawodzić. Na szczęście płacz matki przywiódł ojca. Gdy Biwia powiedziała mu, co się stało, Dago chwycił żonę za ramiona i potrząsnął.

– Ty jej nic nie powiedziałaś? Nie uprzedziłaś? – pytał z gniewem, usiłując spojrzeć żonie w oczy. Kobieta, wciąż skrywając twarz w dłoniach, potrząsnęła głową.

Tego dnia Biwia dowiedziała się od matki wszystkiego o byciu kobietą.

– Będiesz odbierać dziecię – Wiedma przerwała rozmyślenia dziewczyny. – Przygotuj się.

Młoda czarownica wzięła płachtę, dwa jej rogi przewiązała za szyją, a dwa pozostałe chwyciła w dłonie.

– Przykłęknij i z najbliższym skurczem przyj mocno – stara zwróciła się do rodzącej.

Kobieta wsparła się na rękach, nabrała powietrza i zmobilizowała ostatnie siły. Wkrótce pojawiła się główka. Przy kolejnym skurczu dziecko znalazło się w lnianej płachcie. Biwia ostrożnie wyjęła zakrwawionego chłopca. Położyła go na brzuchu matki. Stara wzięła zagrzany w garncu nóż użyty niegdyś podczas inicjacji. Przecięły nim pepowinę, którą uroczyście zawiązały. Teraz już można, a nawet trzeba było zapleść włosy, zamknąć drzwi i zawiązać wszystko, co się rozwiązało, żeby złe duchy i uroki nie miały dostępu do bezbronnego dziecka.

– Podobny do swego ojca – powiedziała ze wzruszeniem czarnowłosa kobieta.
– Będzie dumny z syna – przyznała stara.
– Nie będzie – wyrwało się Biwii. Wiedma spojrzała na nią zaskoczona. Dziewczyna też była zdziwiona swoją reakcją. – Tak mi się zdaje – dodała niepewnie.

Zdeprymowana podeszła do dziecka i okryła je czystą chustą. Położnica nie była jednak zgorzozona słowami Młodej Wiedmy. Otuliła dziecię i przyłożyła do piersi.

– To pogrobiek². Ojciec jego już w Nawii – oznajmiła ze smutkiem. – I ja bym podzieliła jego los na stosie pogrzebowym, gdyby nie to dziecię.

Stara usiadła zmęczona. Przyglądała się badawczo swojej uczennicy. Tymczasem czarnowłosa kobieta zaczęła mówić o sobie.

– Moje imię Damroka. Byłam drugą żoną Czcibora, oryla¹⁰. Spławił drewno na Sanie. Pierwsza żona mu obumarła kilka wiosen temu w kolejnym połogu. A teraz i on odszedł. Przywieźli go na wozie martwego. Powiedzieli, że się zatchnął. Ojcowiznę przejęli synowie pierwszej żony. Mnie przeznaczyci stos – kobieta opowiadała, nie spuszczać oczu z maleństwa. – Mówiłam, że w wym łonie jest dziecię. Nie chcieli słuchać. Bali się, że będą się musieli dzielić. Uciekłam. Nie mam się gdzie podziąć – dodała głośniejsze. – Mogęli tu choć parę dzionków ostać? – zwróciła się do czarownicy.

– Jak wydobrzejesz, ruszysz swoją drogą – oznajmiła stara.

Wieczór wymagał przygotowań, bo nocą spodziewano się gości z racji narodzin dziecięcia. Wiadomo było, iż rodzanice przybędą wieścić mu przyszłość. Najlepszym sposobem, by zapewnić dziecku dobry los, było ukontentowanie bóstw. Zatem należało na ich wizytę przystroić chatę, przygotować godny posiłek i położyć się do snu, by nie płoszyć wieszczek.

Biwia z niecierpliwością wyczekiwała gości. Spodziewała się, że teraz, gdy została wiedźmą, będzie miała sposobność zobaczyć te, które nazywano rodzanicami lub trzema zorzami. Przeniosła swe legowisko na stryszek, koło Miłosza, bo przy palenisku nie było zbyt dużo miejsca, odkąd pojawili się Damroka z dzieckiem. Teraz jednak zeszała na dół i wcisnęła się w kąć, czekając na niezwykłych gości. Noc dłużyła się, a trzy zorze nie przybywały. Dziewczyna znużona w końcu usnęła. Śnił jej się Bartus. Siedział na unoszącym się na wodzie kłocu drewna. Rzeka była rwąca, spieniona, pełna zdradliwych głazów, piętrzących wodę. Bartus się oddalał. Biwia zaczęła go wołać, ale krzyk nikt nie wrzasku rozdzieranej kamieniami rzeki. Obudził ją własny głos, skutecznie zduszony czyjąś ręką. Otworzyła szeroko oczy. Ujrzała Wiedmę, której koścista, pomarszczona dłoń zaciskała się na jej ustach. Stara spojrzała wymownie w stronę kołyski, którą wieczorem przyniósł nie wiadomo skąd Miłosz. Wokół zawieszonych na więźbie dachowej kolebki rozświetlały się trzy postacie. Pierwsza różana, druga mleczno-przezroczysta, a trzecia fioletowo-purpurowa. Różana trzymała złocistą pakulę, z której wysnuwała połyskliwą przędzę, druga związała ją w nić i przekazywała trzeciej, nawijającej splot na podrygujące koliście w jej dłoni wrzeczono. Świetliste postacie były bardzo skupione, w końcu przędły los nowo narodzonego człowieka.

Wiedma spojrzała na Biwii pytająco, chcąc potwierdzenia, że może zabrać rękę z jej ust. Dziewczyna przymknęła porozumiewawczo powieki. Uwolniona pochyliła się do ucha starej i spytała szeptem:

– Można z nimi rozmawiać?

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy. Spoglądały więc bez słowa na wieszczki. Te przędły w milczeniu, czasem się zatrzymywały, związały nadszarpniętą nić i kontynuowały swoją pracę. Wtem dziecię się rozplakało. Wystraszona fioletowo-purpurowa postać upuściła wrzeczono. Nić się zerwała. Świetliste niewiasty rozplynęły się w poświacie wschodzącego słońca.

– Ciekawam, jaką przyszłość zapisały w nici żywota – szepnęła Wiedma.

– A może one tylko uprzedły nić, ale co z nią zrobi syn Damroki i jaki materiał z niej utka, to tylko od niego zależy? – Biwia wyraźnie nie podzielała przekonania starej.

Minęły trzy miesiące. Dziecko nie sprawiało dużych kłopotów, choć dezorganizowało życie mieszkańców chaty. Miłosz wieczorami z przyjemnością kołysał maleństwo. Biwia całym sercem pokochała chłopca jak własnego brata. Zajmowała się nim, gdy tylko czas jej na to pozwalał, często śpiewała mu piosenki znane z wczesnego dzieciństwa. Damroka, gdy dziecię spało, chętnie pomagała Miłoszowi w jego pracach. Wiedma jednak najwyraźniej z każdym dniem zdawała się coraz bardziej rozdrażniona. Stara widziała, że brat i młoda czarownica przywiązują się do dziecka. Pewnego poranka zażądała, by Damroka przygotowywała się do odejścia.

– Pozwólcie nam zostać – poprosiła wdowa. – Jestem pracowita. Mogę wam pomagać.

– Ty możesz tu mieszkać – odparła Wiedma. – Ale na Ostrowiu nie ma miejsca dla dziecięcia.

Damroka zacisnęła usta. Z westchnieniem wyjęła syna z kołyski i przytuliła.

– Gdzie my się teraz podziejemy? – spytała.

Stara, żeby uniknąć kolejnych próśb i perswazji, wyszła. Wzburzona Biwia wzięła chłopca z rąk Damroki i podążyła za swą nauczycielką. Sierpniowy poranek witał zapachem kwiatów i dojrzałych owoców. Wiedma siedziała na zydłu wpatrzona gdzieś w dal.

– Co ci jest winne do dziecię? – dziewczyna wymownie uniosła maleństwo.

– Ja mu dobrze życzę. Dlatego nie może zostać. A im dłużej z nami będzie, tym trudniej się będzie rozstać – stara nie patrzyła na Biwię. Głowa jej się trzęsła mocniej niż zwykle, a na twarzy malowała się zaciętość.

– Nie rozumiem dlaczego. Potrzebujemy pomocy Damroki. Miłosz jest coraz starszy i słabszy, a ty nie pozwalasz mi pomagać ani w polu, ani w domu – Biwia nie dawała za wygraną, choć patrząc na staruchę, coraz mniej liczyła na przychylną decyzję. – Wiesz, że dziecię nie może się chować bez matki.

– Tradycja nie pozwala, żeby czędo mieszkalo w chacie czarownicy – wychrypiała stara.

– Tradycja? Tradycja ma służyć ludziom, a nie ich krzywdzić! Sama powtarzałaś mi wiele razy, że nie można szkodzić innym. A ty co teraz robisz? Wyrzucasz matkę i jej dziecię! Gdzie się podzieją? Zobacz, jaki bezbronny jest ten mały – dziewczyna próbowała wcisnąć chłopca w ramiona starej. Ta jednak siedziała nieruchomo. Nawet nie spojrzęła na dziecko.

Młoda Wiedma rozżalona przytuliła maleństwo i wróciła do chaty. Po chwili wyszła z tobołkiem, który miała ze sobą, gdy przybyła pierwszy raz na wyspę.

– Wracam do rodzica i rodzicy. Pochylę się przed nimi z prośbą, żeby mnie na powrót przyjęli, a ze mną Damrokę i jej dziecię. Może mają większe serce niż ty.

– Nigdzie nie pójdziesz – odparła twardo stara. – Ty już wybrałaś.

Biwia ostentacyjnie się odwróciła i ruszyła ścieżką w stronę cypla. Wiedma zaczęła szeptać pod nosem formuły, nie spuszczając z niej wzroku. Dziewczyna potknęła się. Obejrzała się ze złością i niezrażona szła dalej. Tym razem nie utrzymała równowagi. Podniosła twarz umorusaną błotem i w tym momencie wiatr dmuchnął jej piachem prosto w oczy i usta. Usiadła rozwścieczona, chwyciła grudę ziemi i rzuciła w stronę staruchy. Potem splakana poderwała się i zaczęła biec w stronę lasu, ciągnąc za sobą swój tobolek. Nagle jakiś wewnętrzny głos kazał jej się zatrzymać. Przez załzawione oczy dojrzała potężne, upadające drzewo, które gałęziami przyduśiło ją do ziemi.

– Nie! Teraz to straciłaś umiar! – wrzasnęła, na próżno próbując się wyswobodzić.

Po chwili byli przy niej wszyscy. Miłosz z troską odsuwał gałęzie, by pomóc wydostać się uwięzionej

dziewczynnie.

– Tym razem to nie ja – odparła zatroskana Wiedma, rozglądając się wokół. Jej wzrok zatrzymał się na puchaczku, który z pobliskiego drzewa obserwował całe zajście.

Podrapana i posiniaczona Biwia leżała na posłaniu Damroki. Odwrócona do ściany nie chciała z nikim rozmawiać. Wdowa po CzciBORze w skupieniu karmiła piersią syna. Pod ścianą stał milczący Miłosz. Wiedma siedziała tuż obok i zamyślona rysowała coś kosturem po klepisku.

– Jesteś uparta – odezwała się starsuszka. – Tak samo jak ja – dodała z nutą uznania.

Biwia nadal milczała. Wprawdzie Damroka z synem wciąż jeszcze byli z nimi, ale nie wiadomo było, jak długo.

– Też kiedyś sprzeciwiłam się tradycji – kontynuowała stara. – I nigdy sobie tego nie wybaczę.

Spojrzała na brata. Przytaknął jej ze smutkiem. Wyraźnie jednak czekał, aż siostrą będzie mówić dalej.

– Na tej wyspie było już czędo – dodała ciszej.

Biwia odwróciła głowę i spojrzała na mówiącą. Półprzezroczyste oczy starsuszki przetykała siatka czerwonych żyłek. Dziewczyna pomyślała, że lzy przyniosłyby im ulgę.

– Gdzie ono teraz jest? – spytała, choć była przekonana, że zna już odpowiedź.

– Pytałaś kiedyś o dziewczeczkę w poświęceniu Miesiąca na wzgórzu pośród drzew – odparła Wiedma.

Miłosz zajął się układaniem drewna przy piecu. Biwia widziała, że stara się ukryć wzruszenie. To przecież on codziennie tam przesiadywał, zanosił łąkocie. Pewnie zdążył pokochać to dziecko, zanim umarło.

– Opowiesz mi? – to pytanie zabrzmiało raczej jak prośba.

Stara znów spojrzała na brata. Miłosz odwzajemnił spojrzenie i przytaknął z westchnieniem.

– Wołaliśmy ją Winia. Teraz liczyłaby dziewiętnaście wiosen. Nie była moja, znaleźliśmy ją w łodzi. Ot, podrzutek – stara zaczęła opowiadać. – Mówiła, że zostanie wiedmą. Ja też tak myślałam. Miała w sobie moc i chciała się uczyć.

Umilkła. Widać było, że przygotowuje się do dalszej opowieści, ale jest jej trudno. Miłosz po cichu wyszedł. Nie chciał słuchać dalszej części historii. Biwia domyślała się, gdzie udał się brat wiedźmy. Starsuszka odchrząknęła.

– Wezwali mnie do porodu – wróciła do opowieści. – Nyja się już upominała o dzieciska i położnicę. Alem dla Żywii ich wywalczyła. Pani Nawii nie chciała być stratna i się srogo zemściła. Gdym wróciła do chaty, Winia nie żyła – głos starej przeszedł w piskliwy dyszkanct. – Bolał ją brzuszec, miała wypić napar z dziurawca. Miłosz znalazł ją martwą przy studni. Obok leżał kubec. Inny. Napar wciąż stał na ławie. Nieruszony.

Wiedma podniosła się i z wolna, posuwając stopami po klepisku, dotarła do otwartych drzwi. Spojrzała w stronę wzgórza, gdzie brat, klęcząc, gładził dłońmi ziemię.

– Miłosz był na wyspie, ale nie dopilnował – dodała. – Zastałam go bez zmysłów: nie widział, nie słyszał, nie mówił. Długo wracał do zdrowia, ale od tamtej pory nie usłyszałam jego głosu.

Damroka zamyślona lulała dziecko, mimo że już spało. Biwia z trudem przełknęła ślinę. Zostało już tylko jedno pytanie. Zastanawiała się, czy może je zadać. Musiała zapytać.

– Kim były te dzieci, które ocalałaś przed Nyją?

– Bliźnię dziatki. Chłopiec i dziewczeczka. Mieli oczy niczym jantary.

Stara przestąpiła wysoki próg chaty. Na odchodnym jeszcze się odwróciła:

– Co zostało zabrane, będzie oddane. I ty, Młoda Wiedmo, ty mówisz, że nie ma przeznaczenia?

9 Pogrobek – dziecko, które urodziło się po śmierci ojca.

10 Oryl – flisak, osoba splawiająca drewno.

Zażynki



Zażynki mają się ku końcowi. Zjednam ludzi do budowy domostwa – zaproponowała Biwia. Zadrapania i sińce już prawie zniknęły z jej ciała. Szykowała się do podróży. Miała odwiedzić rodziców i poszukać robotników, którzy po żniwach wzniosą na Ostrowiu drugą chatę.

Wprawdzie po ostatnich przeżyciach Młoda Wiedma przestała naciskać na swoją nauczycielkę, by pozwoliła zostać Damroce i jej synowi, ale tym razem wtrącił się Miłosz. Zaprowadził siostrę na polanę, wyznaczył plan chaty i położył w tym miejscu rzeczy Damroki. Nie chciał, by w przyszłości Biwia została całkiem sama na wyspie. Wiedma po namyśle przyznała bratu rację. Wybudowanie drugiej chaty pozwalało obejść prawo.

– Zostań tam aż do Wieńcowego. Na Kupałę się nie wybrałaś, to poświęć jej – zachęcała stara.

Biwia domyślała się, że podczas żniw musi być ciężko rodzicom. Zabrakło jej i brata, a młodsze siostry nie nadawały się jeszcze do pomocy, co gorsza, same wymagały troskliwej opieki. Chciała też wypytać, czy nie wiedzą we wsi czegoś o Bartusie. Z ubolewaniem uświadamiała sobie, że boginka Kele tak zaprzętnęła jego myśli i wolę, że niezwykła więź, która ich łączyła, została zerwana. Możliwe, że sam Bartus zamknął jej dostęp do swojego świata.

Dziewczyna wrzuciła do czółna tobolek wypełniony ziołami, maściami oraz podarkami dla rodzeństwa. Jantar wyprzedził ją i usadowił się przy burcie, nieśmiało pomiaukując. Z uśmiechem wysadziła kota na brzeg. Ten jednak, oburzony ingerencją swej pani, ponownie wskoczył do łódki.

– Pozwól mu towarzyszyć – poradziła Wiedma. – Od wypadku z drzewem nie odstępuję cię ani na krok. Zdechnie nam tu z tęsknoty.

Kiedy Biwia dotarła do rodzinnej osady, chaty były prawie opustoszałe. Wszyscy pracowali w polu przy żażynkach. Zastała jednak matkę, która wraz z dwiema innymi niewiastami szykowały posiłek dla żniwiarzy. Dagonowa trzymała najmłodsze dziecię przy piersi i wciąż pilnowała drugiej córki, by nie zrobiła sobie krzywdy. Pozostałe niewiasty również obarczone były małymi dziećmi. Biwia, po długich uściskach z matką i siostrami, zadeklarowała, że zaniesie posiłek żeńcom.

Pogoda sprzyjała żażynkom. Słońce przygrzewało od wielu dni. Gdy Młoda Wiedma niosła poczęstunek, zbliżało się południe. Gorące powietrze zatrzymywało dech. Wydawało się, że wszystko zamarło w upale. Rozgrzana ziemia miejscami parzyła. Biwia zwyczajem mieszkańców wsi wędrowała boso, buty mając przytoczone do paska. Dźwigała bukłaki z wodą i piwem oraz tobolek wypełniony jedzeniem. Dotarła do pól, gdzie trwały żażynki. Rozejrzała się. Wokół stroszyły się ścierniska, nieco dalej pracowały kobiety i dziewczęta w kolorowych chustkach na głowach. Zbierały kłosa i układały

w snopki. Mężczyźni w słomianych kapeluszach dzierżyli w rękach sierpy i co rusz pochylali się, nękając w łańcho zboża, które kładło się pokornie pod żelaznym ostrzem.

Podbiegli do niej mali chłopcy, którym już dawno znudziło się pomaganie przy pracach polowych. Poprosiła, by przywołali żeńców. Cieszyła się na spotkanie stryjów, stryjenek, sąsiadów, stryjecznego rodzeństwa i przyjaciółek, z którymi przesiadywała wieczorami przy studni.

Tylko ojciec z czułością ją powitał. Pozostali podziękowali za posiłek, który rozłożyła w cieniu lasu, jednak trzymali się od niej z daleka, podejrzliwie spoglądając na nią i na kręcącego się u jej stóp kota. Próbowwała zagadnąć do dziewcząt, z którymi miała kiedyś tyle tematów do rozmów. One jednak odpowiadały półgębkiem, spoglądając gdzieś w bok, jakby obawiały się, że rzuci na nie urok. Zrobiło jej się przykro. Zwłaszcza że podobnie zachowywała się też Lanka, najlepsza przyjaciółka, rówieśnica, którą traktowała zawsze jak rodzoną siostrę. Ta spoglądała co chwila ze strachem na swą matkę Siecinę i przy każdej próbie nawiązania rozmowy przez Młodą Wiedmę pochylała głowę, skubała nerwowo cieniutki, postrzępiony warkocz i szukała wymówki, by jak najszybciej się oddalić. Przełykając gorzki smak swej odmienności, czarownica postanowiła wziąć się do pracy.

– Nie idź w pole w samo południe – ostrzegwał ojciec. – Gorąc, a tyś też zmęczona. Mamy sobie tyle do opowiedzenia.

– Ojczy, legnij trochę w cieniu i odpocznij. Ostanę u was kilka dzionków, zdążymy.

Ruszyła w stronę łąnow, jak najdalej od lasu i posilających się żeńców. Zaczęła zbierać kłosa. Wprawnie wiązała powrósla i przewiązywała nimi snopy zboża. Powietrze aż pulsowało od żaru. Płócienna suknia przyklejała się do spoconego ciała, wykwitając ciemnoszarymi plamami potu. Słone strużki spływały po dekolcie i pod piersiami. Gorące powietrze niemal parzyło oczy, usta. Wtem ciepły podmuch niczym oddech Matki Ziemi przyniósł chwilę ulgi, łąny zboża zaszumiały. Dziewczyna westchnęła i przymykając oczy, poddała się kojącemu ruchowi powietrza. Gdy je otworzyła, ujrzała w słonecznym blasku świetlistą postać, przed którą pszeniczne kłosa pochylały się w ukłonie. Była to niewiasta w złocistej, powłóczystej sukni. Nieupięte, rozwichrzone, jasne włosy zakrywały jej prawie całą twarz. Poruszyła głową, odrzucając loki utrudniające widok. Biwia ujrzała blade lica i błyszczące oczy. Wzrok niewiasty miał w sobie coś magnetycznego. Przyciągał. Dziewczyna bezwolnie ruszyła w jej kierunku. Ta uśmiechnęła się z triumfem, odsłaniając drapieżne, wilcze zęby. Młoda Wiedma uzmysłowiła sobie, że pomiędzy fałdami świetlistej szaty zabłysnął rdzawy sierp. Przerażona chciała się zatrzymać, uciec, ale błyszczące oczy trzymały ją jak niewidzialny sznur. Demon nie mrugał powiekami i to samo wymuszał na swej ofierze. Nienaturalnie rozwarłe oczy piekły. Dziewczyna chciała wypowiedzieć zaklęcie ochronne, ale spieczona usta odmawiały posłuszeństwa. Z wysiłkiem uniosła dłoń, szukając na dekolcie kaptorgi. Wiedma mówiła, że ta nawęza będzie skutecznym narzędziem walki ze złymi mocami. Tymczasem nie odczuwała jej działania. Palce jednak nie odnalazły woreczka ani rzemyka na szyi. „To już koniec”, pomyślała. Świadomość, że zgubiła kaptorgę czarownicy, odebrała jej resztki nadziei. Nie potrafiła się przeciwstawić, osłonić, nawet uciec. Była niczym bezwolna łątka rzucona na pastwę rozbrykanych dzieci. Demoniczna niewiasta, jakby czytając w jej myślach, uśmiechnęła się szerzej. Dziewczyna była już tak blisko, że czuła muśnięcia świetlistej szaty. Kościste palce zaczęły zaciskać się na jej szyi. Nabranie powietrza stawało się niemożliwe. Kątem oka dostrzegła unoszący się sierp.

Wtem rozdarła się w pobliżu przepiórka, z łąnu pszenicy wyleciał z krzykiem bażant. Demon na moment odwrócił wzrok. Dziewczyna poczuła nagły przypływ siły. Rzuciła się w zboże. Z rżeniem wciągała powietrze przez ściśniętą krtani. Coś przemknęło nad nią. Ptak? Człowiek? Nie zauważyła, leżąc twarzą do ziemi. Na wierzch jej dłoni opadło coś miękkiego. Podniosła głowę i odkryła ze

zdumieniem, że to kaptorga! Młoda Wiedma przytuliła ją do siebie, szepcząc z zamkniętymi oczami zaklęcia ochronne. Pšenica położyła się pod nagłym podmuchem wiatru. Gdzieś w pobliżu rozdarł się ptak przedśmiertnym wrzaskiem i nagle ucichł.

Zadławiła się. Znowu chluśnięcie i dławienie. Gdzieś z oddali, jakby zza ściany utkanej z mgły, dochodziły do niej czyjeś głosy.

– Widział to kto? W samo południe robić na polu? Paraluszu można dostać – utyskiwał jakiś niewieści dyszkant.

– Południca mogła ją zażąć – dodał męski głos.

– Nawet więdmy powinny mieć szacunek i poważanie dla Dadźboga. I nie chodzić w pole, gdy południe – kontynuowała niewiasta.

– Takowych śmiałków południca ścina krwawym sierpem – odezwał się jakiś starzec.

Ocucona Biwia usiadła. Wokół zebrał się wianuszek ciekawskich. Poczuela silne ramię ojca. Przyłożył jej do ust niewielki bukłaczek. Skrzywiła się. Trójniak rozpałał przełyk, ale i wzmacniał. Poczuela energię rozchodzącą się po ciele. Przypomniała sobie o kaptordze, która w niewyjaśniony sposób znalazła się w zbożu tuż przy jej dłoni. Zaczęła się rozglądać za magicznym woreczkiem, który ją ocalił.

– Tego szukasz? – Dago wyciągnął zza pazuchy nawęzę z rozsuplemym rzemykiem.

– Tak, ojczu. To moja kaptorga. Zawiąż rzemyk, a mocno, bym jej znów nie zapodziała.

Kiedy woreczek z magiczną zawartością zawisł na jej piersiach, poczuela ulgę. Zdołała się już nawet na uśmiech. Ludzie, widząc, że ma się już dobrze, powoli wracali do pracy. Chciała się podnieść, ale ojciec stanowczo nakazał jej odpoczywać. Siedziała więc w cieniu drzew i zastanawiała się, czy to wszystko, co się jej przydarzyło w zbożu, było tylko przywidzeniem podczas omdlenia.

– Do Peruna! – nagle krzyknął jeden z żeńców.

Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Trzymał w ręku bazanta z odciętą głową. Z szyi kuraka kapąła niezakrzepła krew.

– Co ty ptaka od żyta nie odróżniasz?! – ktoś zakrzyknął.

– Lepiej zabierzcie mu sierp, bo co inszego sobie odetnie – rzucił inny z żeńców. Rozległy się śmiechy.

– Dyc to nie ja. Leżał tu – próbował się tłumaczyć chłopak. Jednak nikt go już nie słuchał. Mężczyźni zaczęli dowcipkować, a kobiety zaśmiewać się z ich żartów.

Praca szła pełną parą. Biwia wkrótce dołączyła do żniwiarzy. Skręcała snopki i układała w mendle. Cały czas miała wrażenie, że wszyscy poza ojcem odsuwają się od niej. Pracowała więc w pewnym oddaleniu od pozostałych. Kiedy zanosila kolejny snopek, z kopki spozrzały na nią błękitne oczy i po chwili zniknęły. Zdziwiona wsunęła rękę w słomę.

– Auuu! Oczy mi wykolesz, niewdzięcznico! Niewdzięcznico! – ktoś zakrzyknął z głębi mendla.

Biwia rozejrzała się spłoszona, ale nikt poza nią nie usłyszał tej skargi. Ojciec pochylał się, niestrudzenie ścinając kolejne kłosa.

– Kim jesteś? – spytała cicho.

– Twoim wybawicielem, niewdzięczna, oj, niewdzięczna – ozwał się głos.

Mendel zatrząsł się i wysunęła się z niego niewielka postać, mężczyzna o słomianych włosach i długiej brodzie. Miał umorusane ziemią szarawary i głęboko wciętą lnianą koszulę, odsłaniającą porośnięty tors. Taksował ją bez pardonu swym błękitnym spojrzeniem. Biwia poczuela się onieśmielona. Zsunęła podwinięte rękawy sukni.

– Aleć krasną podwikę uratowałem przed południcą. Krasną podwikę – stwierdził z uznaniem.

– Nie jestem jakąś tam podwiką – oburzyła się.

– Wiem, wiem. Takiej mocnej kaptorgi zwykle dziewczki nie mają. Nie mają. No i widzisz mnie, i słyszysz. Znaczy, wiedząca jesteś. Tak. Wiedząca. Ale to dobrze. To dobrze. Bo co mi z dziewczek, które mnie nie widzą. Odganiają się jak od muchy. Jak od muchy – człowieczek manifestacyjnie oblizał swe wydatne wargi.

– Tyś jest polewik? – spytała.

Czuła się nieswojo. Karłowaty mężczyzna lustrował ją, ostentacyjnie zatrzymując wzrok na jej krągłościach.

– Tak. Ojciec Samwojem mnie nazwał. Samwojem.

– Biwio, dobrze się czujesz? – ojciec z niepokojem spoglądał na córkę.

– Tak, ojczu! – odrzzyknęła zmieszana dziewczyna i wróciła prędko do pracy.

Kiedy szła z kolejnym snopkiem, polewik siedział pod mendlem. Gryzł słomkę, uśmiechając się ironicznie. Dziewczyna rzuciła snop pszenicy w pobliżu kopki i jak najprędzej się oddaliła. Kolejne zaczęła zanosić w inne miejsce. Wkrótce jednak i tam zastała Samwoja.

– To ja twoją kaptorgę na ściernisku odnajduję. Odnajduję. Życie narażam dla ciebie, byś ją odzyskała. Odzyskała. Przepiórkę naśladowuję, bażanta poświęcam. Poświęcam. A ty nawet gadać ze mną nie chcesz? – zapytał kpiąco.

– Wdzięcznam ci za pomoc, Samwoju, i chętnie ci odpłacę dobrym poczęstunkiem. Nic więcej jednak dać ci nie mogę – odparła.

– Możesz, możesz. Tylko nie chcesz. Tylko nie chcesz, niewdzięcznico. Niewdzięcznico – kpiący ton i nieustanne powtarzanie słów zaczynały być coraz bardziej irytujące. – Ale niech będzie. Niech będzie. Wejść w ostatni snop zboża, który zwiózł do sąsięka¹¹. Do sąsięka. Przyjść nocą z poczęstunkiem. Zapłata mi się należy. Należy.

Polewik pobiegł w stronę ładu zboża i wtopił się w niego niczym wodnik w wodę.

Zażynki trwały już od wielu dni. Mieszkańcy wsi pracowali kolejno na polu każdego sąsięka. Tego dnia było to pole Dagona. Zatem ostatni snop z jego poletka trafił na noc do sąsięka. Ze snopkiem zawędrował tam i polewik.

Biwia cały wieczór opowiadała rodzicom o Wiedmie i życiu na wyspie. Pytała o Bartusa, ale ojciec z matką wiedzieli jeszcze mniej niż ona. Mówili, że się zakochał i biegał co wieczór na spotkania z oblubienicą. Czekali, aż im ją przedstawi. Myśleli, że to jakaś dziewczyna z sąsiedniej osady. Kiedy nie wrócił po świętowaniu Stada, zastanawiali się, czy uciekł z ukochaną, mając w pogardzie ich błogosławieństwo, czy też w tym właśnie miejscu rodzanice urwały nić jego żywota. Wraz z krewnikami, sąsiadami szukali go, pytali w innych siolach – na próżno. Ktoś tylko widział, jak wyląwiał wianek z rzeki.

Opowiedziała o spotkaniu z bratem, o boginkach i poszukiwaniu ich w lesie. Zapewniła, że Bartus żyje. Nic jednak więcej nie była w stanie powiedzieć o jego losie.

– Matko, ojczu, nie spocznię, póki go nie odnajdę, ale nie wiem, czy to coś zmieni. Niewiele potrafię. Jakżebym mogła się zmierzyć z boginkami i mocą czaru, który Kele rzuciła na niego? Nawet stara Wiedma nie wie, co robić. A ja nie mam ani części jej wiedzy.

Zatroskani i zmęczeni ciężką pracą domownicy w końcu położyli się spać. Biwia zaczęła się zastanawiać, co począć z polewikiem. Samwój z jednej strony ją przerażał, ale z drugiej zawdzięczała mu życie. Nie godziło się go tak zlekceważyć, mimo jego irytującego zachowania. Czekala więc, aż oddechy rodziców staną się głębokie jak sen, w który zapadli. Zabrała podpłomyki, piwo i wymknęła się do sąsięka. Kot czujnie pobiegł za nią.

Polewik drzemał na snopku. Gdy Młoda Wiedma weszła, obudził się, ale nie wstał, tylko podniósł lekko głowę i obserwował ją. Milczał.

– Samwoju, dziękuję za uratowanie życia. Przyjmij, proszę, tę gościnę – dziewczyna położyła na białej chuście podpłomyki oraz piwo. – Nie jesteś złym demonem, bo zły nie uniósłby mej kaptorgi i nie ratowałby też z opresji.

Polewik usiadł. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. Biwia pomyślała, że już chyba wolała, gdy kpił i się powtarzał.

– Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? – obawiała się odpowiedzi na to pytanie.

– Co ja tu będę robił sam całą jesień i zimę? Jesień i zimę. Sam. Chciałabyś tak żyć przez pół roku w sąsiedku? W sąsiedku? Sama? Niewidziana, niesłyszana? Przez nikogo? – Samwój sięgnął po piwo. – Potrzeba mi krasnej żony. Żony, która ze mną poigra i czas umknie nie wiadomo kiedy. Poigra i czas umknie.

Biwii żal się zrobiło polewika. Rozumiała jego troski. Teraz, gdy po kilku wschodach Miesiąca przybyła do rodzinnego siola, miała okazję zakosztować, czym jest samotność pośród ludzi. Co to znaczy być nierozumianym. Domyślała się, że bycie niewidzialnym i niesłyszalnym stanowiło jeszcze większą przeszkodę i izolowało bez porównania bardziej niż bycie wiedzmą.

– Muszę wrócić do Wiedmy – zaczęła wyjaśniać. – Nie chcę mnie tu, Samwoju. Siecina, matka mej niedysyjskiej powiernicy Lanki, judzi wszystkich. Nie ma dla mnie miejsca w tym siole. Ale poszukam ci żony. Przyrzekam – dziewczyna nie miała pomysłu, gdzie i kogo szukać, ale liczyła, że Wiedma coś jej doradzi.

– Głupia ta Siecina, oj, głupia. Nauczka by się jej zdała. Oj, zdała – stwierdził polewik.

Biwia nic nie odpowiedziała. Samwój spojrział na nią ze smutkiem. Zadumali się.

– To mnie aby pocałuj. Pocałuj. Mocno w usta. W usta. Na pożegnanie.

Polewik wszedł na snopek. Z tej wysokości sięgał Biwii do podbródka. Czekał. Dziewczyna pochyliła się i przymknęła oczy. Poczula słodkawo-gorzki smak chmielu.

Wtem przeciągłe miauczenie przerwało pożegnalny pocałunek. Jantar nastroszony skoczył polewikowi na głowę, wpijając pazury tuż nad jego powiekami. Zaskoczony Samwój próbował oderwać kota, ale w tym momencie ból stał się intensywniejszy i z łuków brwiowych popłynęła krew.

– Daj mu spokój! – krzyknęła na bursztynowego kota. – Dyc życie mi uratował.

Kocur zeskoczył na ziemię. Jeszcze wojowniczo nastroszony prychał złowróźnie i spoglądał wrogo na adoratora swej pani. Po chwili jednak nastroszona sierść wygładziła się, kot zaczął ocierać się o nogi dziewczyny, niespokojnie pomiaukując. Ostentacyjnie pokazywał, do kogo należy. Tylko nie wiadomo – on czy ona.

– Wybacz, Samwoju – Biwia chwyciła Jantara i zaczęła się wycofywać z sąsiedka. – Sprowadzę ci żenę. Będziesz zadowolony.

Wyrzuciła kota na podwórze i spłoszona pobiegła do chaty. Kotłowało się w niej tyle sprzecznych uczuć. Nie potrafiła ich nawet nazwać. Co czuła? Smutek? Obrzydzenie? Podniecenie? Czy wszystko naraz?

¹¹ Sąsiedk – miejsce, gdzie składowano zboże, siano, słomę.

Wieńcowe



Och! Wieniec wijecie! – zawołała radośnie Młoda Wiedma, widząc grupkę sąsiadek i krewnych pochylonych nad wiklinowym kółem, oplatanym żytem, pszenicą, prosem i jęczmieniem. – Poczekajcie, przyniosę jarzębiny do strojenia!

Dziewczyna szybkim krokiem ruszyła w stronę chaty. W osadzie panował radosny nastrój. Mieszkańcy wsi skończyli prace przy żąnkach. Przygotowywali się do świętowania Wieńcowego. Kobiety plotły wieńce, sprzątały, gotowały. Trzeba było podziękować Mokoszy za plony, żeby i w przyszłym roku była dla nich łaskawa. Świętowanie miało się zacząć od uroczystej procesji po polach, z których zebrano zboże. Najważniejszym atrybutem w tym obrzędzie miał być dużych rozmiarów wieniec, uwity z rozmaitych zbóż, przystrojony owocami, kwiatami. Oprócz tego w każdej chacie wito mniejsze, które zawieszano nad drzwiami, by zapewnić jej mieszkańcom dostatek na cały rok i zabezpieczyć przed złymi mocami.

Gdy Bivia wracała z bukietem gałązek, drogę zastąpiła jej Siecina. Niewiasta miała czerwoną chustkę na głowie, mocno zawiązaną pod podbródkiem. Młoda Wiedma pomyślała, że zarówno ten kolor chusty, jak i solidny węzeł powinny być nie lada ochroną przed urokami. Czyżby matka Lanki obawiała się przyroku? Siecina stała z założonymi na krzyż rękami i mierzyła dziewczynę nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Nie potrzebujemy jarzębiny. Mamy swoją.

– Chciałam pomóc.

– Knystkowa gada, żeś urok na jej wnękę rzuciła. Dziecię nie śpi po nocach. Cosik go gryzie w wąpiach. Żeś im ponoć mleka zaniósła i cosik tam w nim zadała.

– Bzdurzycie. Wiedźma pomaga, a nie szkodzi ludziom.

– Ale na czarach się znasz, a Knystkowa gada, że masz zemstę na niej, bo cię kiedyś obila, jakeście z Bartusem jej wiśnie podkradywali.

Młoda Wiedma spojrzała w stronę niewiast. Udawały, że są zajęte pracą, w rzeczywistości z napięciem przysłuchiwały się rozmowie. Lanka również pochylała się nad wieńcem, starając się nie patrzeć ani na matkę, ani na byłą przyjaciółkę.

Bivia mocniej niż zwykle zamrugała powiekami, przyjęła podobną pozę jak Siecina, przełknęła głośno ślinę, odchrząknęła, bo głos jakoś nie mógł się wydobyć przez zaciśnięte gardło.

– Siecino, znacznie mnie od kolebki, wam, waszej Lance i innym zawsze sprzyjałam. Skąd teraz u was taka nieprzyjaźń?

– A kto cię teraz wie, jaka ty jesteś. Wczoraj radzili, kto ma nieść wieniec po polach. Jedni gadali, iżby tobie dać, bo ty teraz ważna, modły składać umiesz, zamawiać Pogodę – powiedziała to z nieukrywanym sarkazmem. – Ale Knystkowa wtedy wstała i rzekła, żeś ty mściwa, że jej czary założyłaś i odkąd jesteś w siole, nic jej się nie wiedzie, a jak co do wieńca zadasz, to wszystkim będzie źle się wiodło cały rok.

– Ja się uczę, jak pomagać, a nie szkodzić – rzuciła, patrząc Siecinie prosto w oczy.

– Mnie tam pomagać nie musisz – odburknęła kobieta i odwróciła się w stronę pozornie zajętych wyplataniem wieńca kobiet.

– Ale będę musiała – odparła mimowolnie Biwia.

Ruszyła w stronę chaty. Uczucie żalu i rozgoryczenia ustąpiło zdziwieniu i jakimś dziwnemu podnieceniu. Znowu jej się to zdarzyło. Pierwszy raz, gdy rozmawiały o ojcu dziecka Damroki, który, jak się potem okazało, już nie żył. Wtedy powiedziała mimowolnie, że ojciec dziecka nie będzie dumny, choć nie miała pojęcia dlaczego. Drugi raz, gdy coś jej kazało zatrzymać się przed drzewem, które prawie w tym momencie się przewróciło. I teraz znowu. Jakaś świadomość, pewność, która nagle na nią spłynęła. Przeświadczenie, że to nastąpi. Tylko kiedy? Gdyby tak nauczyć się nad tym panować.

W chacie matka miesiła zaczyn na chleb, w czym usilnie próbowała jej pomóc młodsza córka. Najmłodsza siedziała na rozłożonej na klepisku skórze i zafascynowana wyciągała rączki do bursztynowego kota.

– Kaszy świeżej trza. Obtlucz ziarna w stępie¹². – Dagonowa wydała polecenie najstarszej, gdy tylko pojawiła się w drzwiach.

Biwia rozejrzała się za zbożem. Nigdzie nie było worka, w którym trzymano ziarno.

– Ojciec omłócił trochę pszenicy. Trza przynieść z sąsiedka – dodała matka, widząc niemrawość córki.

I znów ją czekało spotkanie z Samwojem. Zajrzała do stodoły, gdzie zwieziono zboże. Ojca już tam nie było. Cep stał oparty o snopy, z boku leżała wymłócona słoma. Na klepisku kotłowały się plewy, byle jak zmiecione na kupkę. Gdzieniedzie między nimi leżały pojedyncze ziarna niczym wyrzut niezbyt dokładnie wykonanej pracy. Worek rzucony obok cepa częściowo był już wypełniony ziarnem. Biwia podniosła go i rozejrzała się za polewikiem, ale go nie dostrzegła. Albo zaszył się w snopach zboża i zasnął, albo gdzieś się wybrał.

Wzięła worek z pszenicą i wróciła do chaty. Praca przy stępie przynosiła jej ulgę. Złość, rozczarowanie, żal – wszystkie te uczucia rozpryskiwały się niczym ziarno pod uderzeniami ubijaka. Kiedy skończyła, czuła się już spokojna. Wyszła z chaty, kierując się w stronę domostwa Knystkowej. Chciała się z nią rozmówić. Stanęła przy otwartych drzwiach i zawołała. Nikt nie odpowiedział, ale miała wrażenie, że jej pojawienie się spowodowało jakiś ruch w środku. Kiedy zajrzała, dostrzegła tylko poruszające się pakuły przędzy konopnej, jakby ktoś je przed chwilą zawiesił. Wydawać by się mogło, że nikogo nie było, ale Biwia już nie musiała nic więcej widzieć. Znowu ogarnęła ją ta pewność. Wiedziała już, co było przyczyną niepokoju złośliwej sąsiadki.

Wróciła do chaty i zaangażowała się w świąteczne przygotowania. Myśl o Knystkowej jednak nie dawała jej spokoju. Miała pewien plan, ale musiała się najpierw rozmówić z Samwojem. Znów udała się do sąsiedka. Polewik leżał na snopku. Wydawało się, że spał. Stanęła obok niepewna, czy go budzić. Chrząknęła. Samwój poderwał się.

– A! To ty! – zawołał zdziwiony.

Usiadła obok niego. Suknię zaciągnęła poniżej kostek.

– Samwoju – zaczęła. – U Knystkowej załęgła się kikumora. Chyba nuda i tęsknica jej doskwiera, bo dokuczka, dzieciom po nocach spać nie daje, straszy. Widzi mi się, że samotna, jak i ty.

– Swatasz mnie? Swatasz? – spytał polewik, jak zwykle prowokacyjnie lustrując młodziutką wiedźmę.

Umilkła. Nie wiedziała, czy ten ton miał oznaczać lekceważenie, kpinę, czy rzeczywiście Samwój był zainteresowany potencjalną towarzyszką życia.

– Jak ona wygląda? – spytał niby od niechcienia, bawiąc się kółkiem, wyglądającym jak szczebel od drabiny.

– Nie wiem – przyznała się dziewczyna. – Nie zoczyłam jej.

– To skąd wiesz, że to kikumora? Może to lichy się zagnieździło? Może lichy?

– Byłam tam i wiem. Sama chciałabym wiedzieć skąd. To sływa czasem tak nagle. Taka pewność.

Znów zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie ma wpływu na takie chwile ośnienia. Niby ma dar, a jakby go nie miała.

– Muszę ją pierwszej obaczyć. Obaczyć. Chciałabym, żeby była podobna do ciebie – polewik znacząco przysunął się do Biwii. – Choć jesteś nieco za wysoka – dodał, mierząc ją dla żartu szczebelkiem od drabiny.

Młoda Wiedma przestała zwracać uwagę na zachowanie Samwoja. Zastanawiała się, co wywołuje te ośnienia. Jak je wykrzesać?

Nagle kręcące się w pobliżu sąsiedka kury rozbiegły się, trzepocząc skrzydłami i głośno gdacząc. Pojawiła się między nimi Lanka. Była zdyszana i roztrzęsiona.

– Biwio, moja matka...

Młoda Wiedma nie czekała, aż dokończy. Podbiegła do niej i chwyciła za rękę.

– Prowadź!

Biegły, trzymając się za dłonie, blisko siebie, jak przed laty. Przy chacie Lanki zebrała się już gromadka gapiów. Dziewczęta weszły pospiesznie do środka. Siecina leżała na klepisku tuż przy progu, obok kręciły się kury, wydziubując ziarno z upuszczonego dożynekowego wieńca. Nie zdążył zawisnąć nad wejściem. Młoda Wiedma spojrzała na drabinę, zazwyczaj prowadzącą na stryszek, gdzie sypiali domownicy. Teraz była oparta o ścianę nad wejściem do chaty. Złamane kikuty szczebla zwisały wymownie nad pustą przestrzenią, gdzie powinien się znajdować kolejny szczebel.

Matka Lanki leżała z nienaturalnie wykręconą ręką, wyglądała jak niedbale rzucona gałgankowa kukielka. Młoda Wiedma przyklękła przy niej i delikatnie zaczęła dotykać okolic obojczyka. Siecina zacisnęła powieki. Popłynął potok złorzeczeń i oskarżeń pod adresem wiedźmy. Biwia jednak nie zwracała na to uwagi, uważnie oglądając wykręcone ramię kobiety. Nie miała jeszcze zbyt dużego doświadczenia, ale parokrotnie nastawiała z Wiedmą złamania i zwichnięcia. Tu kości były całe, natomiast w okolicy barku widoczne było nienaturalne wybrzuszenie. Wszystko wskazywało na to, że obojczyk wypadł ze stawu. Młoda Wiedma ujęła jedną ręką za nadgarstek, drugą za łokieć chorej i powoli zaczęła przesuwając w kierunku jej głowy. Kobieta krzyczała. W końcu kość wskoczyła na swoje miejsce. Dziewczyna powoli zgięła rękę Sieciny w łokciu i położyła na jej piersiach.

– Daj jakąś chustę – zwróciła się do Lanki.

Delikatnie posadziła poszkodowaną. Owinęła jej prawy bark i rękę, starając się unieruchomić obolałą kończynę.

– Musicie teraz uważać. Do następnego nowiu noście ją tak mocno owiniętą i nie ruszajcie nią.

Matka Lanki przestała krzyczeć, złorzeczyć. Siedziała cicho ze spuszczoną głową. Ludzie powoli zaczęli się rozchodzić, bo czas był najwyższy przygotować się do procesji po polach, które dały tego roku urodzaj. Trzeba było skończyć porządki w obejściu, uwarzyć wieczerzę, umyć się i odpowiednio przyodziać.

– Knystkowa! – zawołała Biwia do kobiety, która stała wśród gapiów.

Kobieta zbierała się właśnie do odejścia. Obejrzała się lękliwie. Biała chustka zsunęła jej się na oczy. Suknia, przewleczone na lewą stronę, straszyla wielkimi sterczącymi zaszewkami.

– Ja wam żadnych czarów nie łożyłam. A te kije wtedy to nam się z Bartusem należały.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Prerażona spoglądała na Siecinę jak na wyrok, który można dostać za krnąbrność.

– Jeśli chcecie, żeby w chacie się uspokoiło, weźcie z naszego sąsiedka snopek słomy i postawcie w kącie waszej izby. Powiem ojcu, żeby dał. Zostawiajcie też na wierzchu przędę i wrzeczono, bo kikumorę macie w chacie, to jej trza zajęcie znaleźć.

Knystkowa słuchała, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Jej rozbiegane oczy zatrzymywały się to tu, to tam, konsekwentnie jednak unikały wzroku Młodej Wiedmy. W końcu przytaknęła skwapliwie i popędziła do chaty.

Dziewczyna musiała przyznać, że los Sieciny odstraszał i sama pewnie uznałaby go za skutek rzucenia uroku, gdyby nie ten brak szczebla w drabinie. Ale o tym wiedziała tylko ona i ktoś, kto niedawno trzymał go w swoich rękach.

Kiedy Dadźbóg zaczął zmierzać powoli ku zachodowi, zebrała się gromada odświętnie ubranych gospodyń pod chatą Dagona. Prosiły uniżenie Młodą Wiedmę o przychyłność i przewodniczenie Wieńcowemu. Biwia odmówiła, chowając się pospiesznie do chaty. Niewiasty strwożyły się, pełne obaw, że rozgniewały wiedzącą. Wysłały ponowną delegację z przeprosinami i ponowieniem prośby. Tym razem wyszedł Dago. Zwrócił się do przybyłych, by poczekały chwilę na zewnątrz, a on z córką porozmawia.

– Ojczy, one mnie proszą, bo się boją – próbowała się wytłumaczyć. – Nie traktują mnie jak drzewiej.

Dago odgarnął opadające w nieładzie włosy i spojrział na córkę. Podobnie spoglądała na nią parę miesięcy temu, gdy wybierała się na Ostrowie.

– I tak być powinno. Wiedźma ma budzić respekt. Zdecyduj: jesteś wciąż tą samą Biwią co drzewiej czyż Młodą Wiedmą? Jeśliś wystraszoną podwiką, siedź tutaj. Jeśliś namaszczona przez czarownice, wzbudź strach i korzystaj z przywilejów.

– Sama nie wiem – usiadła skulona na zydlu. Nie spodziewała się takiej reakcji ojca.

– Aczli ty tego nie wiesz, to skąd oni mają to wiedzieć? – wskazała ruchem głowy na ludzi przed chatą. Zbierało się ich coraz więcej. – Nie da rady iść dwiema drogami naraz.

Wstała. Zdjęła zapaskę, rozczesła włosy ulubionym rogowym grzebieniem. Chwyciła ojca za ręce.

– Słusznie prawisz, ojczy. Nie jestem już tą Biwią co drzewiej, jestem czarownicą. Młodą Wiedmą.

Chciała utartym zwyczajem pochylić się i ucałować rodzicielską dłoń. Dago jednak nie pozwolił na to. Mocno przytrzymał jej rękę, przyklęknął i sam złożył pocałunek.

Wieńcowe okazało się bardzo udane tego roku. Młoda Wiedma z godnością przyjęła dożynkowy wieniec, przewodnicząc obrzędowi. Inicjowała śpiewy dziękczynne ku czci Matki Ziemi oraz prośby o dostatnie życie. A kiedy już w siole śpiewy obrzędowe zastąpiono rubasznymi przyśpiewkami podczas biesiadowania, czarownica opuściła rozradowane towarzystwo. Uznała, że takie zabawy to już nie jej świat i nie musi w nich uczestniczyć. Spacerowała po osadzie, żegnając się bezgłośnie z chatami, drzewami i krzewami. Żegnała się też ze swoim dzieciństwem.

– Najwyższa pora ruszyć swoją drogą – szepnęła do kota, który podązał za nią jak cień.

Jantar miauknął w odpowiedzi. Na pewno się zgodził ze swoją panią. Kto jak kto, ale kot wiedział najlepiej, co to znaczy chodzić własnymi drogami.

12 Stępa – urządzenie do obłuskiwania i kruszenia ziarna na kaszę.

Aura



Kolejne miesiące upływały Młodej Wiedmie na pilnej nauce. Jesienią wyspę odwiedzało znacznie więcej chorych niż wiosną i latem. Uczyla się zamawiać choroby, robić napary, odwary, lecznicze nalewki, maści. Poznawała kolejne zioła i ich zastosowania. Odczyniała uroki, przeganiała przestrach. Stara Wiedma z imponującą wprawą wyczuwała miejsca zapalne u chorych, leczyła je ziołami oraz magicznymi zabiegami. Młoda długo nie potrafiła ich odnaleźć. Stawała jednak nad każdym uskarżającym się na różne dolegliwości i skupiała całą uwagę na wyczuwaniu ciepła emanującego z jego ciała. Powoli uczyla się dostrzegać aurę chorego i lokalizować miejsca wycieku energii. Pierwszy raz udało się jej, gdy przyszedł młody chłopiec z opuchniętym policzkiem. Biwia po raz pierwszy dostrzegła, że wokół jego głowy zaburzone są kolory. Stara Wiedma orzekła, że pomoc mu może tylko spalanie róży. Polegało ono na rytualnym spaleniu dziewięciu kulek z włókien lnu. Dziewczynie znany był ten magiczny i nader skuteczny zabieg, ale tym razem ujrzała, jak unoszący się dym połączył się z barwną poświatą emanującą z ciała chłopca, zamykając wyrwę, którą uchodziła energia.

Zaczynała rozumieć istotę takich magicznych poczynań. W miarę, jak nabierała wprawę w wyczuwaniu i obserwowaniu aury, tym bardziej niepokoił ją widok nauczycielki. Aura staruszki była coraz bardziej wyblakła, z każdym dniem zawierała mniej barw. Wiedma traciła siły. Wstawiała już tylko, gdy przychodzili chorzy, a i wtedy w miarę możliwości wysługiwała się Biwią. Na próżno dziewczyna przygotowywała napary na wzmocnienie, odmawiała zaklęcia i w zamkniętym kręgu przekazywała Wiedmie swą energię. Nawet modlitwa przy Świętym Dębie wiele nie pomogła. Po prostu kończyła się nić, którą przed wieloma laty uprzedły rodnanice. Trzeba więc było ją jak najlepiej spożytkować i utkać z niej, ile się da.

Chorzy odwdzięczali się za leczenie i porady, a kobiety dzięki temu miały jak zapłacić robotnikom, których zatrudniły do budowy domu dla Damroki. Młoda Wiedma coraz lepiej rozumiała mądrość tradycji zabraniającą mieszkania dziecku w chacie wiedźmy. Ludzie przynosili rozmaite choroby i trzeba było co rusz okadzać izbę, żeby ją oczyszczać od złych mocy. Mimo to wciąż była obawa, że jakaś przeganiana magicznymi zaklęciami choroba załęgnie się w synu Damroki, którego aura dopiero się rozwijała. Wszyscy więc odetchnęli z ulgą, gdy przed zimą stanęła niewielka chata niedaleko domu wiedźm.

Podczas budowy pod przyciesią¹³ zakopano czarnego koguta, skorupki jaj oraz rogi koziołka, by chroniły dom przed złymi mocami i zapewniały dostatek. Nad wejściem i na ścianach zawieszono zioła ochronne. Miłosz przyniósł też kolczaste gałęzie do palenia, mające podobne działanie. Przed

przeprowadzką Damroka uroczyste wniosła do nowego domostwa chleb, by go nigdy nie brakowało, oraz sól, mającą moc oczyszczającą i ochronną.

Opadające po nocnych przymrozkach liście zapowiadały zbliżające się jesienne święto Dziadów. W końcu nadszedł ten uroczysty dzień. Miłosz spędzał go, jak zwykle, na wzgórzu pośród drzew, gdzie została pochowana Winia. Palił ognisko, wierząc, że ogrzewa w ten sposób duszę zmarłej. Mówiono, że płomień oraz unoszący się dym wskazują drogę tułającym się po świecie duchom i dzięki temu odejdą na spoczynek do Wyraju. Miał nadzieję, że kiedyś w końcu to nastąpi i duch dziewczynki opuści ziemię. Przygotował też, zgodnie z tradycją, uroczysty poczęstunek, w którym uczestniczyli mieszkańcy wyspy, dzieląc się z Winią świętecznym posiłkiem.

Tego właśnie dnia, tuż przed zmrokiem, od strony cypla zbliżał się okutany w barani kożuch człowiek. Szedł niepewnie, wciąż się rozglądając, najczęściej spoglądał za siebie. Mimo zimna miał odkrytą głowę, a futrzaną czapkę trzymał w dłoniach. Widząc siedzących przy ognisku, zatrzymał się w pewnej odległości i przytulając nakrycie głowy do piersi, zgiął się w ukłoncie.

– Późną porą przybywasz, gościu! – zawołała doń Młoda Wiedma. – Podejdz ku nam i rozgość się.

Człowiek postąpił kilka kroków naprzód i znów się zatrzymał, by się rozejrzeć. Damroka spojrziała w kierunku, gdzie zwrócona była Biwia, a potem zdziwiona popatrzyła na dziewczynę. Miłosz jak zwykle spoglądał gdzieś w dal, poza zbliżającą się postać, co nie dziwiło nikogo, bo wszyscy wiedzieli o nieuleczalnej chorobie oczu mężczyzny.

Przybysz podszedł onieśmielony i skłonił się ponownie.

– Usiądź z nami przy ogniu, posil się i powiedz, kim jesteś i co cię tu sprowadza o tej porze? – tym razem zachęciła przybysza stara Wiedma.

Człowiek odchrząknął. Spojrzał łączywie na rozłożony posiłek, ale nie poczęstował się. Był wyraźnie czymś przejęty i przestraszony.

– Jestem Gościwit, rybak. Moja chata stoi przy zakolu Sanu. Nie chcę sprawiać kłopotu – przybysz podniósł się i znów uniżenie uklonił.

– To dobrze, że nie chcesz – odparła rozsądnie staruszka. – Kto by chciał kłopotów? Ale skoroś przybył, to widocznie jesteś w potrzebie.

Mężczyzna, nieco już ośmielony, znów usiadł, jednak nadal mocno zaciskał palce na czapce.

– Dobrze prawisz, Wiedmo. Mówią, że jak człowiek czego nie wie, to do wiedzącej iść musi. Tak też uczyniłem.

– To wyduś wreszcie, co cię trapi.

– Chciałem nałapać jak największą rybę, bo pełnia się zbliżała. A że płynąca rzeką kłoda sunęła prosto w założone więcierze¹⁴, skoczyłem do wody je ratować. Nie zdołałem. Porwała wszystko w strzępy. Wróciłem się więc do chaty po te, com je naprawiał ostatnio. I wiecie, com zobaczył? Ducha! Tłukł się po izbie i straszył mi żenę i dziatki. Kazałem mu iść precz! A on wiecie, co mi rzekł? Że to jego chata i nigdzie nie pójdzie. I tak mnie już gnębi od kilku nocy. Żena i dzieci ciągiem tylko płaczą.

– A skąd wiecie, że to duch? – wtrąciła się Biwia.

– Bo siny, napuchnięty, z wybaluszonymi oczami. Jak nic utopiec. Do łodzi mi też włazi. Nawet tu, na Lędo, jakim płynął, to mi włazł i musiałem go wypchnąć.

Damroka przytuliła mocniej syna, który opatulony spał smacznie w jej ramionach. Błada podniosła się i tłumacząc, że musi położyć go do kolebki, poszła do chaty. Była tak przejęta, że omal nie weszła na gościa, który chyżo odsunął się, robiąc jej miejsce. Miłosz w milczeniu wpatrywał się w żar ogniska, pociągając co chwila łyk pitnego miodu.

Utopiec. Błąkający się duch człowieka, który zginął gdzieś w odmętach wody. Młoda Wiedma

słyszała wiele opowieści o utopcach. Bywają złośliwe, jak każdy, kto zginął przedwcześnie, nie będąc gotowym na pożegnanie ze światem. W odwecie wciągają innych do wody, by podzielnili ich smutny los. Mieszkają w jeziorach, stawach, rzekach. Ale w chacie?

– Do kogo wasza chata należała, zanim w niej zamieszkaliście? – spytała.

– Też do rybaka, ale utopił się parę zim temu. Łód pod nim pękł, gdy niewód¹⁵ z przerębli wyciągał. Myślicie, że to on?

– A któżby inny – wtrąciła się stara.

– Wiedząca jesteście. Radźcie, jak się go pozbyć. Żena w takim przestrachu jest, że nie da się z nią porozumieć.

Wiedma w zamyśleniu wyciągnęła zgrabiałe ręce w stronę ognia. Miłosz, widząc, że siostrze zimno, podsunął jej bukłaczek. Stara chętnie przyjęła dar. Popijała łakomie trunek, nie zwracając uwagi na wyczekującą postawę brata, który spodziewał się, że bukłak zostanie mu zaraz zwrócony. Albo było jej tak zimno, albo mocowała się z jakimiś myślami. W końcu odezwała się, ważąc każde słowo.

– Łędo to spokojne jezioro. Przenieś się tutaj. Zawsze będziesz u nas mile widziany, a przybywający na Ostrowie będą ci chętnie składać żertwę.

Zapadło milczenie. Biwia z niedowierzaniem spoglądała to na starą, to znów na przybysza. Co to za rada? Zostawić rodzinę z jakimś utopcem? I gdzie zamieszkać? Na wyspie? Tu? Z nimi? No i gdzie konkretnie? W chacie Wiedmy czy Damroki? I dlaczego jemu mieliby składać żertwę? To on powinien przebłagać utopca. Złożyć mu w ofierze czarnego koguta albo jakieś inne zwierzę o ciemnej maści. Może ułaskawiony duch zostawiłby ich dom.

– Tutaj? – spytał zdziwiony mężczyzna. – Taka jest twoja rada? A żena? Dzieci?

– Daj im spokój. Pozwól zapomnieć. Tobie też będzie bez nich lepiej.

– A tej dziewczeczce nie będę przeszkadzał? – wskazała na świetlistą postać między drzewami.

Biwia spojrzała we wskazanym przez mężczyznę kierunku i zerwała się.

– Wi...widzicie ją, Gościwicie? – zająknęła się.

– Tak. A nie powinienem? – zdziwił się przybysz.

Dziewczyna dopiero teraz zauważyła, że gość, mimo że siedzi przy jasnym ogniu, nie rzuca cienia. Nie ma też aury. Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegła? W tym momencie dotarło do niej, dlaczego Damroka omal nie weszła na niego. Ona go nie widziała! Dlatego tak ją przeraziły ich rozmowy i pospiesznie odeszła do chaty. Domyśliła się, że rozmawiają z duchami.

Stara, podobnie jak Biwia, nie odpowiedziała na pytanie. Nie lubiła poruszać tematu zmarłej dziewczynki. Musiała jednak pomóc odnaleźć się zagubionej duszy.

– Gościwicie, ta kłoda na rzece, ona nie tylko wasze więcierze porwała, ale i przerwała nić waszego żywota. Musicie się z tym pogodzić. Jak zostanieie w chacie przy zakolu Sanu, będziecie cierpieć wy i wasza rodzina. A tamtego utopca oni nie widzą, jako i wy nie widzieliście przez tych kilka zim. Łędo, jak mówiłam, to spokojne jezioro. A teraz ugoście się i napijcie miodu, bo dzisiaj wasze święto.

¹³ Przycieś (podwalina) – podstawa, na której opiera się ściana.

¹⁴ Więcierz – sieć na ryby..

¹⁵ Niewód – rodzaj sieci rybackiej.

Smyrtnica



Kiedy będę odchodzić, nie zatrzymuj mnie – poprosiła Wiedma słabym głosem.

Staruszka od kilku dni nie wstawała już ze swego legowiska. Rysy jej jeszcze bardziej się wyostrzyły, oczy zapadły, tęczołki zmętniały. Nie chciała już przyjmować pokarmów. Piła tylko wzmacniające ziołowe napary. Ze spokojem poddawała się okadzaniu, zaklinaniu i innym zabiegom Młodej Wiedmy. Widać jednak było, że traciła wolę życia. Potrzebowała odpoczynku. Długiego odpoczynku. Srebrzysty kot też nie schodził z posłania swej pani. Nie chciał jeść ani pić, tylko ogrzewał jej wychudzone ciało swoim energetyzującym ciepłem.

– Nie możesz jeszcze odejść. Dopiero zima się kończy. Przecie nie nauczyłaś mnie wszystkiego – Bivia chwyciła swą nauczycielkę za rękę. Tak bardzo chciała ożywić jej aurę, wzmocnić stare ciało.

– Od pierwszego dnia byłaś uprzedzona, że nie zdążę cię całkiem wprowadzić. Zgodziłaś się. Togodla pozwól mi odejść.

Staruszka mówiła z trudem. Spoglądała na swą uczennicę spod przymrużonych powiek. Wydawało się przez to, że cały czas ma zamknięte oczy. Odpoczęła chwilę i znów się odezwała:

– Nie można przeszkadzać w tej drodze. Kiedyś zawróciłam pewną startkę i tchnienie powróciło do jej ciała. Przez następne dni i noce mnie przeklinała i pytała bolesciwie, dlaczego jej to uczyniła. A i tak Nyja się o nią upomniała. Rodzance nie lubią, gdy się sztukuje nić, którą uprzedły, zwłaszcza gdy im wyszła całkiem długa.

Mówienie ją męczyło. Zamilkła, tylko ciężki oddech wciąż świszcział. Młoda Wiedma z trwogą wysłuchiwała jej ostatniej woli. Im dłużej terminowała u swej mentorki, tym większą miała świadomość własnej niewiedzy. Jak sobie teraz sama poradzi? Jeśli przyjdą do niej lub ją wezwą, a ona nie będzie wiedziała, jak pomóc? Co będzie, jeśli nieumyślnie komuś zaszkodzi? Przybyła do Wiedmy, gdy wiosna była w pełni. Teraz zbliżała się równonoc wiosenna: czas modlitw do Swaroga, by posyłał swego syna na nieboskłon, czas powrotu ptaków z Wyraju, czas rozkwitu nowego życia. To nie jest dobra pora, by umierać. Zanim dusza trafi do Wyraju, wszystkie ptaki już przylecą. A przecież one przynoszą nowe życie i zaszczepiają je w brzemiennych. Wiedma będzie tam w zaświatach sama?

Mrok spowijał już wyspę. Księżycyca ubywało, a jego blask niknął w kłębach ciemnych, deszczowych chmur. Pod chatą Wiedmy rozległ się płaczliwy, zawodzący głos. Wydawać by się mogło, że to zabląkał się jakiś marcujący kot, bo na wyspie mieszkwały zdziczałe kociaki. Jantar jednak na ten dźwięk nie podniósł nawet łebka, a srebrzysty kocur mocniej wtulił się w swoją panią.

– Smyrtnica mnie wzywa – szepnęła staruszka. – Chce mnie przeprowadzić. Wpuść ją – zażądała.

Biwia czuła ucisk w żołądku. Podniosła się i skulona ruszyła poskuszenie w stronę wejścia. Nie stanęła naprzeciw, obawiając się, by duch śmierci nie przeszedł przez nią, tylko pchnęła drzwi, ukrywając się za ścianą.

Ujrzała mglistą postać, która przemieszczała się niczym obłok. Jasna mgielka zatrzymała się u stóp chorej.

– Rozsupłaj wszystkie węzły – poprosiła stara.

Młoda Wiedma, omijając półkolistą smyrtnicę, podeszła do posłania. Rozwiązała sznur, którym staruszka była opasana w talii, delikatnie go wyciągnęła spod prawie bezwładnego ciała i rzuciła na ziemię. Rozsupłała rzemyki kaptorgi i rozplotła jej włosy. Potem rozpuściła swoje. Srebrzysty kot podniósł się i położył obok stóp swej pani, wpatrując się podejrzliwie w przybyłego gościa.

Do chaty wszedł Miłosz. Nie widział smyrtnicy, ale domyślił się, co się dzieje. Podeszedł do siostry i ucałował ją w czoło. Potem przyklęknął u jej wezgiłowia, gładząc ją po policzku, to znów po kościstej, pergaminowej dłoni. Wiedma otworzyła oczy i lekko uśmiechnęła się do niego, ale już się nie odezwała.

Czuwali przy umierającej całą noc. O świcie Miłosz wyszedł po drewno. Kot przeniósł się na drugą stronę legowiska i przytulił pyszczek do policzka swej pani. Biwia nagle skonstatowała, że duch śmierci jest już u wezgiłowia. Wiedma spała. Oddech miała jak nigdy dotąd: spokojny, głęboki. W pewnym momencie nabrała więcej powietrza, które po chwili uszło w ostatnim tchnieniu. Ciało zmarło w bezruchu. Szara aura Wiedmy rozplynęła się w mglistym obłoku smyrtnicy. Mleczna chmura zawirowała nad legowiskiem, następnie zmieszała się z dymem nad paleniskiem i przeniknęła przez szczeliny u szczytu chaty.

Kot żałośnie zamiauczał i pobiegł w stronę drzwi, w których stał Miłosz z naręczem chrustu. Przemknął pomiędzy nogami mężczyzny i zniknął. Ten rzucił gałęzie i podeszedł do siostry. Ujął przegub jej dłoni, dotknął czoła, szyi. Biwia klęczała przy legowisku Wiedmy wpatrzona szeroko rozwartymi oczami w unoszący się nad paleniskiem dym. Miłosz przyklęknął przy niej i nieśmiało przytulił ją do piersi. Młoda Wiedma jakby się przebudziła i zaszlochała.

Przygotowania do pożegnania Wiedmy absorbowwały wszystkich mieszkańców wyspy. Damroka udała się do pobliskiej wioski, by powiadomić o śmierci starej czarownicy. Biwia i Miłosz przygotowywali ciało zmarłej do drogi. Umyli je, a następnie wylali zużyta wodę daleko poza obręb gospodarstwa, a naczynie rozbili. Wyjęli ze skrzyni śmiertelnicę – płócienny materiał pozbawiony szwów, węzłów, które mogłyby utrudnić duszy wędrówkę. Owinęli ciało zmarłej i położyli na gołej ławie postawionej na środku izby. Biwia okrążyła je trzykrotnie, okadzając wonnymi ziołami.

Kolejny dzień to czas dalszych przygotowań. Miłosz na łące układał stos na ciałopalenie. Gromadził przedmioty należące do Wiedmy, które powinna zabrać ze sobą, by nie kuśli jej już powrót między żywych, ale przede wszystkim, żeby jej niczego nie brakowało, gdy świadomość zmarłej dotrze do Wyraju, a druga część duszy trafi do Nawii pomiędzy przodków. Biwia była przekonana, że z Wyraju powróci kiedyś kolejne wcielenie Wiedmy, by zachował się cykliczny porządek Natury. Jak mówiła jej nauczycielka, co zostało zabrane, zostanie oddane.

Młoda Wiedma wraz z Damroką przygotowywały tryznę. Poczestunek po ciałopaleniu powinien być obfity i zadowolici zarówno zmarłą, jak i wszystkich jej gości. Nie mogło więc się obejść bez kutii, tradycyjnej potrawy, którą przygotowywano również na wiosenne i jesienne święta Dziadów. Wdowa po Czycborze zabrała się za przyrządzanie tego wybornego dania, na które składały się ziarna pszenicy, maku, słód, orzechy i miód. Skrupulatnie objąła płócienny worek wypełniony wilgotną pszenicą, by pozbyć się twardych łusek, w garncu moczyła mak, a w moździerz rozdrabniała orzechy. Biwia

natomiast piekła kołacz. Spodziewano się wielu gości, którzy przybędą pożegnać się z wiedźmą. Wieść o jej śmierci rozeszła się lotem błyskawicy.

Na drugi dzień Ostrowie, dżgane licznymi czołnami, ugięło się pod stopami ludzi z okolicznych wsi i z grodu. Wszyscy chcieli oddać hołd wiedźmie, która niejednokrotnie nosła im pomoc i służyła mądrą radą. Dobrze też było pokazać się młodej czarownicy i zjednać sobie jej przychylność.

Ciało Wiedmy, otulone płócienną śmiertelnicą, złożono na pogrzebowym stosie. Obok położono jej strój, sznur, którym się przepasywała, kaptoregę oraz ulubione naczynia. Kiedy Dadźbóg wznosił się najwyżej, jak potrafił wiosenną porą, rozpalono stos. Ogień, mający moc oczyszczającą, pomagał duchowi zmarłej ulecieć wysoko w niebo do Wyraju, gdzie wędrować będzie przez czterdzieści dni. Wszyscy w skupieniu żegnali Wiedmę. Pomiędzy ludźmi zaroilo się od różnych stworzeń. Był pośród nich rudowłosy domowik, ocierający co rusz oczy i mokre od łez wąsy, była jak zawsze smutna bieda, nad nią unosił się pokraczny błotnik. Korpulentny bzonek trzymał wiecheć gałązek czarnego bzu. Utopiec Gościwit miętosił swoją baranią czapę. Zza jego pleców zaglądał niewielkich rozmiarów plonek, grzebiąc niecierpliwie swymi kurzymi nóżkami. Były różne istoty półludzkie i półwierzące, których Biwia nie знаła. W oddali przyglądał się uroczystości leszy.

Ogień wygasł. Kiedy żar zamienił się w popiół, Miłosz i Młoda Wiedma zebrali go i z czcią wysypali do pogrzebowej popielnicy. Następnie zakopali urnę w ziemi na wzgórzu, gdzie pochowana była Winia. W ten sposób oddali Matce Ziemi, co do niej należało, i umożliwili zmarłej wędrowkę do Nawii.

Przed zachodem słońca zaczęto uctwowanie. Goście zasiadali przy wystawionych przed chatą ławach albo tłoczyli się z kubkami, czerpakami przy beczie wypełnionej pachnącym chmielem piwem. Wspominali spotkania z Wiedmą, opowiadali o przypadłościach i chorobach, które leczyła. Niektórzy rozwodzili się o swoich problemach, które ich dręczą, inni udzielali im rad.

Biwia krzątała się między gośćmi. Z każdym starała się chwilę porozmawiać.

– Słyszeliście, że na Jare Gody będzie swańca? Bartnik, któremu żona zmarła w połogu zeszej wiosny, będzie brał wdowę po rybaku znad Sanu. Niewiasta krasna, robotna, dzieciśka ma już podchowane – dzieliła się nowinkami rumiana na twarzy, tęga kobieta.

– Mówili, że zaraz po tym, jak ten jej się utopił... – zaczęła druga, rozglądając się z niepokojem, jakby zdradzała jakąś tajemnicę. – To w ich chacie straszło – niewiasta, mimo że rosła i dorodna, wyglądała jak przestraszone kocię. Pochyliła się do swej równie słusznej postury przedmówczyni i wyjawiała z drżeniem: – Dopiero po Dziadach jak ręką odjął. Wszystko się uspokoiło.

– A ona też mogłaby jeszcze śmiało iść w swańcę – wtrąciła się rumiana niewiasta, widząc Damrokę karmiącą piersią syna. – Ja to jej takiego męża wyswatam, że hej! – zawołała.

Biwia postanowiła zmienić temat rozmowy, więc wybrała inne towarzystwo.

– Wiedmo! – zawołał szeroki w barach mężczyzna. Dziewczyna obejrzała się. To był kowal. Zwali go Jaromił. Całą okolicę zaopatrywał w lemiesz, sierpy, noże i toporki. Potrafił też wytwarzać piękne ozdoby dla kobiet. Jego żona pobrzękiwała misternie wykutymi zausznicami, a córka kabłączkami skroniowymi zawieszonymi na kraje. – Przysiądź się, proszę.

Mężczyzna trzymał w dłoniach nóż należący do Miłosza, który Biwia położyła na stole, by można było ukroić kołacz czy kawałek suszonego mięsa.

– Cudny – westchnął kowal.

– Krasna rękojeść – przyznała Biwia, po raz kolejny podziwiając wyrzeźbioną na rogowym uchwycie lunulę¹⁶.

– Nie rękojeść – machnął z lekceważeniem mężczyzna. – Cudne ostrze. Ja nie mam tak czystej rudy, iżby takie szlachetne żelazo wyszło. Wygląda, że zrobione pod Łysymi Górami. Słusznie prawię?

– Nie wiem – odparła ze smutkiem Biwia. – I pewnikiem się nie dowiem, bo Miłosz nie mówi, a Wiedma zabrała ze sobą tę tajemnicę, tak jak wiele innych.

– Jak nic pod Łysymi Górami. Widziałem żelazo, jakie tam robią. Śliczności.

Oddał z namaszczeniem kozik dziewczynie. Biwia odniosła go do chaty. Miłosz siedział w izbie przy palenisku. Przykucnęła obok i pokazała mu na otwartej dłoni nóż.

– Czy ten kozik jest spod Łysych Gór? – spytała.

Miłosz spojrział na narzędzie, potem na dziewczynę i przytaknął. Wziął kozik i z westchnieniem pogładził rękojęść.

Ludzie zaczęli zaglądać do chaty, by pożegnać Młodą Wiedmę, spieszyli się przed zapadnięciem zmroku. Biwia wyszła więc, by każdemu poświęcić choć odrobinę uwagi. Zapraszano ją na świętowanie Jarych Godów. Obiecała, że się pojawi. Niewiasty zostawiały jej w prezencie kolorowe kraszanki, żeby miała czym wykupić się podczas świąt. Niektórzy jeszcze wykorzystywali ten czas, by poskarżyć się na różne dolegliwości, poradzić się. Kowalowi przyznała rację, że ostrze kozika pochodzi spod Łysych Gór, co wprawilo go z jednej strony w zadowolenie, że jest takim znawcą, a z drugiej znowu pobudziło do narzekań, że on nie ma takiej czystej rudy do obróbki. Żegnała się z każdym z gości. Tym, którzy przybyli z odległych stron, musiała przygotować posłanie. Ostatnich, którzy już po zmroku opuszczali wyspę, odprowadziła do cypla, przyświecając im pochodnią. Kiedy się kładła, była późna noc. Goście, którzy zostali na noc, już spali przy palenisku. Jantar czekał na jej posłaniu. Srebrzysty kocur nie wrócił.

Młoda Wiedma mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Rozmyślała o minionym dniu, o tym, jak postrzegają ją ci wszyscy ludzie, którzy tu przybyli. W ich oczach jest przecież pełnoprawną wiedźmą, tą, która wszystko wie. Następczynią poprzedniej Wiedmy. Ona jednak wiedziała niewiele. Czowała, że udaje przed tymi ludźmi kogoś, kim nie jest.

Przypominała sobie inicjację. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób Miłosz może zostać jej przewodnikiem, skoro nie mówi. Zastanawiała się też, czy te wiedźmy, które widziała tańczące wokół ołtarza w jaskini, były tam naprawdę, czy też to jakiś rodzaj fantasmagorii. Jeśli one istnieją, to jak się z nimi skontaktować? Gdzie szukać pomocy? Dlaczego nigdy o to nie zapytała Wiedmy? Brakowało jej staruszki. Wiedziała, że teraz na każdym kroku będzie musiała radzić sobie z przeszkodami sama.

A Bartus? Czy powinna pozwolić ukochanemu bratu żyć w świecie boginek? W świecie, w którym człowiek jest istotą ułomną, pogardzaną, wyszydzaną. Czy pogodzić się z tym, że będzie on już zawsze bezwolną istotą pod wpływem ich magii? Że będą go wykorzystywać do swych samolubnych celów?

Uświadomiła sobie, że zazdrości Wiedmie. Najchętniej podążyłaby za nią. Nie wiedziała, że tej nocy do takich samych wniosków dochodził również Miłosz. Nie czuł się już na siłach wspierać Biwii. Pragnął odpoczynku, tęsknił za Winią i siostrą. Pragnął śmierci.

16 Lunula – symbol księżycy w kształcie sierpa.

Krzemień pasiasty



O d śmierci Wiedmy minął miesiąc. Miłosz był coraz słabszy. Powoli większość jego obowiązków przejmowała Damroka. Mężczyzna przesiadywał godzinami na wzgórzu, w miejscu pochówku ukochanych niewiast. Jediną jego rozrywką i przyjemnością były zabawy z synem Czycibora, więc często zaglądał do niego, dając jego matce chwilę wytchnienia albo możliwość wykonania jeszcze jakiejś pracy.

Tego dnia wyszedł wcześniej rano. Młoda Wiedma nie wiedziała, gdzie się udał. Przypuszczała, że na połów ryb, bo nie było pod chatą sieci. Sama jednak miała zajęcie, bo trzeba było ususzone wiosenne zioła przygotować do przechowywania. Po całym dniu spędzonym w owinie wyszła utrudzona. Zmierzch nie pozwalał jej dokończyć zaplanowanej pracy. W chacie było ciemno. Wygasł ogień w palenisku, co oznaczało, że Miłosz jeszcze nie wrócił. Zaniepokojona postanowiła zajrzeć do Damroki i sprawdzić, czy tam nie zatrzymał się dłużej. Zawsze zanosił wdowie świeże ryby do sprawienia.

Niemój już spał. Tak nazywali chłopca, póki nie otrzyma prawdziwego imienia podczas postrzyżyn. Damroka przy ogniu szyła synowi ubranko, bo szybko rósł i nie miała już w co go odziać. Zaniepokojona wieścią, że Miłosz nie wrócił do domu, rzuciła swą pracę, chwyciła pled, bo wieczory były jeszcze zimne, i zadeklarowała pomoc w poszukiwaniach. Wyszły przed chatę.

Nieopodal ścieżką ktoś szedł. Nie był to Miłosz, bo postać nie miała tak słusznej postury jak brat nieżyjącej Wiedmy. Biwia zaproponowała towarzysze, by ruszyły z łuczywem wzdłuż ścieżki. Kiedy zbliżyły się do nieznanego, dziewczyna zobaczyła, że postać ma na sobie futrzany kozuch, w rękach miętosi czapkę i rozgląda się trwożliwie wokół. Poznała Gościwita.

– Wiedmo – ukłonił się nisko przybyły. – Idźcie szybko na cypel i zróbcie coś, bo ja nie będę dzielił się miejscem z kolejnym utopcem. Wolę być sam w jeziorze.

Damroka nie widziała ani nie słyszała mieszkańca Łęda. Widząc jednak, że Biwia ruszyła biegiem w stronę przystani, popędziła za nią. Za kobietami tylko zostawała jasna smuga z płonącego łuczywa. Na brzegu leżał twarzą do ziemi jakiś człowiek. Gdy podbiegły bliżej, okazało się, że to Miłosz. Ociekał wodą, nie ruszał się. Damroka, która większość życia spędziła wśród flisaków, wiedziała, jak ratować topielca. Szybko odwróciła go na plecy, otworzyła mu usta, potem palcami ścisnęła nozdrza i wpuściła w niego cały haust powietrza. Następnie zaczęła mocno, miarowo uciskać jego klatkę piersiową. Znowu wdech i znowu uciski. Biwia, tym razem wyreżona w fizycznym udzielaniu pomocy, zakreśliła

luczywem okrąg i usiłowała przepędzić niemoc zakłęciami. Mężczyzna zaczął się krztusić. Damroka przewróciła go na bok, żeby zwymiotował wodę, która zalegała mu w piersiach.

Miłosz po chwili spojrzał już przytomnie. Położył się z powrotem na plecach. Oddychał z trudem, co chwila pokaszlując.

– Wychylił się za mocno, rzucając niewód – tłumaczył Gościwit. – Wpadł jak kamień w jezioro. Łódź podryfowała, a on zaplątał się w wodorosty i nie mógł wypłynąć. Ale się namęczył, żeby zmusić te czepliwe rośliny, by go puściły. Potem wezbrałem wielką falę, żeby wyniosła go na brzeg.

– Pewnikiem to sprawka jakiegoś utopca – westchnęła Damroka, pomagając Miłoszowi usiąść, by łatwiej było mu odkrztuszać wodę.

Gościwit oburzył się.

– Pewnikiem – powtórzył z przekąsem. – Ludzie nie baczą na siebie, narażają swój żywot, a potem kto wszystkiemu winien? Utopiec. A jakże. Na kogoś trzeba zrzucić winę.

– Trza mu jutro ofiarę jaką złożyć, iżby nie dokuczał – dodała wdowa.

– To ja ratunek noszę i tak dokuczam? Tak? – Gościwit był coraz bardziej rozdrażniony.

– Może urnę jutro łeb temu kurowi, co to po wszystkich skacze, i rzucę utopcowi? Naje się, to mu się ludzi odechce.

Damroka prowadziła swój monolog, skupiając całą uwagę na oklepywaniu pleców Miłosza. Nie widziała Gościwita ani nie przeczuwała, jak go rozdrażnia. Ten ze złości rzucił czapkę na ziemię. Ruch ten poruszył spokojną taflę jeziora, które posłało w stronę wyspy falę. Wiatr przeszył chłodem przebywających na brzegu, a woda zniecka obmyła ich stopy.

– Oho! – zawołała Damroka. – Utopiec się dopomina ofiary! – utwierdziła się w swych przekonaniach. – Jutro dostaniesz krwistego kuraka! – krzyknęła w stronę wody.

– Powiedz jej, że mam w rzyci jej ofiarę! – zawołał rozstrojony nie na żarty. – Wiedmo, przecie wiesz, że ja mu nie uczyniłem krzywdy. Zawołałem cię, bo nie lubię, jak inne utopce płaczą mi się po okolicy. Gdyby tak nie było, zostałbym przy zakolu Sanu!

Kolejna fala sięgnęła tym razem kolan. Woda miała w sobie nieprzyjemny chłód.

– Przestańcie! – krzyknęła w końcu Biwia.

Gościwit i Damroka ucichli speszeni. Jednak ani jedno ani drugie nie skończyło przedstawiać swoich racji, więc po chwili obydwoje w tym samym momencie się odezwali:

– Ale...

– Dość! – wrzasnęła Młoda Wiedma. – Damroko, utopiec w naszym jeziorze jest przyjazny ludziom, ale źli go twoje gadanie, więc go lepiej nie drażnij, bo on sam jeszcze nie zna swojej siły, gdy w nim złość zagotujesz. Gościwicie, dziękuję ci za ratunek Miłosza i żeś nas bystro wezwał. Wiesz, żeś zawsze u nas mile widziany.

Wdowa zrozumiała, że utopiec jest tuż obok. Prerażona chciała jak najprędzej wrócić do chaty. Pomogły więc Miłoszowi się podnieść i trzymając go pod ramiona z obu stron, powoli zaprowadziły do domostwa. Biwia zdjęła z niego mokre szaty i roztarła na przemarzniętym ciele rozgrzewającą maść. Potem okryła go wełnianym pledem i futrzaną narzutą. Wzięła się za rozpalamie ognia, żeby ogrzać izbę i zrobić napar z ziół. Czuwała przy nim całą noc, z niepokojem obserwując coraz ciemniejszą aurę wokół ciała mężczyzny.

Kolejne dni i noce spędzała na przygotowywaniu naparów, zaklinaniu, okadzaniu. Jednak ani liście brzozy, ani podbiał, ani rumianek, ani żadne inne zioła nie potrafiły na tyle rozgrzać jego aury, by nabrała barw. Czosnek, miód też niewiele pomagały. Smarowanie piersi pszczelim woskiem przynosiło

ulgę, ale Miłosz wciąż miał problemy z oddychaniem, czuł silny ból w piersiach, gorączkował. Młoda Wiedma zaczęła tracić nadzieję. Tym bardziej utwierdziła się w przekonaniu, że Miłosz odchodzi, gdy pewnej nocy ujrzała przy jego łożu księżycową dziewczynkę. Stała przy nogach chorego. Biwia domyślała się, że przyszła po niego.

– Nie wpuściłam cię – odezwała się do ducha.

Winia zmarszczyła czołko, oczy zwęziły jej się w przypominające pioruny szparki.

– Ta chata była moja, zanim tu przybyłaś – odparła. – Nie potrzebuję twego zezwolenia.

Młoda Wiedma obawiała się, że Winia przybyła tu w imieniu smyrtnicy i zabierze Miłosza jak tamta jego siostrę. Wprawdzie jeszcze nie stała u jego wezgłowia, tylko przy nogach, co dawało niewielką nadzieję na uzdrowienie chorego, jednak w każdej chwili zjawa mogła się przemieścić. Świetlista dziewczynka w skupieniu obserwowała leżącego mężczyznę.

– Miłosz chce, byś wyruszyła pod Łyse Góry. Jak najrychlej.

– Ja? Mam go zostawić w takim stanie? – zdziwiła się Biwia.

– Tylko tak zdołasz mu pomóc – odparł srebrzysty duch. Wydawało się, że ma jakiś telepatyczny kontakt z chorym. – Pod Łyścem żyje czarownica Caryczka. Najdź ją. Jej znakiem jest lunula. Ta sama co na koziku Miłosza. Weź ze sobą ten nóż. Bez niego nic nie zdziałasz.

Dziewczynka niespodziewanie zniknęła. Biwia chciała jeszcze zapytać, którędy iść, co ma powiedzieć tej czarownicy i jak to może pomóc Miłoszowi, ale na próżno czekała. Duch się już nie pojawił. Na wpół siedząc, zasnęła, oparłszy głowę na pościeli chorego.

Obudził ją świergot ptaków, które powróciły po długiej zimowej nieobecności. Młoda Wiedma, pokrzepiona snem, nie była już pewna, czy Winia tu rzeczywiście była, czy to jej się tylko śniło. Postanowiła nikomu nie mówić o nocnej rozmowie i wzięła się do swych codziennych obowiązków. Myśli jej jednak wciąż krążyły wokół księżycowego dziecka. Nawet jeśli to był sen, to też mógł mieć znaczenie. Może jednak powinna spełnić wolę... no właśnie – czyją? Czy to była wola ducha czy rzeczywiście Miłosza? Biwia podeszła do chorego ze świeżym, ziołowym naparem. Pomogła mu usiąść i podała kubek.

– Miłoszu, prawdziwie chcesz mnie posłać pod Łyse Góry?

Mężczyzna błagalnie spojrzął jej w oczy, przytaknął, potem chwycił dłoń dziewczyny i jakby w geście przeprosin ucałował.

Siedziała przez chwilę w milczeniu, przyglądając się, jak pije napar. Rozważała, co począć. Trudno jej było tak od razu podjąć decyzję, zostawić wszystko i ruszyć w nieznaną. Do końca nie wiedziała nawet, czemu ma służyć ta podróż, w jaki sposób może pomóc Miłoszowi.

– Rozmówię się z Damroką – dyplomatycznie odsunęła w czasie podjęcie decyzji.

Wdowa przejęła już wszystkie gospodarskie obowiązki. Właśnie warzyła polewkę, gdy Biwia postanowiła podzielić się z nią swymi wątpliwościami.

– Zaopiekuję się Miłoszem najlepiej, jak potrafię. Pokażesz mi, które zioła mu parzyć. Resztą i tak się zajmuję – uspokajała Damroka.

– Boję się. Nigdy tak daleko nie wędrowałam.

– Wiedząca jesteś. Poradzisz sobie.

– Nawet nie wiem, gdzie się kierować. Znam tylko kilka okolicznych osad. Może zapytam kowala?

Ostatnio mówił o Łysych Górach.

– Po co ci kowal, kiedy ja mogę pomóc – Damroka wytarła ręce w zapaskę i podeszła do skrzyni. Przeszukiwała przez chwilę jej zawartość, aż wreszcie wyjęła skórzaną sakiewkę. Rozsupłała mieszek i wyciągnęła duży, ozdobny wisior. Jego centrum stanowił kamień, którego wzór przypominał fale

w kolorze jasnego i ciemnego piasku. Był wypukły, ociosany i lekko oszlifowany, dzięki czemu miał swój specyficzny, ciepły blask. Wisiał wczepiony w kłamię z brązu, z której wychodził półkolisty misterny zaczep.

– Dar od Czibora – Damroka z namaszczeniem ułożyła ozdobę na dłoni. – Powiadał, że taki kamień można najść tylko w Łysych Górach. Nigdzie więcej. Opowiadał, że wydobywają go na zachód od miejsca, gdzie San mierzy do Wisły.

– Znam ten kamień – przypomniała sobie Biwia. Wyciągnęła zawieszoną na rzemyku kaptoregę i zanurzyła w niej palce. Po chwili wyjęła krzemień o podobnym falistym motywie, tyle że bardziej przypominający ostrze nożyka niż ozdobę.

– Czibor powiadał, że to święty kamień, bo zaklęty jest w nim dający życie deszcz oraz słoneczny blask.

– Pewnie dlatego podarowały mi go wiedźmy – szepnęła przejęta dziewczyna. – Zatem powinienam iść wzdłuż Sanu, aż dotrę do miejsca, gdzie wpływa on do większej rzeki – Biwia wróciła do kwestii w tej chwili najistotniejszej.

– Po co miałabyś iść? Przecie wiosnę mamy. Woda wysoka. Oryle szykują się do spławiania kupii na północ. Płyną z nimi solarze i inni kupcy. Z nimi się zabierzesz. Może jeszcze nie ruszyli.

– A gdzie ich binduga²⁷?

– Spław zaczynają w Tyrawie Solnej, ale niedaleko stąd, w Korytnicach, doczepiają tratwy. Tu czekają na nich pszczelarze, smolarze i gospodarze. Abyś ino zdążyła.

Podbudowana tymi wieściami dziewczyna z zapałem wzięła się za przygotowania do podróży. Przede wszystkim rozważała, co zaoferować flisakom za miejsce na tratwie. Wdowa po Cziborze zasugerowała, że płótno, które zimą wręczyła Młodej Wiedmie pewna niewiasta za pomoc w leczeniu opuchliny, byłoby właściwą formą zapłaty, bo dużo nie waży, a swoją wartość ma. Trzeba też było zapakować pożywienie na drogę, a więc przede wszystkim suszone mięso, parę ugotowanych jaj i podplomyki, które Damroka właśnie zaczęła szykować. Biwia wrzuciła też do wora zawinięte w lniane szmatki zioła, a między nimi delikatnie ułożyła mandragorę. Bukłak z wodą i wełniany pled zajęły resztę wolnego miejsca. Kozik od Miłosza przytroczyła do sznura, którym się ostatnimi czasy opasywała. Na skrzyni położyła pelerynę, prezent, który otrzymała od wiedźm podczas przejścia. Przed wyjściem zamierzała ją założyć. Zostało jeszcze przygotowanie ziół i wosku pszczelego do leczenia Miłosza oraz poinstruowanie Damroki, jak ma się zaopiekować chorym. Przez całe popołudnie opowiadała bratu Wiedmy o planach podróży, a on spoglądał na nią z wdzięcznością.

Gdy zapadła noc, czekała na pojawienie się Winii. Bezskutecznie. Księżycowa dziewczynka widocznie uznała, że powiedziała wszystko. Biwia nie mogła sobie pozwolić na zbyt długie czekanie, bo musiała wstać tuż przed świtem. Była jednak tak przejęta, że długo przewracała się z boku na bok, nie mogąc usnąć. Przypomniała sobie o krzemieniu wydobywanym na zachód od ujścia Sanu. Wiedma kiedyś nazwała go kamieniem spokoju. Wyjęła go. W zamyśleniu dotykała jego ostrych krawędzi, potem przytuliła do policzka. Po chwili poczuła, jak emanuje z niego ciepło. Rozchodziło się po całym ciele dziewczyny, wyciszając i wywołując uczucie błogości. Jakby na nowo utwierdzona w powziętej decyzji, Młoda Wiedma pełna nadziei na przyszłość zasnęła.

Obudziła się przed świtem. Dołożyła do ognia. Ucałowała pomarszczoną dłoń Miłosza i wsunęła do niej jakiś przedmiot. Ubrała ciżmy, przewiesiła worek i zarzuciła pelerynę. Miłosz odprowadził ją wzrokiem do drzwi. Kiedy wyszła, podniósł rękę, by przyjrzeć się lepiej rzeczy, której ostre krawędzie wpięły mu się w dłoń. Był to krzemień pasiasty. Wyglądał jak zatopione w kamieniu słońce i deszcz.

17 Binduga – miejsce nad rzeką, gdzie składa się drewno do sławu i zbija tratwy..

Flis



D adźbóg jeszcze nie osiągnął zenitu, gdy Młoda Wiedma dotarła do przystani w Korytnicach. Damroka miała rację. Ruch tam był niemały. Na brzegu leżały przygotowane do spławu tratwy. Wokół stało sporo wozów, a na nich większe i mniejsze beczki, czekające na rozładunek. Konie albo niecierpliwiły się w zaprzęgach, parskając i potrząsając grzywami, albo spokojnie skubały trawę na uboczu. Smolarze na deklach beczek pełnych smoły lub dziegciu rzucali drewniane kości. Chyba musieli grać o sporą stawkę, bo okoliczni ludzie gromadzili się wokół nich i pełni emocji coś wołali, dopingowali, śmiali się. Dwóch pszczelarzy oglądało nawzajem swój towar. Ich beczki były niewielkie. Jedne zawierały wosk, inne miód. Gospodarzy kręciło się niewiele, bo wiosna nie była dobrą porą na sprzedaż zboża. Biwia poczuła, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się. Pod lasem w cieniu drzew leżał mężczyzna. Głowę miał wspartą na zwiniętych w rulon skórach. Wysokie skórzane nogawice, przytroczone do opinającego ciała kaftana, którego poły były połączone tasiemkami z miękkiej skórki, oraz broń spoczywająca obok, ewidentnie wskazywały, że to łowca. Mężczyzna nie krył, że jest zainteresowany Biwią. Skoro już ich spojrzenia się skrzyżowały, dziewczyna podeszła.

– Wiecie może, kiedy tratwy przyplyną?

Młody człowiek wsparł się na łokciach i leniwie usiadł. Odrzucił ręką czarne kosmyki włosów zasłaniające mu twarz. Miał wydatny podbródek, krzaczaste, ciemne brwi. Niewielki, równie ciemny zarost i ogorzała cera nadawały jego wyglądowi wyraz pewnej dzikości.

– Trzeci dzień na nie czekam. Mam nadzieję, że dziś, bo mi się już zapasy kończą – miał niski mocny głos.

Biwia zdjęła wełnianą narzutkę i worek. Zaczęła wypakowywać swój bagaż.

– Chciałam się właśnie posilić. Chętnie się z tobą podzielę – podała mu pachnący podpłomyk z dobrze wypieczoną skórką. – Wczoraj pieczone.

Mężczyzna spojrział łakomie na chlebek i na dziewczynę, ale nie wyciągnął ręki. Podrapał się z zakłopotaniem w głowę.

– Trocha strach brać jadło od takiej, za którą kot chodzi.

Rozejrzała się zdziwiona. Rzeczywiście kilkanaście łokci za nią siedział Jantar i spoglądał w jej stronę swym hipnotycznym, kocim spojrzeniem. Młoda Wiedma jęknęła z dezaprobatą. Położyła posilek i poszła po kota.

– Co ty tu robisz, biesie? Przecie nie mogę cię zabrać – przemawiała do niego z wyrzutem.

Usiadła z powrotem, zwierzaka położyła sobie na kolanach i zaczęła jeść. Uznała, że nie będzie się

z niczego tłumaczyć przed nieznanym. Nie chce jeść, niech nie je.

Mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku. Po dłuższej chwili, poirytowana nieco natarczywością jego spojrzenia, spytała:

– Mam się przenieść na bezpieczną odległość, żeby czar cię nie sięgnął?

– Nie. Kogoś mi przypominasz.

– Chodzę czasem po siołach, byłam też na Wieńcowym nieopodal. Może mnie tam zoczyłeś.

– Rzadko bywam w siołach. Zuję w borze. Nie ciebie widziałem, ale kogoś do ciebie podobnego. Te oczy. Jak dwa jantary. Takie jak u tego kota.

Biwia przestała jeść. Spojrzała uważnie na nieznanego.

– Zoczyłeś młodzika? Włosy i oczy jak moje? – spytała jednym tchem.

Łowca zamyślił się. Bezwiednie dotknął ręką lewego ramienia.

– Ongiś tropiłem jelenia. Byłem już blisko, stałem pod wiatr. Napinałem właśnie cięciwę, gdy inna strzała wbiła mi się w rękę. Skoczyłem w pobliskie zarośla. Mimo bólu posłałem grot przeznaczony dla jelenia w stronę, skąd mnie zaatakowano. Trafiłem tego strzelca. Czołgał się ze strzałą w barku. Podeszedłem, chwyciłem go za splecione włosy i odwróciłem. Miał takie oczy jak twoje.

– I co z nim zrobiłeś? – Biwia całkowicie już straciła apetyt.

– Pewnie bym sobie go wziął na jaką męską rozmowę: ja na ziemi, on na haku, ale gdym go trzymał, wykrzyczał jakieś dziwne słowa i w tym momencie skoczył na mnie przyczajony gdzieś na drzewie żbik. Gdym się szamotoł z tym głupim kotem, usłyszałem zbliżający się rój os. Z drugiej strony zarzycał niedźwiedź. On przywoływał te zwierzęta i szczuł na mnie. Uciekłem, bo co jak co, ale z czarami wolę nie mieć do czynienia.

Biwia, milcząc, spakowała niedojedzony podpłomyk, bułkąc, zarzuciła narzutkę, wzięła worek pod pachę i bez słowa się oddaliła. Uznała, że nie będzie narzucać swojego towarzystwa komuś, kto nie przepada za uprawianiem magii. Poza tym musiała przemyśleć to, co jej opowiedział ten człowiek. Bo najwyraźniej strzelcem, który go wtedy zaatakował, był Bartus. Czyżby boginki dały mu władzę nad zwierzyną leśną? Dlaczego ranił łowcę? Czy chciał ratować jelenia? Jak teraz żyje? Co robi? Czy jest szczęśliwy?

Nie miała już ochoty na żadne rozmowy. Rozłożyła na trawie pled, okryła się narzutką i postanowiła się przespać. Obudził ją przed wieczorem wzmożony ruch. Do brzegu były przycumowane tratwy, na których stały słomiane szałas na drewnianych wzmocnieniach. W szałasach i obok nich składowane były beczki, prawdopodobnie wypełnione solą z Tyrawy Solnej. Ludzie wchodzili na tratwy, inni z nich schodzili, toczyły się jakieś kłótnie pomiędzy flisakami a tymi, którzy na nich tu czekali. Młoda Wiedma wzięła swój dobytek i podeszła do pierwszej tratwy. Obok niej na brzegu starszy człowiek w stroju flisaka dobijał targu ze smolarzem. Gdy ten drugi oddalił się po towar, Biwia podeszła.

– Damroka, żona Czcbora powiadała, że można się z wami zabrać do miejsca, gdzie San wpada do Wisły. Mogę w zamian ofiarować szlachetny kawał płótna, taki na kilka łokci – Biwia zaczęła wyciągać materiał z worka.

– Czcbor to był dobry oryl – westchnął mężczyzna.

Dziewczyna wydobyla wreszcie zwinięte w rulon płótno i podała mu. Człowiek rozwinął materiał i z zadowoleniem cmoknął.

– Możecie płynąć – stwierdził. Dziewczyna ruszyła więc w stronę drewnianej platformy.

– A wy gdzie? – zakrzyknął flisak.

– Na tratwę – odparła zdziwiona jego reakcją.

– To dopiero nazajutrz. Przecie nie będziemy flisować nocą!

Młoda Wiedma rozejrzała się. Flisacy rozpalali ognisko. Inni składowali przy brzegu towar, zostawiony przez smolarzy i gospodarzy. Wędrowcy, którzy podobnie jak ona płynęli na północ, zasiadali przy ogniu i posilali się. Dosiadła się więc do nich. Wkrótce zrobiło się wesoło. Kupcy opowiadali o swoich przygodach podczas podróży, flisacy, popiwszy miodu dla rozgrzania ciała, rozgrzewali śpiewem dusze. Jeden z młodzieńców, Izbor, przysiadł się do Biwii. Opowiadał jej o swojej osadzie, o tym, jak postanowił zostawić pracę w polu i zająć się splawianiem, bo flisaków na wiele stać. Przekonywał ją, że ostatniego roku tak powiększył swój majątek, że na Jare Gody nie mógł się opędzić od panien. Bardzo chciał zaimponować dziewczynie. Stawał się też coraz bardziej natarczywy. Jego ręce zaczęły wędrować po jej kibici, potem dotknął jej nóg. Biwia stanowczo odsunęła nieproszone dłonie. Chłopiec nie wziął sobie do serca jej wyraźnej odmowy albo uznał, że tylko tak się z nim droczy. Po chwili jego ręce znów trafiły pod jej suknię. Młoda Wiedma odepchnęła go i rozeźlona odeszła od ognia. Młodzieniec, wyśmiany przez towarzyszy, ruszył za nią. Dziewczyna wiedziała, jak się bronić przed wapiernymi, strzygami czy niektórymi demonami, ale nie miała pojęcia, jak się uchronić przed ludźmi. Mogła rzucić nań urok, ale młodzian był zamroczony alkoholem, a urok nie miał się takich. Flisak rozdrażniony nieco, że go ośmieszyła przed innymi, chciał pokazać, że postawi na swoim. Złapał ją wpół i zaczął ciągnąć w pobliskie zarośla. Jantar skoczył mu na głowę, wpijając pazury. Ten jednak, znieczulony przez alkohol i złość, nie zważał na ból. Oderwał kota i rzucił nim o ziemię. Potem rzucił Biwię, przygniótł ją swym ciałem. Jedną ręką unieruchomił jej dłonie, drugą sięgnął pod suknię. Jego dłoń zatrzymała się w połowie i znieruchomiała. Coś oderwało go od niej, usłyszała krztuszenie się. Łowca dusił flisaka, potem powalił go na ziemię i wprawnymi, szybkimi ruchami związał mu z tyłu ręce, założył pętlę na szyję i połączył z węzłem na dłoniach. Potem wepchnął mu szmatkę w usta i kilkakrotnie kopnął w bok i w twarz. Zduszony krzyk nie dotarł daleko.

– Chybaś mi jednak zadała jakiś czar – usłyszała niski męski głos.

– I co teraz? – spytała spłoszona. Podniosła się i poprawiła suknię. Jantar też już doszedł do siebie i zaczął się ocierać o nogi swej pani.

– Możesz tam wrócić albo usiąść przy moim ognisku. Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

– No tak. Ty wolisz od czarownic trzymać się z daleka.

– Powiedzmy, że na bezpieczną odległość – zaśmiał się.

Biwia wróciła po swoje rzeczy. Towarzystwo przy ognisku dowcipkowało w najlepsze. Uznali, że chce spędzić noc z natarczywym flisakiem.

Łowca przygotował jej ze skór legowisko przy ogniu. Swoje miał po przeciwnej stronie paleniska. Podał jej na uspokojenie bukłaczek z miodem.

– Jak cię zwą? – spytał.

– A które chcesz znać imię? To, które mi nadano, gdym została wiedźmą, czy to z zaplecin?

– Z zaplecin – odparł krótko.

– Biwia.

– Ładnie. Mnie wołają Jarowar.

– Też będziesz płynął tratwą na północ, Jarowarze?

– Nie. Oddam nazajutrz skóry Wiromysłowi. To ten, który prowadzi pierwszą tratwę. Za to ma mi przywieźć solidny sztylet.

Młoda Wiedma przyjrzała się broni leżącej przy łowcy. Był tam łuk, kołczan ze strzałami, żelazny topór i oszczep.

– Słyszałam, że pod Łysymi Górami robią dobre żelazne noże, miecze i sztylety – podzieliła się niedawno zdobytymi informacjami. – Czemu dziś nie oddałeś tych skór?

– Za dnia chcę wracać, a towar, jak widać, przydaje się jeszcze – uśmiechnął się.
– Ten strzelec, o którym opowiadałeś, to pewnością mój bliźni brat – spojrziała niepewnie na łowcę. Nie wyglądał na zdziwionego. – Teraz jest we władaniu boginek. Powiedz, gdzie go spotkałeś? Muszę go odszukać. Może najdę sposób, jak go wyzwolić.

– Tak pomyślałem, że to twój brat. Zbyt podobni jesteście. Zrobimy tak: gdy wrócisz, to cię tam zaprowadzę, bo sama nie trafisz, mimo żeś wiedząca.

– A jak ciebie najdę? – spytała Biwia, oddając bukłaczek.

– Sam się najdę. Nie martw się – odparł lakonicznie.

Dziewczyna doszła do wniosku, że niczego więcej się nie dowie, więc owinęła się w pled i narzutkę, bo wiosenne noce jeszcze chłodne, przytuliła kota i zasnęła.

O świcie obudziły ją głośnie śmiechy. To flisacy znaleźli swego towarzysza związanego i zakneblowanego. Jego twarz była pokryta podłużnymi strupami krwi od kocich pazurów, miał też opuchnięte oko i sińce wokół niego. Nawet nie próbował się tłumaczyć. Rozeźloni i mrukliwy zabrał się do pracy.

Po chwili już spuszczano na wodę pierwsze tratwy, łączono je i zanoszono na nie beczki z towarem. Biwia podziękowała Jarowarowi za ratunek i towarzystwo.

Gdy już wszystko zostało załadowane, dziewczyna stanęła wraz z kupcami, którzy również przygotowywali się do wejścia na platformę. Wiromysł z niektórymi jeszcze się targował. Gdy przyszła kolej na Biwię, zagroził jej drogę flisackim wiosłem, zwanym drykawką. Spojrziała zdziwiona.

– Płótno ode mnie dostaliście – przypomniała się.

– To i popłyniecie – odparł. – Ale bez kota.

Biwia przytuliła zwierzaka, którego trzymała pod pachą. Nie wiedziała, co zrobić. Trudno go ot tak porzucić. Ale też nie mogła pozwolić sobie na rezygnację z podróży rzeką. Miłosz był ciężko chory. Musiała się spieszyć.

– Co wam kot szkodzi? On spokojny.

– Tako bym nie rzekł – mruknął Wiromysł, patrząc znacząco w stronę podrapanego, zmizerowanego pracownika. – Spokojny czy nie, żadnych zwierząt nie wozimy. Chyba że zasolone w beczkach – stary flisak był stanowczy.

– To wsadzimy go do beczki i przewieziemy – Biwia obejrzała się. Tak. To był głos Jarowara.

– Krotochwile to ty sobie wyprawiaj w borze – odpowiedział mu Wiromysł. – Żywy zwierz na tratwie przynosi nieszczęście. Nie zabiorę go – flisak był nieprzejednany.

Jarowar chwycił delikatnie Biwię za ramię i odprowadził na stronę.

– Ostaw kociaka ze mną. Odbierzesz go, gdy wrócisz.

– Nie wiem, czy cię polubi. Widziałeś, co potrafi.

Jarowar wziął kota z rąk dziewczyny i położył sobie na ramieniu. Jantar pozwolił się bez sprzeciwu zabrać i leżał spokojnie jak futro z tchórza czy lisa.

– My, łowcy, byśmy się nie dogadali? – mruknął wesoło w stronę kocura.

Młoda Wiedma przyjęła propozycję z wdzięcznością. Jantar wyjątkowo zaakceptował towarzystwo Jarowara, a wędrowka w nieznanie z kotem mogła się jeszcze nieraz okazać uciążliwa.

Po chwili dziewczyna siedziała już na tratwie pod ścianą szałas. Flisacy wyciągali pale zwane srykami, przytrzymujące platformy podczas postoju. Tratwy ruszyły. Wiromysł, stojąc na pierwszej z nich, bacznie obserwował nurt wody, badał jej głębokość. Nie mógł sobie pozwolić, żeby tratwa nadziała się na jakąś przeszkodę, bo przewożony towar był bardzo cenny. Zwłaszcza sól nie mogła się przecież zamoczyć. Platformy były ciężkie, więc nie mogły też wpłynąć na mieliznę. Zatem, gdy tylko

było takie podejrzenie, flisacy rozczepiali je i holowali pojedynczo przez płycizny. Wkrótce minęli tereny znane Biwii. Dziewczyzna, ogrzewając twarz w ciepłym blasku syna Swaroga, z ciekawością obserwowała nowe, nieznanne jej dotąd okolice i zastanawiała się, co jeszcze jej przyniesie Dola – duch opiekuńczy, odpowiedzialny za ludzki los.

Kolejne słoneczne dni upływały spokojnie niczym woda w rzece. Wieczorami zatrzymywano się na postojach, gdzie okoliczna ludność czekała na flisaków. Zaczynał się handel. Nocami rozpalano ogniska, pieczono złowione za dnia ryby. Wiromysł wyznaczał wartość w obawie przed rabusiami, pozostali odpoczywali po całym dniu wytężonej pracy.

Po przygodzie z Izborem Młoda Wiedma nie była już narażona na wątpliwe zaloty flisaków. Mężczyźni obawiali się jej, więc ciesząc się respektem, bez przeszkód kontynuowała podróż. Ona sama czuła do młodego flisaka ogromną niechęć, która wzmagała się za każdym razem, gdy Izbor, przechodząc obok niej, pluł za siebie ze złością. Pewnie gdyby tego nie robił, puściłaby w niepamięć jego pijacki występki. A tak kotłowała się w niej chęć odwetu, choć miała świadomość, że Jarowar skutecznie go ukarał.

Miała też sporo czasu na rozmyślanie. Oprócz troski o Bartusa, Miłosza, a także o własną przyszłość, myśli jej zaprzętał łowca. Kiedy przemykała oczy, jego obraz sam się przed nią rysował, a serce wtedy dziwnie przyspieszało. Starła się nie myśleć o nim, nie marzyć, bo przecież od początku ją uprzedził, że od czarownic woli trzymać się z daleka. Jednak im bardziej walczyła sama ze sobą, tym mocniej zatracala się w pewnego rodzaju fascynacji.

Tak jak woda w rzece nie zawsze jednak płynie spokojnie i niejednokrotnie jej leniwy nurt okazuje się złudny, tak i piąty dzień podróży nie zaczynał się dobrze. Przed świtem zerwał się silny wiatr. Rozniósł żar palenisk, a jedną z żagwi porwał aż na tratwę. Kolejny podmuch rozżarzył ją w słomie szałas, który po chwili wyglądał jak płonący stos pogrzebowy. Próbowano pokonać żywioł ognia, lejąc nań wodę. Rwetes, wbieganie na tratwę wielu osób, które próbowały ratować przewożony towar, kolejne silne podmuchy wiatru – wszystko to sprawiło, że śryki puściły. Pierwsze trzy tratwy, stanowiące połączoną całość, poddały się prądowi wody i sterom rozszalałego wiatru. Wiromysł, Izbor i jeszcze jeden flisak wskoczyli w nurt rzeki. Chcieli dopłynąć do platform, by je okiełznać i doprowadzić bezpiecznie do brzegu. W takich sytuacjach nie rozważa się uświęconych tradycją zakazów pływania przed świętem Kupały. Flisacy przede wszystkim chcieli ocalić towar. Wiatr tymczasem siłował się z drzewami, łamał gałęzie. Z szałasów, ustawionych na tratwach, zostały jedynie postrzępione chochoły.

Biwia, otulona narzutką, trzymając w garści cały swój dobytek, rozglądała się z przerażeniem. Strzybóg, demon wiatru, bawił się w najlepsze. Nie widziała go, ale czuła, że wyrządzane szkody przynoszą mu jakąś dziką, nieokiełznaną radość. Zastanawiała się, jak przebłagać rozbrykane bóstwo. Popychana podmuchami wiatru weszła w coś sypkiego. Spojrzała pod nogi. Wysypana sól, w której zagłębiały się jej stopy, nie wróżyła nic dobrego. Obok leżała przewrócona beczka i pęknięty dekiel. Wzięła garść cennego, słonego przybytku i puściła na wiatr, prosząc Strzyboga o łaskę. Powtórzyła tę czynność trzykrotnie. Na próżno. Demon wiatru nie zwracał uwagi na nic i na nikogo. Usłyszała krzyki flisaków. Wołali Izbor. Kilku następnych wskoczyło w nurt wody. Podbiegła do łozin przy brzegu. Okazało się, że Wiromysł i jeden z jego pomocników dopłynęli do zerwanych z uwięzi platform i wspięli się na nie. Nigdzie jednak nie było Izbor.

Demon wiatru był nieubłagany, ale może łaskawszy okaże się demon rzeczny. Młoda Wiedma weszła więc do Sanu po kolana, zanurzyła w wodzie garści pełne soli i zaczęła zaklinać:

– Panie rzeki, przyjmij ten dar, którego zazdrościsz demonom morskim. Powiadają, że tam, gdzie

wpada Wisła, duchy morskie mają tego pod dostatkiem. Jeśli nam pomożesz, a Izbora ocalisz, dostaniesz w ofierze całą beczkę tego słonego skarbu. Tylko nam pomóż. Ocal Izbora.

Dziewczyna czuła, jak nurt rzeki, łaskocząc jej dłonie, wymywał sól z zaciśniętych pięści.

Po chwili łagodna fala obmyła jej uda. Przed Biwią wyłoniła się niezwykła postać. Właściwie nie różniła się od otoczenia. Przypominała górę brudnej, ciemnej wody, bo i kształtu nie miała sprecyzowanego. Tylko rybie, jarzące się oczy, umieszczone po przeciwnych stronach czegoś w rodzaju głowy, świadczyły, że to żywa istota.

– Pełnaś sprzeczności – usłyszała głos, odbijający się od wody niczym echo.

– Ja? – spytała, niezbyt rozumiejąc kontekst tych słów.

– Tak. Jest w tobie tyle złości i żalu do tego człowieczyny, że aż się prosi, żeby mu zrobić krzywdę – zagrzmiął niczym wodospad, przebijając się przez huk wiatru. – A jednak prosisz, by go ocalić. To czego ty właściwie chcesz?

– Chcę go ocalić – Młoda Wiedma skłoniła się w geście prośby. – I innych też! – próbowała przekrzyczeć szum.

Postać zanurzyła się. Po chwili dwie łagodne fale zasygnalizowały jej ponowne pojawienie się. Znów spoglądała na Biwią raz jednym, raz drugim okiem. Wiatr zelżał, zrobiło się ciszej.

– Panie, kim jesteś, że masz władzę nawet nad wiatrem? – spytała z szacunkiem.

– Jam Sanon. Wodnik. Nie widzieliście nigdy wodnika? – zagrzmiął. Teraz, gdy wiatr ucichł, jego głos wydawał się jeszcze bardziej donośny.

– Tylko utopce, panie. Ale one, widzę, nie mają takiej mocy, jak twoja.

– Każdy ma swoją moc, dziewczeczko. Ty też. Jeno za młoda jesteś. Gdybyś miała, jak ja, kilkaset lat, a nie piętnaście wiosen, pojęłabyś to.

Od głowy wodnika wzniosła się poprzeczna fala niczym ramię. Po chwili przyprowadziła po tafli wody pień drzewa, na którym leżał półprzytomny Izbor.

Młoda Wiedma chwyciła flisaka i wyciągnęła na brzeg. Zaczęła wołać, że znalazła topielca i żeby pomogli. Przybiegło dwóch mężczyzn. Wzięli pod ramiona ślaniającego się na nogach towarzysza i zawlekli do obozowiska. Usłyszała wesołe okrzyki. Oryle cieszyli się z ocalenia Izbora. Okazało się też, że Wiromysł uratował tratwy, które bezpiecznie dobiły do brzegu.

– Na mnie już pora – zahuczał wodnik. – A ty, dziewczeczko pełna sprzeczności, zanim nabędziesz mocy, naucz się panować nad sobą i zdecydować, czy chcesz komu zaszkodzić czy pomóc.

Góra zrównała się z taflą wody. Wodnik zniknął w odmętach rwącej rzeki. W pobliskich łożninach skoczył szczupak.

Młoda Wiedma wróciła do obozowiska. Wszyscy zbierali rozrzucone przez wiatr przedmioty. Układali towar na tratwach. Chcieli jak najszybciej wyruszyć, by dołączyć do czekającego na nich Wiromysła.

Przed południem wszystkie tratwy zostały na nowo złączone i kontynuowano spław. Biwia rozejrzała się za retmanem¹⁸. Stał jak zwykle na pierwszej tratwie, czujnie obserwując nurt. Przedostała się do niego. Półnagi czekał, aż wyschnie mu odzież. Spojrzał na nią z szacunkiem, podrapał się z zakłopotaniem po ogorziałej twarzy.

– Wdzięcznym za uratowanie Izbora. Huncwot z niego, ale dobry oryl.

– Obiecałam wodnikowi beczkę soli za ratunek.

– Zaraz każę przygotować.

Flisacy darzyli wodnika szczególnym szacunkiem. Złożenie mu ofiary, nawet bardzo cennej, było

czymś naturalnym, niewywołującym sprzeciwu. Po chwili Młoda Wiedma składała dzięki panu tej rzeki. Potem wraz z Izbozem przechylili beczkę, wysypując drogocenny dar do Sanu.

W południe młody flisak usnął, znużony poranną walką najpierw o tratwy, potem o własne życie. Biwia przyglądała się jego obitej twarzy i rozmyślała. Zastanawiała ją słowa wodnika. Czyżby nie panowała nad emocjami jak utopiec Gościwit? Przypomniała sobie niespokojne, zimne fale, które złowieszczo uderzały w wyspę, kiedy go złość ogarniała. Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Czyżby z nią też tak było? Jak wytłumaczyć nieszczęśliwy wypadek Sieciny? Czy Samwój doprowadził do tego zdarzenia, bo ona, wiedźma, tego podświadomie chciała? Musi bardziej panować nad swym gniewem. Tak postanowiła.

¹⁸ Retman – starszy flisak kierujący spławem.

Caryczka



Przed wieczorem tratwy dotarły do ujścia Sanu. Ostatnią noc Młoda Wiedma spędziła jeszcze w obozowisku. O świcie, poinstruowana przez miejscowych, ruszyła na zachód. Miała wkrótce dotrzeć do rzeki zwanej Łukawą. Idąc wzdłuż jej brzegu, powinna przed zmrokiem dojść do Żmigrodu, grodziska położonego na wzgórzu.

Piesza wędrownica była miłą odmianą po pięciu dniach spędzonych na tratwie. Kwitnące krzewy, drzewa, kwiaty wręcz odurzały zapachem i nastrajały optymistycznie. Młoda Wiedma wkrótce powitała z radością nową rzekę, najlepszy drogowskaz prowadzący do grodu. Znacznie węższa, płytsza spieszyła ku rozległym wodom Wisły. Dziewczyna usiadła na brzegu, wyjęła resztki żywności. Z podpłymyków złożyła ofiarę bóstwom nieznanego rzeki oraz leśnym demonom zamieszkującym przybrzeżne lasy. Posiliła się i ruszyła w górę wodnego nurtu. Wędrownica nie sprawiała większych trudności, wiosenna roślinność jeszcze tak nie wybujała i można było z łatwością kroczyć po trawach wśród dopiero zieleniących się krzewów.

Gdy syn Swaroga kierował się ku zachodowi, a nadrzeczne ścieżki stawały się bardziej wydeptane, ujrzała wzgórze, na którego płaskim szczycie widniały drewniane budynki. Żmigród. Nie otaczały go obronne wały ani palisady. Zdziwiło ją to. Widziała kiedyś podczas wędrowki z ojcem gród, otoczony ziemno-drewnianym wałem, służący okolicznym mieszkańcom jako schronienie. No i obwarowany drewnianą palisadą Przemyśl, położony na wzgórzu po drugiej stronie Sanu. Grodzisko nad Łukawą nie miało żadnych obronnych konstrukcji, było otwarte niczym wrota oczekujące gości.

Wkrótce dotarła do niewielkiej chaty, stojącej samotnie nad rzeką. Wokół obejścia panował nieporządek. Na gałęziach czarnego bzu wisały porwane sieci, służące niegdyś do łowienia ryb, płócienne niedoprane z krwi szmaty, haki, pod nimi walały się połamane żerdzie, nieco dalej porzucane kłocce drewna. Nieopodal smużka ciemnego dymu snuła się wokół zbudowanego z kamieni i gliny pieca wędzarniczego. O ścianę chaty oparte były zmruszałe wiosła. Przy łódce, wyciągniętej na brzeg, bawiło się dwoje małych dzieci. Coś znosiły z pobliskiej kałuży i z przejściem wrzucały do łodzi. Z domostwa wyszła jasnawłosa dziewczynka. Wyglądała na dziewięć lub dziesięć wiosen. Trzymała zawiniątko, z którego wydobywał się rozpaczliwy płacz niemowlęcia. Zobaczyła przybysza i szybko zniknęła w głębi chaty.

Biwia weszła zaciekawiona. W izbie, na wysłanej skórą ławie, leżała młoda kobieta. Miała przymknięte oczy. Wyglądała, jakby uszła z niej cała krew i rozplynęła się po ławie i podłodze. Przy

palenisku mężczyzna nieporadnie mieszał w garncu rozgotowaną kaszę. Dziewczynka kucnęła z niemowlęciem pod ścianą, starając się je uciszyć intensywnym kołysaniem na rękach.

– Niechaj wasz bóg wam sprzyja – Biwia powitała mieszkańców.

– Oby nam sprzyjał – odparł mężczyzna. Kobieta tylko podniosła powieki i znów je zamknęła.

– Wejdźcie. Gość w dom, bóg w dom – gospodarz posunął przybyłej ławę do siadania. – Pstrągi wędzą się jeszcze. Nie mam dużo, bom nie miał kiedy łowić.

Mężczyzna najwyraźniej uznał, że Młoda Wiedma chce nabyć u niego ryby. Był dość młody, szczupły, wręcz wychudzony. Ciemne, tłuste włosy sterczały mu w różne strony. Brązowe oczy, wylaniające się spod opadających powiek, nadawały jego twarzy poczciwy, choć tępawy wyraz.

– Co jest waszej żenie? – spytała. Podeszła ostrożnie do chorej, starając się nie wdepnąć w rozlane na klepisku strużki krwi. Dotknęła jej ręki i czoła. Kobieta gorączkowała.

– Od porodu krew z niej nie przestaje uchodzić. Już szmat brakuje. Dla niej i dla dzieciaka.

– Od dawna gorze?

– Od kilku dzionków. Już i mleka chyba nie ma, bo mały krzyczy i krzyczy. Trza go pieluchą z makiem uspokajać.

– Dajecie jej co na gorączkę i na zgubienie krwi?

Rybak pokazał leżące przy kamiennym piecu zwieńczone rośliny.

– Nazbierałem naręcz rumianku i parzę. A na krew napar z tasznika. Tylko takim zioła teraz wiosną nalazł.

Zaintrygowana wzięła ziele i podeszła do drzwi, bo na zewnątrz jaśniej było niż w chacie.

– To nie rumianek, ino jastrun. Nie widzicie, że liście nie te? Jastrun nie jest zły, ale rumianek silniejszy. A to drugie to przecie tobołka. Podobna do tasznika, ale widzicie, że liście ma pełniejsze.

– Zbieranie ziół to niewieścia robota, jam tego nigdy nie robił – zmartwił się mężczyzna.

– A czemu nie wezwaliście jakiej wiedźmy? Pomogłaby wam.

– A! – machnął ręką z rezygnacją. – U nas dzień drogi stąd żyje czarownica, ale ona to by człowiekowi ino co złego zadała, a nie pomogła. Mówią, że złość w niej jak u osy. Nie darmo ją nazywają Caryczką, bo omijają ją trza jak to trujące ziele.

Biwia aż westchnęła. To zapewne ta Caryczka, którą ma odszukać. Został jej dzień drogi. Nie można jednak było zostawić tych ludzi bez pomocy. Do izby przydreptała dwójka bawiąca się uprzednio przy łodzi. Domagali się jedzenia. Niemowlę znów zaczęło płakać. Starsza siostra podeszła z nim do matki, odkryła narzutkę, połą koszuli i przyłożyła braciszka do matczynej piersi. Dziecię uspokoiło się na chwilę, ale po chwili rozdrażnione znów się rozkrzyczało. Kobieta niezdarnie z wysiłkiem pogłaskała synka.

– Nie macie mleka od jakiej kozy? – spytała Biwia.

– Kozy pasą się na łące za chatą. Nastka! – mężczyzna krzyknął do najstarszej córki. – Weź skopek. Kozę trza wydoić.

Dziewczynka wyszła ze skopkiem. Pozostała dwójka z drewnianymi łyżkami przysiadła się do garnca z kaszą.

– Nastawcie wody – zarządziła Młoda Wiedma. – Spróbuję wam pomóc, ale nie wiem, czy zdołam.

Wyszła przed chatę. Narwała tasznika, krwawnika, pokrzywy, jasnoty i rumianku. Potem, prosząc smukłą brzozę o wybaczenie, oberwała jej zielone liście. Gdy kończyła, podeszła do niej Nastka.

– Pamiętaj – pouczyła dziewczynkę – że najpotrzebniejsze ziele rośnie zawsze przy domu. – Powtarzaj przy tym: zrywam cię, ziele, usłuż mi wiele.

Razem wróciły do chaty.

– Ziola trza zrywać przed południem, jak Słońce spije rosę. Wtedy są najsilniejsze. Dziś już musimy użyć takich – tłumaczyła Nastce. – A teraz nakarm kozim mlekiem brata. Dasz radę?

Dziewczynka przytaknęła. Biwia zmiadździła w moździerzku świeże ziele. Potem wyjęła z worka suszone, które przezornie spakowała na drogę, i zalała gorącą wodą. Córka rybaka z zadziwiającą wprawą nasyciła niemowlę mlekiem. Chłopiec momentalnie usnął.

– Macie ługu? – spytała czarownica.

Umyła dokładnie ręce ługiem i ciepłą wodą, potem obmyła też chorą. Krew niepokojąco obficie wpływała spomiędzy ud położnicy, wydzielając przy tym nieprzyjemny zapach, jakby coś się w środku psuło. Wiedźma delikatnie wsunęła rękę tam, gdzie krwotok miał swoje źródło. Wyczuła pod palcami jakąś rozmiękczoną narośl. Uchwyciła ją. Nie była mocno przytwierdzona i bez większego problemu dała się wyjąć.

– Łożysko całe nie wyszło – stwierdziła.

Usunęła rozkładające się resztki łożyska, rzuciła je na okrwawione płótna, zwinęła i poszła zakopać pod krzewem bzu.

– Hyczko, weź to bolenie pod swe korzenie – prosiła magiczną roślinę.

Znów umyła ręce, opłukała naparem z rumianku łono chorej i zaczęła przypominać sobie inkantacje, które śpiewała stara Wiedma. Zaklinając chorobę i gorączkę, podawała sok z ziela i napary. Gdy skończyła, było już ciemno.

– Ostańcie na noc – poprosił mężczyzna. – Dzieci zjadły całą kaszę, ale wędzonymi rybami was ugoszczę.

Dziewczyna z chęcią przyjęła gościnę. Na skórze rozłożyła swój pled, wyjęła narzutkę, żeby się okryć. Obok mężczyzna rozłożył drugie legowisko, na którym tłoczyły się dzieci. Tylko niemowlę spało w kołysce przy ławie, na której leżała jego mama.

Dzieci z zapartym tchem słuchały opowieści Biwii o Ostrowiu, starej Wiedmie, księżycowej dziewczynce i podróży tratwami. Rybak natomiast opowiadał, jak to niegdyś pod ich grodem mieszkał żmij, a mieszkańcy składali mu ofiary ze zwierząt w zamian za nietykalność i opiekę. Wszystkie sąsiadujące plemiona obawiały się potężnej bestii i nie atakowały Żmigrodu. Dlatego nie wybudowano tu ani wałów ziemno-drewnianych, ani nawet zwyczajnej palisady. Żmij skutecznie odstraszał wszystkich wrogów. Niestety pewnego dnia przepadł bez wieści. Okoliczna ludność poszukiwała go po górach, dolinach i jarach. Bezskutecznie. Nie znaleziono też jego ciała. Wszyscy wciąż liczą na powrót pożytecznej bestii, bo gdy rozniesie się wieść, że nie pilnuje już swego grodu, sąsiedzi połakomią się na ich dobra. Mieszkańcy Żmigrodu dobrze wiedzą, że lepsza znana obłaskawiona bestia niż nieznyany i nieobliczalny wróg.

Biwie zaintrygowała ta historia. Nigdy nie widziała żmija, ale słyszała wiele strasznych opowieści o skrzydlatym potworze, którego ciało pokryte jest łuskami. Ponoć swym potężnym ogonem może bez trudu powalić największe drzewa. Pierwszy raz spotkała się z przypadkiem, że ludzie życzyli sobie jego sąsiedztwa.

Noc upływała niespokojnie. Dziecię budziło się kilkukrotnie i kwileniem wrywało ze snu Biwie oraz najstarszą córkę rybaka. Nastka była rezolucyjną dziewczynką, przyzwyczajoną, widać, do nieporadności ojca, sama wstawała w nocy do braciszka, poiła go mlekiem albo przykładła do piersi matki. Młoda Wiedma za każdym razem podchodziła do chorej, sprawdzała jej stan, ponownie obmywała zakażone miejsce naparem z rumianku i podawała sok z ziela do picia.

Rankiem wzięła Nastkę na spacer, pokazała, które rośliny ma zbierać. W chacie tłumaczyła, jak je przygotowywać i podawać. Była przekonana, że dziewczynka lepiej zaopiekuje się matką niż

niezaradny ojciec. Chętnie zostałyby dłużej, ale Miłosz przecież na nią czekał, więc nie mogła zwlekać. Wdzięczny rybak zaopatrzył ją na drogę w suszone i wędzone ryby. Prosił też, by odwiedziła ich jeszcze, bo czas zaplecin Nastki się zbliżał i chciałby, żeby Młoda Wiedma nadała jej imię. Potem wskazał drogę do Caryczki.

– Droga tu wydeptana. Idźcie nią na zachód. Gdy obaczycie na rozstaju usypany z kamieni stos, a na nich taki znak – rybak zakreślił patykiem na piaszczystej drodze lunulę – to ruszcie za nim. On będzie wszędy tam, gdzie drogi czy ścieżki będą się rozwidlać. Na końcu pójdziecie chojnowym lasem. Patrzcie tedy na drzewa. Zaprowadzą was do Caryczki.

– Uważajcie na tę czarownicę – dodał jeszcze. – Ludzie powiadają o niej siła złego.

Młoda Wiedma ruszyła udeptanym traktem. Droga była szeroka i dość uczęszczana, co jakiś czas przejeżdżali nią jeźdźcy, to znów woły ciągnęły skrzypiące, drewniane wozy. Większość podróżujących zmierzała do Żmigrodu lub go opuszczała. Czasem drogi krzyżowały się, przy niektórych rozstajach leżały wielkie kamienie z wrytymi znakami, ale na żadnym nie widziała lunuli. Dopiero gdy Dadźbóg oznaczył środek dnia zenitem, Biwia ujrzała usypany kopczyk kamieni. Na największym spośród nich wryty był znak półksiężyca. Droga poprzeczna, na którą wkroczyła dziewczyna, była słabo widoczna pośród ukwieconej łąki. Dlatego Biwia bardzo uważnie obserwowała każdy kamień i każde drzewo, które mijała. Wreszcie zobaczyła na starej rosochatej wierzbie wryty, prawdopodobnie kozikiem, symbol Księżyca. Odetchnęła z ulgą, że jednak podąża we właściwym kierunku. Wkrótce droga zaczęła się piąć w górę i stała się piaszczysta. Drzewa liściaste ustąpiły pola sosnom i świerkom. Coraz bardziej brodząc w piachu, młoda wiedźma nie potrafiła rozpoznać charakterystycznych dla drogi kolein. Baczenie oglądała pnie mijanych drzew, aż w końcu znalazła. Przybierający Miesiąc, wycięty w sosnowej korze, sączył strużki żywicy niczym rzewne łzy.

Rozejrzała się. Znak widniał, ale drogi, a nawet ścieżki nie sposób było dojrzeć. Przed nią roztaczał się mroczny, martwy las. Korony drzew gdzieś niebotycznie wysoko zasłaniały światłu dostęp. Wyścig drzew za życiodajnym blaskiem Dadźboga skutkował tu na dole martwą ciszą i obumieraniem. Dziewczyna, dzierżąc w jednej ręce podróżny worek, w drugiej narzutkę, powoli wkraczała w posępną przestrzeń. Jej stopy zanurzały się w zbitej masie suchych igieł, czyniąc kroki niesłyszalnymi. Przedzierała się pomiędzy wyschniętymi wrzecionami drzew, których trzaski urągały panującej wokół ciszy. Gałęzie zahaczały o jej włosy, drapały ciało, zostawiając krwawe smugi. Wiatrołomy zmuszały do zejścia z obranej drogi. Dziewczyna w panującym półmroku nie była w stanie ocenić, czy idzie we właściwym kierunku. Wszystko wokół było żółkłe i suche. Żadnej zielonej gałązki, liścia, krzewu, a nawet trawy lub mchu. Ptaki też wyniosły się w bardziej przyjazne okolice.

Zmęczona długim marszem i bezskutecznymi poszukiwaniami znaku lunuli usiadła. I wtedy usłyszała. Tak, to był śpiew ptaka. Rozejrzała się. Nieopodal starego pnia drżały na cienkich nóżkach rachityczne grzybki. Zmęczona nawet nie zauważyła, że gdzieś tam nieśmiało wyginały się ku słońcu gałązki zielonolistnych grabów, jagodowe krzewy. W tym miejscu martwy las powoli ustępował życiu.

Wypiła resztkę wody z bukłaka i ruszyła dalej. Opuszczając mroczny las, poczuła się nieco pewniej, choć w dalszym ciągu nie wiedziała, gdzie podążać. Kamienne głązy stawały się coraz liczniejsze i coraz większe. Aż wreszcie zobaczyła. Na skalnej ścianie znajdowało się wgłębienie przypominające obrys półksiężyca. Biwia z niedowierzaniem musnęła go opuszkami palców. „Trafiłam wreszcie na ścieżkę” – pomyślała rozradowana. Ruszyła dalej, czujnie obserwując skały i podłoże. Tak. Szła we właściwym kierunku. Sygnalizowały to nie tylko znaki, które teraz dostrzegała co chwila, ale widać

było wyraźnie, że dróżka jest wydeptana, a w miejscach podmokłych wysypana drobnymi kamieniami. Biwia była już blisko.

Zza skalnego bloku wyłoniła się niewielka polana, otoczona półkuliście skałkami. Rozświetlone pożegnalnymi promieniami zachodzącego Słońca przybierały barwę ochry. Dwie pośród nich przytulone do siebie, jedna nieco wysunięta, stanowiły trwale ściany niewielkiego domku. Przylegała do nich jednospadowa strzecha, podpierana murkami z czerwonego piaskowca. Na środku polany szerokie, wygaszone palenisko zdradzało, że nieraz rozgrzewało swym żarem wielu gości.

W drzwiach stała czarnowłosa kobieta. Miała jasną, prawie białą, powłóczytą szatę, z długimi, poszerzonymi u dołu rękawami. Uwagę przykuwały kolorowe, wypolerowane kamienie nanizane w potrójny naszyjnik. Podobne ozdabiały kruczoczarne rozpuszczone włosy oraz przeguby rąk. Błada, niemłoda już twarz niezbyt pasowała do tak ekscentrycznej oprawy.

W jej wyczekującej postawie, grymasie twarzy widoczne były niechęć i pogarda. Spoglądała na przybyłą spod lekko przymrużonych powiek. Miała tak ciemne oczy, że trudno w nich było dostrzec źrenice.

– Czego tu chcesz? – spytała ostro.

Biwia, zakłopotana takim przyjęciem, nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Radość, że dotarła do celu, gdzie się rozmyśla.

– Przybywam z Ostrowia – zaczęła.

– To miejsce jest przeklęte – wyszczała kobieta zjadliwie, odwróciła się i zniknęła w głębi chaty. Nie zaprosiła dziewczyny do środka, niczego nie wyjaśniła. Po prostu skończyła rozmowę.

Biwia zmęczona usiadła na kamieniu przy palenisku. Chłód wieczoru dawał się już we znaki. Zarzuciła narzutkę, wyjęła bukłak z wodą i posiłek. Postanowiła, że noc spędzi tutaj i po wschodzie Słońca spróbuje jeszcze raz podjąć rozmowę. Rozejrzała się za drewnem do palenia. Nieopodal czujnie spoglądało na nią białe futrzane stworzonko. Łasica, czując zapach jedzenia, podeszła bliżej, oparła się dwiema łapkami na podróżnym worku dziewczyny i zaglądała z ciekawością do środka.

Drzwi skrzypnęły. Młoda Wiedma obejrzała się. Kobieta podeszła i oparła dłonie na biodrach, przyjmując zaczepną pozę.

– Masz narzutkę czarownicy. Kto cię przysłał? Wiedma?

– Wiedma już w Nawii – odparła dziewczyna. – Przysłał mnie Miłosz.

– Nie żyje – stwierdziła sucho czarnowłosa niewiasta. – Nikt nie dał znać. Jesteś wiedząca? Na twoją inicjację też nie zostałam zaproszona – dodała z pretensją.

– Nawet nie wiem, jak przekazujecie wieści – przyznała ze wstydem Biwia. – Wiedma mi nie powiedziała.

– A bo ona się troszczy o kogokolwiek? To znaczy troszczyła?

– Była dobrą przewodniczką. Uczyla mnie, jak pomagać ludziom – dziewczyna podniosła się, żeby podkreślić wagę swoich słów.

Kobieta zaśmiała się złośliwie. W jej ciemnych oczach zaiskrzyło.

– Kieby tak było, tobyś wiedziała, jak najść drogę do innych wiedz. Poczekaj.

Niewiasta weszła do chaty. Po chwili Biwia ujrzała ją ponownie. Tym razem na widok Caryczki serce jej załomotało i aż usiadła z wrażenia. Zaczynała rozumieć. Prątkowane sokole pióra na półkolistym płaszczu czarnowłosej kobiety wydawały się lekko falować na wietrze.

– Byłaś w moim widzeniu – wyszeptła z przejęciem. – Miłosz mnie do ciebie poprowadził.

– Nie wspominaj mi o tym niezgule – warknęła Caryczka. – Idziemy.

Wiedźma spod Łysych Gór wyglądała imponująco. Ruszyła pierwsza. Biwiew, podążając jej śladem,

wyprzedziła łasica i zwinnie przemykała między stopami swej pani. Niewiasta dostrzegła swą pupilkę i chwyciła za futerko na karku.

– Ty ostajesz w chacie.

Wróciły się. Łasiczka z piskiem spadła na cztery łapy i drzwi się zatrzęsły. Po chwili Młoda Wiedma zrozumiała, dlaczego łasica nie mogła iść z nimi. Na skalnej półce, w klatce z częściowo okorowanych patyków, siedziały dwa szare gołębie. Na leżącym obok niewielkim kawałku kory Caryczka wyłobliła ostrzem noża most ze śladem stopy, co, jak przypuszczała dziewczyna, miało symbolizować przejście do świata zmarłych. Przy rycinie pojawił się zarys rośliny przypominającej wrotycz, z którym można było łatwo utożsamić Wiedmę. Ten sam motyw powtórzyła na drugim kawałku kory. Przytroczyła je sznureczkami do nóg gołębi i wypuściła ptaki.

– Skąd one wiedzą, dokąd lecieć? – spytała zdziwiona Biwia.

– Wracają do swoich gniazd.

Dziewczyna zrozumiała już, dlaczego Miłoz hodował gołębie, a niektórych nie pozwalał wypuszczać z klatek. Prawdopodobnie w taki sposób, za pomocą gołębi, Wiedma powiadomiła inne czarownice o jej inicjacji.

– Wieść o śmierci Wiedmy posłana, Ostrowie, jak widzę, ma nową panią. Choć niezbyt rozgarniętą. Możesz u mnie przenocować, ale jutro wynoś się. Wracaj do tego starego niezguły. Jak on w ogóle śmiał cię do mnie przysłać?!

– Miłoz kona. Nie potrafię mu pomóc. Myślałam, że może ty?

Caryczka odwróciła się raptownie. Nozdrza jej się lekko rozchyliły, a oczy zwięzły na kształt piorunów. Biwia mogłaby przysiąc, że już gdzieś widziała podobne spojrzenie.

– Niech zdycha! To był jego wybór – Caryczka przypominała drapieznika zasadzającego się do skoku.

Biwia nie wiedziała, jak ma przemówić do tej kobiety. Wędrując tu, łudziła się, że na miejscu wszystko się samo jakoś rozwiąże, ułoży. Tymczasem wiedźma z Łysych Gór była nieczuła na los Miłozsa. Nie chciała pomóc ani jej, ani bratu Wiedmy. Przypomniła sobie o koziku, który księżycowa dziewczynka kazała jej zabrać. Bez większych nadziei wyciągnęła nóż ze skórzanej pochwy, przytroczonej do sznura.

– Duch dziewczynki nakazał mi zabrać go ze sobą. Mówił, że to ważne.

– Kto?

– Duch zmarłej Winii.

Caryczka raptownie chwyciła za ostrze. Krzyknęła i upuściła je. Biwia myślała, że to przez skałeczenie, bo rzeczywiście na wnętrzu dłoni czarownicy pojawiła się krew. Ta jednak padła na kolana i drżącymi dłońmi podniosła kozik. Wibrujące drżenie rozeszło się na całe ciało, które podrygiwało niczym w konwulsjach. Kobieta ścisnęła jedną dłonią rogowy uchwyt, a drugą ostrze. Miała zamknięte oczy, ale gałki oczne pod powiekami gwałtownie się poruszały. Coś widziała, ale nie zmysłem wzroku, i rozpaczliwie przy tym łkała. W końcu upuściła nóż i zaniosła się szlochem. Okrwawionymi rękami zasłoniła twarz. Potem się poderwała.

– Musimy się spieszyć!

Roztrzęsiona, blada, z umazaną krwią twarzą przypominała ofiarę wapiersza. Prawie biegła do chaty. Biwia próbowała za nią nadążyć.

– Kiedy wyruszamy?! – zawołała za nią.

– Tej nocy!

– Nocą? – dziewczyna spytała z niedowierzaniem. – Kto rozpoczyna wędrowanie po zmroku?

Caryczka z hukiem otworzyła drzwi, aż odbiły się od ściany.

– Potrzebujemy składników!

Biwia obserwowała, jak czarownica wyciąga tłuste sadło, wilczą jagodę, mandragorę, nasiona bielunia...

– To maść czarownic? – spytała.

– Tako. Dzięki niej jeszcze tej nocy będziem na Ostrowiu.

– My? Jakim sposobem?

Caryczka zaśmiała się wzgardliwie. Wcale się jednak nie kwapiła z udzielaniem wyjaśnień.

– Co ty u tej Wiedmy robiłaś? Izbę zamiatałaś?

Nasiona halucynogennych roślin rozpryskiwały się w proch pod naciskiem kamiennego moździerza. Łączone z borsuczym tłuszczem tworzyły smolistą maź. Czarnowłosa wiedźma przełożyła drewnianą łyżką połowę maści na glinianą miseczkę.

– Rozdziel się i nasmaruj cała. Dzięki niej możemy udać się wszędzie tam, gdzie byliśmy uprzednio.

– Nie przeniesie w miejsca nieznane? – Biwia pomyślała o łowcy i bracie.

– Nie dziwi mnie, że ty nic nie wiesz. Nie słuchasz – fuknęła Caryczka.

Po chwili ciała obydwu niewiast, pokryte smolistą mazią, zaczęły się zlewać z otaczającym je mrokiem. O ich obecności w izbie świadczyły tylko ledwie widoczne w ciemności białka oczu oraz nienaturalnie przyspieszone oddechy. Załopotwały narzutki i otuliły nagie ciała niewiast. Drzwi otworzyły się i na pół widoczne postacie zamajaczyły w świetle Księżyca.

Młoda Wiedma czuła, jak maść wżera się w skórę gorącym pyłem ziela. Poruszyła rękami i ruch ten nieznacznie ochłodził rozpalone ciało. Spojrzała na czarownicę. Bładość Caryczki ukrywała się pod smolistą maścią, źrenice może i miała rozszerzone, ale zlewały się z ciemnymi tęczęwkami. Wiedźma z Łysych Gór chwyciła za poły narzutki z sokolich piór, załopotowała nimi i wzbliła się w górę. Biwia, naśladując ją, wzniosła się ponad skały na polanie. Po chwili obydwie niczym nietoperze przemykały ponad pasmem gór w skąnym księżycowym świetle.

Młoda Wiedma podziwiała z góry rumowiska skalne, ciemne jary, szumiące złowieszczu bory. Potem ujrzała rzekę, tę samą, którą płynęła ostatnimi dniami. Wybrzusające się wody Sanu, jak gdyby jakaś góra nagle w nich wzrastała, pozwalały się domyślać, że to liczący setki lat wodnik spogląda na podróżujące czarownice. Przemknęły obok otoczonego palisadami grodu i wkrótce zabłyśły przed nimi wody jeziora Lędo. Wylądowały na cyplu, gdzie były przycumowane łódki.

– Skoro tu przybyłaś, to znaczy, że znasz to miejsce – wywnioskowała Biwia.

– Tylko ten cypel – odparła Caryczka, poprawiając fałdy sokolej peleryny. – Prowadź do chaty.

Biwia ruszyła ścieżką, przypominając sobie, jak rok temu podała ją za Miłoszem. Słysy boso, nagie. Jedynym ich okryciem były narzutki. Młoda Wiedma wsłuchiwała się w nocne odgłosy wyspy. Znała je. Rozumiała coraz lepiej mowę lasu. Tym razem czuła pulsujący w nim niepokój.

Szczeliny chaty zdradzały, że tłący się w niej ogień jeszcze przyświeca życiu. Biwia otworzyła drzwi. Ujrzała leżącego na ławie Miłosza i księżycową dziewczynkę. Stała u jego wezgłowia.

– Wreszcie – głos dziewczynki był ostry jak sierp.

Za Biwią weszła Caryczka. Na jej widok oczy dziewczynki przybrały kształt błyskawic. Wiedźma spod Łysych Gór ruszyła ku niej.

– Stój! – zadźwięczał ostrzegawczo głos ducha.

Caryczka o dziwo jej posłuchała. Nie powiedziała nic przykrego. Nie zaprotestowała. Mrugała szybko powiekami, wydawała się wręcz wzruszona.

– Młoda Wiedmo, ostaw nas samych – zażądało księżycowe dziecko.

Dziewczyna posłusznie wyszła. Maść wciąż działała na nią pobudzająco, więc nie mogła usiedzieć na miejscu. Rozpostarła poły peleryny i wzniosła się nad wyspę, zatoczyła nad nią koło i skierowała lot w stronę wzgórze, gdzie znajdowała się jaskinia, miejsce jej inicjacji. Przez szczelinę wleciała bezpośrednio do głównej komory i przykłęknęła na kamiennym ołtarzu. Przyjrzała się ponownie wyrytym na nim runom. Nie знаła i nie rozumiała ich znaczenia. Nagle coś się poruszyło w kącie i rozległ się ryk. Okazało się, że w jaskini zadowowała się niedźwiedzica z dwojgiem młodych. Zaniepokojona nagłym pojawieniem się Wiedmy zaryczała ostrzegawczo i ruszyła w jej stronę. Biwia poderwała się i umknęła przez otwór w pułapie jaskini. Połeciała nad rzekę niedaleko lasu, na którego skraju widziała ostatni raz Bartusa. W rzece kapały się boginki. Jak zwykle śmiały się, ale nie był to typowy pusty śmiech, lecz szyderczy, złowieszczy. Młoda Wiedma ukryła się za drzewem i zaczęła je obserwować. Nie było pośród rusalek Bartusa, ale wyraźnie odcinała się od pozostałych pokraczna, niekształtna kobieca postać. Jak się okazało, to ona była obiektem drwin i szyderstw. Była naga podobnie jak boginki, jak one miała rozpuszczone włosy, a na nich wianek. Jednak ciało jej było karykaturą istot, które wyśmiewały się z niej. Szturchały ją lub szczypały w zwisający brzuch, w obwisłe piersi, ciągnęły za rzadkie włosy, a nawet wrywały całe kołtuny. Zaszczuta istota nie krzyczała, nie walczyła. Jediną jej obroną były ręce i łokcie, którymi próbowała się osłonić. Wtem jedna z boginek dała sygnał, że świta. Wszystkie, włącznie z pokraczną istotą, zbiegły do pobliskiego gaju.

Biwia rozpostarła poły peleryny i wzniosła się. Zaczęła lecieć ku wyspie. Czowała jednak, że ma coraz mniej sił. Im robiło się jaśniej, tym czarownica bardziej obniżała lot w obawie przed upadkiem. Promień wschodzącego słońca strącił ją, gdy unosiła się już nad jeziorem. Dopłynęła wpław do wyspy, wspięła się na stromy brzeg i ruszyła pieszo ku chacie. Uświadomiła sobie, że maść przestaje działać w promieniach słonecznych.

Przed domem siedziała Caryczka. Na jej umalowanych smolistą maścią policzkach lży wymyły sobie jasne ścieżki. Płakała.

Biwia spojrzała na nią ze zdziwieniem i weszła do chaty. Miłoz leżał bez życia z otwartymi, nieruchomymi oczami. Księżycowego dziecka nie było. Dziewczyna ze ściśniętym sercem podeszła do zmarłego, ucałowała jego czoło i zamknęła mu powieki.

- Nie zdążyłaś – zwróciła się do Caryczki, która weszła właśnie do izby.
- Zdążyłam – odparła i osunęła się pod ścianą, siadając ciężko na klepisku.
- O czym ty mówisz? Przecie on już nie żyje! – Biwia pomyślała, że kobieta pewnie nie zauważyła, kiedy to się stało.
- Bo nie chciał już żyć. Ale zdążyłam. Odeszli razem. Uspokojeni.
- Razem? On i Wiedma?
- Jaka Wiedma? – nie rozumiała Caryczka. – A nie. On i Winia. Ojciec i córka.
- Winia była jego córką? Wiedma opowiadała, że podrzucono ją na wyspę.
- Mówiła prawdę. Jam to uczyniła. Porzuciłam własne dziecko.

Dar



Po uroczystym ciałopaleniu, zebraniu prochów Miłosza do popielnicy i zakopaniu jej na wzgórzu pośród drzew, Młoda Wiedma zaprosiła wszystkich zebranych na strawę. Tryzna poświęcona zmarłemu trwała aż do zmroku. Gdy ostatni goście opuścili wyspę, usiadły z Caryczką przy palenisku.

– Wracasz do siebie? – spytała Biwia.

Czarownica z Łysych Gór nie odpowiedziała. Wpatrzona w żar ogniska, wydawała się nieobecna myślami.

– Caryczko!

Wiedźma ocknęła się.

– Tako?

– Miłosz i Winia chcieli się z tobą pożegnać? Po to posłali mnie do ciebie?

– Ckliwe spotkanie. Nieprawdaz? – czarownica wróciła do swego sarkastycznego tonu. – Jedna martwa, jeden umierający i jedna żywa. Stadło – ostatnie słowo wycedziła z nieprzyjemnym grymasem na twarzy.

– Choć przez chwilę byliście razem. Pewnikiem nie żałujesz.

– To się okaże. Zmusili mnie do złożenia przysięgi.

– Jakiej?

– Że ci pomogę – warknęła ze złością.

Młoda Wiedma nie wiedziała, jak ma zareagować na tę wymuszoną deklarację. Cieszyć się, okazać wdzięczność czy unieść się honorem i odmówić. Stosunek Caryczki do wdrażania jej w arkana magii nie napawał optymizmem, z drugiej strony trud, który podjęła, wyruszając na życzenie Miłosza i jego córki, miałyby okazać się daremny? Spełnia się oto jej wizja. Brat Wiedmy doprowadził ją do czarownicy, która ma dokończyć, co zaczęła jego siostra.

– Obiecałaś to Miłoszowi?

– Jemu nic nie jestem winna i nic mu nie przysięgałam – najwyraźniej Caryczka nie zmieniła swojego stosunku do zmarłego. – Wybrał służbę siostrze miast życia ze mną. A gdy się okazało, że ostatecznie nie zostawił mi życie, postanowiłam dać mu nauczkę. Chciał niańczyć siostrę, niechby i niańczył własną córkę. I zmarnował nasze czędo. Takiemu człekowi miałabym przyrzekać?

– Wiedma mówiła, że tradycja nie pozwala mieszkać dziecku w chacie wiedźmy.

– I z tej przyczyny je oddałam – odparła zimno Caryczka. – A prawem i obowiązkiem Miłosza jako ojca było zapewnić Winii bezpieczeństwo.

– Miłosz wiedział, że to jego córka?
– Zostawiłam przy niemowlęciu kozik ze znakiem lunuli. Domyślił się.
– On wielce miłował wasze dziecię. Wiedma zresztą też.
– Tak miłowali, że zmarnowali. Po śmierci Winii Miłosz rozpaczał, a ona nie umiała go opuścić i próbowała pocieszać. Dlatego duch jej błąkał się tu po wyspie. Nic o tym nie wiedziałam. Nie wiedziałam, że moje dziecię znosiło takie męki po śmierci – Caryczka w bezsilności zacisnęła pięści. Na jej twarzy malowała się zaciętość. – To Winia wymogła na mnie tę przysięgę. Chciała, by jej ojciec odszedł spokojny, z poczuciem spełnionego obowiązku. Przrzekła, że wtedy i ona odejdzie do Wyraju. I dodała, że jestem jej to winna. Winna! – zakrzyknęła z pretensją. – Jakbym to ja przyczyniła się do jej śmierci, a nie oni!

Biwia miała na ten temat nieco inny pogląd, ale zmilczała.

– Będziesz mnie uczyć?

– Nie wiem, czy mi cierpliwości starczy. Bo ty zbyt bystra nie jesteś.

Młoda Wiedma coraz lepiej rozumiała, dlaczego ludzie omijali Caryczkę z daleka. Sama miała ochotę podziękować jej za dobre chęci i wyrzucić z chaty. Powstrzymała się jednak.

– Nie musisz.

– Muszę. Niestety. Następnej nocy będzie sabat na Łyścu. Maść czarownic cię tam nie zanieś, boś jeszcze nie była na tej górze. Zresztą chybaś jeszcze za młoda – ostatnie zdanie wypowiedziała z nutą zawiści. – Przyleć do mnie, gdy Miesiąc zacznie maleć.

Biwia, przełykając upokorzenie, postanowiła przyjąć ten niechętnie proponowany dar.

– Jak wygląda taki sabat? – zmieniła temat.

– Jest jak tygiel, w którym wszystko wrze. Zlatują tam czarownice. Każda z nich ma jakiś dar. Niezwykły dar. Gdy się zgromadzą i wezmą za ręce, iskrzy niczym w kuźni. Tańce, śpiewy i ziołowe odwary wyzwalają wielką moc. Na sąsiedniej górze, Łysicy, czekają męże, dzięki którym wiedźmy mogą dać upust niespożytym siłom, które je napęlniają.

– A jaki jest twój dar, Caryczko?

– Kamienie do mnie mówią. Mam tę moc od urodzenia, bom jest siódmą córką siódmej córki.

– Słusznie prawisz, że ze mnie nie będzie dobra wiedźma, bo ja nijakiego daru nie mam. Wiedma mówiła, że jasnovidztwo, ale chyba się myliła. Takie chwile pojawiają się rzadko i nie panują nad nimi.

Caryczka wstała. Zdjęła z głowy przepaskę z kolorowych kamieni nanizanych na nić niczym przęśliki¹⁹, stanęła za Biwią, podtrzymując nad nią kamienny wieniec.

– Zamknij oczy, unieś prawą dłoń i dotknij jednego.

Młoda Wiedma uczyniła, co jej poleciła Caryczka. Kamień był zimny i szorstki. Po chwili poczuła, że drobinki wywołujące tę szorstkość są cieplejsze od powierzchni, w której są zatopione.

– Kamień, któryś wybrała, to runa cierpliwości. Potrzebujesz jej, by spełnić przeznaczenie. Twoja moc jest jak te drobinki: mała i rozproszona. Jedynie boska siła może je złączyć, a gdy to uczyni, twój dar stanie się niezwykłym.

– Co mam uczynić, by tak się stało? – spytała przejęta dziewczyna.

– Nie wiem. Tego kamienie nie rzekły. Albo rzekły, ino zrozumiemy ich mowę dopiero, gdy to nadejdzie.

Caryczka tej samej nocy powróciła w Łysę Górę, żeby przygotować się do sabatu. Kolejny dzień i kolejna noc to święto Stada. Biwia nie chciała go czcić z innymi ludźmi. Wspomnienie ostatniego spotkania z Bartusem bardzo jej doskwierało. To już rok, odkąd go straciła.

Damroka przed południem przygotowała ucztę dla zmarłych i rozpałała ognisko. Młoda Wiedma

dołączyła do niej, oddając swej nauczycielce, jej bratu oraz jego córce hołd i składając im w ofierze pokarm. Księżycowe dziecko już się nie pojawiało, zniknęło wraz z odejściem Miłosa. Ojciec i córka mogli wreszcie cieszyć się w Nawii spokojem.

Młoda Wiedma wzięła świąteczny pokarm do kobiałki i udała się do Świętego Gaju. Dzień był słoneczny, wręcz upalny. Po drodze z uszanowaniem złożyła leszemu część niesionej ofiary. Wiedziała już, że nie wolno narażać się na gniew władcy lasu. Jej poprzedniczka starała się, by nie wchodzili sobie w drogę, Bivia postanowiła czynić podobnie. Po wypadku z drzewem uważała na to, co mówi, i traktowała puchacza z należnym mu szacunkiem.

Żerdzie otaczające dębowy gaj były już spróchniałe, wyłamały się w niektórych miejscach, pozwalając zwierzyźnie leśnej na bezkarnie buszowanie pośród świętych drzew. Dwie spłoszone sarny wybiegły, przeskakując nad połamanym ogrodzeniem. Bivia uświadomiła sobie, że choć Damroka była nieocenioną pomocą na wyspie, to jednak brakowało tu prawdziwej męskiej ręki i gospodarskiego oka.

Kiedy przyklekła przed najstarszym dębem, zerwał się wiatr, w oddali zagrzmiało. Siegnęła do kobiałki. Chwytna przykrywając pokarm płócienną chustkę i wtedy poczuła jakby uderzenie krwi do głowy. Przymknęła oczy. Zobaczyła skalną ścianę. Usłyszała grzmot i kamienny blok zaczął pękać. Najpierw były to rozwidlające się rysy, które przechodziły w szczeliny. Zbliżyła się do jednej z nich. Przez szparę w skale dojrzała brata. Był daleko. Trzymał w ręku płócienną chustkę. To była ta sama, którą przed rokiem próbowała osłabić moc boginek. Chciała ją wtedy ofiarować im w prezencie. Zresztą bezskutecznie, bo nie przyjęły tej ofiary. Możliwe, że zwietrzyły podstęp. Nasączona była jej krwią i sokiem bylicy, którym ruszki się brzydzą. Niewypłukana w pełni przez deszcze i śniegi emanowała jeszcze aurą poprzedniej właścicielki. Bartus ją wyczuł. Ściana oddzielająca go od siostry nie rozpadła się, ale stała się przepuszczalna, jakby zaczęła ją toczyć erozja. Bivia próbowała zawołać brata, ale bezskutecznie. Jej głos zniknął w skalnych szczelinach. Kręte ścieżki w kamiennej ścianie niosły nie tam, gdzie był posyłany. Bartus nie słyszał jej ani nie widział. Czowała jednak, że o niej myśli. Czowała też, że w jego duszy jest jakiś ból, który rodzi złość i nienawiść.

Młoda Wiedma, zaabsorbowana wizją i próbą nawiązania kontaktu z bratem, łączności, która zawsze między nimi była, nie zauważyła nawet chmurników, którzy w pośpiechu, poganiani przez samego Peruna, pędzili przerażeni, włokąc ciężkie, deszczowe chmury. Nie zwracała uwagi na uderzenia porywistego wiatru, który z sadystyczną rozkoszą znęcał się nad niewolniczo zaprzężonymi chmurnikami. Nawet pierwsze grzmoty uszły jej uwadze. Były jakby echem nawoływania ginącego w szczelinach. Ze skalnej ściany, będącej w jej wizji, zaczęły spadać pierwsze krople wody. Po chwili zmieniły się w strumień opadający z hukiem wodospadu. Woda zalewała jej twarz, zmywała łzy, przesiąkała przez odzienie. Kolejny grzmot. Bivia raptownie otworzyła oczy. Widzenie zniknęło. Wokół szalała burza. Niebo przecięła ukośna włócznia światła i uderzyła w drzewo. Perun poprzez Święty Dąb połączył się z przesyconą nagłą wilgocią Mokoszą. Bivia jako przypadkowy świadek tej miłosnej gry sił natury upadła rażona promieniującą mocą Pana Nieba. Świetlista moc zginęła w głębi Matki Ziemi. Dąb przyjął kolejny cios z ręki Peruna. Rozżarzona smuga prowadziła wzdłuż pnia ku korzeniom. Tuż obok leżała nieprzytomna Bivia.

Coś mokrego i szorstkiego lizało jej wargi. Otworzyła oczy. Ujrzała znajome szpary w dachu, przez które wkraadały się promienie słoneczne. Na jej piersiach leżał bursztynowy kot. Widząc reakcję swej pani, przytulił się pyszczkiem do jej podbródka i z zadowoleniem zaczął miarowo i pieszczołliwie wpijać pazury w jej ciało. Napięta skóra zapiekła żywym ogniem. Jęknęła z bólu i wzdrygnęła się. Kot zeskoczył. Miała wrażenie, jakby jej ciało wyjęto z ognia. Leżała naga, przykryta pledem, który ją uwierał, podrażniał cieniutką jak pergamin skórę. Podniosła ręce i przyjrzała się im. Pokrywała je

siateczka czerwonych nitki, jakby miała pod skórą krwawą przędzę. Położyła je z powrotem. Usiłowała sobie przypomnieć, jak się tu znalazła. Co się wydarzyło? Skąd się wziął w chacie Jantar? Chciała wstać, ale nie miała sił. Zamknęła oczy. Próbując odtworzyć w pamięci ostatnie wydarzenia, zasnęła.

Obudził ją ruch w chacie i rozchodzący się zapach rumaniku oraz żywokostu. Zapadał zmierzch. Jakaś kobieca postać zbliżyła się do niej. Postawiła przy legowisku misę, w której zamoczyła szmatkę. Delikatnie odkryła plec. Biwia rozpoznała Damrokę. Narzuta na powrót opadła na jej ciało.

– Wróciła do życia! – zawołała gdzieś w głąb izby uradowana kobieta.

W chacie był jeszcze ktoś. Poderwał się i zbliżył ze zwinnością rysia.

– Biwio – zahuczał niski głos.

Łowca pochylił się nad nią. Włosy zasłoniły mu twarz. Odgarnął je. Dotknął delikatnie jej czoła i policzka.

– Słyszysz mnie? – spytał. Przytaknęła nieznacznym ruchem głowy. – Możesz mówić?

– Dajcie wody – zachrypiąca cichutko.

Damroka poszła po kubek i zanurzyła go w cebrze stojącym w izbie. Jarowar ostrożnie pomógł dziewczynie usiąść. Wziął od wdowy kubek i przyłożył do ust Biwii.

– Pamiętasz, co się stało?

Młoda Wiedma pokręciła głową. Mówienie sprawiało jej trudność.

– Piorun cię poraził. Damroka nazajutrz cię znalazła i przyciągnęła do chaty. Kilka dzionków leżałaś bez życia. Byliśmy w strachu, że się nie obudzisz.

– A ty? – z trudem zapytała.

– A ja? Ja tu jestem od zeszłego dnia. Odebrałem od flisaków żelazny sztylet za moje skóry i przy okazji przyszedłem oddać twoją własność – spojrzał wesoło w stronę kota. – No i zostałem. Odejdę, gdy odzyskasz siły.

– Wiem. Wiem, że odejdziesz – wyszeptała i zmęczona zamknęła oczy. Znow zasnęła.

Mijały kolejne dni. Biwia dużo spała, Damroka dbała, by dziewczyna często jadła i nabierała sił. Wdowa przyrządzała też napary oraz maści według wskazówek chorej. W miarę możliwości nie pozwalała ludziom męczyć dziewczyny problemami, dolegliwościami, z którymi przybywali. Biwia była wdzięczna swej opiekunce, ale i Miłozowi, dzięki któremu Damroka zamieszkała w pobliżu.

Jarowar natomiast znikał na całe dni, ale co wieczór zjawiał się w chacie. Przynosił zwierzyne, głównie króliki, i dawał do przyrządzenia wdowie. Naprawił więcierze, zabezpieczył smołą łodzie zacumowane przy wyspie. Zniósł stare, spróchniałe żerdzie spod Świętego Gaju i przygotował do palenia.

– Chodź, pokażę ci coś – zaproponował pewnego popołudnia.

Wziął Biwią za rękę i poprowadził w miejsce, gdzie raził ją piorun. Gaj otoczony był nowym, solidnym ogrodzeniem. Dziewczyna ze wzruszeniem dotykała świeżo okorowanych żerdzi.

– Jak ci się odwdzięczę?

– To moja żertwa złożona Świętemu Dębowi i Perunowi, że cię zostawili przy życiu.

Biwia dobrze czuła się w obecności Jarowara. Jego swobodny sposób bycia udzielał się. Ta swoboda widoczna była w sposobie poruszania się, geście odrzucania włosów, w rozmowie, w śmiechu. Lubiła na niego patrzeć, choć była pełna obaw, czy on nie odbiera tego jako natręctwa z jej strony.

– Co ja bym bez was zrobiła? Bez ciebie i Damroki.

Jarowar spoważniał.

– Biwio, wiosna już mija. Za niedługo czas łowów. Wracam do lasu.

– Ostawisz mnie? – chciała, żeby to zabrzmiało jak zwyczajne, zadane niby w żartach pytanie.

Zabrzmiało jednak jak żalosna skarga.

– Będę cię odwiedzał i pomagał, gdy zajdzie potrzeba. Przyrzekam.

– A gdybym nie była wiedźmą, ostałbyś ze mną?

Uśmiechnął się, ale bez zakłopotania. Chciał pogładzić ją po włosach. Dziewczyna umknęła przed jego ręką.

– Złóścisz się?

– Nie. Po prostu nie lubię, jak ktoś mnie głaszcze po głowie.

Podniósł ręce wymownie w górę, na znak, że jej już nie dotknie.

– Nie wiem, jakby to było. Dla mnie jesteś Biwią, a nie wiedźmą. Aczli ostawiłabyś życie na Ostrowiu i przeniosła się do boru, gdzie ludzie cię nie najdą?

– Nie – odparła po namyśle. – Życie tu jest mi przeznaczone.

– A ja nie mógłbym tu żyć.

Wracali w milczeniu. Każde w sobie ważyło usłyszane słowa. Biwia skierowała kroki do owinu. Na drewnianej belce powiewał wisielczy sznur. Długo na niego patrzyła. Ostrożnie wyściubiła dwa włókienka. Udała się do chaty, przyrządziła napój z kwiatów czarnego bzu, po czym wrzuciła włókienka do jednego z glinianych kubków i wlała doń orzeźwiający napitek.

Do izby wszedł Jarowar. Miał spakowany worek podróżny. Przekładał go z ręki do ręki i spoglądał z ukosa. Jego swobodny sposób poruszania się gdzieś zniknął. Odchrząknął kilka razy, jakby przygotowywał się do jakiejś mowy. Potem wypuścił nagle całe powietrze i pochylił głowę. Ważył w duszy jakieś słowa.

– Mogę stanąć do walki z niedźwiedziem, dzikiem, rysiemi i nie odczuwam strachu. Wiem, jak podejść zwierza, izby mnie nie wyczuł. Wiem, jakie ma zwyczaje i jak to wykorzystać. Nie potrafię jednak przewidzieć, co może zrobić taka, co zna się na magii. Słyszałem o silnych, nieustraszonych wojach, których czarownice zamieniały w tchórzliwe zające. Wiem, że jesteś wiedźmą i masz moc. Ale nie budzisz we mnie strachu. Nie odchodzę, boś wiedząca. Odchodzę, bo moje miejsce w borze. Nie mógłbym tu żyć. Wybacz mi.

Jarowar chwycił Biwię za rękę i przyciągnął do siebie, jego usta spotkały się z jej ustami, jego język spotkał się z jej językiem. Oszołomiona jedną ręką chwyciła jego długie ciemne włosy, w drugiej wciąż trzymała kubek z magicznym napojem.

Nagle osłabła. Jarowar zdziwiony pochwycił osuwającą się na ziemię dziewczynę. Kubek upadł z głuchym hukiem na klepisko i rozpadł się na kawałki. Niewielka kałuża z napoju powoli wsiąkała w glinianą podłogę.

– Biwio? Co się dzieje?

Dziewczyna powoli odzyskiwała siły. Była nienaturalnie biała, roztrzęsiona. Chwyciła łowcę za ramiona, które służyły jej za oparcie.

– Nie odchodź. Proszę. Miałam wizję.

Przytulił ją. Potem lekko się odsunął i patrząc prosto w oczy, zaczął tłumaczyć, jak małemu dziecku.

– Wrócę tu wkrótce. Gdy odzyskasz w pełni siły, zabiorę cię, tak jak obiecałem, w miejsce, gdzie widziałem twój brata.

– Jeśli odejdziesz, już nie wrócisz. Jarowarze, to nie chodzi o nas. Ktoś zgotował na ciebie zasadzkę. Miałam wizję.

– Wizję?

– Tak. Ongiś pod Świętym Dębem kamienne drobinki stopiły się i połączyły od uderzenia pioruna. Mam dar. Przeklęty dar.

19 Przędzlik – niewielki krążek z otworem, obciążał wrzeciono, zapobiegając zsuwaniu się nici podczas przędzenia.

Łowca



Jarowar odszedł. Biwia nie mogła sobie poradzić z kolejnym rozstaniem. Najpierw brat, potem Wiedma, następnie Miłosz, a teraz on. I jeszcze ta niepokojąca wizja. To przekonanie, że coś lub ktoś czyha na życie łowcy. Szukając jakiegoś zajęcia, by przerwać niewesołe rozmyślenia, udała się do owinu. Postanowiła zrobić miejsce na nowe zioła. Kruszyła więc ususzone i wsypywała do woreczków oraz glinianych naczyń. Smutne myśli jej jednak nie opuszczały. Raz żałowała, że napój mający zatrzymać Jarowara wylał się i nie zdążyła mu go podać, to znów dochodziła do wniosku, że dobrze się stało, bo przecież nie miała prawa samowolnie sterować jego życiem, zniewalać go magią, której tak się obawiał.

Miała się udać do Caryczki na nauki, ale wciąż nie czuła się na siłach. Jej poparzona od pioruna skóra nie zniosłaby toksycznego działania maści czarownic. Natomiast wiedźma spod Łysych Gór wcale nie kwapiła się, by sprawdzić, dlaczego Biwia się u niej nie zjawia.

O zmierzchu opuściła owin. Stado świetlików zakotłowało się, niosąc wieść, że ktoś się zbliża. Młoda Wiedma ruszyła więc ścieżką, by sprawdzić, kto przybywa o tej porze. Niespodziewanie wyrosła przed nią znajoma sylwetka. Człowiek odrzucił w tył opadające mu na oczy włosy.

– Jarowarze! Wróciłeś.

– Lekceważenie słów czarownicy może się okazać zgubne. Wolę mieć magię po swojej stronie. Mam nadzieję, że gdy przyjdzie czas, pozwolisz mi odejść.

– Gdybym chciała, przywiązałabym cię do siebie niewidzialnym sznurem wisielca. Ale nie chcę. To znaczy chcę, ale tego nie zrobię, bo...

Straciła możliwość dalszych tłumaczeń, usta Jarowara przywarły do jej ust. Tym razem nie zasłabła.

– Opowiesz mi o swojej wizji? – poprosił Jarowar, siadając przy palenisku w chacie.

Biwia siedziała zamyślona, wpatrzona w żar ogniska.

– To było jakby odbicie w jeziorze, mętne i niewyraźne. Widziałam las i ciebie... martwego, wiszącego głową w dół.

Poszukiwała jego dłoni, jakby chciała się upewnić, że jest przy niej i nie grozi mu niebezpieczeństwo.

– Myślisz, że przyszłość można zmieniać? – spytał.

– Nie wiem. Ale jeśli nie można, to po co mi taki dar?

Przytulił ją. Chciał pogłaskać po głowie, ale się powstrzymał, tylko pocałował w czoło.

– Pojutrze Dzień Kupały. Chceszli go ze mną uczcić?

Miała ochotę mu wyznać, że marzy o tym, odkąd go po raz pierwszy zobaczyła, ale obawiała się zbytniej wylewności. Wiedziała, że on wkrótce odejdzie, więc po co rozżarzać tę namiętność? Może rozstanie będzie wtedy mniej bolesne.

– Tak, Jarowarze. Ale musisz wiedzieć, że jeszcze nigdy nie byłam z żadnym mężczyzną.

Noc Kupały, najkrótsza noc w roku, to święto czczone od pokoleń, święto Słońca, które triumfuje nad nocą, ale i święto Księżycy, który odtąd znów będzie zdobywał przewagę. Podczas tych uroczystości pary mogły się łączyć za przyzwoleniem bogów i ludzi. Dziewczeta i młodzieńcy pod pretekstem szukania kwiatu paproci wędrowali w knieje, szukając nowych doznań, zaspokajając pożądanie i czcząc tym samym płodność. Bo cóż w Naturze jest cenniejszego niż dar życia, który można przekazać?

Biwia miała wyznaczoną inną drogę, więc pochyłona nad studnią wymawiała zaklęcia. Pod jej bosymi stopami wiatr turlał ziarna maku.

– Toń ziarno płodności, chłoń wodę, bo ja płodną być nie mogę.

Uczyniwszy wszystko, czego ją uczyła Wiedma, udała się do chaty, po której rozchodził się zapach ruty i jałowca. Obmyła ciało naparem z rumianku, włożyła suknię i przepasała się bylicą. Jarowar rozpalil ogień nad wodą. Przyszła do niego, gdy zapadał zmrok. Trzymała w ręku wianek z bylicy i ruty.

– Będziesz puszczać wianek? – spytał.

– Nie. To dla ciebie – włożyła mu plecionkę na głowę. – Niech cię chroni przed urokami czarownic i rusałkami.

– Rusałek się wystrzegam – uśmiechnął się i pocałował ją.

Wziął ją za rękę i weszli do wody. Zanurzeni w uścisku – on po pas, ona do piersi – nie czuli chłodu jeziora. Nie dostrzegali nic poza sobą, nie czuli nic poza bliskością ciała. Długi, namiętny pocałunek stapał ich niczym krople deszczu w jeziorze. Po rytualnej kąpeli wyszli na brzeg i w ciepłe płonące ogniska zdejmowali mokre odzienie. Całkiem nadzy przyglądali się sobie z zachwytem. Z czułością zaczęli poznawać swoje ciała, by ostateczne poznanie przypiecztować spełnieniem na Matce Ziemi, między ogniem i wodą. To było dla nich niepojęte, że można tak współodczuwać każdy ruch, każdy grymas, każde westchnienie. Byli jednym ciałem. On był w niej i dla niej, a ona była w nim i dla niego. Czula się w jego ramionach bezpieczna. Czula się kochana.

Ta noc stała się kolejnym przejściem, inicjacją, początkiem nowego etapu w życiu Młodej Wiedmy. Dopiero teraz tak naprawdę stała się niewiastą świadomą siły, jaka w niej drzemie. Zrozumiała, jak wielką moc może wykrzesać dwoje ludzi, a ta udziela się całemu światu.

Tuż przed świtem siedzieli wtuleni i grzali się przy ogniu, którego odcienie zmieniały się w zależności od ziół, które doń wrzucali.

– Kiedy mnie zaprowadzisz tam, gdzie spotkałeś Bartusa?

– Jak tylko nabierzesz sił. Powiesz mi, co się stało z twoim bratem?

Biwia opowiedziała o pamiętnym święcie Stada, o wianku, który wyłowil Bartus i jego miłości do rusałki Kele. Wspomniała o nieudolnej próbie odnalezienia go i płóciennej chustce, przesączonej jej krwią i sokiem z bylicy, którą prawdopodobnie brat odnalazł, gdy modliła się przed burzą pod Świętym Dębem.

– To dlatego nie schroniłaś się przed burzą. Próbowalaś odzyskać więź z bratem.

– Skala, postawiona pewnikiem przez zaklęcia rusałek, popękała, ale nie usłyszał mnie ani nie zoczył – odparła ze smutkiem. – Boję się, Jarowarze. Boję się, że nawet jeśli uda mi się go spotkać, nie będzie już tym samym Bartusem. Znaliśmy swoje myśli, czuliśmy to samo. A teraz? Nic. Zimna, twarda skala nas rozdziela.

– Dziw, że boginki ostawiły go przy życiu. Widziałem porzucone na polanach, w strumieniach czy na brzegu rzeki ofiary ich okrutnych igr.

– Bartus też by tak pewnikiem skończył, ale mu podałam odpowiedź na zagadkę rusałki. Powiadają, że jeśli kto dobrze odpowie, boginki nie mogą mu zabrać życia, a i może wejść w swabę z jedną z nich.

– Skąd znałaś odpowiedź?

– Nie wiem. Sama się pojawiła, jak i moje wizje same się pojawiają.

Z oddali rozległo się miauczenie. Jantar zbliżał się, witając się z dala ze swą panią.

– Dobrze, że kot cię nie zaatakował, gdyś mnie tulił – uśmiechnęła się Biwia.

– Łowca miałby atakować łowcę? Nie. Za dobrze się znamy. Tyle mięsa co u mnie to on nigdzie i nigdy nie zjadł – odparł wesoło Jarowar.

Kot tymczasem otarł się o nogi Młodej Wiedmy, a kiedy już zaznaczył, że do niego należy, zbliżył się łaskawie do łowcy i z ciepłym mručeniem połaskotał go swym bursztynowym futrem. Potem zadowolony oddalił się, by za chwilę powrócić ze swym trofeum. Złożył u ich stóp gołębia. Przegryziona, zakrwawiona szyja ptaka była niczym naddarty sznur, na którego końcu zwisała głowa z otwartym dziobem i zmętiałymi oczami. Do nogi martwego gołębia przytroczona była drewniana, cienka łupka. Biwia przyjrzała się wiadomości wyrytej najpewniej przez Caryczkę. Był to okrąg zamieszczony na skale, wokół którego wirowały różne symbole, w tym także lunula.

– Co to jest?

– Zaproszenie. Na sabat – spojrzała na rozjaśniające się niebo. – Właśnie się kończy.

– Żałujesz?

– Czego? Że nie byłam na sabacie? – uśmiechnęła się, zaglądając mu w oczy. – Nie. Wolałam mój mały sabat z tobą na Ostrowiu niż gdzieś na Łyścu. Nie ciągnie mnie do innych wiedźm, wolę kroczyć własną drogą.

Minęła pełnia. Biwia powoli nabierała sił i choć nie była jeszcze gotowa, by udać się pod Łyse Góry za pomocą maści czarownic, odbywała już coraz dłuższe spacerunki na łąki, by zbierać zioła. Uważała, że może się już udać na dłuższą wyprawę w głąb boru.

Najlepszą porą, by podejmować działania, jest czas między nowiem a pełnią Księżycy. Ma on wtedy szczególnie magiczną moc i sprzyja wszelkim podejmowanym poczynaniom. Młoda Wiedma uznała, że jest to odpowiednia pora, żeby wyruszyć z Jarowarem.

Wyspę opuścili o świcie. Minęli pokryte lasem wzgórza, gdzie znajdowała się jaskinia, w której kiedyś odbyła się inicjacja. Przedzierali się przez jarugi²⁰ i płynące na ich dnie rwące strumienie, wspinali się na wysokie wzniesienia. Do szałasów Jarowara nie prowadziła żadna wydeptana ścieżka. Biwia szybko straciła orientację i nie wiedziała już, gdzie się znajduje ani jak wyjść z boru. Łowca znał każde wzgórze, każde drzewo, poruszał się bezszelестnie niczym dziki kot. Nagle przystanął i zatrzymał Biwię, dotykając jej ramienia. Płatki jego nozdrzy delikatnie się poruszały, wyczuwał coś. Dziewczyna zamarła w bezruchu i zaczęła się wsłuchiwać w odgłosy lasu. Po chwili usłyszała trzaski łamanych gałęzi, piski i gruby, chrapliwy dźwięk, jakby pojawiający się w odpowiedzi na popiskiwanie. Locha z warchlakami żerowali w pobliżu. Maciora nie wyczuwała niebezpieczeństwa, bo wiatr niósł zapach od północy, a Biwia i Jarowar przyczaili się od południowej strony. Po cichu zaczęli się wycofywać. Łowca nie chciał się wdawać w walkę z lochą, bo jeszcze karmiła młode.

Biwia nie potrafiła poruszać się po lesie z taką zręcznością jak jej towarzysz. Płoszyła więc sarny, łanie, lisy i zajace. W pewnym momencie łowca znów zatrzymał dziewczynę. Rozejrzała się dokoła,

zaczęła nasłuchiwać. Nic jednak nie przykuło jej uwagi. Spojrzała na niego pytająco. Towarzysz jednak z uwagą oglądał runo leśne, krzewy i drzewa. Był zaniepokojony.

– Ostań tu i nigdzie się nie ruszaj – szepnął.

Młoda Wiedma posłusznie przykucnęła, kryjąc się za bujnie rozrośniętymi krzewami jeżyn.

Jarowar wspiał się na pobliskie drzewo i długo rozglądał wokół. Potem miękko zeskoczył i ruszył przed siebie, jeszcze raz pokazując dziewczynie gestem dłoni, żeby została na miejscu.

Biwia zaczęła się zastanawiać, czy to jakiś większy zwierz nie stanął na ich drodze. Pomyślała, że może ryś, bo na drzewie, po którym wspinał się Jarowar, widoczne były ślady pazurów, a łowca pokazywał jej, że rysie między innymi w ten sposób znaczą swój teren. Wokół panowała cisza. Wręcz niepokojąca cisza, jakby coś się zaczęło w leśnej gęstwinie i przepłoszyło wcześniej inne zwierzęta.

Nagle usłyszała szamotaninę. Wyciągnęła ze skórzanej pochwy nóż. Nie słyszała żadnych odgłosów zwierzęcych: ani ryku, ani pisku, ani skomlenia. Przerazona zaczęła powoli przesuwać się w stronę, z której dochodziły trzaski łamanych gałęzi i głuche uderzenia.

Nagle coś szarpnęło nią i świat zawirował. Poczula rwący ból nogi i zawrót głowy. Rozejrzała się zdezorientowana. Zamajaczyły nad nią liście i owoce jeżyn. A właściwie pod nią. Wisiała głową w dół. Z wysiłkiem spojrzała w stronę nóg, lecz widziała tylko gałąź i kawałek sznura. Wszystko przesłaniała jej opadająca suknia. Sznur wżerał się w jej ciało wokół kostki, druga noga opadała bezwładnie, więc z wysiłkiem zahaczyła nią o tę uwięzioną. Bała się zawołać o pomoc, bo nie wiedziała, co się dzieje za gęstwiną leśną, skąd dochodziły odgłosy walki. Uświadomiła sobie, że wciąż trzyma zaciśnięty w pięści kozik. Próbowala raz i drugi wygiąć się tak, by sięgnąć nożem do sznura przy nodze. Bezskutecznie. Nie miała na tyle sił. Zmęczona i zrezygnowana zawisła bezwładnie. Usłyszała za krzewami szcęk metalu. To ją zmobilizowało. Przytrzymała nóż zębami i spróbowała chwycić rękami za udo. W końcu za któryś razem udało jej się. Powoli, konsekwentnie przesuwała ręce w kierunku łydki, potem kostki. Jedną ręką złapała uwięzioną stopę, a drugą zaczęła pilować naprężony nad nią sznur. Spadła w ostre krzewy jeżyn niczym wielka ulęgalka. Podszyt leśny zamortyzował upadek, ale ostre kolce pędów ostrężyny nie oszczędziły jej, zostawiając krwawe smugi na całym ciele. Nóż podczas upadku wypadł jej z dłoni. Zrozpaczona zaczęła go szukać. Wreszcie ostre zabłysło pośród zieleni. Chwyciła nóż, uniosła w górę suknię, która już zdążyła z powrotem opaść, i starała się wykaraskać z kolczastej gęstwy. Nie zwracała uwagi na rozdzierające jej delikatną skórę kolce, parła w stronę odgłosów walki.

Gdzieś niedaleko rozległ się ostrzegawczy ryk niedźwiedzia. Biwia nawet się nie obejrzała, skąd dochodził, bo odsłonił się przed nią obraz dwóch szczipionych w walce mężczyzn. Czarne włosy Jarowara przesłaniały twarz przeciwnika, nad którym łowca właśnie zyskał przewagę. Obezwładnionego przytrzymywał jedną ręką, a drugą sięgał po sztylet. W tym momencie odsłonił bladą, wykrzywioną twarz chłopca o bursztynowych włosach, splecionych w warkocz. Ten, korzystając z chwili, uwolnił rękę, by zablokować napierający nań sztylet. Był jednak słabszy i ostrze zaczęło niebezpiecznie dotykać jego szyi.

– Bartus! – krzyknęła Biwia.

W tym momencie poczuła rozdzierający ból ramienia. Zapadła ciemność, odgłosy zaczęły niknąć gdzieś w mrocznej mgle. Odzyskała przytomność, gdy Jarowar kładł ją na posłaniu z niedźwiedziej skóry w swoim szałasie. Piekący ból w okolicach barku bardzo jej doskwierał. Łowca rozdarł i tak już postrzępioną oraz poplamioną krwią suknię i zaczął polewać ranę jakimś płynem o ostrym zapachu. Wszedł i po chwili wrócił z mokrymi liśćmi babki i czosnkiem niedźwiedzim. Rozgniół ziele, przyłożył do rany i sprawnie owinął płócienną szmatką.

Prawie całe odzienie miał ubrudzone krwią. Okazało się, że krwawe plamy nie pochodziły tylko

z ramienia Biwii. Z trudem odwiązał tasiemki swojego kaftana, potem zdjął upaprane posoką giezło. Na boku pod ramieniem sączyła się z ciężej rany purpurowa krew, zalewając mu nawet nogawice. Miał też na ciele mnóstwo sińców i krwawych wybroczyn. Podobnie opatrzył swoją ranę i zmęczony położył się obok.

– Co się stało? – spytała.

– To ty jesteś wiedząca – odburknął.

– W mojej wizji wisiałeś na tym sznurze.

– Na jakim sznurze? – nie zrozumiał. Biwia uświadomiła sobie, że przecież gdy walczył z Bartusem, nie widział, co jej się przytrafiło.

– Zastawił zasadzkę. Wpadłam w nią i zawisłam na sznurze głową w dół. Przecięłam go kozikiem i ruszyłam ci na pomoc.

– Mnie czy swemu bratu? – zapytał z pretensją w głosie. – Pokonałbym go, gdyby nie twój krzyk.

– Co mnie zamroczyło? Skąd ta rana na ramieniu? – Biwia zmieniła temat. Nie chciała odpowiadać na pytanie, które tak naprawdę było zarzutem.

– Niedźwiedź pogłaskał cię łapą. Dobrze, że jeszcze młody, bo po starym nie byłoby co zbierać.

– Przybył na pomoc Bartusowi jak wtedy, gdy pierwszy raz walczyliście.

– Poradziłbym sobie i z niedźwiedziem, bo głupi młodziak by już leżał z poderzniętym gardłem.

– To mój brat, Jarowarze. Nie zrobiłbyś tego.

– On by to zrobił bez mrugnięcia swym złocistym okiem – odparł wrogo. – Poluje na mnie jak na zwierzę. Z jakiej przyczyny?

– Nie wiem. Ale się dowiem.

Zapadła przykra cisza. Biwia czuła się winna. Podwójnie winna. Pragnęła chronić obydwu, a nie potrafiła żadnego. Nie mogła zrozumieć postępowania Bartusa. Jakimi drogami wędrował od chwili, gdy podążył za rusalkami? Skąd w nim takie pragnienie czynienia zła?

– Co uczynił, kiedy mnie zoczył?

– Zawołał na niedźwiedzia jakąś nieznaną mi mową. Ten odstąpił od ciebie, zaryczał i uciekł. Młodziak zrobił to samo, ino po cichu.

– Wie, że tu jestem – stwierdziła.

– Nie mam pewności, czy to dobra wieść.

Jarowar podniósł się z trudem i wyszedł z szałas. Wziął drewnianą furtkę z rozpiętą na niej skórą wilka i zasłonił wejście.

– Odpocznij, mała wiedźmo. Muszę jeszcze zabezpieczyć okolice.

Wśluchiwała się w jego kroki, ale było to bardzo trudne, bo Jarowar poruszał się niemal bezszelestnie. Wkrótce znużona usnęła.

Obudził ją dziwny dźwięk. Zatrzęsły się ściany szałas. Poderwała się, lecz ostry ból ramienia szybko sprowadził ją z powrotem na legowisko. Coś oparło się o szałas i zaczęło drapać jego poszycie. Wyglądało na to, że jakieś duże zwierzę. Skuliła się. Budowla wyglądała na solidną, ale czy aż tak? Drapanie ustało. Miała wrażenie, że stworzenie po drugiej stronie obwąchuje leśną budowlę. Widocznie czuło jej zapach. Przypomniała sobie, że przejęta podróżą z Jarowarem zapomniała złożyć leszemu ofiarę, gdy wchodziła do lasu. O innych demonach leśnych też nie pomyślała. Teraz gorzko tego żałowała.

Zwierzę oddaliło się i usłyszała głos Jarowara.

– Druhu mój wierny!

Podniosła się i z zaciekawieniem zerknęła przez szparę w furcie. Wielki rudy ryś ocierał się o łowcę.

Ten z uśmiechem oddawał mu czułe gesty, głaszcząc jego złociste futro. Widząc to, ostrożnie odsunęła zdrową ręką furtę. Obejrżeli się.

– Ty masz swojego kota, ja mam swojego – skomentował Jarowar. – Mówiłem ci, że łowcy trzymają się razem – widać było, że humor mu się nieco poprawił. – Obejrzałem tę pułapkę, w którą wpadłaś zamiast mnie. Znalazłem jeszcze trzy takie same, wciąż czynne. Twój brat od dawna czekał tu na mnie i pewnością mu się dłużyło, bo osłabił czujność. Biwio – na chwilę zawiesił głos – w lesie jest takie prawo: aczli zwierz nie zje mnie, to ja zjem jego. Nie mogę dać się ubić Bartusowi.

– Wiem, Jarowarze. Cokolwiek uczynisz, na pewno postąpisz słusznie.

Przynęta



Niedźwiedź może cię pogłaskać, piorun też, a mnie nie pozwalasz nawet pogłodzić się po głowie? – żartował Jarowar, zmieniając Młodej Wiedmie opatrunek.

– Oni mnie nie pytali, czy chcę.

– To może ja też nie będę pytał – łowca przymrużył oczy i prowokacyjnie zaczął przesuwając dłonią od nasady włosów dziewczyny aż po splecioną kosę.

Biwia spiorunowała go wzrokiem, ale nic nie powiedziała. Siedziała spokojnie, przytrzymując opatrunek na ramieniu. Nie odsunęła się. Uznała, że poczeka, aż przestanie go to bawić. Jej myśli wciąż krążyły wokół Bartusa.

Bartus. Przybyła tu, żeby go odnaleźć. Odnalazła. I cóż z tego? Odszedł. Nie zamienił z nią słowa. Choć tyle, że nie pozwolił jej zginąć w niedźwiedziach łapach. Zastanawiała się, jak go sprowokować, by się z nią spotkał. Biwia spojrzała na Jarowara. Prowokacyjnie głaskał ją, jakby była kotem. Pomyślała, że to chyba jedyne wyjście. Trzeba brata sprowokować.

– Zabierz mnie na łowy.

– Ciebie? Z tą raną? Chyba jako przynętę – zażartował.

– Mogę być przynętą – odparła z powagą.

Mijały kolejne dni. Łowca przynosił codziennie drobną zwierzynę. Wyprawiał ją. Mięso jedli lub suszyli. Jeśli trafiało się większe zwierzę, na przykład sarna, łania – peklowali je w soli w drewnianych beczkach. Biwia poznawała tajniki garbowania skór. Jarowar oczyszczał je na specjalnie przeznaczonym do tego pniu. Potem moczył w kadziach wypełnionych słoną wodą lub w strumieniu zatamowanym przez bobry. Ługował popiołem i garbował startą korą dębową. Następnie rozciągał je i natłuszczał lub wcierał w nie wosk pszczeli.

Drobnej zwierzyny mieli pod dostatkiem, ale to nie było to. Zbliżał się sezon polowań na dużego zwierza. Jarowar coraz bardziej się niecierpliwił. Miał świadomość, że już najwyższa pora zacząć prawdziwe łowy. One były głównym źródłem jego utrzymania. Skóry i mięso mógł potem wymieniać na inne produkty lub niezbędne przedmioty. Czekwały go kilkudniowe wyprawy. Bał się jednak zostawić Biwę samą.

– Odprowadzę cię na Ostrowie – zaproponował.

– Zabierz mnie, proszę, ze sobą. Pomogę ci.

– Chyba jako naganiacz, bo taki robisz hałas w lesie, że wszystko, co żyje, ucieka.

– Jarowarze, mam przecucie, że gdy zaczniesz łowy, mój brat znów się pojawi.

– I boisz się, że go złowię?

– Chcę się z nim rozmówić, a nie mam sposobu. Daj mi tę możliwość.

Łowcy nie podobał się pomysł Biwii. Wiedział, że obecność dziewczyny będzie mu psuła podchody i niweczyła wszelkie łowieckie przedsięwzięcia. Z drugiej strony też przeczuwał, że nie uniknie kolejnego spotkania z Bartusem.

– Niech będzie po twojemu – westchnął.

Kolejny dzień poświęcili na przygotowania do łowów. Jarowar szykował sznury na wnyki, ostrzył sztylet, włócznię i topór. Pakował worki soli do konserwowania mięsa i skór. Zaopatrzyli się też w prowiant na drogę. Nazajutrz Biwia narwała ziele wrotczyca, którego sokiem natarli ciała, by uchronić się przed komarami i bąkami, licznymi o tej porze roku. Złożyli leszemu i dobrochoczemu ofiary, po czym wyruszyli pełni obaw, ale i nadziei.

Głównym celem łowcy było wytropienie i upolowanie niedźwiedzia. Obserwował uważnie pnie mijanych drzew, czy nie są oznaczone pazurami zwierza. Nagle zatrzymał się, nozdrza mu się rozszerzyły.

– Czujesz?

Dziewczyna skrzywiła się, marszcząc nos.

– Smród straszliwy.

– Czuć niedźwiedzia.

– Zdaje się, że co inszego.

– Taki smród ostawia ino niedźwiedź. W szczaku się pierwiej wytarza, a potem na drzewa przenosi.

Łowca postanowił dokładnie obejrzeć okolicę. Obserwował runo leśne, drzewa, skałki. Młoda Wiedma nie odstępowała go na krok. Słuchała o zwyczajach tych dużych zwierząt, o leczniczych właściwościach niedźwiedziego sadła. Pomyślała, że warto byłoby mieć w swoim tobołku taki lek na różne dolegliwości. Ponoć pomaga też uleczyć oddech. Gdyby go miała wcześniej, może uzdrowiłaby Miłosza?

Nagle wśród typowych odgłosów lasu dotarł do nich dziecięcy płacz. Zdziwieni skierowali się w tę stronę. Odsłoniła się przed nimi polana, a na niej sklecony z jodłowych gałęzi i mchu szałas. Nieopodal czerniło się wygasłe palenisko. W pobliżu, tuż przy skraju lasu, stał słomiany snopek, od niego prowadziła wydeptana w trawie ścieżka kończąca się udeptanym do gołej ziemi placykiem. Na nim widniał długi, solidny drąg wsparty na dwóch drewnianych kozłach. Zwisały z niego parciane sznury. Na jednym z nich zawieszony był naszpikowany ostrymi wypustkami konar. Miejsce to wyglądało na plac ćwiczeń bojowych, choć odrastająca nieśmiało trawa sugerowała, że od pewnego czasu był nieużywany.

Nie mieli odwagi wyjść na otwartą przestrzeń. Zaczaili się w pobliskich krzewach, obserwując okolicę. Płacz, prawdopodobnie niemowlęcia, mieszał się z kobiecym śpiewem. Niewiasta, ukryta w szałasie, usypiała dziecko. Po chwili kwilenie ucichło, ale kobieta jeszcze nuciła nieznaną Biwii kołysankę. Jej głos był czysty, dźwięczny, przyjemny dla ucha. Ptaki w lesie wtórowały pięknej melodii. Kolejne frazy piosenki śpiewane były coraz ciszej i wkrótce rozlegały się już tylko ptasie trele.

Z szałasza wyszła jakaś postać. Była pokraczna, niezdarnie otulona płóciennymi kawałkami materiału, jakby nie potrafiła uszyć z nich żadnego praktycznego stroju. Skołtunione, nieujarzmione żadną przepaską ani chustką włosy nadawały jej upiorny wygląd.

– Mamuna – szepnęła Jarowar.

Biwia z napięciem przyglądała się nieforemnej postaci. Widziała podobną albo tę samą

w szyderczym kręgu rusalek owej nocy, gdy natarła ciało maścią czarownic. O mamunach słyszała jeszcze jako dziecko. Stare niewiasty ostrzegwały położnice, by pilnowały nowo narodzonych dzieci, bo mamuna może je podmienić.

– Jesteś pewien? – spytała z niedowierzaniem.

– Widywałem je nieraz. Często kąpią się w rzece. Łatwo poznać te szkarady.

– Ponoć podmieniają dzieci.

– Ponoć.

– Bale! Ty ją widzisz? – zdziwiła się Młoda Wiedma.

– Jak mam nie widzieć. Mamuna mnie wychowała – odparł krótko.

Postać tymczasem zasłoniła wejście do szałasu gałęziami, wzięła koszyk i ruszyła w stronę lasu. Jarowar i Biwia odczekali jeszcze chwilę i podeszli do mizernego domostwa. Łowca ostrożnie odsunął wejście, a Młoda Wiedma zajrzała do środka. Na legowisku z miękkiego mchu spało okutane w szmatki dziecko. Niemowlę miało kształtną główkę, długie rzęsy i układające się w serduszek usta. Nie wyglądało na odmieńca.

– Myślisz, że podmieniła komuś dziecko? – spytał Jarowar.

Młoda Wiedma nie odpowiedziała. Wpatrzona w niemowlę wsunęła się do środka. Nagle w lesie rozległ się przerażający krzyk. Zza drzew wybiegła mamuna z potężnym konarem, który trzymała nad głową. Wyglądała niczym woj atakujący przeciwnika dwuręcznym mieczem. Jarowar skoczył ku niej, podciął jej nogi i uchylił się. Mamuna nie utrzymała równowagi, upadła, wbijając konar w trawę. Łowca wykorzystał to. Chwyił jej ręce i unieruchomił za plecami. Kobieta próbowała się wyswobodzić. Wiła się, wierzała nogami, krzyczała przeraźliwym, wręcz zwierzęcym krzykiem.

– Precz! Ostawcie go!

Łowca chwycił ją za kudły i podciągnął tak, że można było zobaczyć jej wykrzywioną twarz i pełne nienawiści spojrzenie.

– Komu skradłaś dziecko? – spytał.

– Ostaw. To jej czędo – Biwia stała przed szałasem i trzymała w ramionach zawiniątko. Wyglądała, jakby cała krew odpłynęła z jej twarzy.

– Ja też kiedyś myślałem, że mamuna jest moją matką.

Biwia podeszła do nich i ukłękła. Przytrzymała na ręku niemowlę, które obudzone krzykami spoglądało na nią swymi bursztynowymi oczyma. Delikatnie, ale stanowczo odsunęła dłoń łowcy, zmuszając go, by puścił włosy pokracznej istoty.

– Czy ty jesteś Kele? Boginka Kele?

– Już nie boginka – wychrypiało niewiastopodobne stworzenie. Mamuna wciąż leżała na brzuchu, bo Jarowar nie puścił jej rąk, skrzyżowanych na plecach.

– To dziecko jest twoje i Bartusa – nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Tylko moje – burknęła istota.

Łowca puścił ją. Podniosła się niezgrabnie, przykucnęła i wzięła ostrożnie zawiniątko z rąk Młodej Wiedmy. Spojrzała z czułością na maleństwo, jej obwisłe policzki rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Gdzie jest Bartus? – spytała Biwia.

– Odszedł. On chciał boginkę Kele, a nie mamunę.

– Jak naleźć tę boginkę? – łowca nie zrozumiał pokrętej odpowiedzi.

Mamuna spojrzała na niego. Policzki jej na powrót obwisły, a usta zacisnęły się niczym stępica²¹ chwytająca nieuważne zwierzę.

– Boginki Kele już nie ma. Jest mamuna Kele – syknęła.

– Ostawił ciebie i dziecię? – spytała z niedowierzaniem wiedźma.

– Zanim przyszło na świat, zamieniło krasną rusalkę w mamunę – pokazała na siebie. – Boginki gardzą mamuną, Bartus też gardzi, ale mamuna nic sobie z tego nie robi. Mamuna piastuje dziecię o oczach z żywicy.

Rozgarnęła osłaniające jej nieforemne ciało szmaty i wyciągnęła obwisłą pierś. Wsunęła ją w otwierające się łapczywie usta niemowlęcia.

– On wie, że jest ojcem? – Biwia nie dawała za wygraną.

– Nie chciał Kele, to nie będzie chciał syna – odparła wymijająco.

– Wiesz, gdzie go można najść? – wtrącił się Jarowar.

– Chodzi z niedźwiedziami i poluje na takich jak ty – odparła, patrząc z obrzydzeniem na skórzany strój łowcy i jego broń.

– Takich jak ja? To znaczy?

– Mordarzy zwierza.

– Nie ubijam ich dla zabawy, one też mordują. Nawet mamuny giną pod ich kłami i pazurami.

Kele nic już nie odpowiedziała. Odwróciła się i ruszyła w stronę szałasu. Zatrzymała się tylko przed wejściem i poprosiła:

– Idźcie już. Dziecię musi spać.

Wiedźma i łowca spojrzeli na siebie. Jarowar wzruszył ramionami i skierował kroki w stronę lasu. Biwia stała jeszcze przez chwilę niezdecydowana. Chciała o tyle rzeczy zapytać, zrozumieć, co się dzieje. Na próżno. Mamuna zniknęła z dzieckiem we wnętrzu szałasu, skąd po chwili zaczęły płynąć słowa kołysanki. Łowca oddalał się. Szedł szybko, jakby nie miał zamiaru czekać na swą towarzyszkę podróży.

– Jarowarze!

Nie zareagował. Uniosła nieco spód sukni i zaczęła biec.

– Jarowarze!

Przystanął, jakby przebudzony. Odwrócił się.

– Dziwne są te mamuny – wysapała, dogoniwszy go. – Opowiedz mi o nich.

Wzięła ją za rękę i ruszyli już bez pośpiechu.

– Mamuny są na wpół ludzkie. Mogą rodzić dzieci. Choć najczęściej wydają na świat szkarady takie jak one. Ten ich obrzydliwy pomiot jest chorowity, niewytrzymały na życie w lesie, togodla podmieniają dziatki na zdrowe i silne. Starzeją się, choć tego po nich nie widać, bo wyglądają jak sam czart, najszkaradniejszy z demonów. I umierają. Jak ludzie.

– Mamuna, która cię piastowała, nie żyje? – domyślała się Biwia.

– Dzik ją poszarpał. Przed śmiercią wyznała, z którego domostwa mnie wykradła, podrzucając swój kukułczy pomiot. Kiedy umierała, byłem mały. Mówiła, że za mały, aby sam przeżyć w lesie. Kazała mi tam iść.

– Nalazłeś rodzica i rodzicę?

– Rozpaliłem ogień w miejscu, gdzie schowano popielnice z ich prochami. Ludzie powiadali, że pierwej obumarł podrzutek, potem matka przy kolejnym połogu, a na ojca ponoć jakaś wiedźma rzuciła urok, bo stracił rozum i biegał po wsi jako wiła. Któregoś ranka znaleźli go martwego nad wodą. Powiadali, że z rusalkami chciał igrać i się doigrał.

– Kto się tobą wtedy zajął?

– Przygarnął mnie pewien stary łowca i nauczył rzemiosła. Las to mój dom.

Młoda Wiedma przyjrzała się bacznie swemu towarzyszowi. Zdziwiałe, jak niewiele jeszcze

o nim wiedziała.

– To z powodu ojca nie lubisz wiedźm?

– Jedną nawet polubiłem, choć hałas w lesie robi jak płochacz.

Biwia umilkła. Zaczęła skupiać całą uwagę na tym, by iść jak najciszej. Unikała suchych patyków i liści. Stapała krok w krok za swym przewodnikiem.

Las kipiał życiem. Buki i graby dawały schronienie rozczwieranemu ptactwu. Kukułki dręczyły wciąż powtarzającym się kukaniem. Dziecioty robiły łoskot na pobliskich drzewach. Nozdrza uderzała coraz to inna woń, raz żywicy, to znów kwitnących krzewów, wilgotnego mchu lub grzybni. Młoda wiedźma z przyzwyczajenia rozglądała się za ziołami. Ze smutkiem spoglądała na rośliny, których nazw i właściwości nie zdążyła poznać podczas zbyt krótkiego terminowania u Wiedmy. Nagle Jarowar zatrzymał się. Biwia podążyła za jego spojrzeniem. Zdarta kora na pobliskim drzewie i nieprzyjemna woń sygnalizowały, że wchodzi na teren niedźwiedzia.

– Świeżyzna – ocenił łowca. Potem powąchał okaleczonego buka.

– Ten sam niedźwiedź, co koło szałasu – powiedział cicho.

Dziewczyna zrozumiała, że może to być wspomniany przez mamunę towarzysz Bartusa. Serce zabiło jej mocniej.

– O zmierzchu pewno ruszy do wodopaju. Musimy najść strumień – zdecydował łowca.

Jarowar niczym zwierzę wyczuwał, gdzie szukać wody. Po chwili Biwia usłyszała szmer potoku. Dotarli do głębokiej kotlinki. Żeby dostać się do płynącego w niej strumienia, trzeba było pokonać sporą stromiznę. Zwierzęta zazwyczaj schodzą nad wodę w miejscach, gdzie brzeg opada łagodnie. Ruszyli więc wzdłuż nurtu na poszukiwanie wodopaju. Po dłuższym marszu zauważyli, że brzegi były już niższe i szersze. Wokół, na wilgotnej ziemi, widniało też coraz więcej śladów zwierząt. Łowca pokazywał je Biwii i uczył rozróżniać. Naraz zobaczyli. Pośród większych i mniejszych śladów racic odcisnięte były łapy niezbyt dużego niedźwiedzia. Co więcej, były też ślady człowieka.

– Żwier nie może nas zwietrzyć. Zatrzymamy się przy tamtych drzewach – wskazał ręką.

Jarowar urządził kryjówkę na rozłożystej lipie. Splótł gałęzie tak, że Biwia mogła wygodnie się ułożyć. Znużona całodziennym marszem przez las szybko usnęła.

Obudził ją krzyk. Tak jej się zdawało. Nic nie widziała w ciemności. Co to było? Zaczęła nasłuchiwać. Pohukiwania sów, gra świerszczy i szyderczy rechot żab nie budziły niepokoju. To musiał być jakiś inny dźwięk. Nagle rozległ się ryk niedźwiedzia. Groźny, bojowy. Po chwili znów, ale brzmiał już inaczej. Był rozdzierający, bolesny. Z drugiej strony usłyszała czyjeś przekleństwa. Wiedziała już czyje. Bartus, kulejąc i klnąc, próbował iść na odsiecz swemu podopiecznemu. Kolejny ryk zwierzęcia stawał się coraz cichszy, aż umilkł.

Dziewczyna zeskoczyła z drzewa. Kroki ucichły. Bartus usłyszał jej niezbyt rozsądny ruch.

– Dlaczego mnie unikasza? – rzuciła w stronę, skąd dochodziły wcześniej złorzeczenia.

– Ubiję go! – usłyszała w odpowiedzi. Kroki znów się rozległy. Tym razem szybsze. Ewidencje jedną nogę chłopiec ciągnął, jakby nie mógł na niej stanąć. Widziała tylko zarys jego postaci, a właściwie aurę wokół jego ciała.

– Bartusie, musimy się rozmówić! – krzyknęła za nim.

Nie zareagował. Oddalał się pospiesznie.

– Widziałam twojego syna! – znów zawołała.

Zatrzymał się. Widać było, że się waha. Wreszcie zawrócił i ruszył ku niej. Po chwili chwycił ją za rękę i nic nie mówiąc, pociągnął za sobą. Szli w milczeniu. On coraz bardziej kulał, ale nie zwalniał tempa. Biwia zauważyła, że jego aura w okolicach prawej stopy jest pozbawiona ciepłych barw.

– Co ci się stało w nogę? – przerwała obopólne milczenie.

– I ty się pytasz? – warknęła ze złością.

– Tak. Bo nie wiem.

– Spytaj swojego rzeźnika – odburknął.

– Krwawisz i zostawiasz ślady. Bez trudu nas najdzie.

– Będę na niego czekał.

Dotarli do polany przy niedużej skale. Bartus puścił rękę siostry.

– Skrzesz ogień – nakazał i zniknął w ciemnościach. Po chwili był z powrotem. Trzymał płócienną szmatkę. Usiadł i zaczął podwijać nogawkę szarawarów.

Jego sylwetka stawała się coraz wyraźniejsza w świetle rozpalającego się ognia. Biwia zauważyła, że zmęśniał przez tych kilkanaście miesięcy. Jego ręce stały się żyłaste, twarz wyszczuplała. Powagi dodawał mu zarost koloru dojrzałej pszenicy.

Bartus rozdzierał zębami szmatkę na paski i obwiązywał nimi nogę powyżej ran. Były to głębokie dziury po obu stronach łydki. Sączyła się z nich krew.

Przykłęknęła, by się przyjrzeć z bliska, jak głębokie ślady zostawia potrzask na zwierza. Chciała pomóc w opatrywaniu.

– Będę je przyżegać – odsunął jej ręce. – O czym bajdurzyłaś nad potokiem?

– Nie bajdurzyłam. Byłam u Kele. Trzymałam w ramionach twego syna.

– Widziałaś ją? Maszkara. Pewnie sam czart teraz jej mężem. Wzięłam w swačbę boginkę, której uroda nie dorównywała żadna inna. A teraz co? Pewnikiem, gdy śmierć po mnie przyjdzie, będzie milsza od szkaradnej mamuny.

– Jesteś okrutny.

– Ja? Dla boginki? Nie ma okrutniejszych od nich stworzeń. Uwodzą, mamia, człek nawet nie wie, kiedy zrywają nić jego żywota.

– Miłowałeś ją.

– Gdybyś mi nie podała odpowiedzi na zagadkę, moje truchło jadłoby już robaki. A tak? Boginki darowały mi życie, ale swačby nie darowały.

– Nie słuchałeś, gdym cię chciała wstrzymać.

– Bom miał osiąść najkrośniejszą rusałkę. Gładkość lilii, jędmność jabłka, woń konwalii – takie było jej ciało. Ale jakiś czar pewnikiem musiałaś na nią rzucić, bo zaczęła się zmieniać. Im bardziej mnie odstręczało od niej, tym ona mocniej lgnęła.

– Nie zadałam żadnego czaru, nawet mi nie chciałeś jej pokazać, gdyśmy się spotkali w święto Stada.

– A chustka porzucona w lesie? Z twojej krwi i bylicy? Chciałaś rzucić przyrok.

– Znalazłeś ją dopiero po wielu miesiącach. Dałeś ją Kele?

– Spaliłem.

– Widzisz? Nawet gdybym chciała rzucić przyrok, nie mogłabym.

Młoda Wiedma zaczynała rozumieć, co się stało z poślubioną bratu boginką. Jarowar przecież mówił, że mamuny są bardziej ludzkie niż rusałki. Mogą rodzić dzieci.

– Wlałeś w nią życie. Boginka nie urodzi częda, a mamuna tak. Kele chciała dostać to, co jej odebrano.

– Wybrała taką drogę, niech nią podąży. Mnie już nic do tego.

Wyjął z ogniska cienką żagiew, zacisnął zęby i przyłożył do sączącej się rany. Grymas okrutnego bólu odmalował się na jego twarzy. Rzucił żagiew z powrotem do ognia i trzymając się za nogę powyżej ran, ciężko oddychał.

Dziewczyna zastanawiała się, czy brat jest zdolny do jakichkolwiek refleksji. Była pełna wątpliwości. Bardzo chciała poznać jego myśli. Zamknęła oczy...

– Nie waż się – ostrzegł.

Ponownie wyjął żagiew z ognia i przypiekl ranę z drugiej strony nogi. Biwia zrezygnowana otworzyła oczy. Widząc jednak, jak brat przypala kolejną ranę, odwróciła wzrok.

– Ostaw Jarowara w spokoju! Miłuję go.

Bartus prychnął. Zagwizdał. Potem przyłożył dłonie do ust i krzyknął w dal nieznanne Biwii słowa. Po chwili usłyszała ruch w lesie. Na polanę wbiegło stado łań i jeleni. Stały, rozejrzały się i spłoszone rzuciły się do ucieczki, bo tuż obok przemknęła niemal bezgłośnie wataha wilków. Wadery i basiory biegały niespokojne po polanie. W blasku ognia ich ślepia wyglądały niczym stado błotników, które można spotkać na mokradłach.

– Skąd ten posłuch u dzikiego zwierza? – spytała.

– Zmusisz do uległości boginki, to i zwierzę pochyli kark – odparł lakonicznie.

Znów zawołał coś w nieznannej mowie. Przewodnik stada zatrzymał się na chwilę, pochylił łeb i ruszył w głąb lasu. Pozostałe wilki pobiegły za nim. Tymczasem zza Bartusa wyłoniły się dwa żbiki. Spoglądając na swego władcę, przywarły pokornie do ziemi, czekając na jego sygnał. W oddali rozlegało się nawoływanie rysia.

Biwia nie rozumiała mowy, którą brat kierował do zwierząt, ale przeczuwała, że posyła je na łowcę. Była też pewna, że Jarowar jej nie zostawi. Chciała być przynętą, to teraz jest, tylko że nie dla Bartusa, a dla łowcy.

– Zaniechaj Jarowara. Co ci uczynił? – nie dawała za wygraną.

– Jest jak demon morowego powietrza, szerzy śmierć w lesie.

– A co mówisz wilkom, gdy polują na mniejszego zwierza? Rysie i żbiki też nie jedzą trawy – odparła.

Bartus nie odpowiedział. Zwrócił się natomiast do żbików, które po usłyszeniu rozkazu chyłkiem ruszyły w las.

– Dołożę do ognia – Biwia wstała i ruszyła między drzewa.

– Nie próbuj uciec! – zawołał. – Masz strażników.

W tym momencie nieopodal rozległo się wycie wilka. Z drugiej strony polany zawtórowało drugie.

Dziewczyna podniosła z ziemi trochę chrustu i podeszła do lipowego drzewa, z którego zaczęła obłamywać gałęzie, szepcząc coś pod nosem. Potem podeszła do ogniska i wrzuciła doń najpierw suche patyki, a gdy ogień je objął, dorzuciła świeże gałęzie lipy. Szeptala cicho formuły. Z niewysuszonego drewna zaczął wydobywać się pisk. Nagle wyskoczyła z niego kobieca postać, której łachmany zwęgląły języki ognia. Rzuciła się na ziemię, gasząc płomienie w nocnej rosie. Wstała, rozejrzała się, jakby szukała jakiegos bezpiecznego schronienia.

– Po twojej prawicy! – zawołała doń Młoda Wiedma.

Postać spojrzała na nią swymi smutnymi oczami, poprawiła chustkę na głowie i wtopiła się w łuk Bartusa, który leżał nieopodal ogniska, po jej prawicy.

Brat zdziwiony obejrzał się na prawo, ale nic dziwnego nie zauważył. Kobieca postać, którą była bieda, nie mogła być widoczna dla jego oczu. Nagle w lesie z różnych stron rozległ się skowyt wilków. Bartus wstał i podniósł łuk. W tym momencie stało się coś nieoczekiwanego. Bieda, piszcząc przeciągle, wywinęła się z łączyska i ze skowyttem uciekła w głąb lasu. „Jego ręce są dla niej gorsze niż ogień” – pomyślała przerażona dziewczyna.

Bartus zniknął w ciemnościach lasu. Wiedźma chwyciła leżący przy ognisku kij, rozgrzebała nim żar,

rozciągając żagwie w niewielkie koło. Zamknęła oczy i skupiła wszystkie myśli na Jarowarze. Zobaczyła go. Obraz był mętny, niczym odbicie w niespokojnej tafli wody, powoli jednak widok wyostrzał się. Łowca stał przy niewielkim ognisku z napiętą cięciwą łuku. Szczyt strzały żarzył się. Wypuścił ją. Wpadła pomiędzy stado wilków, które go otaczały. W błyskawicznym tempie poleciała w ich kierunku kolejna, zwińczonego zwyczajnym grotem. Skowyt zwierza świadczył o celności strzału. Wyjęty z ogniska kolejny pręt powędrował na cięciwę. Suche od letnich upałów runo leśne zatliło się już w paru miejscach, gdzie padały wypuszczone przez łuk żagwie. Wilki, czujące swąd dymu, trzebione celnymi strzałami, zaczęły się wycofywać. Nieopodal ryś rozprawił się z dwoma żbikami. Ryś Jarowara widocznie podążył śladem swego pana i teraz stanął w jego obronie. Oswojony nie podlegał władzy Bartusa.

Młoda Wiedma zaczęła odmawiać zaklęcia ochronne. Brakowało jej tobołka, w którym trzymała niezbędne zioła, nie miała też pod ręką żadnych kolczastych gałęzi, chroniących przed złym. Skupiona na swej wizji nie zauważyła, że spód jej sukni dotyka rozżarzonego drewna. Płomień powoli zaczął obejmować lnianą tkaninę. Gdy sparzył ją, zerwała się. Ogień obejmował już sporą część sukni. Wybiegła za krąg i podobnie jak poprzednio bieda zaczęła tarzać się w rosie. Gdy ugasila płomień, ruszyła w stronę dogasającego kręgu. Weszła do środka, jęknęła i upadła na kolana. Po lesie rozległ się krzyk przypominający wycie. To nie był jednak głos wilka. Wycie przeszło w zawodzenie. Po chwili był to już szloch. Szloch niewiasty, która opłakiwała kogoś bliskiego.

Młoda Wiedma, wstrząsana spazmami, zakrywała oczy osmolonymi dłońmi. Znowu miała widzenie. Widziała Jarowara leżącego przy ognisku. Z jego ciała wystawały zakończone piórami strzały. Nad nim stał Bartus z zadowoleniem zawieszający na plecach swój łuk. Wokół płonęły krzewy.

Biwia poderwała się, wybiegła z kręgu i rozejrzała dokoła. Od północnej strony w świetle łuny unosił się dym. Ruszyła w tym kierunku. Nie miała żadnej żagwi, by przyświecała jej w drodze. Potykała się, przewracała. Opuchnięte od łez oczy przesłaniały jej widok. Wreszcie zobaczyła w dali ogień. W kilku miejscach panoszył się, pochłaniając podszyt i kolejne krzewy. Obejmował korę drzew, wspinał się ku ich koronom. Dziewczyna mijała uciekające zwierzęta i parla dalej w centrum pożaru.

Nagle zatrzymała się. Makabryczny obraz, który ujrzała, odebrał jej zdolność poruszania się. Na grubym konarze jednego z drzew wisiał głową w dół Jarowar. Po jego twarzy sączyły się strużki krwi płynące z ran, w których tkwiły strzały. Miał otwarte oczy, ale one już nic nie widziały. Łowca nie żył. Jego życiodajna aura zniknęła, rozmywając się w łunie płonącego lasu.

Podbiegła do ukochanego. Z jękiem wtuliła twarz w pozbawione życia ciało. Chciała przynajmniej je odciąć, ale rozżarzone powietrze parzyło, a dym pozbawiał możliwości zacerpnienia oddechu. Oderwała się więc od zwłok i rozejrzała z trwogą. Byli przecież w pobliżu wodopoju. Przyłożyła do ust i nosa jeden ze zwisających na jej ciele strzępów sukni i pobiegła w stronę potoku. Minęła niedźwiedzie truchło przebite włócznią. Przeprowadziła się przez wartką wodę i ruszyła dalej. Przedzierała się aż do świtu przez rozbudzony paniką las. Wiatr wiał w przeciwnym kierunku, więc ogień jej nie ścigał. Gdy dotarła do któregoś z kolei strumienia, ruszyła w dół wzdłuż jego nurtu.

Okolo południa dotarła nad rzekę. Dzień był piękny, słoneczny. Na brzegu beztrzesko bawiły się dzieci, chlapiąc się wodą. Nieco dalej chłopcy, stojąc po kolana w rzece, brodzili, trzymając siatki na wiklinowych obręczach. Podbiegła do nich dziewczynka o kasztanowej kosie sięgającej do skrajów przykrótkiej sukni.

– Siemomyśle! Co robisz?

– Łowię ryby – odparł opalony chłopiec o czuprynie równie kasztanowej.

– Na wiecezę? – zapytało dziewczętko.

– Nie. Na przynętę. Nocą będziemy z ojcem łowili grubą rybę.

Biwia myślała, że już wylała wszystkie łzy, jednak nowy szloch targnął jej ciałem, a z oczu popłynęły kolejne słone strużki. Udręczona położyła się na trawie pod drzewem, płakała, szarpiąc z bezsilności darń.

– Miałeś rację, Jarowarze – szeptała. – Miałeś rację. Wiedźm trzeba unikać.

Bolało ją rozdrapane przez niedźwiedzia ramię, piekła poparzona skóra, ale gorszy był ból duszy. Ból spowodowany niepowetowaną stratą, ale i poczuciem winy. Zmęczona, roztrzęsiona w końcu usnęła kołysana cichym szumem rzeki.

[21](#) Stępica – drewniany potrzask, rodzaj wyków na zwierzyńię.

Zapleciny



O budził ją śpiew. Otworzyła oczy. Była już noc. Miesiąc znaczył swą obecność na niebie cieniutkim, srebrzystym sierpem. Nieopodal nagie rusałki tańczyły w kręgu, układając słowa nowej pieśni. O dziwo nie wybuchaly zwyczajnym perlistym śmiechem. Były poważne. Śpiewały o łowcy, który spustoszył las ogniem, i o władcy dzikich zwierząt, który go pokonał.

*Za to że się zbiesił
Bartus go powiesił*

brzmiały słowa dalszej części pieśni. Biwia poderwała się oburzona i zawołała:

– Jarowar nie zbiesił się, on się tylko bronił, i mnie też!

Rusałki odwróciły się zaskoczone.

– Poznaję cię, wiedząca! – zawołała jedna z nich. – Widzę, że też zapragnęłaś odsłonić trochę ciała – zaszydziła.

Biwia spojrzała obojętnie na to, co pozostało z jej sukni.

– Ale ona jest podobna do Bartusa, władcy dzikiego zwierza – zdziwiła się inna.

– Bo to jego siostrzyca – odparła pierwsza.

– Bartus już nie jest moim bratem – wycedziła Młoda Wiedma. – A Jarowar się nie zbiesił.

– Wiemy, bo bies obrał sobie Bartusa, ale w pieśniach tego nie będzie – rzuciła znana już jej z poprzedniego spotkania niewysoka boginka z jasnozielonymi kręconymi loczkami.

– Zatem to bies – Biwia zaczęła pojmować zmiany w zachowaniu brata. – Jak to się stało? – zapytała głośno samą siebie.

Boginki roześmiały się. Chwyciły się za ręce i zaczęły śpiewać:

*Człowiek, który władzy pragnie
Szuka w górze, szuka na dnie
On dla biesa kąsek gładki
Odda życie, odda dziatki
Bies podpowie, jak się włada
Straszne czyny podpowiada
To dla biesa wielka gratka
Za nim idzie krwawa jatka*

*Kto ma władzę, ten się biesi
W jego dzieży sam bies miesi*

Biwia ze zdumieniem wysłuchała pieśni. Zawsze uważała rusalki za bezmyślne, puste istoty. Nie spodziewała się, że są tak baczными obserwatorkami ludzi, ich życia. Wprawdzie nie wyrażały pochlebnej opinii o człowieku, ale niestety miały rację.

Bies to najgorszy, najbardziej niebezpieczny z demonów. Trudno go zobaczyć, bo ukrywa się w ludzkim ciele i staje się niewidoczny nawet dla najbardziej wprawnej wiedźmy. Nie przejmuje od razu pełnej kontroli nad człowiekiem, ale wpływa na niego powoli, niezauważalnie. Szczególnie łasymi kąskami są dla niego ludzie, którzy mają posłuch, władzę. Kiedy mówią, że komuś władza uderza do głowy, to znak, że pewnie sam bies upatrywał go sobie. O tym Młoda Wiedma słyszała od swej nauczycielki, ale nie miała pojęcia, jak pozbyć się tego demona, jak go zmusić, by odszedł i przestał szkodzić.

Rusalki powróciły do układania pieśni o zwycięskim władcy dzikiego zwierza, więc Biwia, nie chcąc słuchać tych herezji, ruszyła wzdłuż rzeki, by znaleźć się jak najdalej od nich, a bliżej swojego domostwa. Szarpała ją rana zadana przez niedźwiedzia, od długiego płaczu piekły oczy, bolała głowa. Postanowiła obmyć twarz i ciało po trudach ostatnich dni i nocy. Zdjęła łachman, który został z sukni, i weszła do wody. Zanurzyła twarz w chłodnym nurcie rzeki. San pieścizotliwie gładził jej udręczoną skórę, chłodził oparzenia, łagodny prąd koił ból mięśni. Starła się nie myśleć, nie czuć. Pragnęła odpoczynku. Nie walczyła z nurtem rzeki, raczej poddawała mu się. Wtem łagodna fala zakolysała jej ciałem. Po chwili znów poczuła, jak ją unosi. Stała na kamienistym dnie i wynurzyła twarz. Ujrzała piętrzącą się górę wody z wylupiastymi oczami rozłożonymi po przeciwnych stronach rybokształnej głowy.

– Już myślałem, że mi tu sól w ofierze ktoś składa, a to twoje łzy zasalają moje wody – zagrmiał wodnik.

Młoda Wiedma zaskoczona i nieco skrępowana swą nagością ukłoniła się przed prastarym demonem rzeki.

– Jestem nieszczęśliwa, władco Sanu.

– I jak zawsze pełna sprzeczności – odparł. W ciszy nocy jego głos był niczym przechodząca burza. – Wraz kochasz i nienawidzisz.

– Tak. Jam jest pełna sprzeczności, bo przyprowadziłam śmierć do tego, którego miłowałam.

– Jemu śmierć była pisana i ty ją widziałas, zanim przyszła. Ty wraz miłujesz i nienawidzisz brata.

– Panie, tak długo jesteś na świecie. Może mi doradzisz, jak wyrzucić biesa, złego demona, który go opętał?

– Wypędzanie demonów z ludzkiego ciała jest rzeczą ludzką i nie należy do innych demonów. Bo kimże ja jestem, jeśli nie demonem? – wodnik łypał na nią raz jednym, raz drugim okiem.

Młoda Wiedma ukłoniła się ponownie.

– Wybacz, panie, nie miałam zamiaru cię urazić.

– Nie uraziłaś. Dobrze, że pytasz. Nie wstydź się pytać, bo nigdy nie wiadomo, kto ci udzieli odpowiedzi, która cię poprowadzi właściwą drogą.

– Caryczka miała być mym przewodnikiem, ale żyje daleko pod Łysymi Górami. Nie mogę do niej polecieć, bo nie sposób użyć maści czarownic na poranione ciało – poskarżyła się.

Wtem wzmożły się fale na rzece, mimo iż nie było wiatru. Biwia przestraszona nieco zaczęła się wycofywać. Wodnik zniknął w odmętach wody, ale fale nie ustawały. Dziewczyna wydostała się na

brzeg i pobiegła po swój nędzny strój. Podniosła zniszczoną suknię, włożyła na mokre ciało i spoglądała z niepokojem na rzekę. Po chwili do brzegu przybiła pusta łódka. Jej burta była mocno omszała, ale najwyraźniej kadłub miała szczelny. Woda znów się spiętrzyła i łypnęło na nią „rybie” oko.

– Wejźdź do łodzi. Powiozę cię do ujścia Sanu, a jak wrócisz, złożysz mi w ofierze beczkę soli.

Dziewczyna ostrożnie wsiadła. Rozejrzała się za wiosłem, ale nie było go w środku. Okazało się jednak niepotrzebne. Fala oderwała łódź od brzegu i poniosła ją na swym grzbiecie, wyprzedzając naturalny prąd rzeki. Biwia mknęła z zadziwiającą prędkością. Rybacy łowiący nocą z zaskoczeniem spoglądali na spiętrzoną wodę unoszącą łódź z dziewczyną w środku.

O świcie była na miejscu. Podziękowała wodnikowi, obiecując, że po powrociełoży należną mu sowitą żertwę. Znała już drogę do drugiej rzeki, Łukawy. A przed zmrokiem dotarła do chaty rybaka pod Żmigrodem. Obejście wyglądało zgoła inaczej niż wiosną. Wszędzie panował nienaganny porządek. Jedynie z pieca wędzarniczego podobnie jak ongiś unosiła się smuga dymu. Zajrzała do wnętrza chaty.

– Niech wam sprzyja wasz bóg! – zawołała.

W izbie kobieta w kremowej spodniej sukni i białej chustce, zawiązanej z tyłu głowy, miesiła ciasto w dzieży. Obok wisiała na belce kolebka. Niewiasta podniosła głowę i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– To wy, Wiedmo! – ucieszyła się. Wyjęła ręce z dzieży i otarła z resztek ciasta. – Wejźdźcie do chaty. Mój czeka na was i czeka.

Szybko zanurzyła dłonie w cebrze, przepłukała i wytarła w zapaskę. Zdjęła ją i odwiesiła. Podbiegła do ławy, pozbierała z niej szmatki, pewnie służące do przewijania niemowlęcia, i poprosiła gościa, by spoczął.

– Czeka? – zdziwiła się Biwia. Usiadła ciężko na ławie.

– No tak. Chcemy zapleciny świętować. Czekamy tylko na was.

Kobieta z troską przyjrzała się Młodej Wiedmie. Jej przypalona i podarta suknia, oparzona skóra na ciele oraz opuchnięte oczy świadczyły o ciężkich przejściach.

– Odpocznijcie. Już szykuję wieczerzę. Mój łowić poszedł, a dziateczki chrust z lasu znoszą.

Niewiasta wyszła z izby. Biwia podczas jej nieobecności podeszła do kołyski. Dziecię, przykryte lnianą pieluchą, spało beztrąsko. Urosło nieco, miało rumiane, pucułowate policzki.

– Kozie mleko ci służy – szepnęła doń łagodnie i pogładziła po pulchnej rączce.

Żona rybaka wróciła z wędzoną, jeszcze ciepłą rybą oraz dwoma podpłomykami ułożonymi na misie. Podała strawę gościowi i poszła szukać czegoś w skrzyni. Po chwili wyjęła niewielki bukłak i nałaga z niego do glinianego kubka. Podała go, mówiąc:

– Dobre na rozgrzanie i spokojność.

Biwia chętnie skosztowała. Pachnący wiosną trójniak powoli rozgrzewał ciało i duszę. Dopiero po chwili za jego sprawą odczuła niewielką potrzebę jedzenia. Do tej pory była przekonana, że nie przełknie ani kęsa.

Gdy kończyła wieczerzać, wróciły dzieci. Usłyszała, jak hałasują za domem. Układały na kupkę chrust przy wędzarni. Żona rybaka wyszła do nich, coś im przykazywała długo. Potem dziateki pojedynczo wchodziły. Każde z atencją się ukloniło, a Nastka podbiegła do wiedźmy i ucałowała ją w dłoni. Matka wniosła do chaty ugotowane krupy jaglane i dała każdemu drewnianą łyżkę. Sama też taką trzymała, od czasu do czasu sięgając do garnca.

– Zostańcie, proszę, to nazajutrz ogłosimy Nastki zapleciny – poprosiła. – Uczynicie nam ten zaszczyt i nadajcie jej imię.

Płowłosa Nastka stanęła naprzeciw wiedźmy i spoglądała na nią błagalnie.

– Jakie imię wybraliście? – spytała Biwia, głaszcząc bohaterkę jutrzejszego dnia.
– A nie możemy się z moim zgodzić. On chce Wielisława, ale mnie się nie podoba.
– Może wy, Wiedmo, mi wybierzecie imię – zaproponowała dziewczynka.
– Jeśli też taka jest wola twoich rodziców.
– Bardzo bylibyśmy radzi – uśmiechnęła się żona rybaka. – Nastka przez moją niemoc w pogoju i tak już się wela przyuczyla w gospodarstwie, ale jak tu nie zrobić zaplecin pierworodnej.

Gospodyni przygotowała posłanie gościowi i domownikom. Młodsze dzieci się położyły, a Nastka i matka prosiły Biwię, by opowiedziała, co się z nią działo od ostatniej bytności u nich. Wiedźma długo opowiadała. Najtrudniej było mówić o ostatnich wydarzeniach, o śmierci Jarowara i okrucieństwie Bartusa.

– Pieśń boginek mówi, iż bies lubuje się w ludziach władnych. Pewnikiem wszedł w ciało Bartusa. A ja nie znam sposobu, by go przegnać.

Gospodyni westchnęła ciężko. Rada by poradzić coś, ale też nie знаła odpowiedzi. Wtem odezwała się Nastka, która ze skupieniem słuchała całej historii.

– A gdyby kto miał większą władzę?

– Mądrze radzisz – Młoda Wiedma odparła z namysłem. – Tylko kto taką posiada?

Zapadło milczenie. Władza nad dzikim zwierzem to nie lada zaszczyt. Któż ma większy? Chyba tylko ten, kto włada ludźmi.

O świcie wrócił rybak. Szedł strapiony, choć ryb niósł całą siatkę. Dopiero widok gościa przed chatą rozjaśnił jego twarz. Uradowany posłał córkę do sąsiadów, rodziny, by przyszli w gościnę świętować zapleciny.

– Już niewiela sąsiadów zostało – powiedział z troską. – Wszyscy uciekają do krewnych lub do lasu. Nam też trzeba się zbierać.

– Co was stąd przepędza?

– Powiadają, że Włodzisław z Wiślanii ciągnie z wojami na Żmigród. Zwiedzili się, że miasto niestrzeżone przez żmija, łatwe do zdobycia. Niech nas Swaróg broni. W grodzie się nie ukryjemy, bo jak? Trza w lesie przesiedzieć.

Rozejrzał się strapiony po obejściu, spojrział z troską na chatę, która może nie przetrwać przejścia żądnych łupów i krwi wojów. Żal mu było zostawić łodzie, sprzęty, których nie sposób zabrać do lasu. Jednak wizja wojny stawała się coraz bardziej realna.

Z chaty wyszła żona rybaka. Poprosiła wiedźmę do izby. Biwia ujrzała na skrzyni rozłożoną suknię, na niej giezło i nogawiczki. Dziewczyna uznała, że pani domu przygotowała sobie strój na uroczystość zaplecin. Niewiasta wskazała na ubiór.

– Jesteście podobnej budowy co ja. Przyjmijcie ten skromny dar za uleczenie mnie i za przewodzenie dzisiejszemu świętu.

Dziewczyna podeszła do skrzyni. Giezło wydawało się w sam raz na nią. Z wysiłkiem uniosła rękę, gdyż rana na lewym ramieniu sprawiała ogromny ból, zdjęła swój zniszczony strój i wdziała je. Potem sięgnęła po suknię. Westchnęła, przyglądając się jej z bliska: lniana, barwiona na ciemny brąz, wykończona czerwonym haftem pod szyją i na rękawach. Widać było, że jeszcze nienoszona. Dziewczyna wzruszona włożyła ją, nie bacząc na piekący ból ramienia, ze starego ubrania wzięła sznur, którym się przepasała. Piękne też były nogawiczki. Wełniane, barwione na czerwono, z czerwonymi krajkami do podwiązania nad kolaniem. Wprawdzie letnia pora nie wymagała zakładania ich, ale skoro otrzymała tak piękny podarek, to postanowiła je też włożyć.

– Piękny dar. Dziękuję wam – Biwia skłoniła się, dotykając opuszkami palców haftu pod szyją. –

A wy? Macie się w co przyodziać na uroczystość?

– Ja mam w czym chadzać. A w las nie będę tego zabierać, bo zmarnieje – machnęła ręką gospodyni.

Niewiasta przygotowywała poczęstunek dla gości. Nastka porządkowała izbę. Rybak ustawiał stół i ławy przed chatą. Nie pozwalali Młodej Wiedmie podejmować żadnych prac, nakłaniając, by odpoczywała. Wzięła więc młodsze dzieci i poszli na łąkę zbierać ziele do wianka dla Nastki. Zadbala, żeby była w nim kwitnąca na żółto ruta, zielony piołun, rozmaryn, do tego dodała jeszcze rumian o wdzięcznym, słonecznym obliczu. Uczyla dzieci nazw niektórych roślin. Zrobili też wspólnie duże bukiety, by podczas uroczystości zdobiły stół i chatę. Obecność maluchów pozwalała Biwii na chwilę oderwać się od ponurych myśli, choć ból tam gdzieś w środku, w piersiach nie ustawał ani na chwilę.

Dzieci, przepełnione dumą, zaniosły naręcza kwiatów do domu, natomiast młoda czarownica usiadła na pniu pod lasem i zapatrzyła się gdzieś w dal. Różne myśli pojawiały się i zaraz znikaly. Nie prowadziły do żadnych wniosków, nie potrafiła ich zapamiętać ani nawet sprecyzować. Po chwili jednak wspomnienia ostatnich dni zaczęły namnażać się niczym drożdże w zaczynie. Próbowala je wyprzeć, jednak bezskutecznie. Zerwała się, przerażona nieudolnością w walce z samą sobą. Szła przed siebie, z trudem kierując myśli ku oczekiwany zaplecinom. Przynajmniej zdecydowała, jakie imię będzie właściwe dla córki rybaka.

Gdy Słońce zaczęło zmierzać powoli ku horyzontowi, wróciła. Goście już się zebrali. Spoglądali z zaciekawieniem na niewiastę, o której powiadano, że jest wiedźmą i że nada małej imię.

Młoda Wiedma wzięła Nastkę za rękę i zaprowadziła nad rzekę. Dziewczynka zdjęła giezło i naga zanurzyła się w wodzie. Gdy z niej wychodziła, do rzeki weszła matka i ostoniła ją płóciennym materiałem. Potem wspólnie z Biwią ubrały Nastkę w nową, długą do ziemi suknię. Do tej pory dziewczynka biegala zawsze w krótkich sukienkach czy nawet koszulkach. Tak ubraną, wyglądającą o wiele dostojniej niż dotąd, zaprowadziły koło chaty i posadziły na zydlu. Biwia kościanym grzebieniem rozczesala jej włosy i zaczęła pleść.

– Zamyka się czas igr dziecięcych, zaczyna się czas dziewczęcych. Ile węzłów masz w tej kosie, tyłu młodzian niech spogląda na cię – powtórzyła trzykrotnie. Zawiązala warkocz czerwoną tasiemką, podaną przez matkę Nastki.

Potem wzięła wianek, trzymając go przed sobą, obeszła trzykrotnie dziewczynkę. Stanęła przed nią i zaśpiewala:

– Wianek woła nas dokoła. Białogłowy no i panny, zatańczmy ku czci Dziewanny.

Zebrały się kobiety w czepcach i dziewczęta z wiankami na głowach, otoczyły dziewczynkę, chwyciły się za ręce i płaszając, trzykrotnie zawołały:

– Mamy pannę na wydanie!

Opuścili ręce i wszystkie w milczeniu czekały na wiankowiny oraz nadanie nowego imienia. Młoda Wiedma włożyła Nastce wianek na głowę, podała jej obie ręce i pomogła wstać.

– Oby twoje czyny i rady zawsze były mądre Radomiłko.

Najstarsza niewiasta w kręgu zawołała do pozostałych, stojących w pobliżu:

– Radomiłka!

Wszyscy zaczęli powtarzać nowe imię panny. Wyglądało to tak, jakby starali się je wyryć w pamięci już na zawsze. Potem niewiasty, poczynszy od najstarszej aż po najmłodszą, następnie mężczyźni też w kolejności starszeństwa podchodzili do wiankowanej i witali ją pocałunkiem oraz słowami:

– Witaj, Radomiłko.

Dalszą część uroczystości stanowiła uczta. Wiankowana podawala gościom posiłek i napitek. Był to symboliczny początek jej przygotowań do roli przyszłej żony i gospodyni.

Młoda Wiedma, zatopiona w rozmyślaniach, niewiele rozmawiała przy stole, a inni nie mieli śmiałości jej zaczepiać. Przypominała sobie własne zapleciny. Wiankowała ją wujenka. To była smutna uroczystość, bo ojciec i matka wiedzieli, że nie przygotowują córki do zamążpójścia, że jej przeznaczenie jest zgoła inne. Ona wtedy była rada, że rodzanice uprzędy jej odmienny żywot. Teraz uświadomiła sobie, że wybrała drogę niczym rwący San, pełną meandrów i wirów. Nie mając apetytu ani chęci do konwersacji, wstała od stołu, podziękowała za gościnę i udała się na spoczynek. Czekał ją ciężki dzień, ciężki rok, ciężkie życie.

Agma



Damroka powiadała, żeś z łowcą w puszcze poszła. – Caryczka niezbyt przychylnie powitała gościa. – Jużem się rozsierzdziła, żeś na swačbę nie prosiła.

– Swačby nie będzie, bo Jarowara śmierć zabrała – Biwia zmęczona i osłabiona z trudem opierała się na kosturze, pot zalewał jej oczy, nawet opaska na czole niewiele pomagała. Z ulgą osunęła się na ławę przed chatą czarnowłosej wiedźmy. – Skąd macie te wieści? Byliście na wyspie? – zdziwiła się.

– Wróble mi naopowiadały – Caryczka, jak się można było spodziewać, nie wykazała zbytnej empatii. – Myślałam, żeś zapomniała, jak się miesza maść czarownic, i poleciałam na Ostrowie. Ale widzę, żeś posłańcem śmierci została. Aże strach się z tobą zadawać.

– Tako – westchnęła młoda wiedźma. – Chyba mnie kto przeklął. Jak nie chcecie uczyć, to odejdę.

– Jiście nie chce, alem Winii przysięgła, to dla jej spokojności uczynić muszę. A i uleczyć cię trza, bo widzę, żeś barzo zaniemogła. Spocznij w chacie, ale nie wieczerzaj. Przyjdę po ciebie.

Młoda Wiedma weszła do izby i z ulgą położyła się na prawym boku, bo rana na lewym ramieniu rozjątrzyła się i paliła równie mocno jak ta niewidzialna w sercu. Zmęczona zasnęła niemal natychmiast, nie przeszkadzał jej hałas, gdy Caryczka przeszukiwała w chacie skrzynie, ani łaskotanie miękkiego futra łasicy obwąchującej gościa.

Obudziło ją delikatne szarpnięcie. Otworzyła oczy. Twarz Caryczki, umazana prawdopodobnie ochrą, w świetle pochodni wyglądała przerażająco.

– Chodź. Długa droga przed nami.

Biwia niechętnie się podniosła. Ogarnęła ją niemoc, drżało całe ciało, nie miała sił, by iść gdziekolwiek. Czuła, że trawi ją gorączka. Rana wydawała się żyć własnym życiem, rozłając się po ciele. Im większą powierzchnię zajmował rumień, tym bardziej wzmagał się ból. Wyszła jednak posłusznie za czarownicą. Caryczka zarzuciła na plecy tobolek i z pochodnią ruszyła w głąb lasu.

– Miesiąca przybywa, niech nas wspomaga – zażyczyła głośno starsza wiedźma, spoglądając na niebo.

– Gdzie mnie prowadzisz?

– Łysiec to święta góra. Potrzebna nam jego moc, bo kamienie powiadają, że bez niej wrychle za łowcą podążysz.

Dziewczyna nie odezwała się. Wędrówka kosztowała ją zbyt wiele wysiłku, by jeszcze podejmować rozmowę. Ścieżka, którą stapały, rozciągała się w nieskończoność. Gdy ich stopy spoczęły na

gołoborzach, Księżyc był już po stronie zachodniej. Z trudem przepawiły się przez kamienny, wysoki wał, okalający szczyt góry. Zbliżyły się do centrum, gdzie znajdował się płaski kamień.

– Rozdziel się – nakazała Caryczka.

Zdjęcie sukni okazało się dość trudne, bowiem ropiejąca rana przywarła do szaty. Caryczka wyjęła z tobołka bukłak i wylała część jego zawartości na ramię dziewczyny. Biwia jęknęła. Zaczęły zdejmować ostrożnie suknię, odklejając materiał od spodniej części. Trudniej było pozbyć się gieźla. Polewana ziołową gorzałką rana powoli miękła, w końcu delikatnie oderwały zakrwawioną koruskę. Biwia położyła się na chłodnym głazie. Caryczka wymownie spojrzała na krwawe ścieżki i rozwidlenia przebiegające pod skórą dziewczyny.

– Cóż one znaczą? Skąd się wzięły? – spytała, błędząc palcem po cieniutkich czerwonych szlakach.

– Piorun uderzył w Świąty Dąb, pod którym stałam. Drobinki mych mocy stopiły się. Stało się, jak przepowiedziałas.

Czarownica zdjęła z głowy przepaskę z kamieni i wzniosła wysoko nad głowę. Przymknęła oczy i z żarliwością odmówiła dziękczynną modlitwę. Włożyła cudowne kamienie z powrotem na rozpuszczone włosy i przystąpiła do rozpalamia ognia. Gdy ognisko rozjaśniło okolicę, wyjęła z worka niewielkie naczynie i zanurzyła w nim palce obu rąk. Zaczęła znaczyć na ciele Młodej Wiedmy symetryczne znaki.

– Lel i Polel, pod waszym znakiem zrodzona, niech będzie uzdrowiona. Lel i Polel – powtórzyła głośniejszym głosem – pod waszym znakiem zrodzona, niech będzie uzdrowiona. Lel i Polel – zaklęcie przerodziło się w wołanie – pod waszym znakiem zrodzona, niech będzie uzdrowiona!

Zerwał się wiatr. Dym z ogniska co chwila zmieniał kierunek, jakby poddmuchy powietrza uderzały z różnych stron. Caryczka zrzuciła płaszcz z sokołich piór, jedyne odzienie, jakie miała na sobie. Staneła naga przy ogniu. Nie tylko twarz miała pokrytą ochrą, ale całe ciało. Wzniosła ręce.

– Świsł i Poświsł! Przybądźcie na tę górę, by uleczyć waszą córę! – zaintonowała.

Fraza ta, powtarzana wielokrotnie, stała się pieśnią, w której rytm czarownica zaczęła odprawiać rytualny taniec. Potem chwyciła poplamione ropnym przesączem gieźlo Biwii, odwróciła się plecami do ogniska, pochyliła się i przerzucając je między nogami, cisnęła w ogień. Zaczęła płuć w ślad za skażoną szatą.

– Świąty panie, Swarożycu, spal to złe, co w ranie siedzi. Świście i Poświście, zły dym rozwiejcie hen za bory i za rzeki, w świat daleki. Zły dym rozwiejcie hen za bory i za rzeki, w świat daleki – kilkukrotnie powtórzyła te same zaklęcia. – Świście i Poświście, nuże do dzieła!

Poddmuchy wiatru jeszcze bardziej się wzmogły. Płomienie momentalnie zajęły gieźlo nasączone leczniczą nalewką, a podsycane wiatrem strzeliły w górę, by za chwilę skurczyć się na zwęglonym materiale, oddając przewodnictwo siwej smudze, gęstniejącej nad paleniskiem. Kolejny podmuch rozżarzył nadpalone kawałki drewna, unosząc gdzieś w dal zakłęty przez czarownicę dym. Caryczka podeszła do Biwii.

– Agma to zaklęcia, które niosą moc. Wiele razy powtarzane odmieniają nas i nasz byt. Czarodoro – uwalnia od złego, pomaga wyjść z więcierzy założonych przez Żywię. Drago – prowadzi na prostą drogę. Jarga – to runa, która uzdrawia, wzmacnia moce i pomyślność. Zaklanine o świecie w rytm bicia serca, odmieniają nasze bydlenie²².

Biwia otworzyła oczy. Na horyzoncie jaśniało. Ptaki powoli budziły się ze snu, nieśmiało odzywając się gdzieś u podnóża Łyśca.

– Powtarzaj: czarodoro, drago, jarga, czarodoro, drago, jarga, czarodoro, drago, jarga...

Młoda Wiedma włączyła się w zaklanine. Najpierw cicho, nieśmiało, niczym budzące się o świecie

ptaki. Potem głośniej, pewniej, podobnie jak skrzydlaci przyjaciele śpiewający na powitanie Dadźboga. Znów przymknęła powieki, przestała słyszeć ptaki, nie słuchała, czy Caryczka jej towarzyszy w zaklinaniu, poddała się magii mantry, która wprowadziła ją w niezwykły, radosny trans.

– Czarodoro, drago, jarga...

Słońce przywracało niebu błękitną barwę, osuszało rosę z traw, rozgrzewało roztraskane głazy na zboczach góry, a w tym także szeroki, płaski kamień, na którym leżała Biwia. Młoda Wiedma jednak nie zauważała tego. Oddała się magicznej melodii powtarzanych słów: czarodoro, drago, jarga.

Wybudziło ją z transu pieczenie w okolicy pępka. Otworzyła oczy. Słońce wznosiło się już nad wzgórzami. Spojrzała w miejsce, skąd promieniście rozchodził się ból, jakby ktoś przyłożył tam żagiew. Na brzuchu miała położony opalizujący na zielono kamyk.

– Żabi kamień. Niesie ulgę, uspokaja i uzdrawia, wzmaga jarość – objaśniła czarownica.

W wygasającym żarze ogniska rozgrzewały się inne magiczne odłamki skalne i minerały. Caryczka sięgnęła po kolejny, czarny, przecinany czerwonymi smugami. Przekładała go długo z dłoni do dłoni. Gdy uznała, że ma już odpowiednią temperaturę, położyła go nieco niżej na ciele dziewczyny.

– Krwawy kamień – uleczy twój krew.

Tuż pod pierściami Biwii, w miejscu, gdzie krzyżują się wszystkie ścieżki życia, został położony bursztyn. Nie rozgrzewał go wcześniej żar ognia, leżał osobno, czerpiąc ciepło z promieni Słońca.

– Jantar. Uzdrawia, chroni przed klątwami i złymi mocami.

Kolejny rozgrzany kamień był zielony z ciemnymi smugami, które przenikały go niczym sieć pajęcza. Czarownica ułożyła go w miejscu, gdzie najmocniej bije serce.

– Malachit. Przegania precz chorobę. Leczy ciało, ale i duszę.

W okolicy krtani, w miejscu, gdzie rodzi się dźwięk, Caryczka położyła kamień nieba – agat. Jego zewnętrzna powłoka była jak muszla szczeżui wydobyta z rzeki: matowa i ciemna. Jednak od spodu był gładki niczym jezioro w bezwietrzny dzień i skrywał w sobie wszystkie odcienie nieboskłonu. Miał pomóc w usunięciu gorączki i zmniejszyć zatrucie ciała złą krwią.

Czarownica sięgnęła po kryształ górski, podobnie jak bursztyn rozgrzany jedynie w słonecznych promieniach. Delikatnie muskała nim ranę na ramieniu Młodej Wiedmy, a także przeciągała jego krawędzią wzdłuż popękanych żyłek, które rozbiegły się po ciele, gdy ściagała je moc pioruna. Potem uniosła kryształ pod słońce nad głowę Biwii. Przez jego pryzmat rozlała się ledwo widoczna tęcza.

– Kamień Słońca. Naprawi kolory twojej duszy – szepnęła, z zachwytem wpatrując się w grę światła.

Położyła kryształ tak, by dotykał szczytu głowy dziewczyny. Biwia leżała bez ruchu, obawiając się, że mogłaby stracić któryś z magicznych kamieni. Ostatni, siódmy, znalazł się na jej czole. Był to ametyst – fioletowy kwarc o owalnym kształcie.

– Niech twoje trzecie oko, ukute przez samego Peruna, odzyska swą moc.

Rozgrzane kamienie nie traciły ciepła, gdyż Słońce wspięło się coraz wyżej i przygrzewało też coraz mocniej. Biwia spokojnie poddawała się ich magicznemu działaniu. Caryczka znów zaczęła intonować agmę, okrążając powoli kamień w centrum Łyśca. Starła się wykrzesać i przekazać dziewczynie jak najwięcej mocy, by odzyskała siłę i zdrowie.

Wracały, gdy Dadźbóg był już wysoko. Caryczka w drodze uczyła dziewczynę zaklęć, podobnych do tych, które intonowały na szczycie Łyśca. Biwia czuła się nieco lepiej, choć zmęczenie dawało jej się we znaki. Gdy dotarły do chaty, napojona ziołami, wzmocniona posiłkiem położyła się. Resztę dnia i całą noc krzepił ją mocny, dobry sen.

Nauka



Letnie dni poszły w zapomnienie. Jesienne poranki stawały się coraz chłodniejsze, a wieczory dłuższe. Przyroda powoli przygotowywała się do odpoczynku, ptaki odlatywały gdzieś do tajemniczego Wyraju, by spotkać się z duszami tych, którzy odeszli.

Wiedźma spod Łysych Gór skrupulatnie wywiązywała się z obietnicy złożonej zmarłej Winii, choć często irytowała się na swą uczennicę, nie szczędziła jej krytyki i przykrych słów, z trudem tolerując obecność gościa w chacie. Pragnęła, by dziewczyna wkrótce odeszła, starała się więc jak najszybciej uleczyć jej ciało. Z tych samych pobudek nauka magii była niezwykle intensywna.

Caryczka знаła zioła i ich zastosowanie, ale nie poświęcała im tyle czasu i uwagi co niedyś Wiedma. Może dlatego, że ta ostatnia gromadziła zapasy dla ludzi, którzy ją tłumnie odwiedzali na wyspie. Wiedźma spod Łysych Gór rzadko miewała gości i niewiele się o nich troszczyła. Ubodzy wiedzieli, że nie mają po co zwracać się do niej o pomoc. Chętnie natomiast doradzała lub wróżyła bogatym kupcom albo wojom, którzy mieli czym płacić. Kupców jednak ostatnio bywało niewiele, bowiem wieść niosła o zbliżającym się ataku na Żmigród, więc wszyscy woleli omijać grodzisko, będące jednym z ważniejszych punktów na szlaku handlowym.

Specjalnością czarnowłosej wiedźmy były kamienie. Okazało się, że Łyse Góry i ich okolice to nie tylko kopalnie krzemienia pasiastego, ale zagłębie licznych magicznych skał i minerałów. Uczyla dziewczynę je rozpoznawać, mówiła o ich magicznym działaniu. Kamienie mówiły jej o tym, co było, co jest lub co się zdarzy. Biwia czuła moc, którą emanują, ale ich nie słyszała. Natomiast wraz z powrotem sił życiowych odzyskiwała i doskonaliła dar jasnowidzenia. Wizje pojawiały się głównie w snach, nad ranem. Czasem nieoczekiwanie w ciągu dnia. Odczuwała magiczną moc agmy, którą codziennie o świcie śpiewała. Poznawała też inne zaklęcia. Teraz jeszcze włączała do codziennej mantry runę charodoro, która miała pomóc w rozwijaniu zdolności jasnowidztwa. Z czasem odkryła, że odpowiednie ułożenie kamieni w obrębie okręgu w znaki, których uczyła ją Caryczka, a także wprowadzenie się w trans poprzez intonowanie powtarzających się słów, wyzwalało w niej wizje. Uczyla się je wywoływać. Czyniła to jednak rzadko, gdyż bardzo ją osłabiały, a najczęściej okazywały się nieprzydatne, ponieważ nauczycielka je lekceważyła. Wiedźma spod Łysych Gór nie była zainteresowana wykorzystywaniem daru swej uczennicy i mimo nalegań Biwii nie zgadzała się na udzielanie komukolwiek pomocy, uważając, że to tylko trwonienie czasu.

Kiedy jednak o świcie Biwia obudziła ją i blada niczym wybielony popiołem len radziła ucieczkę z chaty w głąb lasu, zerwała się przestraszona. Wyniosły wspólnie dwie ciężkie, drewniane skrzynie

i ukryły za skałami. Chciały jeszcze wrócić po inne rzeczy, ale było już za późno. Dwóch wojów zsiadało już z koni przed chatą, dwóch kolejnych dojeżdżało na polanę. Nie mieli na głowach hełmów, widocznie czuli się pewnie. Byli jednak uzbrojeni w miecze i topory, a ich skórzane lamele połyskiwały woskiem w świetle wschodzącego Słońca. Niewiasty wspięły się na pobliskie drzewo i stamtąd obserwowały poczynania nieproszonych gości. Mężczyźni przeszukali dom i jego okolice. Żar w palenisku wyraźnie zdradzał, że właścicielka spędziła tu noc. Zabrali żywność, którą znaleźli, skóry i wełniane pledy przytroczyli do siodła. Jeden podszedł do strzechy z płonąca pochodnią.

– Ostaw! – krzyknął jego towarzysz, starszy od pozostałych, z lekko siwiejącą brodą. – To chata wiedźmy. Chceszli, by rzuciła na ciebie jaki przyrok?

Woj obejrzał się dokoła z obawą i wycofał się. Obłowieni wsiedli na konie i ruszyli z powrotem. Kobiety ukryte na drzewie obserwowały całe zajście.

– Żmigród już jest w rękach Włodzisława z Wiślanii – szepnęła Młoda Wiedma.

Caryczka przyjęła tę wiadomość raczej obojętnie. Natomiast bardzo ją wzburzyło zachowanie wojów na jej terenie. Bezczelnie ją okradli i jeszcze chcieli spalić chatę.

– Wszystkie przez tego żmija. Niech no go dopadnę.

– Ponoć nikt nie wie, gdzie go można najść.

– Tak się to kończy, jak komu miłowanie w dumnym łbie.

– Miłowanie? Ty wiesz, co się z nim stało?

– Przyłaziło do mnie dumne dziewczę – czarnowłosa wiedźma zaczęła ostrożnie schodzić, skupiając się na tym, w którym miejscu postawić nogę, żeby nie spaść. – Chciała, żeby dać jej co na pozbycie się brzucha.

– Pytałam o żmija – Biwia nie rozumiała wyводу.

– O nim właśnie gadam. Łaziła durna podwika najpierw do żmija, a potem do mnie. Ale było już za późno. Żmij potężny, ona drobna jak wróbel. Nie wiadomo było, co z tego wyjdzie, więc w obawie, że starszyzna chędo ukrzywdzi, a ją wyklnie – uciekła, gdzie oczy poniosą.

Kończyła opowieść, stojąc już pod drzewem, ale jeszcze nie wychodziła na polanę. Zaglądała niepewnie na ścieżkę, którą woje odjechali. Biwia też już zeskakiwała z najniższej gałęzi. Caryczka odwróciła się do niej.

– A ten dumny za nią poleciał. Ostawił gród, ludzi mu przychylnych, jadła pod dostatkiem. Na tę siłę nie ma żadnego zioła ani czaru.

– Jaką siłę?

– Miłowanie. Żeby tobie nie przyszyły do łba miłosne trele, bo się wtedy całkiem pomyślunek traci.

– O to się nie frasuj – odparła sucho dziewczyna.

Dla ostrożności, wiedząc, że wizyta wojów może się powtórzyć, zanosły skrzynie do jaskini, w pobliżu gniazd gołębi. Okazało się, że Caryczka ukrywała tam jeszcze jedną. Znajdowały się w niej futrzane płaszcze, kaptury i pledy.

Wiedźma przeglądała zawartość kufra.

– Musimy je wziąć, by mieć się czym okryć nocą. A na zimę będą w sam raz.

Widok futrzanych płaszczy był dla Biwii niczym odrywanie odzienia od przyschniętej rany. Przywołał wspomnienia, kiedy z łowcą wyprawiali i garbowali skóry. Zatopione w solankach nadal czekają na obróbkę i woskowanie, a Jarowara już nie ma. Roztargniona dziewczyna zanosła futra do chaty, potem towarzyszyła Caryczce w zakreślaniu ochronnego kręgu wokół domostwa i zaklinaniu go, jednak myślami była w innym miejscu i czasie. Starsza wiedźma, nieco poirytowana roztargnieniem uczennicy, posłała ją po nasiona bluszczu, wilczej jagody i ziele mordownika, tłumacząc, że ciężkie

czasy nastąpiły i coś mocniejszego na wywar lub nalewkę może się okazać przydatne. Dziewczyna zamyślona ruszyła z koszykiem w las. W pobliżu płatała się należąca do Caryczki łasica, która polubiła nową lokatorkę i czasem jej towarzyszyła w spacerach. Biwia nie zwróciła uwagi, że szelest liści wcale nie był wywołany przez oswojone zwierzątko. Nagle ktoś powalił ją na ziemię. Krzyknęła. Szeroka, szorstka dłoń zasłoniła jej usta. Napastnik podniósł ją, nie zdejmując ręki z twarzy. Nie widziała go, bo stał za nią. Czowała od niego zapach końskiej sierści i nawoskowanej zwierzęcej skóry.

– Jesteś wiedząca? – zapytał.

Kiwnęła głową. Nawet gdyby chciała, nie miała jak odpowiedzieć inaczej.

– Caryczka? – upewnił się.

Tu przez chwilę się zastanowiła. Nie trwało to jednak długo. Znów przytaknęła. Uznała, że tak będzie lepiej.

– Nic ci nie zrobię. Potrzebuję twojej pomocy. Puszczę cię, a ty nie będziesz krzyczeć ani nie rzucisz przyroku. Tako?

Znów kiwnęła głową. Puścił ją. Obejrzała się. Stał przed nią jeden z wojów, którzy o świcie byli w chacie Caryczki. Poznała go po lekko siwiejącej brodzie. Szpakowate, kędzierzawe włosy wiły mu się do szyi. Nie zwróciła uwagi na kolor jego oczu, bo jedyne, co było w nich widoczne, to zmęczenie.

– Możesz mnie zabrać, ale już jest za późno. Twój druh odszedł do Nawii.

– Skąd wiesz, że dla druha szukam ratunku? – chwycił ją za rękę.

Wyrwała się, łagodnie, acz stanowczo. Spojrzała mu prosto w oczy. Chyba były szare.

– Wszak jestem wiedząca.

Zmieszał się, spuścił wzrok. Podrapał się po szyi, jakby nie wiedząc, co dalej począć. Nie dopuszczał myśli o śmierci druha.

– Może jednak go uzdrowisz?

– Nie mam mocy, by wyciągać dusze z Nawii. Jakbym miała, toby mnie tu teraz nie było. Nie masz po co mnie zabierać. Jeśli zadaję kłam, wiesz, gdzie mnie najść.

Zrezygnowany zagwizdał na palcach. Gdzieś w oddali zarżał koń. Rozległy się głuche uderzenia kopyt. Koń podbiegł do swego pana i posłusznie stanął. Woj włożył rękawice, chwycił lejce i wskoczył na jego grzbiet.

– Jeśli łziesz, najdę cię.

– Nie lżę, ale i tak mnie niezadługo najdziesz – odparła.

Pociągnął za lejce, koń odwrócił się posłusznie, potem jeździec uderzył go lekko zapietkami i odjechał.

Tego wieczoru starsza wiedźma uczyła młodszą, jak przyrządza się trującą maść z mordownika. Zabroniła dotykać jej palcami. Podzieliła morderczy specyfik na dwie części, ostrożnie przełożyła każdą do drewnianych pojemniczków i zacisnęła od góry drewnianymi dekielkami. Podała uczennicy.

– Draśnięcie starczy, jak wejdzie w ciało, to nawet niedźwiedzia powali. Noś przy pasku, żeby mieć pod ręką i maść, i kozik.

Zaczęły przyrządzać nalewkę z owoców bluszczu. Wprawdzie silne toksyczne działanie mają też liście tego powojnika, ale owoce są skuteczniejsze. Caryczka tłumaczyła, że po spożyciu takiej nalewki pojawi się najpierw rumień, krosty, potem duszności prowadzące ostatecznie do śmierci. Skutki te jednak pojawiają się dopiero po paru dniach.

– Wolisz, by trucizna zadziałała nie od razu, to zadaj obłożnik. Nikt tedy nie dojdzie, że to od ciebie.

Wilcza jagoda natomiast to ziele dobrze znane wiedźmom, bo używane do maści czarownic, ale nie tylko. Przydaje się, gdy chce się pobudzić zmysły, zarówno tych pięć, które ma przeciętny człowiek, jak

i ten szósty, wyjątkowy, dany nielicznym. Jednak w większej dawce zaburza wzrok, słuch, powonienie i smak, wywołuje nadmierne pobudzenie, drgawki, zanik oddechu i w konsekwencji śmierć. To od nazwy tego ziela nadano imię wiedźmie spod Łysych Gór, bowiem caryczką nazywano wilczą jagodę. Czasem też kobiety, wykopując mandragorę, zaklinały tę magiczną roślinę, również nazywając ją caryczką. Cechą zarówno jednej, jak i drugiej rośliny jest pożyteczność w niewielkich dawkach i szkodliwość w większych. Warto też dodać, że mandragora, nieumiejętnie wyrwana, nieobłaskawiona, mściła się okrutnie, zadając śmiałkom śmierć. Zatem imię wybrane dla czarownic wiedźmy nie było przypadkowe.

– Niech no teraz przycwałują do mej chaty, to obaczą, z kim zadarli – zapowiedziała.

– Oni szukali pomocy dla umierającego.

– Jak się szuka pomocy, to się nie znajduje cudzego – warknęła ze złością. – A ty się bronić naucz, bo takiej powolnej każdemu wiedźmy nikt nie uszanuje.

Następny dzień był pochmurny. Caryczka wypominała swej podopiecznej, że mieszka w pobliżu gaju, a nie zna jego magicznych darów. Udały się więc do lasu. Miały zbierać grzyby. Spod ich stóp uciekały przerażone salamandry. Czarnowłosa wiedźma chwyciła jedną z nich.

– Zrodzona w ogniu zapowiada deszcz – orzekła. – Jej jad może zastąpić wilczą jagodę – dodała, wkładając płaza do kosza. – Zbieraj je, są odporne na płomień i chronią przed nimi, co tobie by się ostatnio zdało – dodała złośliwie. – Utopione w studni rodzą zarazę. Ich jad szkodzi, a krew uzdrawia.

Oprócz salamander zbierały też ropuchy. Biwia wiedziała, że schwyta ropucha broni się, plując swoistym jadem. Psy we wsi, doświadczony już takimi niespodziankami, omijały je z daleka. Caryczka jednak uświadomiła jej, do jakich praktyk można te płazy wykorzystać.

– Poślesz taką do złego człeka, to mu urok albo i zarazę zanieś. Jak mu wejdziesz w śnie przez usta, to chorobę zrodzi, jak w oczy siknie, oślepi. Można też jego włos przez oczy żaby przepchać, to albo też oślepienie, albo na suchoty zemrze. Wielce pożyteczny to zwierz. A uschniętą zetrzesz na proch i wsysiesz niedobremu człękowi do gorzałki, to takie go cierpienia od środka chwycą, że sam będzie wołał, by śmierć przysła.

Najwyraźniej Caryczka znała się nie tylko na białej magii.

Wtem czarownica wiedźma zatrzymała się i pochyliła. U jej stóp kuliły się dwie żaby. Mniejsza, prawdopodobnie samiec, trwała w uścisku z większą, która niosła swego amanta na grzbiecie.

– Zdziwiający – mruknęła Caryczka. – Przecie czas godów dawno minął.

Czarnowłosa wiedźma przykucnęła nad żabami, trwającymi w miłośnym uścisku, wyjęła z peleryny kościaną igłę i jednym krótkim sztychem przebiła nią obydwu stworzenia. Żaby przygwożdżone śmiertelnym ukłuciem bezładnie potrząsały kończynami, jakby chciały umknąć śmierci. Bezskutecznie. Czarownica ze spokojem przyglądała się ich agonalnym konwulsjom. Gdy ustały, wyjęła ostrożnie upapraną ciemną mazią igłę i pokazała dziewczynie.

– Ma teraz magiczną moc łączenia niewiasty i męża. Starczy zszyć nią ich odzienia.

Caryczka wyglądała na zadowoloną. Zdawała się nie zauważać niemego oburzenia uczennicy. Podniosła martwe żaby i włożyła ostrożnie do kosza.

– Aczli dodasz ich ślinę do maści czarownic, staniesz się niewidzialna – dodała.

Ruszyły dalej. Caryczka, widząc, że Młoda Wiedźma omija napotykaną po drodze płazy, podniosła jedną z ropuch i wrzuciła do koszyka Biwii. Ta delikatnie przez zapaskę chwyciła ją, wyjęła i odłożyła na ziemię. Starsza wiedźma oburzyła się.

– Tfu! Certujesz się, jakbyś jaką księżką²³ była. Ropucha może zanieść urok czy niemoc, ale może też

uzdrowić, uwolnić od cierpienia. Starczy przyłożyć ją do chorego i całe zło wchłonie w siebie. Wszystko zależy od intencji, czy pošlesz choremu zdrową żabę czy zdrowemu chorą.

– Może zaczniemy zbierać grzyby? – nieśmiało zaproponowała dziewczyna.

– Ta głupia Wiedma pewnością nie miała już w czym wybierać, że cię wzięła do siebie. Czarownica ma być skuteczna. A to – tu wskazała na kosz pełen magicznych stworzeń – jest narzędzie.

– Darom Matki Ziemi należy się czcienie – odparła hardo dziewczyna.

– Tako. Aleć po coś Mokosz nam je darowała.

Umilkły urażone. Dalsze nauki na temat użycia płazów w sztukach magicznych nie miały już sensu. Zaczęły więc zbierać grzyby.

Oprócz jadalnych borowików, maślaków i kurek do koszyka trafiły bedłki, czyli łysiczki – rachityczne brązowe grzybki o stożkowatych, lepkich kapeluszach, sterzcących na cienkich trzonkach.

– Surowe czy suszone mieszają w głowie każdemu – tłumaczyła działanie bedłków. – Dasz garść, a zapomni jeden z drugim, gdzie jest, będzie ronił łzy lub zaśmiewał się do rozpuku. Dasz dwie – zemrze.

Pochyliła się nad rodziną muchomorów czerwonych. Po chwili piękne, nakrapiane kapelusze znalazły się w koszu obok łysiczek.

– Muchomory morzą muchy, ale i człekowi odbierają rozum. Zjesz niewiele, a sokół ci nie dorówna w patrzeniu i nietoperz w słyszeniu. Jak po mandragorze. A i do do maści czarownic się nadadzą.

Zapadał zmierzch, gdy wracały do chaty. Łasica, która im towarzyszyła, zatrzymała się nagle, stając na dwóch łapkach i węsząc niespokojnie. Caryczka rozejrzała się, nozdrza jej się rozszerzyły.

– Znów mamy gości – orzekła. – Ostań tu. Sama się z nimi rozmówię.

Przełożyła do jednego kosza płazy, do drugiego grzyby. Wzięła obydwie i ruszyła pewnym krokiem. Dodatkowo w garści trzymała wysuplane z sakiewki drewniane naczynko.

Noc była chłodna, zaczął padać deszcz. Biwia znużona, przemoczona i zziębnięta postanowiła, że już dłużej nie będzie czekać. Pragnęła ogrzać się przy ogniu. Martwiła się też o swą mentorkę. Była już niedaleko chaty, gdy drzwi się otworzyły. W blasku płonącego w środku ognia zobaczyła pochyloną kobiecą postać. Najwyraźniej ciągnęła po ziemi coś ciężkiego. Po chwili zniknęła w mroku drzew. Biwia weszła do środka. Już od progu uderzył jej nozdrza zapach wymiocin i moczu. Na klepisku leżał w śmierdzącej kałuży mężczyzna, odziany jedynie w szarawary. Miał wywrócone gałki oczne, a wokół ust zaschnięte resztki zwracanego pokarmu.

– Musimy ich zakopać – Caryczka wystraszyła ją nagłym pojawieniem się. – Schowamy odzienie i broń. Może się przyda. A konie zaprowadzimy na polanę daleko stąd. Może komu damy na przechowanie.

– Coś ty uczyniła? Co oni ci zrobili?

– Chcieli złoto i szmaragdy, bo im ludzie gadali, że u mnie tego pełno. Grozili. Wyjęłam ze schowka – wskazała ruchem głowy ścianę z kamieni, w głębi której czernił się otwór. – Dostali, co chcieli, poczuli się pewnie. Warzyłam grzyby na wieczerzę, chcieli jeść. Zanim polano się zwęgliło, nie wiedzieli, gdzie są i co tu robią. Tojad w piwie dokończył robotę.

Ciało półnagiego mężczyzny było stężałe i ciężkie. Niosły go z trudem, zatrzymując się co chwila dla odpoczynku. Potem wróciły po pierwszego, którego Caryczka porzuciła między drzewami tuż obok chaty. Kopanie dołu zajęło im prawie pół nocy. W końcu wrzuciły weń ciała zabitych, zasypały ziemią i przykryły wszystko ściółką leśną. Deszcz przestał padać, co nie było po ich myśli. Woląby, żeby strugi wody rozmyły ślady zbrodni. Ubrania i broń wojów zaniosły do skrzyń w jaskini. Potem po

omacku, bo noc była wyjątkowo ciemna, dotarły do koni. Zdjęły z nich siodła i zatargały również do kryjówek w skale. Wreszcie same wierzchowce wyprowadziły daleko na porośniętą obficie trawą polanę i przypięły je na długich sznurach, przymocowanych do ostro zakończonych patyków.

Zbliżał się świt. Biwia zmęczona i oszołomiona nocnymi wypadkami padła bez słowa na swoje legowisko. Caryczka pozostała przed chatą i zakłębionymi wzywała chmurników. Kiedy obydwie niewiasty już spały, ciężkie, szare chmury, przywleczone przez pracowite demony, wylewały rześiste łzy na wieść o strasznych czynach czarownic. Deszcz zacierał ślady. Około południa obudził je stukot kopyt. Brodaty woj o szpakowatych, kędzierzawych włosach przyjechał z jeszcze jednym towarzyszem broni. Nie weszli jednak do chaty, tylko z respektem czekali przed drzwiami.

Gdy Biwia zobaczyła go przez szparę, złapała za rękę swą nauczycielkę.

– On myśli, że ja to ty – szepnęła przejęta.

– Co? – nie zrozumiała starsza.

– On myśli, że Caryczka.

– To podejmij gościa, Caryczko – usłyszała w odpowiedzi. Wysłała przed chatę.

– Niech Swaróg ma cię, pani, w swej opiece – przywitał się szpakowaty woj.

– Rzekliście.

Mężczyźni rozglądali się, z trudem odczytywali rozmyte ślady na błotnistej ziemi. Biwia po leśnych wędrówkach z Jarowarem doskonale zdawała sobie sprawę, że ślady na ziemi łatwo można dojrzeć, zwłaszcza ciężkich końskich kopyt, choć padający deszcz zebrał się w ogromnych kałużach, ukrywając prawie wszystko. Nie zamierzała jednak zaprzeczać wczorajszej bytności wojów.

– Szukamy dwóch towarzyszy. Byli tutaj?

– Ano byli. Zabrali szmaragdy, złoto i odjechali.

– Zaraza z nimi – westchnął starszy woj. – Niech no ich najdę, pani, to ukarzę, a kamienie zwrócę.

– Sami zwróćcie, coście zabrali ostatnim razem – oburzyła się Caryczka, która dopiero teraz wyszła z chaty. Mężczyzna spoglądał raz na jedną, raz na drugą wiedźmę.

– Jest was dwie? – zdziwił się. Podeszedł do juk przy siodle konia, zdjął przytroczony pled i miękką owczą skórę. Podał Caryczce.

– Tylko to mogę zwrócić, resztę zabrali ci, których szukam.

– Dobrze i tyle – odparła z przekąsem.

Mężczyźni wsiedli na wierzchowce i ruszyli dalej, z trudem odszukując na ziemi końskie ślady.

Niewiasty zaniepokojone czekały do zmroku. Nie powrócili. Odetchnęły z ulgą. Uznały, że nawet jeśli znaleźli pasące się konie, to pewnie nie doszli, co się stało z ich właścicielami.

Kilka dni po feralnych odwiedzinach wojów wiedźmy postanowiły udać się do Żmigrodu. Zima była tuż tuż i Caryczka chciała wynająć kogoś, kto ściąłby jej parę drzew, gdyż zbieranie chrustu na opał było dość żmudnym i pracochłonnym zajęciem. Trzeba też było się zatroszczyć o jakieś pożywienie na mroźne dni. Wyruszyły więc pewnego nader zimnego poranka, gdy drzewa trzęsły się z zimna, zrzucając resztki liści.

Najpierw odwiedziły znajomego rzemieślnika. Biwia nie mogła oderwać oczu od pięknych zawieszek, koralów, misternie zdobionych kabłączków czy zausznic. Nie po to jednak do niego przybyły. Dały mu kilka szlachetnych kamieni jako zapłatę za dostarczenie do chaty zapasów jedzenia na zimę.

Opuściły warsztat rzemieślnika i zaczęły spacerować po majdanie, obserwując, jak zmieniło się życie żmigrodzian pod okupacją Włodzisława. Najwidoczniej mieszkańcy nie bronili się zbyt zaciekle, bo domostwa stały nienaruszone. Łatwo było zauważyć, że w większości z nich stacjonowały wojska.

Wiedźmy z zaciekawieniem oglądały, czym ludzie handlują na głównym placu. Jednak targujących było niewiele. Większość mieszkańców zatrudniono do usypywania przed grodem wału obronnego. Najwyraźniej Włodzisław spodziewał się jakiegoś ataku z zewnątrz. Między zabudowaniami i pośród pracujących przy wałach kręcili się uzbrojeni wojowie.

Wiedźmy zatrzymały się przy jednym ze straganów i zaczęły oglądać misternie utkane chusty.

– A wy nie usypujecie wałów? – spytała Caryczka handlarza.

– Jakże miałbym to uczynić? – mężczyzna odwinął połę płaszcza, pokazując kikut lewej nogi. – Aleć synowie pracują i nijakiej zapłaty za to nie mają – westchnął. – Jeszcze daninę trza oddawać. Taki woj to je i pije za dwóch.

Niewiasty poczuły, jakby przewiercało je na wskroś czyjeś spojrzenie. Odwróciły się. Na majdanie stał, z założonymi na krzyż rękami, znajomy woj o szpakowatej brodzie i kędzierzawej czuprynie, osłoniętej teraz futrzaną czapą z lisiej kity. Czujnie się im przypatrywał. Widząc, że go zauważyły, podszedł.

– Powiadają, że Caryczka ma włosy niczym kruk, to kim jest ta o pszenicznej kosie?

– Wołają mnie Młoda Wiedma – spojrzała mu w oczy, tym razem wydawały się zielonkawe.

– Ześ wiedząca, to wyszło, bo druh mój już był w Nawii, gdym przybył do grodu. Ale nie zawsze powiadasz prawdę.

Sprawił wrażenie, jakby czekał, aż ona zacznie się tłumaczyć. Spoglądał na nią spod oka, podejrzliwie.

– Wtedy to mi prawić za bardzo nie dałeś – odparowała.

Opuścił ręce, przestąpił z nogi na nogę, chyba się zmieszał. Chciał jeszcze coś powiedzieć i Biwia była pewna, że miało to dotyczyć zaginionych wojów, jednak zrezygnował.

– Szukacie czegoś? Może wam pomóc? – zmienił temat.

– Ano szukamy. Drwała. Wszystkich przepłoszyliście jak zające i teraz żadnego nie można najść, żeby drzewa przysposobił na zimę.

– Drwała? Hm. Podeślę wam młodzika, co się zna na wycince. Tylko zaręczcie, że żyw wróci.

– Bogi mszczą się za brak gościnności. A my z bogami nie zadieramy – Caryczka udała, że nie rozumie, do czego woj zmierza.

Mężczyzna spojrzał przeciągle na starszą wiedźmę, potem na młodszą. Biwia była pewna, że zastanawiał się, jak je podejść. Właściwie pomysł z przysłaniem kogoś do wycinki drzew krył w sobie podstęp, bowiem dawał pretekst, żeby się pojawić u nich i jeszcze raz rozejrzeć.

Na placu zrobiło się poruszenie. Ludzie, zgromadzeni na majdanie, ustępowali miejsca przejeżdżającym wojom. Było ich czterech. Na jednym z koni przed jeźdźcem przewieszony był człowiek z parcianym workiem na głowie. Widok ten wyraźnie poruszył brodacza. Zaczęło mu się spieszyć.

– Na mnie czas – zrobił lekki zwrot, ale jeszcze się zatrzymał. – Radzę jednak ostawić chatę pod skałami i nas się trzymać, bo Madjarowie są blisko.

– Chatę wiedźmy będą zdobywać? A cóż ona warta? Szmaragdy i złoto zabrali inni woje – starsza czarownica była dość przekonująca w swoim poczuciu krzywdy.

– Madjarowie? – zdziwiła się Biwia.

– Woje z Panonii. Naprzód rozgromili Wielkomorawian, teraz ruszyli na Wiślan i Łędzian. Są już blisko – skierował się w stronę, gdzie podążyli jeźdźcy, ale znów się zatrzymał. – Jeśli dojdzie do walki, zdałaby się nam jaka wiedząca.

– Wiecie, gdzie nas można najść, to nas zawezwicie – odezwała się Młoda Wiedma. – Wiecie też,

jak nas wołają, ale my nie znamy waszego imienia.

Skłonił się lekko, jakby z musu. Okazał tym samym uprzejmość, ale i pewien dystans.

– Żegota z Weligradu. Od wielu lat wojuję w drużynie Włodzisława z Wiślanii.

– Jam Młoda Wiedma z Ostrowia niedaleko Przemysła. Pod Łyse Góry przybyłam na nauki.

– Pod Przemysł też idą Madjarowie – oznajmił na odchodnym.

Niewiasty odprowadziły go wzrokiem, a potem spojrzały na siebie. Biwia była zaniepokojona zarówno wieścią o obcych wojskach, jak i perspektywą kolejnego spotkania z Żegotą, który wyraźnie je podejrzewał.

– On chce sprawdzić, co myśmy z wojami zrobili.

– To niech sprawdza. Drogi do jaskini nie zna. Deszcz zmył resztę śladów. A nad tamtymi ziemia przymarza. Dobrze wiesz, że drwale w głębi lasu siedzą, bo wszystkie okoliczne chaty albo spalone, albo opuszczone i splądrowane – zamilkła na chwilę, jakby coś rozważając w duszy, po czym dodała: – Zresztą chybaś mu w oko wpadła. To i dobrze. Może się jeszcze przydać.

– On te oczy we mnie wwiercał, bo się domyślał, żeśmy się wojów pozbyli.

– Młodaś i głupiaś jeszcze. Jam już wiele takich spojrzeń widziała i wierzej, że nie od dochodzenia prawdy one były.

– Samaś gadała, żeby o miłowaniu zapomnieć.

– A kto tu rzeczy o miłowaniu, głupia podwiko. Miłowanie – powtórzyła z przekąsem. – Czy tobie się ono na coś zdało?

Po dwóch dniach znajomy rzemieślnik przyprowadził konie obładowane jukami i workami. Niewiasty część pożywienia schowały w niewielkiej ziemiance, a jagły, mąkę i starte korzenie lebiody oraz sól wysypały do beczek w izbie. Kolejnego dnia stawiał się drwal. Nie był młodzikiem, jak zapowiadał Żegota, ale to i dobrze, bo był doświadczony, znał się na robocie, a przy tym zadziwiał siłą i zwinnością. Wybrał najlepsze na opał drzewa i zabrał się do pracy. Przez kolejne dni je ścinał, usuwał gałęzie, potem rozcinał na kłocce i zaprzęgał konia do zwożenia ich pod chatę. Wiedźmy gościły go nalewkami, piwem i porządnym jadem. Małomówny, jasnowłosy, z nieśmiałością wodził wzrokiem raz za jedną, raz za drugą wiedźmą. Już drugiego dnia Caryczka zaproponowała mu, by nie wracał wieczorem taki kawał drogi, tylko przenocował u niej. Czarnowłosa wiedźma potrafiła się odwzajemnić za ciężką pracę. Biwia miała okazję zobaczyć przedsmak igr wieńczących sabaty, bo właścicielka chaty nie odczuwała żadnego skrępowania jej obecnością. Nawet ją zachęcała do wspólnej zabawy, ale dziewczyna jeszcze nosiła w sercu Jarowara i nie była gotowa do takich uciech.

Skoro drwal nie stawiał się przed zmrokiem u Żegoty, ten na drugi dzień był już u wiedźm, by sprawdzić, co się stało. Uspokojony, obserwował przez chwilę, jak mężczyzna obcina gałęzie powalonych drzew, a Caryczka, siedząc na jednej z kłód, uprzyjemnia mu pracę wesołymi wybuchami śmiechu. Przeszedł się wokół chaty, zaglądnął do ziemianki.

– Głodni jesteście, że tak wężycie? – zaskoczyła go Młoda Wiedma.

– A ugościcie mnie czym dobrym?

– Co wolicie? Serce czarnego kota w polewce z blekotu czy węzowe jęczyczki z liśćmi szaleju? – Zastanawiała się, czy zrozumie żart.

– Tym ugościłyście moich druhów?

– Nie. Oni woleli muchomory i bedłki.

Zaczął się śmiać. Zdziwiona wiedźma uznała, że prawda bywa czasem zabawniejsza.

– A nalewkę jaką macie? Bo zimno dzisiaj.

Po chwili rozgrzany ziołową nalewką zrzucił płaszcz i lisią czapę. Biwia zauważyła u niego szramę, która ciągnęła się gdzieś z klatki piersiowej aż do szyi. Nie miał też serdecznego palca u lewej ręki. Był dużo starszy od niej i właściwie nie postrzegala go jako mężczyzny, z którym mogłoby ją coś łączyć. Nie pociągał jej, ale i ona nie dostrzegala z jego strony jakiegoś szczególnego zainteresowania. Caryczka najwyraźniej mylnie zinterpretowała jego zachowanie. Dużo pytał. Chciał wiedzieć, jak wygląda gród leżący nad Sanem, jak jest obwarowany, jakie osady znajdują się w pobliżu, gdzie leży jej wyspa i którymi drogami dotarła pod Łyse Góry. O sobie mówił niewiele, zdawkowo. Dowiedziała się jedynie, że pochodzi z Wielkich Moraw i że jego żona oraz córka nie żyją. Nie chciał wyznać, jakie wydarzenia sprawiły, że odeszły do Nawii. Szybko zmieniał temat, więc przestała się dopytywać. Kiedy poprosiła go na posiłek, podziękował i odmówił. Zrzucił płaszcz i wyszedł przed chatę. Dzień był już krótki, więc spieszył się, by wrócić do grodu przed nocą. Długo stała, patrząc, jak odjeżdża. Kiedy zniknął jej z oczu, weszła do izby i zobaczyła na ławie jego lisią czapę.

– To znak, że jeszcze tu wróci – stwierdziła, odkładając ją pod ścianę.

Starala się w nocy spać i nie zważać na hałasy Caryczki i drwala. Obudziła się, gdy świtało. W chacie było jeszcze ciemno. Wstała i podeszła do cebra z wodą, by obmyć twarz. Włożyła suknię. Coś jej przeszkadzało, ciążyło, jakby przyczepiło się do szaty. Zaczęła szukać dłońmi po omacku. Trafila na włosie lisiego futra. Zdziwiona pociągnęła je w górę, zadarło jej też suknię. Podeszła do drzwi i otworzyła je, by w rozbłyskującej powoli jutrzence przyjrzeć się temu uważnie. Była to lisia czapa przyczepiona do jej sukni. W rudym futrze bielila się wbita niczym fibula kościana igła.

– Caryczko! – krzyknęła z rozpaczą. – Coś ty zrobiła!

A kysz!



Stał przed chatą z gołą głową. Podbijany futrem płaszcz, przypięty do lameli, nadawał mu dostojęstwa. Wyszła naprzeciw, niosąc lisią czapę. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, zadziwieni swoim widokiem. Chciała go dotknąć, pogłodzić po twarzy, rozprostować w dłoni skręcony pukiel jego włosów. Pragnęła, by wsunął palce w jej kosę, przyciągnął do siebie i wpił się w jej usta. Czula jego zapach i chciała się nim otulić. Podała mu jego własność, a gdy ich dłonie lekko, niby od niechcenia dotknęły się, poczuła mrowienie w opuszkach palców, jej oddech stał się płytki, przyspieszony. Nie wiedziała, co on teraz myśli, ale czuła, że mu się podoba, że wręcz pożera ją wzrokiem. Czar zaczęła działać.

– Mogę czasem u was zagościć, obaczyć, czyście bezpieczne?

– Nie ma takiej potrzeby – odparła wbrew sobie, wbrew własnym pragnieniom. Nie chciała, żeby czary starszej wiedźmy układały jej życie. – Niech was bogi prowadzą i chronią – odwróciła się i weszła do chaty, zamykając drzwi.

– Muszę zdobyć gnatki nietoperza i odczynić zadany czar – mruknęła do siebie.

Chciała odwiedzić Damrokę, przekazać jej, że żyje. Zbliżyły się jesienne Dziady i pragnęła uczcić pamięć zmarłych pochowanych na Ostrowiu. Niestety jej poraniona skóra jeszcze na tyle się nie wygoiła, żeby znieść jad maści czarownic. Ku jej zdziwieniu w wieczór Dziadów Caryczka oświadczyła, że leci na wyspę, by oddać cześć zmarłym i upewnić się, czy duch Winii odpoczywa w spokoju. Obiecała przekazać informację wdowie po Czciworze.

Wykorzystując nieobecność Caryczki, Biwia udała się do jaskini, by poszukać nietoperzy. Pamiętała, jak Wiedma doradzała niegdyś zielonookiej dziewczynie, by wrzuciła do ognia zdechłego nietoperza i nosiła ze sobą jego gnatki. Te w kształcie wideł miały odganiać miłość, a w kształcie grabi – przyciągać. Biwia zdecydowanie potrzebowała tych pierwszych. Wzięła pochodnię i poszła do jaskini. Oświetlała nierówny skalny pułap, aż natknęła się na skupisko śpiących snem zimowym stworzonek. Zwiślały głowami w dół, blisko siebie, cichutko popiskując. Przyglądała się im niezdecydowana. Nietrudno było chwycić teraz żywego nietoperza, bo uśpione nie reagowały nawet na światło pochodni. Żal jej jednak było uśmiercać bezbronne zwierzątko. Zniżyła więc pochodnię i rozglądała się, czy nie leży gdzieś na ziemi martwy.

– Czego szukasz, pani?

Biwia wystraszona uniosła pochodnię. Stało przed nią dwóch półnagich mężczyzn w samych szarawarach. Nie rzucali cienia, ale i bez tego ich rozpoznała. Niedawno dźwigała ich ciała, a potem

przysypywała ziemią. Instynktownie się cofnęła i wysunęła pochodnię do przodu, chcąc się osłonić płomieniem.

– Nam ogień niestraszny. Przeciwnie. Oddałyście całe nasze truchła Matce Ziemi, otwierając drogę do Nawii, ale do Wyraju zamknęłyście wejście. Nie spaliłyście naszych ciał. Teraz będziem błądzić tak przywiązani do ziemi, pod nią albo na niej.

– Zasłużyliśmy aż na taką karę? – spytał drugi.

Dziewczyna zapomniała o nietoperzach. Zakopanie ciał było najlepszym wyjściem, by ukryć zbrodnię, gdyby zrobiły stos pogrzebowy, wszystko by się wydało.

– Wybaczcie nam. Byłyśmy w strachu. Mogęli wam jakoś zadośćuczynić?

– Dziady tej nocy są łaskawe. Aczli rozpalicie ogień na mogile i spalicie w nim nasze odzienie i rynsztunek, puszczą nas do Wyraju.

Przejęta wyszła z jaskini. Wyleciały za nią dwa nietoperze. Zdziwiła się, bo na zewnątrz panował mróz, więc nawet jeśli się wybudziły ze snu, nie powinny tego robić. Udała się pod chatę i zabrała trochę drewna, żeby nie zbierać po ciemku chrustu w lesie. Zaopatrzona w szczapki do rozpalenia ognia i parę polan zatrzymała się w miejscu, gdzie ukryte były ciała wojów. Ułożyła niewielki stos i podpaliła pochodnię. Płomień robił się coraz większy i rozgrzewał zamarznięte runo. Wróciła po więcej drewna, tym razem zносиła spore kłocę, żeby ognisko było duże i nie zagasilo się, gdy wrzuci weń rzeczy należące do zmarłych. W pobliżu przemknęły dwa nietoperze. Udała się znów do jaskini, otworzyła jedną ze skrzyń. Wyjęła odzienie, lamele, nogawice. Zaniósła to wszystko na mogilę i wrzucała systematycznie do ognia. Przy ognisku pojawiły się duchy wojów i przyglądały się, jak płoną ich substytuty. Poszła do chaty i przyniosła w glinianych dwojczkach kaszy jaglanej oraz nalewkę w bukłaku. Nalewką polała skórzaną zbroję i też wrzuciła w ogień. Nie wiedziała, jakich użyć zaklęć, ale pamiętała słowa wypowiedane niegdyś przez Caryczkę podczas ciałopalenia Miłosza. Postanowiła ich użyć.

– Przez żar ognia, przez dymu zasłonę wołajcie: płoną, płoną, płoną.

Duchy zaczęły razem z nią powtarzać ostatnie słowa. Zaklęcia miały magiczną moc, gdyż po chwili dostrzegła mężczyzn w płomieniach. Wtedy przypomniała sobie kolejną formułę.

– A kysz dusze błąkające, lećcie tam, gdzie żarzy Miesiąc, tam, gdzie żarzy Słońce!

Zjawy zszarzały niczym popiół i zlały się w smugę dymu, unosząc wysoko w górę. Zniknęły, został tylko żar ogniska oraz płomień pełgający po drewnie i resztkach skórzanego odzienia. Dziewczyna siedziała zamyślona.

– Jarowarże – szepnęła – las, który cię wychował i był twoim domem, stał się twym stosem ciałopalnym. Nikt nie odmawiał wtedy zaklęć, by ci drogę ułatwić do Wyraju. Uciekałam jak strachliwy zając. Potrzebujeszli czego? Przybieżaj do mnie w to święto, bych mogła ci zadośćuczynić.

Czekała przy ogniu aż do świtu. Znalazła ją tam Caryczka, którą zaniepokoił blask ognia w miejscu ukrywającym zbrodnię. Ze spokojem przyjęła do wiadomości, że ukryte w skrzyniach rzeczy spłonęły na prowizorycznym stosie. Święto Dziadów wprawiło ją w melancholijny nastrój. Uczciła na Ostrowiu córkę, zapaliła z Damroka ognisko, gdzie złożone były popielnice z prochami Wiedmy, Miłosza i Wini. Nie spotkała żadnego z nich, co sprawiło jej ulgę, bowiem oznaczało, że już żadne troski związane z ziemskim życiem ich nie trapią.

Drewno i wrzucone do ognia przedmioty wypaliły się. Żar powoli wygasał. Wpatrzona w palenisko dziewczyna dojrzała dwa niewielkie zwierzęce szkielety. Zdziwiona wygrzebała je patykiem. To były gnatki nietoperzy. Nie miała pojęcia, skąd się tu wzięły. Czy miały jakiś związek z błądzącymi duszami

zmarłych? Kiedy nieco ostygły, wyciągnęła z jednego ze szkieletów kostkę w kształcie wideł. Wyjęła spod sukni kaptoreg i zaczęła ją rozsypywać.

- Co robisz, głupia podwiko? – oburzyła się Caryczka.
- Chcę odpędzić precz czar, który nam zadałaś.
- Widły oganiają też szczęście, a grabki przyciągają. Tego chcesz?

Biwia spojrzała nieufnie. Nie była pewna, czy czarownica łże, żeby utrzymać moc swego czaru, czy mówi prawdę.

– Trochę bieldzranu, trochę mięty i weźmiesz żądze w okowy, a gnatki zetrzemy na proch, bo przy nich lubczyk jest jak mucha przy jaskółce.

– Gdzie nie wlezie jaskółka, mucha się dostanie – odparowała i wciąż zaciskała palce na wybranej z żaru kości.

– Jak chcesz! – fuknęła starsza. – Gdybym ci źle życzyła, tobym rozprawiała tej nocy z Winią – wstała obrażona i ruszyła w stronę chaty.

Dziewczyna zebrała wszystkie kostki i podążyła za nią.

– Z jednego nietoperza zetrzesz gnatki na proch, tylko ani mnie, ani Żegocie go nie zadaj. A z drugiego będą leżeć w chacie. Użyję, gdy zajdzie potrzeba.

Zima nie jest dobrą porą, by podejmować ważne działania. Dotyczy to zarówno zbrojnych przedsięwzięć, jak i miłosnych. Młodą Wiedmę prześladowały sny o Żegocie, w różnych sytuacjach przypominała sobie jego postać, twarz, spojrzenie, a nawet zapach. Wiedziała, że i on o niej marzy i pragnie ją zobaczyć. Nie zdziwiła się zatem, gdy pierwszego dnia Szczodrych Godów pojawił się pod chatą, trzymając dorodną jemiołę. Nie przybył sam. Towarzyszył mu drwał, który jesienią ścinał i zwoził dla wiedźm drewno. Ten znów trzymał gałąź jodły.

– Szczodrak²⁴ mam dla was. Zerwany w najkrótszy dzień goda, nieskażony tknieniem ziemi daje szczęście, dostatek, chroni od złego – ozwał się Żegota.

– A ja podłaźniczkę dla was ściałem – drwał pochwalił się jodłową gałęzią.

– Niechaj nam sprzyja młody Dadźbóg, który się odradza – uśmiechnęła się Biwia i wpuściła gości do środka.

Caryczka właśnie szykowała kutię, przysmak żywych i zmarłych. Wyczekiwała wprawdzie tylko tych drugich, ale przyjęła życzliwie przybyłych. Zrzucili futra i zaczęli zawieszac przyniesione dary. Młoda Wiedma tymczasem rozsypywała na stole i wokół niego siano i zboże, żeby wróżyły dobry urodzaj i powodzenie. Żegota wyjął z tobołka piwo oraz suszone ryby. Zasiadli do świątecznej uczt. Jedli też grzyby, groch, kutię.

Biwia i woj siedzieli naprzeciw siebie. On, niczym szykujące się do ataku zwierzę, czujnie obserwował każdy jej gest, grymas twarzy. Czubkiem języka zwilżyła spierzchnięte od mrozów wargi. Nie uszło to jego uwadze. Westchnął, powoli wypuszczając powietrze. Znów zwilżyła usta. Żegota poruszył się niespokojnie. Spojrzała mu w oczy. Wytrzymał spojrzenie. Teraz ona poczuła się nieswojo, odwróciła głowę, niby słuchając, co drwał ma do powiedzenia. Nie patrzyła na woja, ale wyczuwała każdy jego ruch, słyszała oddech, wdychała zapach. Wiedziała, że ją obserwuje. Z ulgą przyjęła propozycję Caryczki, żeby coś zaśpiewać. Drwał oświadczył, że będzie przygrywał na fujarce. Biwia poderwała się i stanęła za plecami Żegoty. Teraz było jej łatwiej. Wkrótce włączyła się w pieśń o zwycięstwie dnia nad nocą. Woj też śpiewał, choć półgłosem, niepewnie. Gdy przeszli do pieśni o umieraniu i odradzaniu się, wiedźmy przepełnionymi łzami oczyma wpatrywały się w puste miejsce przy stole, gdzie na chwilę zamajaczyły postacie Winii, Miłosa, potem Wiedmy, aż wreszcie

Jarowara. Duchy nie rozmawiały z nimi, właściwie tylko naznaczyły swą obecność, przywołane wspomnieniami i miłością uczujących. Przebywając już w innym świecie, nie miały potrzeby nawiązywać kontaktu. Na końcu czarownice ujrzały nieznaną niewiastę w białym zawoju z ciemną myszką na lewym policzku. Nie była iluminacją wspomnień wiedźm, była duchem, który wcale nie zniknął. Wpatrywała się w Żegotę z wyrazem jakiejś pretensji, jakiegoś oczekiwania.

– Żegoto – Młoda Wiedma przerwała śpiewy – kim była niewiasta z myszką na jagodzie²⁵?

Mężczyzna umilkł, uśmiech zniknął z jego twarzy. Powiódł wzrokiem w miejsce, w które wpatrywała się Biwia, ale nic nie zobaczył.

– Nikim ważnym. Skąd o niej wiesz?

– Bo jest tu z nami – dodała Caryczka.

Żegota poderwał się. Drwał zbladł. Rozglądali się po chacie, nie dostrzegali jednak niczego dziwnego.

– Po co? Czego chce?

– Nie mówi do nas – odparła Biwia, wciąż przyglądając się zjawie. – Ale widzi mi się, że żal jakowś ma do ciebie.

– To przegońcie ją. A kysz! A kysz! – mówił zbielełymi wargami.

– W Szczodre Gody gości się nie tylko żywych, ale i zmarłych. Prędzej was stąd przegoń – zezłościła się Caryczka i otworzyła z zamachem drzwi, przesadnie kłaniając się na pożegnanie.

Zdezorientowani i nieco skonfundowani mężczyźni ubrali wierzchnie stroje i lekko odkłaniając się stojącej u wrót Caryczce, wyszli. Wraz z ich odejściem zniknęła też zjawa. Kolejne dni Szczodrych Godów niewiasty świętowały same.

²⁴ Szczodrak – prezent z okazji Szczodrych Godów..

²⁵ Jagoda – policzek.

Sabat



P uszyste kotki na leszczynie, śnieżyczki i przylaszczki radośnie przywoływały wiosnę. Ludzie czynili to samo, wyrysowując na drzwiach lub ścianach domostw znaki solarne. I rzeczywiście Słońce coraz chętniej przyświecało, dzień się wydłużał. Zbliżała się równonoc wiosenna, a Księżyc był już okrągły niczym korowaj weselny. Dwie wiedźmy, jedna o kruczych, druga o pszenicznych włosach, mieszały z uwagą maść czarownic. Miał to być pierwszy sabat Młodej Wiedmy. Caryczka uznała, że jej podopieczna jest już gotowa, by w pełni świadomie uczestniczyć w spotkaniu z innymi czarownicami. Wprawdzie one już ją znały i przywitały podczas inicjacji w jaskini nieopodal Ostrowia, ale dla niej to było raczej fantasmagoryczne wspomnienie. Jedynie podarowana przez nie, ozdobiona wstążeczkami, piórami i kamykami wełniana narzutka, którą Caryczka zabrała z Ostrowia podczas Dziadów, przekonywała dziewczynę, że wiedźmy rzeczywiście były i wspierały ją w tym przełomowym momencie.

Pierwszy raz od wielu miesięcy Młoda Wiedma nacierała smolistą maścią ciało. Czula znajome gorąco przenikające skórę, serce coraz bardziej przyspieszało, a za nim oddech. Zaczynała ją rozpierać energia, pragnienie ruchu, tańca, lotu. Zarzuciła pelerynę i spięła fibulą. Była gotowa. Caryczka również. Wyszły przed chatę. Rozgrzane maścią ciała nie czuły chłodu brzeźniowej²⁶ nocy. Czarownice rozpostarli ramiona. Pierwsza wzniosła się kruczowłosa, gubiąc sokole pióra, za nią podążyła Młoda Wiedma. Łysa Góra, święta góra, która pomogła uzdrowić Biwię, czekała na nie.

Przeleciały nad lasem i uśpionymi jeszcze zimowym snem polami. Zaczęły się wznosić w stronę szczytu, mijając gołoborza i kamienny wał, który był dobrze widoczny dzięki łunie bijącej od ogromnego ogniska. Przy kamiennym ołtarzu stało kilka postaci. Wylądowały tuż obok. Były tam same niewiasty. Wszystkie miały rozpuszczone włosy, a ich nagie ciała okrywały peleryny o różnych barwach i fantastycznych ozdobach. Kobiety podeszły tłumnie, chcąc przywitać „siostry”. Były w różnym wieku.

Najpierw na powitanie ucałowała Biwię niewiasta o włosach niczym świeży śnieg i twarzy dojrzałej, ale gładkiej, pozbawionej jakichkolwiek zmarszczek. Na szyi zamiast kaptorgi miała zawieszoną srebrzystą lunulę. Potem podeszła dziewczyna o włosach barwy płonącego opodal ognia. Bursztynowy naszyjnik przylegał jej mocno do szyi, mieniąc się równie ognistym blaskiem. Następna miała włosy przyprószone siwizną jak pióra sroki i rzeczywiście lotki tego ptaka ozdabiała czółko oraz zausznicze niewiasty. Kolejna, z diademem połyskującym w falujących lokach i skórą węża na szyi oraz przegubach rąk, spoglądała nań władczo, ale przyjaźnie. Jedna z nich była przygarbiona i pomarszczona niczym popękana ziemia. Inna znów młodziutka, jasnowłosa, o modrych oczach. Miała zawieszoną na

szyi okrągłą, przypominającą pierścień nawęzę z czarnego kamienia. Młoda czarownica bardzo serdecznie uściskała nowo przybyłą. Równie egzaltowanie przywitała się pulchna, czarnowłosa wiedźma z niezwykle ujmującym uśmiechem. Czarownice znały jej imię, same też się przedstawiały, ale nie sposób było wszystkich zapamiętać. Potem nadleciały dwie kolejne. Podeszły do Biwii. Były identyczne, miały ciemne, kręcone loki i połyskliwe czarne kaptorgi zawieszane na równie ciemnych rzemieniach. Po chwili podbiegła niewysoka brązowowłosa, ledwie musnęła policzek Młodej Wiedmy i nie przedstawiwszy się nawet, pomknęła dalej. Dystygowanie ukloniła się kędzierzawa, której twarz i policzki pokryte były licznymi piegami. Jej peleryna była uszyta z jakiegoś połyskliwego, nieznanego Biwii materiału. Potem powoli, dostojaśnie podeszła wysoka szatynka, której włosy rozlewały się na narzutce niczym drugi płaszcz. Każda wiedźma witała się również z Caryczką, ostatnia czarownica jednak tego nie uczyniła. Spojrzała wyniośle na nauczycielkę Młodej Wiedmy.

– Posyła mnie Kościej. Zakazuje ci uczestniczyć w sabacie.

– Przyproceedziłam nową wiedzmę, mam prawo przewoedzenia temu sabatowi – obruszyła się Caryczka.

– Prawo czarownic mówi: Rób, co chcesz, ale nie szkodź innym. A ty odebrałaś ludziom życie.

– Nie mogłam postąpić inaczej. Młoda Wiedma może poświadczyć.

Spojrzała niepewnie na Biwię. Ta, przestraszona zaskakującą sytuacją, skinieniem głowy potwierdziła prawdziwość słów Caryczki.

– Kościej uznał, że nie dałaś dobrego przykładu swej uczennicy.

– Wy też często szkodzicie ludziom i jesteście tutaj.

– To nie nasza decyzja, tylko Kościeja. My też podlegamy jego osądowi i ponosimy kary.

W następnym sabacie już możesz uczestniczyć.

Długowłosa wiedźma odwróciła się, kończąc tym samym rozmowę.

Rozzłoszczona Caryczka rozejrzała się. Pozostałe czarownice spoglądały na nią ze współczuciem, ale żadna nie śmiała się przeciwstawić demonowi, który bywał nieraz bardzo surowy.

– Baw się dobrze. Do zobaczenia o świcie – zawołała do Biwii rozżalona, zatrzepotała rozpostartą peleryną i wzniosła się, odlatując niczym sokół.

Młoda Wiedma została sama z nieznanymi niewiastami. Podbiegły jednak do niej pulchna czarownica wraz z jasnowłosą, które wcześniej tak serdecznie ją powitały. Chwyciły ją za dłonie i zaprowadziły na posiłek. Na pledach leżały wiklinowe kosze pełne różnych przysmaków. Przewodnicząca sabatowi długowłosa wiedźma zaczęła wrzucać do ognia przygotowane na kamiennym ołtarzu zioła, których zapach odurzał i rozweselał. Młode czarownice opowiadały nowicjusze, która wiedźma skąd jest i jaką ma moc. Dowiedziała się więc, że ta z węzowymi ozdobami zawaładnęła królem węży i otrzymała dar rozumienia mowy zwierząt. Wiedźma z piórami sroki czyta przyszłość z lotu ptaków. Do rudej mówią płomienie oraz Dadźbóg swymi barwami, gdy zachodzi za horyzont. Ta w niespotykanej szacie pochodzi z bogatego rodu i zna wiele języków. Brązowowłosa, która nigdzie nie potrafi zatrzymać się na dłużej, zaprzyjaźniona jest z chmurnikami i latawcami. Służy jako kapłanka Strzybogowi. Ta z lunulą ma niezwykłą moc, może bez trudu zakląć każdą istotę żywą, może obdarzyć ją płodnością albo sprawić, że stanie się jałowa niczym piach.

Młoda Wiedma była zaskoczona i pełna podziwu dla umiejętności czarownic. Pomyślała, że gdyby od każdej z nich czegoś się nauczyła, to może zdołałaby wypędzić biesa z ciała i duszy Bartusa. Jednak czy wiedźmy zgodziłyby się ją uczyć? I ile lat trwałaby taka nauka?

– Nie nabędziesz takich samych mocy jak one, ale zawsze możesz poprosić je o pomoc, gdy zajdzie potrzeba.

Spojrzała zdziwiona na ciemnowłosą, pulchną dziewczynę. Ta uśmiechnęła się szeroko.

– To mój dar i przekleństwo. Słyszę myśli innych.

– Przekleństwo?

– Wiesz, jaki mam hałas w głowie? Prawie nigdy nie ustaje. Muszę żyć w samotności, żeby choć trochę odpocząć.

– A ty? Jaki masz dar? – spytała jasnowłosej.

Ta wyciągnęła dłonie. Młoda Wiedma ujrzała emanującą z nich niezwykle intensywną, czerwono-pomarańczową aurę.

– Masz uzdrawiające ręce – szepnęła zachwycona.

Czuła się przy tych wszystkich wiedźmach niepozorna i wręcz bezwartościowa. Cóż znaczyły jej wizje, nad którymi wciąż usilnie uczyła się zapanować, wobec tylu innych zdolności. Poznała trochę ziół, lecz to cecha każdej czarownicy. Widziała aurę zdrowych i chorych, ale to nic w porównaniu z umiejętnością przekazywania jej innym. Smutne rozmyślenia przerwała główna kapłanka sabatu. Wezwała ją do siebie. Pozostałe wiedźmy zrzuciły narzutki i nagie stanęły w kręgu. Młoda Wiedma podeszła nieśmiało. Kapłanka też zrzuciła pelerynę, lecz jej niezwykle długie włosy nadal okrywały ramiona i plecy. Odwróciła się do dziewczyny, rozpięła jej fibulę i płaszcz nowicjuszki opadł. Widok nagiego ciała Biwii wywołał poruszenie. Onieśmielona rozejrzała się. Wszystkie spoglądały na nią, coś pokazując i komentując. Taki wzmógł się gwar, że nie mogła zrozumieć, o czym one mówią. Przypomniała sobie, jak przed chwilą pulchna Musza skarżyła się na hałas w głowie. Jeśli to tak właśnie wygląda, jak teraz, to rzeczywiście ten dar jest przekleństwem.

– Oto Młoda Wiedma! – zawołała kapłanka. – Wybrana iznaczona przez samego Peruna!

– Chwała Perunowi, władcy burz i piorunów! – zawołała inna z kręgu. Pozostałe zaczęły jej wtórować. Dziewczyna uświadomiła sobie, że to drzewko z żyłek, które miała na plecach, wyrysowane przez Gromowładnego pod jej skórą, wywołało takie poruszenie.

– Czas przywołać Peruna! Niech zapłodni Matkę Ziemię podczas pierwszej wiosennej burzy!

Niewiasty zaczęły śpiewać pieśń na cześć boga dającego urodzaj. Wyklaskiwały rytm i tańczyły. Biwia dołączyła do nich. Wkrótce dała się ponieść magii pieśni, rytmu, odurzającego dymu. Nie przeszkadzała już jej nagość, minął wstyd, minęły kompleksy. Bawiła się i cieszyła z innymi. Kobiety śpiewały o Marzannie, o Dziewannie. Nie brakło też pieśni ku czci Miesiąca, który przyświecał im w pełni. Kiedy przeszły do mniej obyczajnych piosenek o starym i młodym Jaryle, co chwila któraś biegła po swoją narzutkę i odlatywała.

– Lecą zaspokoić swe żądze – usłyszała odpowiedź na niezadane pytanie. Obejrzała się. Musza uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Na ciebie też czas. Nie zwlekaj! – zawołała do Biwii i zaczęła się rozglądać za własną peleryną.

Młoda Wiedma podeszła do ozdobnego, wełnianego płaszcza i podniosła go. Jej ciało płonęło niespotykanym żarem. Teraz żadne napary ani przekora wobec Caryczki nie byłyby w stanie jej powstrzymać. Zrzuciła pelerynę, rozpostarła ręce, narzutka załopotała niczym skrzydła ptaka. Zanim zdążyła się zastanowić, co robi, była już na żmigrodzkim majdanie. Nie wiedziała, gdzie szukać Żegoty, ale bląkający się duch niewiasty z myszką na policzku był dobrym drogowskazem. Otworzyła drzwi niewielkiej chaty. Skrzypnęły. Żegota poderwał się, w rękę trzymał topór. O dziwo nikogo więcej nie było w środku domostwa, możliwe, że współmieszkańcy stali gdzieś na warcie albo zostali posłani, by zasięgnąć języka. Poznał ją, bo odrzucił broń. Rozpięła płaszcz. Spłynął po jej ciele, łagodnie muskając rozpaloną skórę. Stała przed nim naga i spoglądała wyzywająco. Westchnął głęboko. Nie zapytał o nic. Zerwał z siebie jednym szarpnięciem giezło. Fragment blizny, którą widziała niegdyś na jego szyi,

znalazł swą kontynuację w nierównym ściegu w poprzek klatki piersiowej. Lewy bok pokryty był czerwono-sinymi bruzdami. Wyglądał jak po oparzeniu. Delikatnie dotknęła blizn. Chwycił jej rękę i unieruchamiając obydwie za jej plecami, przywarł w namiętym, zaborczym pocałunku. Nie chciała być powolna. Rozpierała ją energia skumulowana przez doznania na sabacie. Ugryzła go w wargę. Odsunął się nieco zaskoczony, ale nie puścił. Poglaskał jej pszeniczne włosy. Szarpnęła się. Zrozumiał, że nie podoba jej się ten gest. Naprawił swój błąd, zniewalając ją zdecydowanym pociągnięciem za włosy. Znów wpił się w jej usta. Poddała się, ale tylko na chwilę. Uwolniona dłoń powędrowała na jego kark. Kiedy trzymał w zębach jej język, odpłaciła mu się pięcioma krwawymi szramami na plecach. Była niczym dzika kotka zmagająca się ze żbikiem. Obydwoje drapieśni i spragnieni siebie. Namiętna gra miłosna przypominała walkę o dominację. Jedno i drugie nie ustępowało. W końcu, przytłoczony jej pożądaniem, poddał się. Delikatne, kobiece ciało pochylało się nad nim, dyktując warunki namiętym zmaganiom. Na pożegnanie lekko ugryzła go w ucho. Uśmiechnął się nieznacznie. Podniosła narzutkę, skrzypnęła drzwiami i zniknęła mu sprzed oczu. Spieszyła się, bo świt był tuż-tuż.

Walka o Żmigród



Zerwała się przestraszona. Wokół panował jeszcze mrok. Siedziała, ale jej oddech był przyspieszony jak po ogromnym wysiłku. Próbowwała opanować drżenie rąk i nóg. Nie miała siły się podnieść. Chciała otrząsnąć się z wizji, która wciąż tkwiła w jej głowie. Powoli na klęczkach posuwała się w stronę cebra z wodą. Napiła się, ochlapała twarz.

– Ujrzałaś co? – ziewnęła przebudzona hałasem Caryczka.

– Madjarowie ruszyli na Żmigród.

Starsza wiedźma westchnęła i obróciła się na drugi bok. Biwia zaczęła analizować to, co przed chwilą zobaczyła. Wąsaci, uzbrojeni wojowie w hełmach ozdobionych jednym lub dwoma sokolimi piórami, lekko wypukłe, okrągłe tarcze i totem przedstawiający drapieżnego ptaka z rozpostartymi skrzydłami i rozdziawionym w niemym krzyku dziobem. To muszą być oni. Madjarowie. Nigdy dotąd nie widziała tak odzianych wojów ani takich znaków jak ów totem.

Zaczęła się ubierać, spakowała do worka trochę ziół, czystego płótna, żelazną igłę oraz nici. Przy pasku jak zawsze miała przytroczonego kozika od Miłosza, sakiewkę z mandragorą, drugą z krzesiwami, trzecią z drewnianym naczynkiem, ukrywającym zabójczą maść z tojadu.

– Idę ostrzec Żegotę. Ci Madjarowie mają w sobie żądzę krwi.

Starsza wiedźma poruszyła się na posłaniu, ale nie odezwała się.

– Z nimi jest ptak, który ma moc. Żaden człowiek go nie pokona. Caryczko, zrób krąg i spróbuj wezwać żmija, może cię usłucha.

Czarnowłosa wiedźma westchnęła. Biwia odczytała to jako zgodę, przynajmniej taką miała nadzieję. Przewiesiła tobolek i wyszła, cicho domykając za sobą drzwi.

Wschodzące Słońce powitała codzienną agmą, którą śpiewała, wędrując przez las. Wtórował jej niespokojnym gruchotem gołąb, niesiony w wiklinowej klatce. Żmigród, królujący na wzniesieniu, radował oko drewnianymi budowlami. Weszła na majdan i rozejrzała się. Gród był jeszcze uspijony. Zatrzymali ją wojowie stojący na warcie. Poprosiła, by wezwali Żegotę, gdyż ma coś ważnego do przekazania. Wartownik, zmęczony nocną wartą, nie był zadowolony i nie miał zbytniej ochoty spełniać tej prośby. Drugi uczestniczył niegdyś w poszukiwaniu zaginionych wojów, więc poznał Młodą Wiedmę. Wiedząc, że to czarownica i że zna dowódcę, ruszył szybkim krokiem, by go obudzić.

Wrócił biegiem, wskazał chatę, prosząc, by jak najprędzej się tam udała. Żegota czekał na nią przed drzwiami. Stał ze skrzyżowanymi rękami i z zaciekawieniem obserwował. Gdy była już blisko, zauważyła, że jest wyraźnie rozbawiony.

– W tamtym odzieniu było ci lepiej.

Przeszła obok niego, kierując się wprost do chaty. Pod nosem wymamrotała zaklęcie. Usłyszała, jak się potknął i zaklął siarczyście. Uśmiechnęła się do siebie. Co jak co, ale w takich sprawach nauki Caryczki były nieocenione.

Zdziwiony rozejrzał się, nie pojmując, dlaczego stracił na moment równowagę. W końcu wszedł za nią i zamknął drzwi.

– Trza było nocą zagościć, jak kiedyś, bo teraz za dnia...

– Madjarowie ruszyli – przerwała mu.

Zaskoczyła go. Szybko zrozumiał, że cel jej wizyty jest inny niż przypuszczał. Natychmiast dostosował się do sytuacji. Zapiął na tunice pas, wskazał jej miejsce na ławie, by spoczęła, sam usiadł naprzeciw.

– Skąd wiesz?

– Miałam wizję. Idą. Widziałam ich hełmy z piórami w żarze zachodzącego Słońca. Jest z nimi wielki ptak, coś jak raróg albo olbrzymi sokół.

Przyjrzał się jej uważnie. Nie był przyzwyczajony do korzystania z takiego rodzaju informacji. Brzmiało to jednak dość wiarygodnie.

– Hm. To byłoby możliwe. Dzień drogi stąd mają swoje obwarowania. Włodzisław musiał jechać do Wiślicy, wszystko spada na mnie.

Poderwał się. Zawołał kogoś i rozkazał dąć w róg. Z pośpiechem zakładał i zapinał lamełę. Wyciągnął karwasze i błyszczący, stożkowaty szłom.

– Ostań tu. Niebezpiecznie teraz samej wracać. Przyślę tu Stańka. Będzie cię strzegł.

Na majdanie robiło się tłumno. Wojowie ustawiali się w gotowości bojowej. Żegota wyszedł. Rzucił jakiś rozkaz i czterech jeźdźców pogalopowało w stronę traktu. Zaczął rozdzielać zadania. Rozstawiał łuczników, konnych oraz piechotę. Większość obrońców posłał na wzniesione jesienią wały.

Dziewczyna tymczasem poszukiwała drewna na opał. Rozpałała ogień w ulepionym z kamieni i gliny piecyku. Nie miała jednak w czym zagotować wody. Stańko, młody woj odziany w tunikę i przeszywanicę, przybiegł zadeklarować swą pomoc. Poprosiła o garnce, żeby przyrządzić napary i odwary, które mogą się przydać po stoczonym bitwie. Wkrótce przytargał trzy słusznej wielkości gliniane naczynia i parę mniejszych. Po południu wszystkie lecznicze mikstury były już gotowe. W jednym z garnców wrzała woda. Kotłowały się w niej nici, a o dno obijała się żelazna igła.

Zakreśliła nożem na klepisku koło. Kamienie, które otrzymała od Caryczki, ułożyła w znak. Wrzuciła zioła do ognia. Chatę wypełnił dym o specyficznej woni. Skupiona rozpoczęła zawodzące, monotonne zaklinanie. Gdy poczuła wstępującą w nią moc, zaczęła wykorzystywać ją do przywoływania pomocy. Przerazał ją drapieżny ptak, którego totem ujrzała w swojej wizji. Przeczuwała, że ma on jakąś potężną, pierwotną moc. Takiemu przeciwstawić się może tylko istota o równie magicznej sile.

Do chaty wszedł Stańko. Chciał zostawić dziewczynie długi sztylet do obrony. Ona jednak spoglądała gdzieś w dal poza ściany chaty, poza gród i śpiewała zaklęcia. Nie śmiał jej przerywać. Zafascynowany przyglądał się urokliwej wiedźmie odprawiającej czary. Jednak rozchodzący się po chacie aromatyczny dym nie pozwalał dłużej pozostawać w izbie. Czując coraz silniejsze zawroty głowy, położył sztylet na stole i wyszedł.

Zwiadowcy tymczasem potwierdzili informację przyniesioną przez wiedźmę o świcie. Łucznicy zajęli pozycje. Mieszkańcy Żmigrodu również zaangażowali się w obronę, bo choć byli pod obcymi rządami, woleli składać daninę kneziowi Wiślanii, niż pozwolić, by odebrał im życie dziki, koczowniczy lud, którego mowy nikt nie rozumiał.

Konni w pełnym rynsztunku ruszyli naprzeciw oddziałowi wroga, nie chcąc, by zanedo zbliżył się do grodu. Żegota miał świadomość, że skoro bez większego trudu udało mu się z Włodzisławem zdobyć Żmigród, to równie łatwo mogą go opanować bezwzględni, zaprawieni w bojach Madjarowie.

Tymczasem Młoda Wiedma nie opuszczała kręgu, skupiona na zaklinaniu i przywoływaniu mocy. Nie opuszczała go, gdy do grodu powróciła zaledwie garstka jeźdźców. Nie opuszczała, gdy posypał się grad strzał w kierunku zbliżającego się wroga. Nie opuszczała nawet wtedy, gdy na usypanych wałach ginęli z rąk Madjarów wojowie i mieszkańcy Żmigrodu. Opuściła krąg dopiero, gdy usłyszała przenikliwy, głośny pisk, który zawibrował w powietrzu. Dźwięk rozpraszał myśli, osłabiał wolę, przenikał do samej duszy, budząc jakiś irracjonalny strach. Widocznie nie tylko ona odczuła jego moc. Wizg koni, które przestały słuchać jeźdźców, krzyki ludzi, ogólny popłoch świadczyły o tym, że wibrujący dźwięk działał na wszystkich. Młoda Wiedma wyszła przed chatę. W powietrzu zaświszczało i ogromne cielsko przeleciało tuż nad jej głową. Żmij zgrabnie i miękko wylądował przed grodem. Znów wydał z siebie przeraźliwy pisk i rozpostarł imponujące, błoniaste skrzydła. W jego paszczy drgał rozwidlony, jaszczurczy język. Łypnął ślepiami, wrzecionowate źrenice zwężyły się. Pochylił trójkątny, pokryty rogowymi łuskami łeb i ruszył na atakujących gród. Roztrzącał ich jak szmaciane kukielki, niektórych chwycił w paszczę i odrzucał daleko poza wał. Odważniejsi, lepiej uzbrojeni próbowali się z nim zmierzyć, nacierając nań długimi, ostrymi kopiami. Jednak wszystkie łamały się na pancernej skórze. Nie można było w jego cielsko wrzucić ani kopii, ani miecza. Topory wręcz tępiły się na rogowych płytkach, pokrywających ciało żmija.

Właściwie nie był aż tak duży, wielkości zaledwie dwóch dorodnych koni, ale pancerne ciało pozwalało mu bezkarnie obracać się pośród uzbrojonych, atakujących go wojów. Najskuteczniejszą jednak bronią żmija był wibrujący wizg, który wręcz odbierał świadomość ludziom i zwierzętom.

Główna siła natarcia została zatrzymana. Najeźdźcy rozproszyli się i zaczęli wycofywać. Niedobitki obrońców ruszyły za nimi. Totem turula – mitycznego ptaka Madjarów – rozprysł w paszczy żmija.

Zaczęto przynosić lub zwozić rannych. Stańko kierował wszystkich do chaty, gdzie czekała na nich Młoda Wiedma. Podawała im znieczulające napary, przemywała rany. Gdy płyty mięsa i skóry zanedo się rozchodziły, zszywała je żelazną igłą z nawleczonej nicią. Inne, zanedo krwawiące, przyżegała żagwiami. Zaklinała, odczyniała, przykładła zioła, obwijała rany płóciennymi szmatkami.

Dwóch wojów wniosło Żegotę. Położyli go na stole. Na ziemię potoczył się zgnieciony szłom dowódcy. Ranny trzymał kurczowo okrwawione brunatną posoką udo, z którego wystawał kikut strzały. Biwia postanowiła przyjrzeć się ranie. Przeplotła guzy przez skórzaną pętelkę przy cholewie i ostrożnie zdjęła wojskowy but. Pomagając sobie kozikiem, rozerwała szarawary. Grot strzały najwyraźniej ześlizgnął się po kości, ale tkwił głęboko. Podała Żegocie znieczulający napar, włożyła między zęby skórzany pasek, uniosła i unieruchomiła zranioną nogę. Zawołała Stańka. Chłopiec wiedział, co robić, bo strzały w ciele to nie pierwszozna dla wojów. Szybkim, zdecydowanym ruchem wbił kikut strzały mocniej w ciało, tak, by grot przebił pozostałą tkankę i skórę po drugiej stronie uda. Dowódca krzyknął, gryząc rozpaczliwie pasek. Grot wysunął się z drugiej strony nogi, ciągnąc za sobą strugę świeżej krwi. Teraz czekało Żegotę jeszcze przypalenie rany, żeby zatamować krew i odkazić oczyszczającym ogniem. Po bolesnym zabiegu ranny zapadł w płytki, niespokojny sen. Dziewczyna doglądała go, podobnie jak pozostałych.

Stańko przyniósł nocą wieść, że najeźdźcy odstępili od Żmigrodu. Utrudzona opieką nad rannymi nie mogła zasnąć. O poranku wyszła na spacer. Przed jaskinią u stóp wzgórze, na którym wybudowano gród, stała grupa ludzi z kurami, kaczkami, gołębiami. Jakaś kobiecina ciągnęła na sznurku zapierającą się wszystkimi czterema raczkami kozę. Chcieli złożyć żmijowi dziękczynną żertwę. Ten jednak nie

wyszedł im naprzeciw, jak to dawniej miał w zwyczaju. Mężczyźni i kobiety naradzali się. Nie wiedzieli, czy żmij znów ich opuścił, czy poleciał prześladować wrogów, czy też powrócił tam, gdzie się ostatnimi czasami ukrywał.

Przysłuchiwała się przez chwilę rozmowom zebranych. Nie mogła służyć im radą, nie miała pojęcia, gdzie się podział żmij, zbytnio była zaabsorbowana opieką nad rannymi. Nie spieszyła się do chaty nasyconej zapachem krwi i potu. Potrzebowała chwili wytchnienia. Wiosenne Słońce powoli ogrzewało świat. Chciała się położyć na trawie, ale ziemia była jeszcze wilgotna po zimowych roztopach. Usiadła więc na szerokim kamieniu niedaleko jaskini. Rozmowy ludzi powoli rozplywały się w ciepłe wiosennego dnia.

Obudził ją przed wieczorem dudniący łopot błoniastych skrzydeł. Żmij delikatnie opadł na wydeptaną przed jaskinią ziemię. Na jego grzbiecie siedziała Caryczka. Trzymała w rękach zawiniątko. Gadzina pochyliła łeb i wiedźma ostrożnie zsunęła się, nie puszczając trzymanego z troską bagażu. Biwia podbiegła uradowana. Jednak jej nagłe pojawienie się w pobliżu zaskoczyło bestię. Wydała z siebie taki sam wizg jak podczas walki i stanęła pomiędzy dziewczyną a kobietą z zawiniątkiem.

– To swoja – wyjaśniła Caryczka. – Też cię wzywała.

Żmij łypnął na dziewczynę, przechylając ze zdumieniem rogowy łeb. Odstąpił na bok. Biwia powoli zbliżyła się do swej nauczycielki, trzymającej kurczowo becik. Znajdowała się w nim istota podobna do ludzkiego dziecka, tyle że zamiast włosów miała rogowe łuski. Pocierała zaspane oczka o wrzcionowatych żenicach rączką zakończoną szponiastymi pazurkami.

– Ma w sobie siłę i waleczność żmija oraz rozum i serce człowieka. Jest wyjątkowy – starsza wiedźma spojrzała na dziecię z nieukrywaniem zachwytem. Żmij, słysząc tę pochwałę, z dumą rozpostarł nietoperze skrzydła i z czułością polizał główkę niemowlęcia wilgotnym, rozdwojonym jęzorem.

Przeraźliwy wizg na widok Biwii dotarł do uszu mieszkańców grodu, którzy biegli w stronę jaskini powitać obrońcę i ubłagać, by pozostał z nimi. Caryczka poczekała, aż zbierze się gromada. Poniosła żmijowe dziecię i pokazała zebrany.

– Żmij ostanie z wami i będzie strzegł waszego grodu jak drzewiej, ale musicie w zamian pomóc mu wykarmić i wychować czędo. Wybierzcie spośród siebie niewiastę, która będzie miała o nie staranie.

– A co się stało z matką? – zapytał ciekawski rzemieślnik w zniszczonym skórzanym fartuchu.

Oczy żmija zwięzły się i zabłysły niczym dwa sztylety. Zasyczał ostrzegawczo, pochylając łeb jak wtedy, gdy atakował wrogów. Ludzie cofnęli się przerażeni. Caryczka jednak zachowała zimną krew.

– Życie z niej uszło, bo je przekazała temu oto synowi.

– To była córka bednarza. Parewka. Mogła głupia pomyśleć, jak w nią to życie wchodziło – zadrwił młodzian, w podobnym skórzanym fartuchu co ciekawski rzemieślnik, prawdopodobnie jego czeladnik.

Nikt nie zdążył się roześmiać ani nawet zgromić żartownisia. Wszyscy z przerażeniem spoglądali na tryskającą krew z rozdartego gardła czeladnika. Młody mężczyzna rzucał się w konwulsjach, mimo że jego klatkę piersiową dociskała do ziemi szponiasta łapa żmija. Ludzie w pokornych ukłonach zostawiali przed jaskinią ptactwo przyniesione w ofierze. Spoglądając jeden na drugiego, powoli, tyłem wycofywali się w stronę grodu. Została tylko starsza niewiasta ze swoją upartą kozą.

– Weźcie kozuchnę dla częda. Daje dużo mleka. Dobrego, tłusciutkiego. Dziaćki na nim powyrastały na schwał.

– Przecie ja jej doić nie będę – Caryczka była wyraźnie poirytowana. – Czędo potrzebuje niańki.

– Wykolebałam wiewa dzieciątek, cóż mi szkodzi jeszcze o jedno mieć staranie. Ale pozwólcie zabrać

truchło głupiego Jaśka na ciałałalenie. On to z zazdrości rzekł, bo go żal i złość toczyły, że Parewka go nie chciała.

Zawstydzony swą porywcznością żmij zabrał łapę z martwego już ciała i odsunął się. Caryczka, niewzruszona tym, co się przed chwilą wydarzyło, podeszła do staruszki, skwapliwie podała jej zawiniątko. Potem zdjęła z szyi złotą ozdobę w kształcie stożka i z wyraźnym ociąganiem zawiesiła go na szyi nianki.

– Zaklinacz. Dzięki niemu będziesz rozumiała mowę żmija.

Młoda Wiedma przerażona wpatrywała się w krew uchodzącą z ciała zabitego. Dopiero po chwili ujrzała Stańka, który na widok brutalnej sceny nie śmiał podejść bliżej i z respektem czekał na uwagę. Dziewczyna uświadomiła sobie, że przecież ranni na nią czekają, wywary uśmierzające ból już na pewno przestały działać. Pozostawiła więc swą nauczycielkę, żmija oraz staruszkę z dziećciem w ramionach, żeby omówili kwestię opieki oraz ciałałalenia zuchwalca. Sama zaś podeszła do Stańka.

– Żegota was woła – usłyszała.

Zdyszana wpadła do izby. Leżał z przymkniętymi oczami. Z wysiłkiem nabierał powietrze, zatrzymywał i po chwili dopiero je wypuszczał w krótkim, bolesnym wydechu. Twarz miał z jednej strony opuchniętą, siną. Musiał otrzymać bardzo silny cios w głowę. Gdyby nie szłom o opływowym kształcie, pewnie leżałby gdzieś na trakcie z roztraskaną głową. Noga przeorana na wskroś żelaznym grotem leżała wyprostowana, nieruchoma. Nie usłyszał ich nadejścia, gdyż ranni, znajdujący się w chacie, albo pojękiwali, albo rozmawiali ze sobą.

– Wołaliście mnie. Trzeba wam co na boleść zadać? – zwróciła się głośno do dowódcy.

Otworzył oczy, rozejrzył się niespokojnie wokół, jakby podlegli mu wojowie mieli stanowić jakieś zagrożenie.

– Podejść – poprosił.

Niezgrabnie przeszukiwał palcami zawartość miękkiej sakiewki, którą miętosił w dłoni. W końcu wyjął medalion o ciemnozielonej barwie z czerwonymi i żółtawymi smugami. To była gemma²⁷. Niecierpliwie chwycił rękę Młodej Wiedmy, wciskając jej zagadkową ozdobę.

– Za pomoc. Należała ongiś do mej żeny. Tylko to mi po niej zostało. Niech ci służy i szczęści.

Uniosła medalion, by lepiej mu się przyjrzeć. Był zrobiony z heliotropu. Widniała na nim głowa z węzowymi włosami. Wokół niej krążyły nieznanne runy. Obróciła gemmę. Na rewersie była wyrzeźbiona postać w długiej szacie, z czymś w rodzaju wieńca wokół głowy. Postać rozkładała ręce, jakby chciała coś wyczarować. Otok tej części medalionu stanowiły dwa sznureczki runów.

– Pochodzi z dalekiego kraju. Z Bizancjum.

– To przecie żmijownik, nawęza płodności i zdrowia – szepnęła dziewczyna, przyglądając się rytowi ośmiu węzów wijących się wokół owalnej, pulchnej głowy. – To nie dla mnie dar. Ofiaruj ją niewieście, z którą pójdziesz w swańbę – oddała gemmę Żegocie.

Nie wyciągnął dłoni. Spojrzył na nią przeciągle. Jego oczy tym razem wydawały się niebieskawe.

– Dla ciebie. Młodaś. Jeszcze ci się zda. Mogęli coś innego zrobić dla ciebie w podzięce? Jest coś, czego pragniesz, a nie możesz tego sama zdobyć?

– Chcę wyrzucić biesa, który zawładnął mym bratem. Tego nie potrafię uczynić, ale i ty najpewniej nie zdołałbyś.

– Opowiesz mi? Może zdam się na coś.

– Pierwej opatrzę ciebie i innych. Czas też napary ziołowe podać, bo już Miesiąc wschodzi.

Tak jak przypuszczała, Żegota mimo szczerych chęci nie potrafił zaradzić jej strapieniu. Nie zdołał

wymyślić sposobu, by pokonać biesa.

Kolejne dni umykały jej niczym myszy przed kotem. Ranni czuli się już lepiej i zostali przeniesieni do innego domostwa, bo nader tłoczno było w chacie dowódcy. Młoda Wiedma uznała, że nie jest już tak potrzebna wojom i zastanawiała się, czy nie wrócić do Caryczki, a stamtąd, za pośrednictwem maści czarownic, do ukochanego Ostrowia.

Stan Żegoty znacznie się poprawił. Woj coraz pożądliej widział wzrokiem za piękną wiedźmą, bo magia szpili łączącej dwa stworzenia na granicy życia i śmierci wciąż działała. I to działała w obie strony. Młoda Wiedma nie mogła się skupić na pracy przy chorych. Jak tafla wody zmienia się, wznosząc fale pod wpływem powiewu wiatru, tak ona reagowała na każdy gest, każde spojrzenie czy słowo woja. Przemyciała i opatrywała mu rany, by upajać się zapachem jego ciała. Namaszczała mu skórę leczniczymi olejkami, delektując się tym dotykiem. Była już zmęczona walką z samą sobą i wiedziała, że wkrótce mu ulegnie bez maści czarownic, magii sabatu i pobudzających ziół.

Tuż przed Jarymi Godami przybyło dwóch posłańców z Wiślanii. Biwii nie było w chacie, gdy przekazywali rozkazy. Kiedy powróciła, Żegota był już spakowany.

– Opuzczamy Żmigród. Mamy ruszyć za Madjarami i odsunąć ich na południowy wschód. Po drodze dołączy do nas Włodzisław z drużyną. Pojedziesz z nami? To niedaleko twego gniazda.

– Kiedy wyruszamy?

– Jutro o świcie.

Kneź



S iódmy dzień wędrówki dawał się we znaki. Nieprzyzwyczajona do spędzania całych dni w końskim siodle Młoda Wiedma wędrowała pieszo, trzymając konia za uzdę. Zbliżali się właśnie do obozu rozłożonego przez drużynę Włodzisława. Wojowie czekali w pełnej gotowości bojowej, odziani byli w kolczugi, na głowach połyskiwały wypolerowane szlomy. Straże były podwojone. Zdziwiła ją niezwykle nerwowa atmosfera w obozie. Mężowie nawykli do walki, przelewania krwi, spoglądania śmierci w oczy podczas wielu bitew byli niespokojni, rozbieranymi oczami wciąż lustrowali okolice, konary drzew. Kneź od razu wezwał Żegotę na naradę.

Usiadła zmęczona i wyjęła bukłak z wodą. Zastanawiała się, czy ma siły, by wprowadzić się w stan jasnowidzenia. Postanowiła jednak odłożyć to do rana, gdy odpocznie. Rozłożyła derkę, z westchnieniem ulgi położyła się na niej, przymykając oczy. Z fantasmagorycznej krainy wyrwał ją głos Żegoty.

– Włodzisław zgodził się, byś uczestniczyła w naradzie. Chodź. Jesteś nam potrzebna.

Kneź siedział na zydłu w centralnej części namiotu. Miał lekko pofalowane blond włosy sięgające do szyi i kilkudniowy zarost. Był dość młody, wyglądał na dwadzieścia parę wiosen. Purpurowa, wełniana tunika była dopasowana kolorystycznie do bordowych, wysokich butów, ozdobionych złotymi guzami przy wiązaniach. Z intensywnymi barwami stroju kontrastowały bladezielone szarawary. Równie mocno kontrastowała z purpurą blada, rozgniewana twarz księcia.

W namiocie oprócz Żegoty było jeszcze trzech doświadczonych wojów. Dziewczyna lekko skłoniła głowę na powitanie. Nauczona przez Caryczkę wiedziała, że wiedźma nie może okazywać strachu ani zbytnej uniżoności. Musi żądać szacunku i budzić respekt. Wtedy będą się z nią liczyć.

– Drużynę knezia kilkakrotnie zaatakował dziki zwierz. Ludzie boją się, że złe moce włączyły się do wojny. A z nimi zwykły człek nie wygra – wyjaśnił Żegota. – Dlatego potrzebujemy twej rady.

Młoda Wiedma nie wiedziała, co może doradzić. Potrzebowała wizji, która stanowiłaby jakąś wskazówkę. Pochyliła więc głowę w milczeniu, jakby się zastanawiając, i dopiero po chwili rzekła wymijająco:

– Dadźbóg z Miesiącem będą się siłować. Ten, który wygra, wskaże mi drogę.

– Zatem możemy otrzymać radę późną nocą albo dopiero za dnia – skonstatował jeden z doradców.

– Aczli przetrzymamy kolejną noc – uciął Włodzisław. Zerwał się z zydla, zamasyżąc odsunął wejściową kotarę i wyszedł.

Drzewa wokół powoli kryły się w gęstniejącym mroku. Biwia wróciła po derkę, znów ją rozłożyła,

moszcząc się wygodnie. Nie zdążyła jednak zapaść w głęboki sen. Obudziły ją krzyki. W obozie panowało zamieszanie. Usiadła. Rozespana zorientowała się dopiero po chwili, że to las wywołuje taką histerię w strażnikach. Przeciągłe wycie wilków docierało ze wszystkich stron. Ryk niedźwiedzi, turów, zawodzenie rysi i pohukiwania puchaczy sprawiały wrażenie, że zostali otoczeni przez wrogo nastawione dzikie zwierzęta. Noc była ciemna, że oko wykol. Trudno stanąć do walki z przeciwnikiem, który jest w ukryciu i zna swój teren, poruszając się po nim nocą, jakby to był dzień. Obudzeni wojowie czekali w napięciu na atak. Zmieniali swoje położenie, bo raz wydawało się im, że złowróźbne odgłosy dochodzą w większym natężeniu z północy, to znów że z zachodu, po chwili jednak dochodzili do wniosku, że z południa. Na domiar złego zaczął padać rześisty deszcz. Ogień, który dawał poczucie bezpieczeństwa przed zwierzyną, wygaszał w strugach wody.

Nerwowa atmosfera udzieliła się też Młodej Wiedmie. Nie potrafiła już usnąć. Zresztą deszcz zmusił ją do zwinięcia derki. Czekala w napięciu na dalszy rozwój wydarzeń. Nic się jednak nie działo. Zwierzęta zastraszaly ludzi skupionych w obozie, ale nie atakowały. Przemoczoną Żegota zaprowadził do namiotu i pobiegł nadzorować obronę obozu. Zdjęła mokre odzienie i rozwiesiła w namiocie. Nie pozostało jej już nic innego, jak spróbować wywołać widzenie. Zakreśliła koło, ułożyła z kamieni znak i zaczęła się wprowadzać w trans. Było jej bardzo trudno, bo rozpraszały ją dzikie odgłosy lasu oraz chaotyczne przemieszczanie się wojów. Zaczęła śpiewać zaklęcia coraz głośniejsze, żeby zagłuszyć to, co działo się wokół. W końcu zobaczyła.

Drapieżny ptak większy od sokoła, a nawet orła, ten sam, którego totem wieźli ze sobą Madjarowie, usiadł na wyciągniętym przedramieniu mężczyzny o długim pszenicznym warkoczku. Człowiek nie miał karwasza, więc twarde szpony ptaka zboczyły się krwią sokolnika. Domyślała się, kim był ów stojący tyłem do niej mężczyzna, trwający w przymierzu z turulem. W oddali płonęła osada, rozlegało się zawodzenie kobiet i płacz dzieci.

Widzenie przerwało wtargnięcie do namiotu jednego z wojów. Szukał Żegoty. Widok nagiej wiedźmy w ekstazyjnym stanie zaskoczył go. Zmieszany przeprosił i wyszedł. Biwina znów zaczęła śpiewać zaklęcia. Po chwili szum deszczu stał się donośniejszy. Zobaczyła w strugach wody drużynę Włodzisława. Bładzi, wyczerpani nieśli swych druhów poszarpanych przez dziką zwierzynę. W ich stronę zdążał rześko oddział Madjarów, nad którymi krążył potężny, drapieżny ptak i dodawał im sił swym przenikliwym piskiem. Turul dostrzegł ją, złożył skrzydła i zaczął pikować w jej stronę. Zbliżał się w zawrotnym tempie. Oniemiała z przerażenia skonstatowała, że jego oczy są bursztynowe. To oczy Bartusa. Krzyknęła i zasłoniła się rękami.

Poczuła uderzenie na twarzy. Jakieś ramię podtrzymywało jej bezwładnie zwisającą głowę. Otworzyła oczy. Żegota zaniepokojony trzymał ją w ramionach.

– Wreszcie. Już się bałem, że się nie obudzisz.

Uniosła głowę, rozejrzała się. Usiadła. Podał jej ubranie. Naciągnęła na siebie półwilgotną suknię. Żegota był cały przemoczony. Deszcz padał nadal.

– Kim jest ta niewiasta z myszką na jagodzie? Nie opuszcza cię na krok.

– Jaka znów niewiasta? – potrząsnął dziewczyną zaniepokojony. – Obudź się. Co ty znowu widzisz?

– Ty wiesz jaka, tylko nie chcesz mi wyjawić. Ona coś od ciebie chce i chyba nie ustąpi.

– To przez nią utraciłaś przytomność?

– Nie. Przez Bartusa. Możesz mnie zaprowadzić do knezia?

Książę podobnie jak jego wojowie był wyczerpany brakiem snu i oczekiwaniem na atak dzikich zwierząt. Deszczowa pogoda też nie nastrajała optymistycznie. Siedział w swoim namiocie jeszcze

bardziej błądy i jeszcze bardziej zły. Młoda Wiedma była osłabiona. Żegota posadził ją na zydlu. Do namiotu weszli jeszcze dwaj wojowie.

– Madjarów prowadzi drapieżny ptak, który ma wielką moc – zaczęła wyjaśniać. – Sprzymierzył się z władcą dzikiego zwierza. Są bezwzględni, życie ludzkie nic dla nich nie znaczy. Widziałam, kneziu, twe wojsko przetrzebione i wyczerpane. Twój wojowie nie poradzą w walce z Madjarami.

– Takich właśnie wieści oczekiwałem – warknął Włodzisław. – Nie chcę złych przepowiedni. Chcę dobrej, rozsądnej rady.

– Może zarządź, panie, odwrót – zasugerował jeden z wojów.

– Odwrót? – zachnął się książę. – Włodzisław nigdy nie ucieka jak zając spod miedzy. I to przed kim? Przed wilkiem? A może rysiem? Czy też niedźwiedziem? Skóry, które z nich zdarłem, zdobiją moje komnaty. Śpię na nich i gzę się z dziewczkami.

– Aczli kolejne dni i noce dziki zwierz będzie gnębił drużynę, ludzie utracą siły i wolę walki. Sam widzisz, panie, w jakim są stanie.

– To nie jest rada – warknął do drugiego doradcy. – Władca dzikiego zwierza? – tym razem wykrzywił twarz w stronę Biwii. – A kto to taki?

– Był niegdyś moim bratem, póki sam bies w niego nie wstąpił.

– O! To mamy całe stadło. Czarownica i zbieszony władca dzikiego zwierza. A matka to kto? Marzanna? A może dziwożona?

Biwia podniosła się urażona i bez słowa wyszła. Zaniepokojony Żegota zabrał głos.

– Mityguj się, panie, bo rozgniewana wiedźma jest gorsza od zranionego tura. Ją też chcesz mieć przeciw sobie?

Jasnowłosa książę uderzył pięścią w swoje udo, potem wsadził ją między zęby. Mocował się przez chwilę sam ze sobą.

– Słusznie prawisz. Idź za nią i przeproś w moim imieniu.

Żegota znalazł Biwię w swoim namiocie. Pakowała niewielki tobolek.

– Kneź prosi o wybaczenie. Nie odchodź, proszę. Wierzę, że możesz nam pomóc.

Nie odpowiedziała, tylko spojrzała z wyrzutem. Przewiesiła tobolek, wzięła klatkę z gołębiami i wyszła z namiotu. Poszedł za nią.

– Wspólnie walczmy z Bartusem. Gdy zdołamy go osłabić, to może bies go opuści. Wierzę w twą moc – przekonywał. Nie słuchała go. Oddalała się szybkim krokiem. – Tak! To cała ty! Pełna sprzeczności! – krzyknął za nią. Zatrzymała się.

– To znaczy? – spytała, przypominając sobie, że to samo mówił jej prastary wodnik.

– Chcesz wyciągnąć na powierzchnię, a miast tego ściągasz na dno. Jedne rany zasklepiasz, a inne otwierasz.

Zbliżył się. Chwyił ją za ramiona i lekko potrząsnął. Stała ze spuszczoną głową. Znow zaczęła tłumaczyć.

– Wiesz, że sama nie poradzisz z Bartusem. A my nie poradzimy bez ciebie. Nie chcesz tego zrobić dla knezia czy dla mnie, to zrób to dla innych, zrób dla brata, dla siebie.

Stała niezdecydowana. Nie podobała się jej pycha młodego księcia i wcale nie miała ochoty wspierać tego rozgniewanego władcy. Niepokoiła ją jednak wizja palonych osad i płacz niewinnych ludzi. Niepokoił ją Bartus. Było w nim coraz mniej z człowieka.

– Niech będzie. Ostanę. Ale nie odezwę się więcej do tego cietrzewia. Będę rozmawiać tylko z tobą.

Świtało. Deszcz przestał padać, rozchmurzyło się. Na rozkaz Żegoty wojowie zaczęli przygotowywać

się do obrony obozu przed dziką zwierzyną. Kopali wilcze doły, na których dnie wbijali ostro wyciosane paliki. Przykrywali je patykami i runem leśnym. Zakładali sidła, stępy i inne pułapki. Znosili drewno, by ogień był wystarczająco duży i odstraszał zwierzęta.

Suszono odzież, pożywiano się. Żegota wyznaczył zmiany – część wojów wypoczywała, część pracowała. Drużyna przygotowywała się do kolejnej, jak przypuszczali, ciężkiej nocy.

Zmierzchało. W namiocie Żegoty Młoda Wiedma mieszała maść czarownic. Obok stała otwarta wiklinowa klatka. Dziewczyna zastanawiała się, czy wiadomość dotarła na czas do Caryczki. Próbowiała zwołać wiedźmy na sabat. Potrzebowała ich pomocy.

Kiedy zapadła ciemność, las znów zaczął rozbrzmiewać dzikimi ostrzeżeniami. Dziewczyna, otulona swym magicznym płaszczem, stapała w towarzystwie Żegoty. Nie chciała wlecieć na oczach wojów. Wyszli poza obóz. Rozszerzonymi źrenicami obserwowała las. Widziała biegające chyłkiem wilki, czające się na konarach rysie, żbiki. Bór tętnił życiem, ale złowrogim, pełnym nieuzasadnionej żądzy krwi. Odwróciła się do Żegoty, szukając w jego oczach nadziei, pociechy. Dostrzegła tylko zmęczenie tak jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Uchwycił w dłonie jej twarz i wpił się w usta. Zapragnęła zabrać jego smak i zapach ze sobą. Czuła, jak rozpala się w niej ogień, rozżarza się w podbrzuszu i pełnie ku górze. To nie była właściwa pora, by pozwolić mu wybuchnąć niepokromionym płomieniem. Wyrwała się więc i szybko rozpostarła ramiona. Po chwili szybowiała nad obozowiskiem, obserwując niezwykle ruch zwierząt, schodzących się z najdalszych okolic. Musiała się spieszyć.

Na Łysej Górze paliło się tym razem niewielkie ognisko, przy którym wiedźmy ogrzewały swe nagie ciała. Powitały ją serdecznie, każda złożyła na jej policzku lub ustach pocałunek. Była też wśród nich Caryczka. Młoda Wiedma opowiedziała jej o wszystkim. Kiedy niewiasty zasiadły w kręgu, czarnowłosa wiedźma zabrała głos.

– Siostry, ta oto młoda czarownica potrzebuje pomocy. Jej brat włada dzikim zwierzem. Opętał go najstraszniejszy z demonów – bies. Zbieszony Bartus czerpie rozkosz z czynienia zła. Szczuje swych podwładnych na ludzi. Skłania zwierza, by posmakował człowieczej krwi. Zbrał się też z Madjarami, obcymi wojami. Grabią, mordują i palą sioła oraz grody.

– Nie wtrącamy się do wojen – odparła długowłosa, która przewodziła poprzedniemu sabatowi.

– Ale możemy pomóc naszej siostrze odzyskać brata i wypędzić zeń biesa. Brat naszej siostry jest też naszym bratem – Caryczka nie dała się zbić z pantałyku.

– Ja pomogę. Rozumiem mowę zwierząt – wstała Wężymiła, czarownica z luskowatymi ozdobami na szyi oraz rękach.

– Ja też – poderwała się kapłanka Strzyboga, Płanetnica.

– I ja się mogę przydać – Dobrawa, dystygowana niewiasta o kędzierzawych włosach, również powstała.

– I my – zgłosiły się młodziutki wiedźmy: Musza, słyszczą ludzkie myśli, i Dobromiłka o uzdrawiających dłoniach.

– Tylko jak dotrzemy do obozu? Nie byliśmy tam. Wiedźmy mogą dolecieć zaledwie do jaskini w borze, gdzie ongiś była twa inicjacja – zmartwiła się Caryczka.

– Znajdziemy pomoc wśród czworonożnej braci. Na pewno nie wszystkie leśne stworzenia uległy srogiemu władcy – pocieszyła siostry ta, której król węży dał dar porozumiewania się ze zwierzętami.

– I chmurnicy nas wesprą. Strzybóg na pewno mnie wysłucha – dodała Płanetnica.

Te, które zadeklarowały pomoc, zasiadły ponownie, by się naradzić. Pozostałe odleciały do swych domostw lub w poszukiwaniu uciech.

Po wysłuchaniu szczegółowej relacji Młodej Wiedmy czarownicy zaczęły się naradzać.

– Polecimy do jaskini, a ty do obozowiska – Dobrawa zwróciła się do Biwii. – Przybędziemy do ciebie jak najrychlej. To nie może być daleko.

– Kiedy znów się złączymy, cóż dalej będziemy czynić?

– Obaczymy. Kto wie, co tam zastaniemy.

Musiały się spieszyć. Peleryny załopotwały i po chwili wiedźmy mknęły nad polami i lasami. Tym razem lot ich nie upajał. Były skupione, poważne. Młoda Wiedma, oglądając się na lecące siostry, ze wzruszeniem przypominała sobie słowa Muszy. Słyszcząca myśli uzmysłowiła jej kiedyś, że nie nabeździe takich mocy, jakie mają inne wiedźmy, ale zawsze może je poprosić o pomoc.

Ruch w borze zaczął się wzmagać. Oznaczało to, że są już blisko. Duże zwierzęta migrowały prawdopodobnie w kierunku obozu Włodzisława. Niedaleko jaskini czarownice musiały się rozdzielić.

Młoda Wiedma została sama. Leciąca skąpana w blasku Księżyca, który wprawdzie nie był w pełni, ale wystarczająco jasno świecił. Jej wyczulone zmysły wychwyciły rozdzierający płacz dziecka. Obniżyła lot. Rozpoznała polanę po nędznym szałasie i zapuszczonych, drewnianych urządzeniach do ćwiczeń. Nieopodal szałasu coś leżało. Miała nadzieję, że jej najgorsze przeczucia się nie sprawdzą. Dotknęła bosymi stopami ziemi i podbiegła do rozdartego na strzępy truchła. Zakrwawioną, objedzoną głowę rozpoznała po skołtunionych włosach. Mamuna Kele.

Krzyk dziecka rozległ się na nowo, choć był już cichszy. Zobaczyła kokon wiszący na grubym konarze. W mgnieniu oka już była przy nim. Splątane w parczanym sznurze dziecko wierciło się, nerwowo rozpychając wpijające się w ciało liny. Nabrało powietrza i znów zapłakało. Najwyraźniej nawet płacz sprawiał mu trudność.

Zatrzepotała peleryną i już była na gałęzi, podciągnęła sznurki i ostrożnie wyplątała z nich maleństwo. Chciała przytulić je, ale powstrzymała się. Obawiała się, że maść czarownic może oparzyć chłopca. Owinęła go więc swoim płaszczem. Maluch, uwolniony od wrzynających się w ciało sznurów, uspokoił się. Spojrzał na nią swymi bursztynowymi oczyma i wyciągnął rączkę. Była chudziutka niczym wierzbową gałązką. Ucałowała ją.

Postanowiła poszukać pożywienia dla malucha. W szałasie nic jednak nie znalazła. Pozbierała walające się kawałki płótna, z których zrobiła coś w rodzaju nosidla. Włożyła doń dziecko i mocno obwiązała, żeby jej nie wypadło. Na szczęście nie było zbyt ciężkie. Zawiesiła nosidło na szyi, rozpostarła ramiona i wzniosła się na powrót w światło Księżyca.

Teraz najważniejsze było dziecko, jego bezpieczeństwo. Nie mogła go przecież zabrać do obozu, który może już został zaatakowany przez niezliczoną, żądną ludzkiej krwi zwierzynę. Dziecię było głodne i znów zaczęło popłakiwać. Postanowiła polecieć z nim na Ostrowie i zostawić Damroce. Ze ściśniętym sercem mijała dopalające się wioski nad Sanem. Madjarowie przygotowywali dla siebie teren, rabując i paląc. Widząc, jak są blisko jej wyspy, zawróciła. Bała się narażać dziecko. Miała wprawdzie nadzieję, że obcy wojowie nie zadadzą sobie trudu, by przeprować się przez Lędo do dwóch chat, w tym chaty wiedźmy. Uznała jednak, że nie może obciążać wdowy po CzciBORZE odpowiedzialnością za kolejne dziecko. Wystarczy, że w tych trudnych czasach musi zapewnić bezpieczeństwo swojemu. Postanowiła poszukać wiedźm i naradzić się.

W jaskini już ich nie było. Pamiętała, że ostatnim razem, gdy tu przybyła, przestraszyły ją niedźwiedzie, które obrały sobie to miejsce za gawrę. Ich również nie zastała. Wzniosła się nad lasem i zaczęła krążyć. Wreszcie ujrzała pędzące stado łań, na których niczym na koniach siedzieli jeźdźcy w łopoczących na wietrze pelerynach. To musiały być wiedźmy. Pomknęła do nich. Na jej widok WężyMiła krzyknęła coś, co zabrzmiało jak gładzenie łań, i zwierzęta zatrzymały się. Czarownice zeskoczyły na ziemię.

– Sióła nad Sanem spalone. Madjarowie pożogą znaczą swe przejście. Nie mam gdzie ostawić częda. Wilki rozszarpały mu matkę. Jest głodne, potrzebuje opieki.

Dobromiłka podbiegła i wzięła wyczerpane dziecko w swoje uzdrawiające dłonie. Maluch spojrział na nią i uśmiechnął się. Potem zamknął oczy, zasypiając z błogim uśmiechem na wychudzonej twarzy.

– Dziecię ma oczy jak twoje – szepnęła zdziwiona.

– To czędo mego bliźniego brata. Porzucił je razem z matką. Pozwolił, żeby wilki na nich uczłowały.

Caryczka wzięła chłopca z rąk Dobromiłki. Trochę ją przerażały wieści Młodej Wiedmy. Madjarowie, pożary, wilki, inne dzikie zwierzęta.

– Polecę z nim do źmija. Niańka karmi jedno, to wykarmi i drugie. I tak na nic wam się tu nie zdam.

Peleryna czarnowłosej wiedźmy załopotowała nad drzewami. Biwia odprowadziła wzrokiem swą nauczycielkę i bratanka, szepcząc pod nosem zaklęcia pomyślności.

Pozostałe czarownice chwyciły się za ręce, tworząc krąg. Czuli energię, która przepływała przez ich dłonie. Generowały w sobie moc. Młoda Wiedma przymknęła oczy. Czuli zbliżającą się wizję. Naraz uderzyła w nią swą wyrazistością: Niezliczone stado wilków na terenie obozu. Część wyla w jamach nabita na ostre pale, inne poranione od stępów. Nie tylko wilki, ale dziki, jelenie i tury swymi cielskami zapychały wykopane doły, torując drogę pozostałym. Było ich tak dużo, że pułapki nie były w stanie wychwycić wszystkich. Nie sposób też było wybić atakujących zwierząt strzałami czy kopiami. Wojowie dziesiątkowali zajadłe bestie, jednak ich liczba wciąż wzrastała. Na walczących z wilkami, niedźwiedziami czy dzikami spadały z drzew rysie i żbiki.

W tym momencie krzyknęła Musza, przerwała krąg, chwytając się za głowę. Wizja Młodej Wiedmy uderzyła w nią swym makabrycznym obrazem. Widzenie znikło.

Znów chwyciły się za ręce. Biwia zamknęła oczy. Ujrzała swoje sióła, rodziców z siostrami uciekających do lasu, krewnych i sąsiadów wynoszących dobytek z chat. Nawet dostrzegła biegających w popłochu polewika z kikimorą. Samwój trzymał w rękach zawiniątko.

– Już się zaczęło – wymamrotała zbielełymi wargami.

Puściła ręce sióstr. Nie chciała już nic więcej widzieć. Krąg został przerwany. Czarownice z przejściem czekały na relację.

– Obóz zaatakowała dzika zwierzyzna. Chłepce ludzką krew. Tam jest rzeź. Madjarowie są blisko mego rodzinnego sióła. Krewni szukają schronienia w borze. Acz tam jest bezpiecznie?

– Musimy ustalić, co robić – oceniła trzeźwo Dobromiłka.

– Mogę udać się do Madjarów z poselstwem. Znam ich mowę. Zdałoby się ich czymś wystraszyć i zmusić do zatrzymania – zaproponowała Dobrawa, piegowata wiedźma w atlasowej szacie.

– Udam się tam z tobą – zgłosiła się Płanetnica. – Zagrozimy gniewem boga wiatrów. Aczli nie usłuchają, uproszę Strzyboga, by wstrzymał pochód.

– Siostró, mądrze radzisz. Cóż znaczy moja znajomość języków bez boskiego wsparcia?

– Gdzie najdziemy Madjarów? – spytała kapłanka.

Młoda Wiedma wskazała kierunek. Węży miła zwróciła się do łań. Wysłuchały jej i skłoniły głowy, przyklękając w oczekiwaniu, aż dwie wiedźmy je dosiędą. Płanetnica i Dobrawa ochoczo skorzystały z niemej zaproszenia i wkrótce galopowały na łań w stronę Sanu.

Zostało ich cztery. Postanowiły udać się do obozowiska Włodzisława. Dosiały łań i pomknęły. Wtulone w miękkie brązowe futra, mocno obejmowały rękami szyje zwierząt. Wkrótce jednak łań zatrzymały się. Węży miła pochyliła się nad tą, którą dosiadała. Coś jej szepnęła do ucha. Zwierzę w odpowiedzi zaczęło głośne, pełne żalu gładzenie.

– Nie pójdą dalej – wyjaśniła. – Boją się swego władcy, który jest w pobliżu.

Wiedźmy zmartwione zeskoczyły na ziemię. Dalszą wędrówkę musiały odbyć pieszo. Zaczynało świtać. Dadźbóg pierwszymi promieniami odebrał im możliwość lotu. Były zdane na swe wątle, ludzkie siły. Podróż nie była łatwa. W ich bose stopy wbiwały się gałązki, ostre modrzewiowe szpilki, kamienie. Otulając swe nagie ciała pelerynami, rozglądały się niespokojne, wietrząc niebezpieczeństwo.

– Znasz zwierzęcą mowę – Dobromiłka zwróciła się do Wężymiły. – Gdy natrafimy na krwiozercze bestie, odwiedziesz je od ataku?

– Znasz mowę ludzi. Potrafisz ich odwieść od zabijania?

Umilkły zamyślane. Musza z trudem radziła sobie z natłokiem myśli towarzyszek. Trzy niewiasty intensywnie zastanawiające się, jakie podjąć działania, robiły taki szum w jej głowie, że nie mogła się skupić. Jeśli już miałyby wybierać towarzystwo, zdecydowanie wolałyby mężczyzn. Robią mniej hałasu, a czasem nawet dają komfort ciszy.

Pierwsza szła Młoda Wiedma, za nią Wężymiła, potem Dobromiłka i na końcu rozkojarzona Musza. Nagle usłyszały trzask gałęzi. Zatrzymały się. Chciały przycupnąć w ciszy i przeczekać. Musza jednak nie usłyszała tego hałasu i zanim ostrzegawcze myśli siostr do niej dotarły, weszła na Dobromiłkę, straciła równowagę i upadła. Zapanowała cisza. Coś lub ktoś najwyraźniej je usłyszał. Po chwili trzask gałęzi wzmógł się, coś ciężkiego zaczęło biec z coraz większym impetem. Co gorsza, zbliżało się. Zobaczyły go. Rozjuszony tur najwyraźniej chciał wziąć je na rogi. Nie było czasu na zakłęcia, zamawianie. W panice rzuciły się do ucieczki. Biwia, biegnąc, rozglądała się, na które drzewo dałaby radę się wspiąć. Tur był coraz bliżej. Właśnie ją sobie obrał za cel. Wężymiła, będąc nieco z boku, krzyknęła coś do tura. Zatrzymał się na moment i zawrócił. Jedyłą jego reakcją była zmiana celu. Teraz ruszył pędem w stronę tej, która ośmieliła się do niego przemówić. Nagle z drzewa wprost na głowę rozjuszonego zwierza skoczył ryś. Byk próbował pozbyć się niespodziewanego ciężaru, trzepiąc łbem, potem próbując docisnąć go rogami do pnia drzewa. Ryś jednak mocno wpił się pazurami w ciało tura, zgrabnie uchylił się przed dociskiem i jak na doświadczonego łowcę przystało wgrzył mu się w kark. Tur zaryczał wściekle, zaczął uderzać to łbem, to znów swym grubym cielskiem w okoliczne drzewa. Na próżno. Ryś nie puszczał. Rozjuszony byk puścił się pędem na oślep przed siebie. Słyszały, jak się oddala. Po chwili tętent kopyt ucichł.

Wiedźmy nie zastanawiały się długo, zaczęły biec jak najdalej od feralnego miejsca. Wybierały tę część lasu, gdzie drzewa rosły gęściej i były w miarę rozłożyste, by w razie konieczności móc się na nie wspiąć.

Mając nadzieję, że tur jest już daleko, znów zaczęły iść. Ciężko dyszały utrudzone biegiem i panicznym strachem. Młoda Wiedma zatrzymała się raptownie. Pozostałe wiedźmy również stanęły. W ich kierunku zbliżał się umazany krwią ryś. Przed turem można jeszcze salwować się ucieczką na drzewo, ale przed rysiem? Bały się, że jakiegokolwiek szybkie ruchy mogłyby sprowokować go do ataku. Instynktownie więc zamarły w bezruchu niczym kamienne stele w Węsiarach. Ryś jednak nie wydawał się wrogo nastawiony. Oblizal się, ściągając jęzorem krople krwi, gęsto przyklejone do sierści wokół pyska, i ze spokojem, jakby był domowym kotem, podszedł do Młodej Wiedmy, ocierając się o nią. Wydawało się, że oczekuje pochwały. Biwia nieśmiało pogłaskała go po grzbiecie. Przyjął tę pieśczętę z ukontentowaniem i głośnym mruzeniem.

– On się z tobą wita – Wężymiła podeszła do nich. Pozostałe czarownice też zaczęły się swobodnie poruszać.

– Wita się?

– Mówi, że tęskni za swoim panem.

– Na Peruna! To ryś Jarowara! – Młoda Wiedma przytuliła wielkiego kocura. Polizal ją po policzku

językiem mokrym od krwi. Oczy jej zabłyśły nieoczekiwaną wilgocią.

– Ja też za nim tęsknię.

Niezwykły to był widok. Nos w nos, oko w oko siedzieli naprzeciw siebie czarownica i ryś, obydwójce na zmianę mruzczeni. Węży miła dopytywała, co się dzieje z dziką zwierzyzną, a kocur, który nie podlegał władzy Bartusa, odpowiadał na jej pytania. Okazało się, że brat Młodej Wiedmy jest władcą bezwzględny, nietolerujący żadnego sprzeciwu i srogo karzącym jakąkolwiek niesubordynację. Jakby tego było mało, postanowił użyć swych poddanych przeciw ludziom. Zaczął poić zwierzęta ludzką krwią, budząc w nich tym samym najgorsze instynkty, instynkty, które nigdy by się nie ujawniły bez tego napitku.

Młoda Wiedma słuchała Węży miły ze łzami. W jej sercu wzrastała zwyczajna, ludzka nienawiść. Nienawiść do człowieka, który niegdyś był jej najbliższy, dla którego gotowa była poświęcić własne życie. Wstała wzburzona.

– Musimy go pokonać, nawet gdybyśmy miały go... zabić.

Wiedźmy przyjęły te słowa w głuchym milczeniu. Musza przytuliła ją.

– Rozumiem cię.

– Ponoć jestem pełna sprzeczności – poskarżyła się Młoda Wiedma.

– Wszystkie jesteście – odparła ponuro Musza. – Taka nasza natura. Wraz dobra i zła.

Ryś przeprowadził wiedźmy bezpiecznie przez las do obozowiska. Wiedźmy w milczeniu stąpały między truchłami zwierząt i rozszarpanymi ciałami ludzi. Trzeba było bardzo uważać, żeby nie zanurzyć bosych stóp w kałużach krwi. Osowiali, umazani posoką wojowie zbierali swych martwych druhów. Inni budowali stopy pogrzebowe.

Widok żywego rysia na terenie obozu wywołał poruszenie. Musza tym razem była szybsza i w porę usłyszała krzyk przerażenia w głowach wojów. Zanim naciągnęli cięciwy, osłoniła kocura własnym ciałem.

– Nie wściekaj się! To kot czarownicy! Jest oswojony!

– Nie robi krzywdy człowiekowi – dodała szybko Węży miła.

Mężczyźni z wahaniem opuścili łuki. Spoglądali nieprzyjaźnie na rysia, omijając go z daleka.

Młoda Wiedma z niepokojem rozglądała się za Żegotą. Nie widziała go ani wśród żywych ani martwych. Zapytała o niego jednego z wojów.

– Pojechał o świcie was szukać.

Dobromiłka uklękała przy człowieku z rozszarpanym ramieniem. Do jęczącego nieopodal podbiegła Węży miła.

– Tam ktoś wzywa pomocy! – zawołała Musza, wskazując na dół wypełniony martwymi zwierzętami.

Nikt nie słyszał tego wołania, ale wojowie poszli sprawdzić. Wyciągnęli dwa dziki. Wtedy ujrzeni czyjaś rękę zaciskającą się w pięść. Wyrzucili z dołu jeszcze dwa zwierzęce truchła i mogli wreszcie wydostać rannego. Nie był w stanie wydobyć głosu. Ale żył.

Wiedźmy opatrywały, zaklinały, zamawiały. Nie było czasu na gotowanie wywarów i szykowanie leczniczych naparów. Młoda Wiedma rozgniała i przykładała świeże ziele krwawnika, żywokostu, babki, pokrzywy. Dobromiłka używała swej uzdrawiającej mocy, choć była wyczerpana podróżą i brakiem snu. Zwłaszcza że maść czarownic przestała już działać i wcześniejsze pobudzenie skutkowało teraz znacznym osłabieniem. Jej niezwykle dłonie w połączeniu z przygotowanymi przez

Młodą Wiedmę sokami leczniczych roślin działały cuda. Potrafiły zatamować upływ krwi, przyspieszyć gojenie się ran.

Przed zmrokiem wrócił Żegota. Nie odezwał się, tylko roztrzęsionymi rękami przygarnął drobną, bursztynową wiedmę i tak stał, ciesząc się, że słyszy jej oddech, czuje bicie serca. Ona rozumiała to nieme powitanie i nie psuła jego czaru zbędnymi słowami.

Wszyscy wojowie stanęli w szyku przed stosami ciałopalnymi. Głuchy dźwięk toporów, uderzających płazem w okrągłe, drewniane tarcze, był ostatnim pożegnaniem, wyrazem hołdu wobec poległych. Kneź osobiście podchodził z pochodnią do kolejnych zmarłych, by odesłać ich dusze do Wyraju. Potem wsiadł na konia i również zaczął uderzać toporem w tarczę przypasaną do ramienia.

Spojrzał z pogardą na Młodą Wiedmę i pozostałe czarownice. O nic nie zapytał, nawet nie podziękował za pomoc w ratowaniu rannych. Kiedy złożono prochy zmarłych do popielnic, koń księcia nagle zarżał, jakby się czegoś wystraszył, i stanął dęba, strącając zaskoczonego jeźdźcę. Włodzisław przeklął siarczyście, uderzając w złości zwierzę. Musza spojrzała wymownie na Biwię. Ta ze wstydem spuściła powieki.

Noc zapowiadała się spokojna. Las ucichł, jedynie świerszcze przygrywały. Wystawiono warty. Młoda Wiedma była ciekawa, co działy jej siostry w obozie Madjarów. Planowała polecieć w tamtą stronę, sprawdzić, czy w rodzinnym siole wszyscy są bezpieczni, jednak usnęła przy strawie zmęczona po trudach dwóch dni i nocy. Żegota zaniósł ją do swego namiotu. Udały się tam również pozostałe wiedźmy. Musza zaczęła smarować swe ciało maścią czarownic.

– Wracam do siebie. Nie odpocznę, słuchając nieustannie waszych myśli. Uważaj – zwróciła się do Żegoty. – Kneź to zły człowiek. Strach stać w jego pobliżu. Nie chciałybyś wiedzieć, jakie są jego myśli.

Wyszła z namiotu i nie bacząc na strażę, rozpostarła swój płaszcz. Po chwili trudno było rozpoznać, czy to ona, czy jeden z nietoperzy przemyka wysoko w górze.

Rankiem wojowie ociężale składali namioty, pakowali juki. Zwijano obóz. Słońce pozwalało chmurnikom tkać mglistą, szarą zasłonę, za którą mogło sobie bezkarnie drzemać w ciągu dnia. Senna aura odbierała chęci do życia, a tym bardziej do podróży, na której końcu miała się odbyć walka. Rozkaz Włodzisława, by nadal podążać za Madjarami, nikomu się nie podobał. Jednak tylko piechurzy ośmielali się szemrać między sobą, wyrażając w półsłówkach i gestach swe niezadowolenie. Jeźdźcy, przyzwyczajeni do wojskowej dyscypliny, nie komentowali decyzji knezia. Jednak ich ponury nastrój świadczył, że podporządkowali się jego woli tylko z powodu przysięgi posłuszeństwa. Zasepiona twarz Żegoty wyrażała to samo. Znużeni, okaleczeni, ciągnący na wozach rannych, zdążyli, by zmierzyć się z pełnymi wigoru, zaprawionymi w bojach madjarskimi wojami. Ich widok przypominał obraz z wizji Młodej Wiedmy. Czarownica pocieszała się, że w jej widzeniu nie było samego starcia obydwu oddziałów. Miała nadzieję, że Dobrawa i Planetnica powstrzymały Madjarów.

Misja



Zoltan, wódz koczowniczego plemienia, którego oddział przybył tu aż z Panonii, jako potomek boskiego turula i niewiasty gardził zwykłym ziemskim motłochem. Tym bardziej zlekceważył ostrzeżenia obcych wiedźm, które ośmieliły się stanąć przed jego obliczem i zastraszać go. Nie odważył się jednak ich zabić. Kazał je związać i ciągnąć za koniem, jak ciągnie się schwytych jeńców.

– Uwolnij nas alibo północny wiatr to uczyni i zatrzyma twój pochód! – tak można przetłumaczyć madjarskie słowa wykrzywane przez Dobrawę.

Zoltan zaśmiał się i rzucił jakiś żart, wywołując gromki rechot wśród wojów.

– Panie wiatrów hulających, mącących i niszczących. Niechaj wiatr północny pokaże, jaki mocny – kapłanka Strzyboga zaczęła śpiewną modlitwę.

Pierwsze podmuchy zdawały się dość przyjemne, wręcz orzeźwiający. Kolejne jednak uderzyły z większą siłą, syjąc w oczy piachem, zrywając nakrycia głowy. Następne zmusiły do wstrzymania pochodu. Nie sposób było ustać. Ludzie i zwierzęta przywarli do ziemi. Młode drzewa ugięły się, stare przewracały. Powalone pnie zagroziły drogę. Wiatr zdarł płachty z wozów. Rozrzucił rynsztunek, worki składowane w taborze. Kolejne drzewo rozgniotło wóz pełen łupów. Prerażone konie zaczęły wierzeć, stawać dęba, próbując się uwolnić z uprzęży. Jednemu udało się i zaczął galopować na osłep, taranując wojów. Ludzie na kłęczkach szukali rowów i dołów, by w nich przecześć szalejący żywioł, niektórzy trzymali się kurczowo pni drzew, licząc, że te właśnie przetrwają huragan.

Czarownice skuliły się przy boku rżącego ze strachu konia, do którego były przywiązane. Planetnica znów zaśpiewała. Wiatr, tak jak się pojawił, równie nagle ustał, jakby rzucono nań czar.

Wojowie zaczęli się podnosić i rozglądać z przerażeniem. Czekali na decyzję dowódcy. Z ludźmi nie straszno było im walczyć, ale z bogami nikt nie chciał zadzierać. Zaniepokojony Zoltan kazał uwolnić wiedźmy.

Planetnica rozcierała zdrętwiałe od sznura ręce. Spojrzała dumnie na syna samego turula.

– Wstrzymaj pochód i zerwij przymierze z władcą dzikiego zwierza – Dobrawa przetłumaczyła słowa towarzyszki.

Twarz Zoltana wykrzywił grymas. Już nie śmiał się i nie rzucał nieprzyzwoitych żartów. Jad lęku zaczął go toczyć od wewnątrz, lecz stłumił go natychmiast, pokrywając tę chwilową słabość gniewem. Wiedźmy za dużo sobie pozwalały. Uwolnić je to jedno, ale zmieniać decyzje wojenne, zrywać przymierza to co innego. Niewiasty, nawet o magicznej mocy, nie będą przecież dyktowały Zoltanowi, jak ma dowodzić swym wojskiem.

– Uczyni, com ci rzekła – Planetnica nie ustępowała. – Aczli nie uczynisz zadość mej woli, wrychle przybieży wiatr z południa. Będzie ciepły. Nic go nie strzyma. Zabierze twe wozy i ciśnie w wody Sanu.

Usłyszawszy groźbę z ust tłumaczki, prychnął gniewnie. Pochylił się nad Dobrawą, wypluwając potok madjarskich wyzwisk. Krzyczał coś w uniesieniu, jego twarz wykrzywiały nienawistne grymasy. Wiedźma nie wszystko rozumiała, lecz uniesiona dumnie głowa i ręka wskazująca kierunek, gdzie mają się natychmiast udać, mówiły same za siebie. Nie miał zamiaru pertraktować.

Szły bez pośpiechu, dostojnie. Dopiero gdy znalazły się poza zasięgiem wzroku wojów, zaczęły biec. Kiedy uznały, że są już w bezpiecznej odległości, Planetnica wzniosła modły do Strzyboga. Szum, którego natężenie zaczęło momentalnie wzrastać, świadczył, że bóg wysłuchał prośby kapłanki. Wiatr z południa przybył trąbą powietrzną, przypominającą róg tura. To, co znalazło się w jego zasięgu, wyrzucał z furią daleko poza oko cyklonu. Ludzie, wozy, sprzęt – wszystko znalazło się w wirze pełnym pyłu, gałęzi, konarów, przerażonych zwierząt. Kataklizm nie trwał długo. Było to raczej ostrzeżenie, próba zastraszenia przeciwnika, jaką stosowali często wojowie przed walką. Trąba powietrzna dotarła do koryta Sanu, gdzie nagle zatraciła siłę i rozpeł. Wszystko, co ze sobą niosła, zaczęło opadać, zaśmiecając wody i brzegi rzeki. Zgodnie z przepowiednią wozy Madjarów powoli uprowadzała woda, dążąc odwiecznym nurtem ku swemu przeznaczeniu.

Gdy wiatry rozprawiły się z niepokornymi, wyznającymi obcych bogów najeźdźcami, drużyna Włodzisława podążyła w strugach deszczu, poganiana grzmotami i błyskawicami pierwszej tej wiosny burzy.

Przed zmrokiem dotarli do wybrzeży Sanu. Pobliski las wyglądał, jakby przeszli po nim bracia Waliğóra i Wyrwidąb – jeden kruszył skały, rozsypując wkoło kamienie i ziemię, a drugi wyrывał drzewa, torując sobie ścieżkę w gęstym borze. Dodatkowo deski z wozów, fragmenty zaprzęgów, a także martwe ciała zwierząt i ludzi dopełniały upiorny obraz zniszczeń. Wojowie, widząc, co zostało po przejściu trąby powietrznej, zdejmowali czapki i hełmy, dziękując Perunowi, że nie było ich tu, gdy wiatr czynił spustoszenie. Rozłożyli obóz i rozpalili ogień.

Blask ognisk sprowadził Dobrawę i Planetnicę. Wiedźmy były przerażone rozmiarami ingerencji Strzyboga. Skulone pod derkami mężnie radziły sobie z brzemieniem odpowiedzialności za to, co się stało w lesie. Opowiedziały siostrze i Żegocie o przebiegu misji.

Woj z respektem spoglądał na kapłankę boga wiatrów. Widok zniszczeń, dokonanych przez huragan i trąbę powietrzną, świadczył o niezwyklej mocy, jaką dysponowała dzięki przychylności Strzyboga. Cień nadziei, że wyprawa nie skończy się smutnie, rozgrzał nieco jego zmartwiałą duszę.

Wiedźmy chciały kuć żelazo, póki gorące, i Żegota przyznał im rację. Postanowili, że jeszcze tej nocy obydwie czarownice udadzą się do Zoltana, by zapytać, czy nie zmienił decyzji.

Kiedy Planetnica i Dobrawa za sprawą maści czarownic poleciały kontynuować swą misję, Młoda Wiedma, zaniepokojona losem najbliższych, pomknęła do rodzinnego sioła. Gdy się doń zbliżała, zauważyła, że na obrzeżach wioski młodzież trzyma wartę. Przez szpary w chatach mrugał ogień z palenisk, co oznaczało, że mieszkańcy powrócili w domowe pielesze. Zapukała do chaty rodziców.

– Kogo bogi niosą? – usłyszała ojca.

– To ja. Biwia.

Stuknęło, zaskrzypiał przesuwany skobel. Ledwie otworzyły się drzwi, przygarnęły ją ciężkie, spracowane ręce. Potem poczuła miękki dotyk matczynego ciała. Siostry spały, nie wiedząc, co za gość je odwiedził.

– Czemuś tak dziwnie ubrana? – matka ze zgorzeniem taksowała nagość córki, osłoniętą jedynie peleryną.

– Bo jest Wiedmą – wtrącił się ojciec. – Młodą Wiedmą.

Słyszeli o zbliżających się Madjarach i rzeczywiście uciekli ze swych chat, ale skoro wróg nie nadciągał, pełni obaw powrócili do sióła, licząc na spostrzegawczość i odpowiedzialność młodzików, którzy na zmianę pełnili całymi nocami i dniami wartę.

– Nie uciekajcie do lasu. Tam jest teraz niebezpiecznie – ostrzegła ze smutkiem.

Opowiedziała o kolejnym spotkaniu z bratem, o tym, jak bies przejął nad nim władzę, o śmierci Jarowara, o zmasowanych atakach dzikich zwierząt. Rodzice wieść, że ich jedyny syn się zbiesił, przyjęli jak wieść o śmierci. Pocięchą była wiadomość, iż zostali dziadkami, ale gdy poznali okoliczności znalezienia dziecka, matka, szlochając, stwierdziła, że powinna przekląć dzień, w którym urodziła syna.

– Jeśli to zrobisz, to tym samym przeklniesz dzień narodzin jego siostry, a naszej córki – znów upomniał ją ojciec. – Ona mu zawsze była i jest tarczą – westchnął.

– Już mu nie będę tarczą, ojcze. Przeciwnie. Moja powinność to być niczym miecz obosieczny. Inaczej go nie powstrzymam. Niewdzięczna jest moja misja.

Opowieści, skargi, żale i szlochy trwały do późnej nocy. Gdy rodzice się położyli, dziewczyna wzięła kaganek, napitek i poszła odwiedzić polewika.

– Samwoju! Jesteś tu? – zaglądała w słomiany stóg, czy gdzieś nie zaniebieszczą się jego oczy. Cisza. Nagle usłyszała szelest słomy i cichutkie:

– Pssssyt.

– Kikimoro?

Cisza.

– Nie chcę wam zabierać spokoju. Przyszłam się pokłonić i ugościć was napitkiem.

Słoma zaszeleściła. Ze stogu wyszła mała, pokraczna kikimora. W swych nieproporcjonalnie długich rękach trzymała dziecko, zawinięte w misternie wyhaftowaną wyprawkę. Spojrzała nieufnie na gościa i na postawiony na klepisku napitek.

– Samwój poszedł szukać bezpiecznego miejsca dla stadła. Stadła. Córka mu rośnie. Rośnie. Musi mieć o nas staranie. Staranie – najwyraźniej sposób mówienia polewika udzielił się jego małżonce.

– Nie spieszcie się z przenosinami. Madjarowie chyba nie nadejdą. Przekażcie Samwojowi, że Młoda Wiedma się kłania.

Zajrzała do pełnego zmyślnych koronek becika. Długie rączki dziecka zaplatały się nad głową. Pod tym względem przypominało matkę. Ale oczy niczym niebo w słoneczny dzień świadczyły, że i polewik mógł się poszczycić swym udziałem w poczęciu nowego życia.

Kikimora burknęła ciche podziękowanie, wzięła napitek i zniknęła z dziecieniem w stogu słomy.

Do świtu było już niedaleko. Młoda Wiedma musiała się spieszyć. Wołała uniknąć pieszej, samotnej wędrówki przez las. Dotarła do obozu jako ostatnia z wiedźm. Oprócz czarownicy czekał na nią Żegota.

Dobrawa i Płanetnica opowiedziały o ponownej wizycie u Zoltana. Madjarowie próbowali odnaleźć i uporządkować swoje rzeczy, opłakiwali i grzebali zmarłych. Wódz nie przyjął wiedźm, ale kazał przekazać, że zerwał przymierze z Bartusem.

Węży miła natomiast spędziła noc w lesie, zdobywając informacje od jego mieszkańców, którzy komunikowali się między sobą o wiele szybciej niż ludzie. Wieści były niepokojące. Rozsierdzony Bartus znów gromadzi zwierzęta i poi je ludzką krwią. Wszystko wskazuje na to, że ponownie uderzy.

Nie próżnowała też Dobromiłka, bowiem wielu rannych po krwawej walce z dziką zwierzyną potrzebowało nieustannej pomocy. Pielęgnowała ich i mimo zmęczenia dzieliła się swą uzdrawiającą

mocą. Młodziutka wiedźma twierdziła, że większość wojów nie nadaje się nie tylko do walki, ale nawet nie powinna podejmować trudów podróży.

Żegota wysłuchał relacji czarownic, podziękował i udał się do namiotu knezia, by przekazać mu wieści. Książę, obudzony o świcie, pewnie nie był w najlepszym humorze. Długo trwała rozmowa. W końcu posłano do czarownic jednego z wojów.

– Kneź wzywa do swego namiotu wszystkie wiedźmy.

Czarownice spojrzały po sobie i nie odezwały się. Biwia wstała i z powagą zwróciła się do posłańca:

– Wiedźmy uznają jedynie władzę bogów. Aczli kneź chce się z nami rozmówić, niech tu przyjdzie.

Poranek był wilgotny i pochmurny. Mżawka drobnymi kroplami rozmyła wszelkie wątpliwości. Kneź nie przybył. Urażone czarownice po nieprzespanej nocy udały się do namiotu Żegoty na odpoczynek. Usłyszały tylko tętent koni, które rozjeżdżały się w różne strony. Prawdopodobnie książę posyłał wojów na rekonesans.

Wiedma



Nie odchodźcie, proszę – zafrasowany Żegota stał u wejścia namiotu.
– Przecie też chcesz odejść – Musza zadziornie wzięła się pod boki, patrząc prosto w jego zmęczone oczy.

Słyszcząca myśli wraz z Caryczką dołączyły do sióstr przed południem. Ostatni odcinek drogi pokonały pieszo, obładowane tobołkami, w których upchnięte było odzienie niewiast. Czarownice, ruszając na pomoc trzy noce wcześniej, nie zastanawiały się, jak długo zajmie im wspieranie Młodej Wiedmy. Magiczne peleryny, tak użyteczne nocą, nie sprawdzały się za dnia. Przynajmniej jako jedyne odzienie. Teraz odpowiednio ubrane gotowe były opuścić obóz i podjąć działania na własną rękę.

Zebrało się ich siedem: Młoda Wiedma, Wężymila, Dobrawa, Planetnica, Dobromilka, Caryczka i Musza. Miały jeden cel – pokonać władcę dzikich zwierząt. Po tym, jak Strzybóg usłuchał modłów swej kapłanki, czarownice nabrały pewności siebie. Uznały, że dysponują taką mocą, jakiej nie mają zwykli śmiertelnicy i dlatego nie muszą się oglądać na innych, nawet na samego knezia. Irytował je ten zadufany w sobie panek. W imię czego miały z nim współpracować? Nie liczył się z nimi, nie doceniał ich starań. Jego siły wojenne były osłabione, morale wojska niskie. Madjarowie też już nie stanowili tak poważnego zagrożenia jak ongiś. Zdziesiątkowani przez trąbę powietrzną, pozbawieni wozów z żywnością, przestraszeni nie na żarty, nie odważyliby się ich tknąć. Tak przynajmniej zakładały.

– Woj nie robi tego, co chce, tylko to, co musi.

– Wiedzmy zaś czynią, co chcą – Dobrawa przybrała charakterystyczny dla swego stanu władczy ton.

Żegota nie ośmieliłby się zatrzymywać czarownic siłą. Miał jednak nadzieję, że uda mu się je uprosić. Niestety tylko on spośród dowódców doceniał rozmiary udzielonej pomocy i siłę magii tych niezwykłych niewiast. Słysząc słowa znającej języki, ustąpił zrezygnowany.

Z szalasu wyszła Biwia. Chciała się na pożegnanie przytulić, ale nie odwzajemnił jej gestu. Mimo daru jasnowidzenia wielokrotnie nie potrafiła przewidzieć jego reakcji. Szybko pożałowała swej spontaniczności. Skłoniła lekko głowę i rzuciła oschle:

– Bywaj.

– Bywaj – odparł w podobny sposób.

Szły za rysiem, którego Wężymila zwerbowała na przewodnika. Łowca wiedział, którędy podążają dzięki zwierzęta, i wybierał w miarę bezpieczną dla niewiast drogę, choć sam cel wędrówki zaprzeczał jakimkolwiek bezpieczeństwu, bo celem był Bartus. Nie miały jeszcze żadnego konkretnego planu,

ale miały nadzieję. Nadzieję, że jakoś to będzie. A że Włodzisław nie mógł się pochwalić racjonalniejszą strategią, podążyły ufne w swój instynkt i swoją moc.

- Wcale nie jesteś mu obojętna – Musza nachyliła się ku smutnej Biwii.
- Chciałabym słyszeć ludzkie myśli – odparła Młoda Wiedma, uśmiechając się blade.
- Nie chciałabyś. Wierzaj mi.

Ciekawa była myśli Żegoty. Był tak skryty i mało mówny, nie pozwalał się lepiej poznać. Nie chciała jednak wypyttywać Muszy. Uznała, że to byłoby nadużycie. Nie życzyłaby sobie, żeby ktoś Żegocie zdradzał jej myśli. Spłonełaby ze wstydu. Zarumieniona spojrziała na Muszę. Chyba usłyszała te rozmyślenia, bo pochyliła lekko głowę, spuściła powieki, spoglądając usilnie na ścieżkę tuż pod nogami.

Nocą nie zapalały ognia. Rozłożyły pledy i wtuliły się, ogrzewając nawzajem. Na gałęzi nad nimi czuwał ryś.

- Przestańcie rozmyślać o swych oblubieńcach, bo mam już od tego gęsią skórę – zajęczała Musza. Stłumiony chichot rozniósł się po lesie.
- To czym zająć myśli przed snem? – zapytała rozbawiona Caryczka.
- Co mamy czynić? O tym winnyśmy rozmyślać. Płanetnico, czy zdołałabyś wstrzymać władcę dzikiego zwierza tak jak Madjarów?
- Mogę ubłagać Strzyboga o dar wiatrów, ale widziałas, jak wszystko pustoszą.
- E tam. To chyba nie wstrzyma Bartusa – Młoda Wiedma wyraziła powątpiewanie.
- Co go zatem wstrzyma?
- Śmierć – krótka odpowiedź Caryczki wywołała zadumę. Wiedźmy umilkły i zamyśliły się. Ciszę przerwała Musza.

– Poniechajcie! Już wolę wasze orgie z oblubieńcami!

Próbowały usnąć. Wiedźma, słysząc myśli sześciu sióstr, wierciła się niespokojnie. W końcu zwinęła swój pled i odeszła jak można najdalej, by odpocząć w ciszy. Wdrapała się na drzewo, którego pień rozwidłał się w trzy strony. Tworzyło wygodne, szerokie siedzisko. Zadowolona z wygody i panującej wokół ciszy, otuliła się pledem i wreszcie zaśnęła.

Wtulone w siebie niewiasty obudziły krople rosy, spadające z liści drzewa. Świtało. Wiedźmy chwyciły się za ręce. Wspólny zaśpiew agmy rozgrzał ich serca i ciała. Dołączyła do nich wypoczęta i pełna sił Musza. Sięgnęły po zapasy żywności, posiliły się oskołą z pobliskich brzóz. Ruszyły w dalszą drogę. Ryś jednak był niespokojny. Wskakiwał co chwila na pobliskie drzewa, rozglądał się. Ostrzegał. One też po chwili usłyszały jakieś hałasy w oddali. Postanowiły ukryć się w zielonej gęstwinie, poczekać i sprawdzić co to.

Wydawało się, że tętent koni. Dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy, głośniejszy. Wsluchując się, doszły do wniosku, że jeźdźców nie było dużo. Wyglądało to raczej na podjazd. Ukryte za krzewami czekały cierpliwie. Wreszcie zobaczyły. Znajome szlomy i stroje słowiańskich wojów. Na czele czterosobowego podjazdu jechał brodaty mężczyzna, którego kędzierzawe, szpakowate włosy wymykały się spod błyszczącego hełmu. Żegota.

- Postanowiłeś do nas dołączyć? – Młoda Wiedma wyszła radośnie naprzeciw.
- Nie. Ostrzec – rzucił niespokojnie.

Nagle wokół zawyły wilki. Konie zarżały, stając dęba. Jeźdźcy z trudem zmusili do posłuszeństwa bliskie paniki zwierzęta.

– Wý dwaj na tyły, my w szpic! – zakrzyknął. – Wiedźmy za nami. Kierujemy się na północ.

Grupka, osłaniana przez czterech wojów, ruszyła. Niespokojne konie, spinane boleśnie ostrogami,

szy posłusznie, ale ich pulsujące chrapy wietrzyły niebezpieczeństwo. Ryk niedźwiedzia od północnej strony skutecznie zatrzymał pochód. Tuż obok rozległ się kolejny. Zmienili kierunek. Naprzeciw wybiegła wataha wilków, szykująca się do ataku. Znowu zawrócili. Nie chcieli prowokować zwierząt zbyt gwałtownymi reakcjami. Szli powoli, rozglądając się wokół. Nagle spomiędzy drzew wyłonił się jeźdźca z sokolimi piórami na hełmach. Pośród nich stała potężny tur. Na jego grzbiecie siedział Bartus. Uśmiechnął się zjadliwie i zgrabnie zsunął na ziemię. Przywołał turula. Drapieżny ptak usiadł na wyciągniętym przedramieniu i przechylając głowę, słuchał, co władca ma do powiedzenia. Potem poderwał się i z piskiem podleciał do Zoltana, wbijając szpony w jego karwasz. Madjarski wódz spojrział w oczy turula. Wyglądało, jakby porozumiewali się bez słów. Potem mężczyzna zakrzyknął coś do wojów. Kilku zbrojnych podjechało do otoczonej grupki. Napięli cięciwy łuków. Jeden z łuczników przemówił do nich.

– Chcą, byście oddali broń – przetłumaczyła Dobrawa.

Słowiańscy wojowie spojrzeli pytająco na Żegotę. Przyzwolił skinieniem głowy i rzucił na ziemię topór. Wyjął też miecz i odłożył go. Pozostali trzej poszli za jego przykładem. Madjarowie pobierali broń, potem znowu podeszli, dzierżąc sznury, by spętać jeńców. Przy Żegocie stanęły Dobrawa oraz Planetnica. Widok wiedźm wywołał poruszenie. Madjarscy wojowie zaczęli gorączkowo rozmawiać, wypychać się nawzajem. W końcu jeden z nich podbiegł do Zoltana i coś mu tłumaczył, pokazując na czarownicy. Zoltan dopiero teraz zauważył znajome wiedźmy. Zatraskany przygryzł czarnego węża, odesłał precz turula, spiął konia i osobiście podjechał.

Planetnica i Dobrawa starały się nie okazywać lęku. Wręcz przeciwnie, przyjęły pozy pewnych siebie i wręcz oburzonych. Zoltan je okłamał. Nie zerwał przymierza z władcą dzikich zwierząt. Zatem nie wystraszyły go skutecznie.

Potomkowi mitycznego turula nie w smak było to spotkanie. Honor nie pozwalał mu ulec niewiastom, ale bał się ich.

– Wybaczcie, że was nie usłyszałem, ale wodzowi nie godzi się zrywać wojennych umów – zaczął się tłumaczyć w swoim języku.

– A godzi się łączyć? Sam wybrałeś los dla siebie i swych wojów – zablefowała Dobrawa.

Zoltan nie potrafił już pokryć strachu gniewem. Lęk zdradzał swą obecność w jego wyrazie twarzy, zbyt często mrugających powiekach i nerwowych gestach. Odchrząknął, bo głos mu dziwnie zdrzął.

– Nie sprowadzajcie wiatrów. Nie wezmę w niewolę ani was, ani waszych strażników. Każę was strzec przed krwiożerczym zwierzem.

– Miałaś zerwać przymierze – Dobrawa próbowała wy negocjować najlepsze warunki.

– Zerwanie sprawy, iż zwierze obróci się przeciw nam. Nie zdołam was wtedy obronić.

Dobrawa rozejrzała się wokół. Wilki, niedźwiedzie, rysie, żbiki, tury, dziki tylko czekały na znak, by zaatakować. Miała świadomość, do czego są zdolne w krwiożerczym szale. Naradziła się szeptem z Żegotą. Ten, zdając sobie sprawę z zagrożeń, poprosił wiedźmę, by zgodziła się na te warunki, ale żeby zażądała zwrotu broni.

– Nasi wojowie muszą dla naszego bezpieczeństwa mieć topory, miecze i łuki.

Zoltan zastanowił się chwilę. Zmierzył się wzrokiem ze słowiańskim dowódcą. Żegota jak zwykle ukrył wszelkie emocje, zachowując kamienny wyraz twarzy.

– Zwrócimy im. Muszą jednak przysiąc, że nie użyją broni przeciw nam.

Wiedźma przetłumaczyła warunek Żegocie. Wzruszył ramionami.

– Powiedz mu, że nie możemy złożyć takiej przysięgi, bo obowiązuje nas inna. Chyba że jak oni ją złamiemy.

Dobrawa powtórzyła odpowiedź. Zoltan skinął głową ze zrozumieniem. Nie oddał broni, ale wyznaczył kilku wojów i nakazał im zostać. Potem zwrócił się do Dobrawy:

– Jesteście wolni. Możecie stąd w każdej chwili odejść. Radzę jednak zostać. Moi ludzie będą wasz strzec przed dziką zwierzyną. Aczli oddalicie się, nie ręczę za te bestie – wskazał na rozdrażnione zwierzęta. Nie ja nimi władam – spojrzał znacząco na stojącego w oddali Bartusa. Pociągnął za wodze i ruszył kłusem, dając wojom znak, że kontynuują wyprawę.

Bartus w płóciennym stroju, w łapciach z wierzbowego łyka stał niewzruszenie i spoglądał na siostrę oraz pozostałe wiedźmy. Zastanawiał się, co z nimi począć. Mógł wydać zwierzyńnie rozkaz ataku i żadna straż nie uchroniłaby pojmanyh. Miał ochotę podelektować się widokiem zarozumiałych niewiast błagających o litość, przerażonych widokiem rozszarpywanych i zagryzanych towarzyszek. Nie chciał jednak czynić tego teraz, gdy Zoltan jest blisko. Wolał z nim, w tej chwili, nie zadzierać. Tymczasem oddział Madjarów mijał go, konsekwentnie podążając za swym wodzem. Szkoda mu było stracić widowiska, które się szykowało. Wskoczył więc na tura i popędził ku pierwszym szeregom, by nasycić się widokiem krwi, mającej się wkrótce przelać. Dziką zwierzyną podążała wiernie za nim.

Przyglądający się wiedźmom Bartus wydawał się Biwii kimś obcym. Miała wrażenie, że ma więcej wspólnego z mówiącym w niezrozumiałym języku Zoltanem niż bliźnim bratem. Mur, którym się od niej oddzielił, nie miał już szczeliny ani nawet rys. Teraz była to jednolita, twarda skała. Pochłaniała każdy promień światła i każdy dźwięk. Bartus tkwił samotnie w swojej mrocznej jaźni.

Błada, wręcz poszarzała na twarzy Musza spojrzała ze smutkiem na przyjaciółkę.

– On już jest twoim bratem. To żadna krwi bestia. Dzikie zwierze, który zakosztował ludzkiej posoki.

– Słyszałaś jego myśli? – zapytała bezgłośnie.

– Niestety. Siostry, co uczynimy? – zwróciła się do wiedźm.

– Zakreślmy gwiazdę i okrąg – zaproponowała Dobromiłka.

– Znak wstrzyma wąż, bezkosta, strzygę, ale nie smrodliwego zwierza, co żre i wydalą – skonstatowała Caryczka.

– Nie tylko zwierze jest smrodliwy – oburzyła się Wężymiła. – Ty też żrzesz, wydalasz i...

– I już się spieracie – przerwała Dobrawa. – Nie tego nam teraz potrzeba. Żegota, co chcesz uczynić?

– Winienem dołączyć do drużyny i spełnić swój obowiązek. Z Wiślanii zdążają posiłki, może uda się dotrzeć do nich i odeprzeć wroga.

– Zoltan rzekł, iż jesteście wolni. Strażnicy mają nam zapewnić tylko bezpieczeństwo przed dzikim zwierzem. Ruszajcie więc naprzeciw Wiślańczykom. Zdobądźcie broń i spełnijcie, co do was należy. A my spełnimy to, co należy do nas.

Słowiańscy wojowie powoli oddalali się, obserwując uważnie zachowanie madjarskich strażników. Ci jednak pozwolili im odejść. Karnie i bez szemrania wypełniali rozkazy swego wodza. Pilnowali tylko, by żadne dzikie zwierzę nie zbliżyło się do niewiast.

– Siostry, stwórzmy gwiazdę w okręgu i przywołajmy wszystkie nasze moce. Znak nie uchroni nas przed zwierzem ani człkiem, ale bies, który zamieszkał w bracie Młodej Wiedmy, to demon. Zły tędy nie przejdzie – Dobrawa okazała się najrozsądniejsza spośród czarownic.

Wiedźmy zgodnie skupiły się wokół starego dębu. Szeptaly zaklęcia, kijami i kozikami żłobiły w darni i mchu pentagram, a wokół niego zakreślały okrąg. Dbały, żeby linia żłobienia była głęboka i ciągła. Pracując, rozmyślały o ludziach, których napotykały na swej drodze. O tych, którzy dzierżyli władzę, a jednocześnie odpowiedzialność za innych. O ludzkich wyborach. A także o tym, jakie decyzje powinny podejmować one, obdarzone darem magii.

– Wszystkie wraz myślicie to samo, tego samego się boicie – nie wytrzymała Musza. – Aby pokonać Bartusa, trza wspierać tego cietrzewia Włodzisława. Zoltan okazał więcej troski niż ten nieopierzony kurak. Mamy źle życzyć Madjarowi, który kazał nas strzec? Skłamał, ale w następstwie okazał pokorę. On jednak jest w przymierzu z władcą dzikiego zwierza. By pokonać Bartusa, musimy pokonać Zoltana. A Żegota? Wszystkie chcemy go wesprzeć. Posyłając jemu moc, posyłamy takąż butliwemu kneziowi.

Poprzedni optymizm wiedźm gdzieś przepadł, konieczność wyboru stała go na proch. Uświadamiały sobie coraz wyraźniej, że nie każdy dar zapewnia powodzenie. Nie każde powodzenie jest zwycięstwem. Nie każde zwycięstwo jest po właściwej stronie. I czy w ogóle którakolwiek strona jest właściwa?

– Mogłabym wnieść modły do Strzyboga i uprosić wsparcie – dodała Planetnica. – Ale pragnąc wyplenić to, co złe, zniszczyły też co dobre. Godzi się tak czynić?

Nie, nie miały wewnętrznego przekonania, że powinny wspierać jedną ze stron. Oddały się w opiekę Świętemu Dębowi, łącznikowi Nieba i Ziemi, przeciwieństw stanowiących jedno, nierozzerwalnych jak dobro i zło.

W stanie ciągłych rozterek zastała je noc. Znużone i zniechęcone do jakichkolwiek działań, czekając biernie na dalszy rozwój wydarzeń, usnęły. Tylko Musza męczyła się bombardowana ich myślami i niespokojnymi snami. Udręczona stanęła na krawędzi pentagramu, przyglądając się opalizującym w świetle ognia kamieniom, ułożonym przez Caryczkę w rogach pięcioramiennej gwiazdy. Przemogła się i przekroczyła granicę znaku. Nic się nie stało. Madjarscy wojowie nawet nie zauważyli, jak po cichu oddalała się w głąb lasu.

Nocujących wokół dębu obudziły odgłosy walki. Dźwięk trąb, krzyki, ryk i skowyt zwierząt, szczęk broni. Wilgotne powietrze niesło ten wojenny dysonans wraz z ułudą, że wszystko rozgrywa się tuż obok. Wydawało się, że tylko mrok nocy nie pozwalał dojrzeć makabrycznych scen. Bartus z Zoltanem nie czekali z rozpoczęciem walki do świtu. Władca dzikich zwierząt spieszył się. Postanowił wykorzystać przewagę, jaką daje mu ciemność, by resztę powierzyć madjarskim wojom w świetle dnia.

– Dodajmy sił Żegocie i tym, którzy nas chcieli ratować – poprosiła Biwia, ściskając w pięści bizantyjską gemmę, którą woj jej ofiarował.

Posłuchały jej. Pełne powagi i skupienia witały świt zakłęciami, wzmagającymi witalność, siłę fizyczną i hart ducha dzielnych wojów: młodego Stańka, Żegoty i innych druhów.

Słońce nie spieszyło się na nieboskłon. Niepewnie się wspinało, obserwując w zdumieniu krwawe starcie ludzi i zwierząt. Zgorszone widokiem, okryło się zasłoną gęstej mgły.

Był środek dnia, gdy bitewne hałasy zaczęły milknąć. Wiedźmy widziały od czasu do czasu przemykające zwierzęta. Niektóre ranne padały, wydając pełne żalości skargi, inne pędziły na oślep w śmiertelnym amoku. Także te, ociekające czyjąś krwią, pierzchały gdzieś w głąb boru.

Czarownice martwiły się o Muszę, która do tej pory do nich nie dołączyła. Nie wiedziały, gdzie się ukryła przed ich myślami.

Widząc umykającą zwierzynę, miały nadzieję, że Bartus nie utracił swych pozycji w bitewnym zamieszaniu. Jednak widok Zoltana, który z dumą zmierzał w ich kierunku, wiodąc na postronku jeńca, pozbawił je złudzeń. Dopiero z bliska rozpoznały, że przywiązany do konia młodzieniec to sam książę Wiślanii. Bez butów, w rozchełstanej koszuli, poplamionej krwią i błotem, nie przypominał dumnego knezia, jakiego znały.

– Rzeknij mu – Zoltan zwrócił się do Dobrawy. – Niech wyśle podjazd do idących w sukurs

z Wiślanii i nakaże im odwrót. Uczyni zadość, daruję mu jego nędzny żywot. Odmówi, konie rozczłonkują jego ciało.

Młody kneź wysłuchał warunku postawionego przez zwycięzcę. Spojrzał ponuro na Zoltana i zgromadzone wiedźmy. Milczał. Madjar nie patyczkował się z jeńcem. Pociągnął za powróż i twarz księcia poczuła twardą podeszwę skórzanego buta. Włodzisław oblizal koniuszkiem języka popękane, ociekające krwią wargi.

– Tak uczynię – odparł niechętnie.

Zoltan uśmiechnął się triumfalnie. W tym momencie pośród trzasku gałęzi i przy głuchym dudnieniu kopyt wyłonił się z gęstwiny tur, a na jego grzbiecie kolejny triumfator, Bartus. Za nim podążały bezszelestnie rysie i żbiki. Oczy władcy zwierząt błyszczwały z podniecenia. Trzymał w ręku roztruchan²⁸ z ludzkiej, nieoczyszczonej z resztek mięsa i skóry czaszki. Wychlapująca się z niego krew ściekała mu po palcach. Zjechał po grzbiecie pokornie schylonego byka i ruszył pewnym krokiem w stronę wiedźm. Szybko odnalazł wśród licznych niewieścich spojrzeń równie bursztynowe oczy jak jego. Skierował kroki wprost do Biwii. Nagle zachwiał się, z trudem łapiąc równowagę, z kielicha chlunął krwisty napitek. Zdziwił go opór powietrza, na który trafił, jakby uderzył w niewidzialną ścianę. Myślał, że to tylko jego imaginacja, że odurzył go nadmiar ludzkiej krwi, którą raczył się jeszcze, zanim wzeszło Słońce. Znów postąpił naprzód i zderzył się jakby z zakrzepłym powietrzem. Zdezorientowany rozejrzał się. Jego uwagę przykuł wydrążony w ziemi znak pentagramu, dotykający wszystkimi pięcioma ostrymi kątami okręgu. Zrozumiał, że nie przekroczy granicy znaku. Zawył z wściekłości.

Wtem spomiędzy drzew wybiegła przerażona Musza. Powód jej nieoczekiwanego pojawienia wkrótce się wyjaśnił. Ścigał ją niedźwiedź. Bartus odłożył na ziemię makabryczną czaszę i chwycił wiedźmę. Zwierz na widok władcy zaprzestał pościgu i porykując z niezadowoleniem, wycofał się, zostawiając pulchną niewiastę w rękach swego pana. Bursztynooki chwycił Muszę za czarne, rozczochrane włosy. Drugą ręką wyciągnął matowy od krwi sztylet i przyłożył do jej szyi.

– Chodź tu! – rozkazał siostrze. – Albo wypełnię roztruchan jej krwią.

Młoda Wiedma, trwająca z siostrami w nieustannym splocie dłoni, puściła je i wstała. Wpatrywała się w schwytaną przyjaciółkę. Przerażenie Muszy wskazywało, że Bartus rzeczywiście o tym myśli i gotów jest spełnić groźbę. Wyszła więc poza znak. Brat nie puścił jednak niewiasty. Skinął głową w stronę stojącej na ziemi czaszy.

– Pij!

Dziewczyna podeszła do ludzkiej czaszki. Nie sposób było rozpoznać, do kogo należała. Podniosła urągający ludzkiej godności roztruchan. Krew uderzyła niewielką falą o jego brzegi.

– Puść ją, wtedy się napiję.

Po chwili namysłu pchnął swą zakładniczkę. Upadła twarzą do ziemi. Jej ręce i piersi leżały w obrębie pentagramu, nogi zaś poza jego obrębem. Musza, wypluwając grudki ziemi, krzyknęła:

– Nie rób tego!

Sztylet Bartusa zakręcił w powietrzu młynek i poleciał w kierunku krzyczącej. Kolejne wydarzenia potoczyły się lotem błyskawicy.

Rzucone ostrze zawisło w gęstej ścianie powietrza na granicy pentagramu, po czym zsunęło się, raniąc leżącą wiedźmę w nogę. Musza z krzykiem przeturlała się w bezpieczną przestrzeń. Tymczasem jeden z towarzyszących rysi skoczył znieuacka na plecy Bartusa i zatopił kły w jego szyi. Ten stracił równowagę, odzyskując ją dopiero, gdy kolana dotknęły ziemi, a rysia oderwała od jego ciała dwa inne rysie. Biwia momentalnie upuściła czaszę. Krew wylała się, szukając ujścia w wydrążonym rowku

wyrytego w ziemi znaku. Wyciągnęła drewniane naczynko z sakiewki, odrzucając w pośpiechu drewniany koreczek. Tyle zdążyła uczynić. Ręka Bartusa zawinęła się wokół jej włosów, druga unieruchamiała przegub dłoni, w której dzierżyła drewniane pudełko z tojadem. Dziewczyna zastygła w oczekiwaniu. Tymczasem ryś bezskutecznie odpierał atak dwóch przeciwników. Poraniony wy dostał się w końcu spod ich łap i umknął.

– Nie oddawaj mu eliksiru życia! – krzyknęła niespodziewanie Musza.

Bartus spojrział na naczynko w dłoni Młodej Wiedmy. Miał właśnie ścisnąć przegub siostry, by wypadło na ziemię. Teraz zmienił zamiar.

– Daj mi je! – zażądał.

Puścił jej dłoń. Podała mu, trzymając ostrożnie w dwu palcach.

– Dekielek!

Spojrziała wymownie na ziemię, gdzie leżała drewniana zatyczka. Poluzował nieco uchwyt na jej włosach. Powoli przyklęknęła, szukając po omacku dekielka. Nie mogła pochylić głowy. Wciąż zbyt mocno ciągnął ją za włosy. Zirytowany nieporadnymi próbami znalezienia zatyczki puścił ją. W tym momencie wyszarpnęła z pochewki przy pasie kozik i wraziła go w bok brata. Nie czekając, rzuciła się do ucieczki w obręb znaku. Przyklęknął zaskoczony bólem. Rana nie była głęboka. Wyciągnął nóż i obejrzał go z drwiną. Rozmiary narzędzia nie wyglądały na groźne. W drugiej ręce nadal trzymał naczynie z tojadem. Zanurzył w nim palec i przyłożył do rany w boku.

Z głębi lasu wypadło dwóch madjarskich jeźdźców. Przekazali wodzowi, że zbliżają się posiłki z Wiślanii. Tę samą wiadomość niesły rysie wracające z pościgu za śmiałkiem, który zaatakował ich pana.

Niezadowolony Zoltan pociągnął postronek i w złości znów kopnął jeńca. Zadał w róg i skierował się w stronę, z której przybyli posłańcy, zmuszając przywiązanego Włodzisława do biegu. Zewsząd rozległ się tętent koni. Madjarscy wojowie grupowali się.

Bartus przyjrzał się z niedowierzaniem granatowej maści, schylił się, podniósł dekielkę i zamknął naczynko. Wrzucił do sakiewki przy pasie. Podniósł się z trudem. Dotknął piersi w okolicach serca, jakby sprawdzał jego uderzenia.

– Serce przyspiesza – szepnęła Caryczka. Może nie specjalizowała się w ziołarstwie, ale działanie trucizny miała opanowane perfekcyjnie.

Bartus wskoczył na tura, jakby nie miał w boku i na szyi dotkliwych ran, które zakrwawiły mu prawie całą płócienną tunikę.

– Mordownik chwilowo uśmierzył ból – komentowała po cichu Caryczka.

W oddali rozległ się dźwięk rogu. Nieco inny. Młoda Wiedma była pewna, że to Żegota. Po chwili wiedźmy zostały same. Wołały nie wychodzić poza obręb znaku. Łamały gałęzie Świętego Drzewa, prosząc je o wybaczenie oraz ochronę, i wrzucały do ognia. Przed niektórymi zwierzętami mogły się schronić w konarach dębu, ale też nie przed wszystkimi. Tymczasem znów chwyciły się za ręce, by wspierać duchowo Żegotę.

Ponownie echo niesło po lesie odgłosy walki. Usłyszały zbliżającego się jeźdźcę. Myślały, że to Madjar, bo ich konie były większe i cięższe w porównaniu z tymi, na których jeździli Słowianie. Jeździec wyłonił się wreszcie z leśnej gęstwiny. To był Stańko na zdobycznym koniu.

– Żegota mnie posłał, bym sprawdził, czyście bezpieczne.

Caryczka podbiegła do przybysza i chwyciła za wodzę. Podała mu bukłak z wodą.

– Mów, co się dzieje!

– Nie poszliśmy do Włodzisława, tylko naprzeciw posiłkom. A posiłki spore. Żegota przejął

dowodzenie.

– A kneź? Kazał się wycofać, jak mu kazał Zoltan?

– Kazał, ale dowódca głupi nie jest. Odmówił – Stańko przerwał na chwilę, bo w ustach mu zaschło. Pociągnął parę łyków i zwrócił się do Młodej Wiedmy: – Twemu bratu coś się stało, osunął się z grzbietu tura i ciężko dycha. Jęczy, rozdrapuje ziemię. Dziki zwierz atakuje naszych, ale łatwo i szybko się rozpierzcha. Nie ma komu nim kierować. Jesteśmy dobrej myśli.

– Wracasz do Żegoty? – znów wtrąciła się Caryczka.

– Nie. Rozkazał tu zostać i pilnować was.

Czekali niecierpliwie na dalszy rozwój wydarzeń. Młoda Wiedma chciała wprowadzić się w stan jasnowiedzenia, ale nie mogła. Tam niedaleko umierał jej brat. Spoglądała z niedowierzaniem na swe dłonie. Zawsze ratowały ludzi, teraz niosły śmierć. I to czyją? Niegdysiejsza dusza jej duszy, powiernik wszystkich myśli, lustrzane odbicie. Jak to było dawno! Jako dziecko oddała się na służbę Wiedmie, żeby go ocalić. Teraz pragnęła jego śmierci. Wraziła mu pod żebra nóż i z premedytacją milczała, patrząc, jak wprowadza morderczą truciznę do rany.

Zabiła go. Czują, że odbierając mu życie, odebrała je też sobie. Tego nie potrafi zrozumieć nikt, kto nie ma bliźniego rodzeństwa. Nadal będzie chodzić, mówić, płakać, a nawet się śmiać, dla innych żywa, w rzeczywistości półmartwa. Zrozumiała, że jest już kimś zupełnie innym niż wtedy, gdy Wiedma przeprowadzała ją przez obrzęd inicjacji. Młodzieńcze złudzenia gdzieś przepadły, utraciła coś na zawsze.

– Czas, byś wzięła nowe imię. Tyś już nie młoda. Wiedmo – Musza podeszła do przyjaciółki i ucałowała ją.

Pozostałe czarownice nie musiały słyszeć jej myśli, by zrozumieć, co się dzieje. Podchodziły i nowym zawołaniem „Wiedmo” utrwalały przemianę siostry, pieczętując ją pocałunkiem.

Powrót



Ogniska rozpalone wokół Świętego Dębu rozgrzewały ciała i dusze zmęczonych po bitwie wojów. Naprawiali swój rynsztunek, oglądali zdobycze wojenne, ostrzyli miecze i topory. Pieczone nad ogniem mięso i napitek nosły ukojenie dla ciała. Wiedźmy pomagały rannym przyżęgać i opatrywać rany. Martwym budowano stosy. Brakowało w obozie atmosfery triumfu, radości. Nie było zwycięzców i nie było przegranych. Wprawdzie wojowie z Wiślanii przechylili szalę zwycięstwa na swoją stronę, ale Żegota zrezygnował z ostatecznego rozbicia wrogich sił. Zgodził się na ponowne pertraktacje, by ocalić Włodzisława przed męczeńską śmiercią. Zoltan wydał żywego księcia w zamian za zawarcie układu pokojowego. Madjarowie wycofali się, zajmując wzgórze nieopodal Sanu.

Kneź siedział w swym namiocie i przetrwał własną hańbę. Miał świadomość, że utracił poważanie wśród wojów. Widzieli go prowadzonego na postronku, słyszeli, jak chcąc ratować własne życie, żąda od nich poddania się. Wojowie potrafili wybaczyć okrucieństwo, bezwzględne dążenie do władzy, rzucanie na szalę ich życia dla spełnienia mrzonek, nawet błędy w dowodzeniu, ale nigdy nie okazał szacunku komuś, kto skomli o zachowanie go przy życiu. Jego wojna już się zakończyła. Czekał go powrót. W sromocie.

Misja, której podjęły się czarownice, też już dobiegała końca. Wiedźmy zatarły fragment wyżłobionego na ziemi znaku i przeciągnęły władcę zwierząt w obręb gwiazdy wpisanej w koło. Potem skrupulatnie odtworzyły ciągłość linii, obawiając się, że bies może opuścić ciało umierającego i wejść w innego nosiciela. Bartus leżał w niewielkiej kałuży krwi i chwycił ostatnie hausty powietrza. Nikt mu nie udzielał pomocy. Uwięziony demon na próżno próbował ratować jego siły życiowe. Sam robił się coraz słabszy. Nikt się do znaku nie zbliżał, nawet wiedźmy, które zabezpieczyły się przed złymi mocami zielem, magią kamieni, rytuałem zawiązywania i zaklęciami. Władca dzikich zwierząt umierał w samotności.

Jedynie Wiedma klęczała nieopodal pięcioramiennej gwiazdy i prosiła Święty Dąb o siłę i mądrość. Naznaczona przez samego Peruna modliła się do drzewa o wstawiennictwo. Skromna żertwa z posiłku, który jej przyniesiono na wieczerzę, leżała tuż obok. Mimo doskwierającego głodu odmówiła sobie jedzenia, składając je w ofierze. Wiedźmy nie przeszkadzały jej w modlitwie. Każda z nich miała swojego orędownika, któremu oddawała cześć lub do którego zwracała się w razie potrzeby o pomoc. Rozumiały, co przeżywa ich siostra. Obok umierał jej brat. Umierał człowiek, któremu zadała śmierć.

Zatopiona w kontemplacji nagle poczuła na plecach i ramionach piekący ból. Miała wrażenie, że jej suknia płonie i przywiera do ciała. Zdarła odzienie, rzucając je obok. Płócienny materiał mocno zmięty

i brudny wyglądał zwyczajnie. Ból nie zelżał ani na chwilę, tylko gorącym strumykiem rozchodził się na kształt rozłożystego drzewa.

Do Wiedmy podbiegły Musza i Wężymiła. Zdziwione spoglądały na pulsujące pod pergaminową skórą Perunowe znamię na plecach siostry. Krwiste ścieżki jakby ożyły, wypełniając się wartkim nurtem posoki niczym strumienie po burzy. Drzewo, wryte niegdyś przez piorun, zaczęło tętnić swym własnym życiem. Piekący ból stawał się nie do wytrzymania. Wiedma miała wrażenie, że za chwilę rozerwie jej skórę, że ożywione konary wypuszczają bolesne pędy. Nie krzyczała, nie skarżyła się, tylko słony smak w ustach uświadamiał jej, że płacze.

Nagle zabłysnął piorun. Zanim usłyszeli grzmot, wydawało się, że doszedł do ich uszu rozdzierający głos turula. Błyskawica, ściągnięta przez Święte Drzewo, przemknęła wzdłuż jego pnia, zostawiając smolistą brudę, i umknęła do korzeni, rozrywając nad nimi ziemię. Ogłuszeni hukami, rozglądali się zdziwieni. Wiedma nadal klęczała naga, znak koła i pentagramu był przerwany. Wtem ogromny ptak załopotał skrzydłami i odleciał, szukając schronienia na innych konarach.

– Bies umknął – wyszeptła Musza, spoglądając na przerwana piorunem granicę.

Wężymiła obróciła twarz ku drzewom. Wsłuchiwała się w dźwięki lasu.

– Odleciał w ciele turula.

W tym momencie ptaszysko wydało ostry pisk, wznosząc się wysoko ponad korony drzew.

– Bartus umarł – Wiedma oderwała uwagę wiedźm od potężnego ptaka. Nie klęczała już przed znakiem, pochylała się nad ciałem brata. Jego aura rozplywała się powoli w szarości zmierzchu.

Ktoś ją nagle odepchnął. Zobaczyła nagie, kobiece ciało kładące się na ciele zmarłego. Dopiero po chwili rozpoznała, kto to. Dobromiłka przyłożyła twarz i dłonie do piersi Bartusa. Emanowała tak intensywną aurą, że jej skóra wydawała się rozświetlona. Wiedma widziała, jak jej własna energia życiowa drobnym pyłkiem niczym delikatna poświata Księżycy wędruje do tych dwojga. To samo działo się ze stojącą w pobliżu Muszą. Pozostałe wiedźmy, które incydent z piorunem sprowadził pod Święte Drzewo, podeszły bliżej i chwyciły się za ręce. Dobromiłka ściągała niczym magnes barwy ich aury. Pozwalały na to. Wiedziały, że sama nie ma wystarczająco siły, że dla niej jednej to zbyt niebezpieczne. Wreszcie zobaczyły, jak różnobarwna poświata tworzy kształt leja. Powoli, drobnym pyłkiem ściąga rozproszoną aurę zmarłego. Ta rozchodzi się po jego ciele, emanując wyblakłym, ledwie dostrzegalnym przez wiedźmy światłem.

Pierwszy oddech był krótki i rżący niczym haust wody wlany w spieczone pragnieniem gardło. Dobromiłka zsunęła się z piersi Bartusa, uwalniając go od ciężaru. Pozbawiona sił, skuliła się obok jak płód w łonie matki. Żegota, który przyglądał się całemu zajściu, okrył ją swym płaszczem i podniósł. Trzymał ostrożnie, spoglądając z niepokojem na jej zamknięte oczy i bezwładnie zwisającą głowę. Oddychała. Powoli, płytko, ale oddychała. Zaniósł ją do namiotu i ułożył na posłaniu.

Pozostałe wiedźmy, mimo że też osłabione, nie zasypiały gruszek w popiele. Caryczka, podobnie jak kiedyś ratowała swą uczennicę, tak i teraz, zaklinając magiczne kamienie, układała je na ciele półprzytomnego Bartusa. Wiedma udała się po zioła, które jej zostały w tobołku: krwawnik, pokrzywę i liście babki. Dobrawa natomiast zawołała Stańka.

– Widziałam, jak raczyliście się madjarskim winem. Potrzeba nam dużo tego napitku, najlepiej białego. To jedyna odtrutka na mordownik.

Stańko pobiegł po trunek.

– Wywar z jaszczurek też skuteczny – przypomniała Wężymiła.

– Tylko skąd wziąć teraz jaszczurki? – uśmiechnęła się Dobrawa.

– Siostry! – zawołała Musza. – Wydaje mi się, że go słyszę.

Przyklękła obok chorego, przyłożyła dłonie do swoich skroni, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć albo skupić się na czymś. Uśmiech rozjaśnił jej pucułowatą twarz.

– Myśli! Wrócił! Brat Wiedmy wrócił do nas!

Rozstania



Po wiosennych Dziadach ruszamy do Wiślanii.

Była to zwykła, podana beznamiętnym tonem informacja, rzucona w przestrzeń do wszystkich wiedz. Żegota nawet nie spojrział w stronę Wiedmy. Ona, milcząc, udała, że jej to nie dotknęło.

– To już jutro – stwierdziła Wężymiła. – Na nas też czas. Nie jesteśmy już wam potrzebne.

– Zawsze jesteście potrzebne.

Od czasu ostatniej bitwy Księżyc już zdołał nabrać ciała, wojowie odpocząc, rany zasklepić się.

– Ostawię ci konia i wóz. Twój brat nie da rady powrócić do domu o własnych siłach – Żegota tym razem zwrócił się bezpośrednio do Wiedmy.

Skinęła głową. Bała się odezwać, żeby nie załamał jej się głos. Nie chciała okazywać słabości.

– Siostry – odezwała się Dobrawa – przygotujmy strawę dla nas i naszych przodków oraz pozostałych zmarłych. Będzie to też nasza uczta pożegnalna.

Wiedzmy przyznały jej rację i rozeszły się, by wziąć się do pracy. Musza nie spieszyła się. Poczekala, aż wszystkie odejdą, i zbliżyła się do Żegoty.

– Z jakiej przyczyny ją odpychasz? Myślisz o niej cały czas, masz dla niej tyle ciepła, a okazujesz tylko chłód. Czegoś się boisz i usilnie to skrywasz.

– To, że grzebiesz w mojej głowie, nie daje ci prawa do takich pytań – odburknął i ruszył do wozów, by sprawdzić, jak wojowie są przygotowani do wyprawy.

Wiedma udała się do Bartusa. Leżał w namiocie blady, melancholijny. Niewiele ze sobą rozmawiali. Tylko tyle, ile wymagała tego konieczność. Chyba łatwiej było zabliznić rany w boku i na szyi niż tę w duszy. Dawną więź też trudno było odnowić, jeśli to w ogóle było możliwe. Młody mężczyzna powoli uświadamiał sobie, jak daleko pozwolił biesowi sobą zawładnąć. Wiedma nie potrafiła ocenić, na ile rozmiary zła, które wyrządził, były jego udziałem, a na ile biesa, który go opętał. Nie potrafili jeszcze o tym rozmawiać. Postanowiła na razie zabrać go do siebie na Ostrowie, uleczyć jego ciało. Co potem? Nie miała pojęcia. Widziała, że mimo wszystko w bracie pozostała jakaś niechęć do ludzi i sentyment do zwierząt. Nie chciał leżeć na miękkich owczych ani jelenich skórkach, tylko prosił o siennik z wysuszonego mchu. Odmawiał spożywania mięsa. Gdy odwiedzali go ludzie, odwracał się z niechęcią i udawał, że śpi. Długa droga była przed nimi, choć do domu niedaleko.

Do namiotu wszedł Żegota. Wiedma pochyliła się nad ziołami, wysypując je z woreczków, przekładając bez ładu i składu. Chrząknął, jakby chciał zwrócić uwagę na swą obecność.

– Wiesz, że moja droga prowadzi do Wiślanii.

– Każdy sam sobie obiera drogę – odparła wymijająco. Chciała mu powiedzieć, że przecież mógłby zostać, że wysłużył swoje, że nie musi być taki posłuszny wobec knezia, zwłaszcza, że ten nie wykazał się jako wódz. Uznała jednak, że to jego decyzja, a jej nie pozostaje nic innego, jak ją uszanować.

– Kiedy polecisz na sabat, będę na ciebie czekał – znów chrząknął zmieszany.

– Nie przyleć do ciebie – odparła, wpatrzona w ziola.

– Z jakiej przyczyny?

– Bo maść czarownic może mnie zanieść tylko w miejsca, które znam. W Wiślanii nigdy nie byłam.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Myślał, że usłyszy wyrzuty, pretensje.

– Gdybyś mogła przylecieć, zrobiłabyś to?

Milczała przez chwilę. Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Pomyślała, że teraz są niebieskawe, choć jak zawsze zmęczone.

– A jakie to ma znaczenie, kiedy nie mogę?

Zmieszał się, pochylił głowę, bezmyślnie zakładając za ucho skręcone kosmyki włosów.

– Masz rację.

Wyszedł pospiesznie. Oczy Wiedmy zaszyły słonawą mgłą. Napotkała spojrzenie Bartusa. Nie miała pojęcia, o czym myśli. Milczał.

Po południu wojowie i wiedźmy zasiedli przy ogniskach, które palili ku czci zmarłych. Spożywali mięso, polewkę, ptasie jaja. Każdy po kolei wstawał i część pożywienia wrzucał do ognia, wspominając osobę, która już odeszła do Nawii. Gdy przyszła kolej Żegoty, podniósł się i zamiast podejść do ogniska, by wypowiedzieć imiona osób zmarłych, odwrócił się i odszedł w gęstniejący mrok lasu. Poszła za nim Musza.

– To znowu ty? – spytał z wyrzutem. – Za mało o mnie wiesz? Nie wystarczy ci, że znasz myśli wszystkich wokół?

– Winisz się. Przecie przybyłeś do osady je ratować. Sam omal nie zgorzałeś, szukając dzieciątka w požodze.

– Nie upilnowałem ich.

– Walczyłeś. Wszystko, co wiem, znam z twych myśli, więc to wszystko wiesz ty sam.

– Wyrzucam z głowy te wspomnienia i poczucie winy. Ale z tym się nie da walczyć.

– To nie umykaj, jeno zmierz się z tym jak z wrogiem. To ja mam cię uczyć walki? Tyś jest wojem.

Wróciła do zebranych. Wypominki trwały. Dziesiątki cudzych słów, myśli, wspomnień huczały w jej głowie. Ich natłok nie pozwalał na własne reminiscencje. Ponownie uderzył ją obraz drastycznych wspomnień Żegoty: walki, pożaru, widoku zamordowanej niewiasty i martwego dziecięcia w kolebce. Rozejrzała się. Stał przy ognisku. Wyjął bukłak, otworzył i zaczął wylewać jego zawartość. Ogień buchnął w górę ze zdwojoną siłą.

– Bogumiło i Dorawko, obyście nalazły spokój. I, aczli to możebne, wybaczcie.

Równie przerażające obrazy zawładnęły Muszą z innej strony. To Wiedma spoglądała na ogień. Wróciły wspomnienia śmierci Jarowara.

– Nawet nie wiesz, jak dużo was łączy – Musza pochyliła się ku Żegocie, który usiadł obok niej.

– Nas?

– Ciebie i Wiedmę.

Nie odpowiedział. Zresztą nie musiał. Musza i tak słyszała jego myśli.

– Krzywdzisz ją i siebie.

– Skrzywdzę, jeśli jej pozwolę przywiązać się do mnie.

– Ona mogłaby ciebie przywiązać do siebie na zawsze, gdyby tylko chciała.

- Widać sama czuje, że nie powinna.
- Nie. Chce, żeby to był twój wybór.
- Ostaw mnie, proszę – wstał, dając do zrozumienia, że nie chce kontynuować rozmowy.

Musza westchnęła. Nawet znajomość ludzkich myśli nie pozwala czasem zrozumieć motywów ich postępowania.

– Poczekaj! – zawołała. Zatrzymał się niechętnie. – Chodzi za tobą jakaś niewiasta! Znałeś ją? Ma tutaj myszkę – wskazała na lewy policzek. – Zdaje się, że nie wypomniałeś jej przy ogniu.

Żegota rozejrzał się zaniepokojony. Nie zobaczywszy żadnego ducha, machnął ręką i szybkim krokiem się oddalił.

– Żegota cię usłucha?

Wiedma odwróciła głowę w stronę, skąd padło pytanie. Siedziała obok niej niewiasta w białym zawoju na głowie i ciemną myszką na policzku.

- Nie – odparła ze smutkiem.
- A kogo usłucha? – kobieta nie dawała za wygraną.
- On słucha tylko knezia.
- To pójdę do niego.

Niewiasta zniknęła. Po chwili Wiedma zobaczyła ją przy księciu siedzącym samotnie przed swoim namiotem. Mówiła coś do niego. Nie widział jej ani nie słyszał. Zatroskana powróciła do swej rozmówczyni.

- Możesz przekazać coś kneziowi?
- Tak.
- Niech każe Żegocie czym prędzej wracać do Wiślanii. Dziecię potrzebuje ojca.
- Jego córka ponoć już w Nawii.
- Ja o synu powiadam.
- Nie mówił, że ma syna.
- Bo nie wie o tym. Musi go najść i wziąć pod ojcowskie skrzydła.

Zdziwiona wieścią Wiedma rozejrzała się za Żegotą. Nie dostrzegła go przy żadnym ognisku.

- To trza rzec Żegocie, a nie kneziowi.
- Mówiłaś, że cię nie usłucha.
- Obaczymy.
- Rzeknij, aby rozpytywał o czędę Natolki.
- Rzeknę mu. I nie frasuj się, oni nazajutrz ruszają do Wiślanii.
- I niech wie, że... że ja go nie winię. Ino niech o dziecię ma staranie.

Wiedma wyjęła płonąca żagiew i ruszyła w las szukać Żegoty. Ból duszy, który ją dręczył od wielu dni, złagodniał. Wiedziała, że i tak utraci ukochanego, ale teraz łatwiej było jej się z tym pogodzić.

- Czego szukasz w borze? – zastąpił jej drogę. Nie widziała go dobrze, uniosła wyżej żagiew.
- Ciebie. Mam ci przekazać wieść od Natolki.

Poruszył się niespokojnie. Przestąpił z nogi na nogę, skrzyżował na piersiach ręce.

- Co ci rzekła?
- Syna ci ostawiła. Chce, byś go znalazł i mu ojcował.

Zapadła cisza.

- Coś jeszcze?
- Że cię nie wini. Tyle mi rzekła. Więcej nie pytałam.
- Mam syna – jakby sam siebie upewniał. – Prawdali to?

- Duchy nie lżą.
- Jak i gdzie mam go najść? Ja nic nie wiem. Zapytaj, proszę.
- Nie przyszła tu ze mną. Może nadal przy ogniskach czeka.

Wziął z jej ręki żagiew, objął ją i ruszyli do obozu. Wiedma nie wypytywała, choć intrygowała ją ta historia. Chciała, żeby opowiedział jej z własnej woli.

Obeszli cały obóz. Wiedźma wypatrywała niewiasty z myszką. Jednak na próżno. Żegota coraz bardziej był zatroskany. Miał nadzieję, że otrzyma jakieś wskazówki, rady. Nie miał pojęcia, od czego zacząć poszukiwania. Usiedli obok siebie. Blisko.

– Gdy śmierć zabrała Bogumiłę, nie chciałem już żadnej śwaćby – zaczął niespodziewanie. – Natolki nie miłowałem, nigdy jej niczego nie obiecywałem. Wiedziała o tym i zgadzała się. Moim stadłem była družyna.

Po raz pierwszy Żegota mówił o sobie, po raz pierwszy mówił tak dużo, jakby postanowił nagle wszystko z siebie wyrzucić.

– Gdy powrócił z wyprawy, nie przyszła na powitanie, jak to miała w zwyczaju. Powiadali, że opuściła gród z jakimś kupcem. Nie obeszło mnie to nawet. Potem przyszły wieści, że jej ciało znaleźli na brzegu rzeki. Ale baby o dziecięciu nic nie plotły.

– Najdziesz je – cóż więcej mogła mu powiedzieć? Teraz już nawet nie próbowałaby go zatrzymać. Ale też żał do niego gdzieś zniknął. Po raz pierwszy otworzył się przed nią. Jakby zaprosił ją do swego życia. Po raz pierwszy pozwolił jej na bliskość nie tylko fizyczną. Dotknęła jego dłoni. Chwycił ją i przytulił do swej twarzy. Spojrzył na nią z niemym pytaniem. Jego oczy w świetle ognia wydawały się zielonkawe. Uśmiechnęła się i dotknęła ustami jego warg. Wiedział, że już nie musi pytać. Czują jego pożądliwe pocałunki na całej twarzy. Przyciągnął ją do siebie i poprowadził do namiotu. Rozstawali się pogodzeni ze sobą i swym losem.

Tej samej nocy wiedźmy powróciły do swych siedzib. Caryczka w góry, Wężymiła i Musza do lasów, Dobromiłka do rodzinnej wioski, Planetnica do świątyni Strzyboga, a Dobrawa do pałacu. Misja została wypełniona. Brat Wiedmy ocalony. Przyjaźń na dobre i złe zadzierzgnięta.

O świcie Wiedma prowadziła za uzdę zaprzęzonego do wozu konia. Co chwila dotykała ze wzruszeniem zawieszanej na szyi gemmy, jakby obawiała się, że ją zgubi. Spoglądała też często z troską na Bartusa, uparcie milczącego, leżącego z przymkniętymi oczami. Obok niego pobrzękiwały dwie grzywny siekieropodobne, które na odchodnym dał im Żegota. Kierowali się w stronę źup solnych. Za jedną z grzywien czarownica chciała tam nabyć beczkę soli. Była to winna prastaremu wodnikowi.

Wieczorem San powitał ich jak zawsze rześkim, wartkim nurtem. Ustawiła konia tak, by wóz częściowo stał w wodzie, gdyż beczka soli była zbyt ciężka, żeby ją udźwignąć. Zepchnęła dar w nurt rzeki. Wraz z beczką spadła grzywna siekieropodobna. Dziewczyna weszła więc do wody, by jej poszukać. Było to jednak niemożliwe w ciemnej toni. Beztrosko machnęła ręką.

- Może i ta grzywna przyda ci się, panie – szepnęła w stronę wody.

Fala podniosła się. Wiedma już wiedziała, co to oznacza. Po chwili wodnik lypał na nią raz jednym, raz drugim okiem.

- Otrzymałem podwójną zapłatę – zaszumiał.
- Niech ci, panie, służy – odparła pogodnie.
- Beczka soli daje posmak morza – wyjaśnił swą słabość. – Ale ta grzywna będzie mi skarbem, póki wody Sanu nie zmienią swego biegu. Widzę, żeś odzyskała brata.
- Tak, panie. Pytałam, jak kazałeś, i nalazłam pomoc.

– Czy jesteś szczęśliwa? – zagrzmiało niczym huk spadającej ze skał wody.

– I tak, i nie, panie.

Fale zaczęły z pluskiem uderzać w siebie, huk wody natężył się. Przestraszony koń zarżał. Wiedma uświadomiła sobie dopiero po chwili, że wodnik śmieje się z niej.

– Z jakiej przyczyny śmiejesz się, panie?

– Zawsze pełna sprzeczności – odparł wesoło. – Ponoć zmieniłaś imię?

– Bom już nie jest młoda, panie. Nabrałam doświadczenia.

– Czegoś się nauczyła, wiedząca?

– Że nie ma tylko dobra i tylko zła. One są zawsze razem, jak szczęście i nieszczęście.

Śmiech ustał. Wodnik zaszumiał z powagą:

– Prawdziwieś wiedząca. Ja, by to pojąć, potrzebowałam kilku wieków. Ale jak ktoś tak długo żyje jak ja, to i wolniej się uczy.

Nagle wodna góra zniknęła. Fala uderzyła o brzegi rzeki. Wodnik pojawił się tuż obok wozu, przy którym stała zanurzona po pas Wiedma.

– Do zobaczenia, pełna sprzeczności – znów zaszumiał bystrym nurtem. – Będziesz dobrą Wiedmą. I złą.

Ucichło. Ucichło? Nie. Pozostał cichy szum rzeki.

Słownik słowiańskich bogów, demonów i wierzeń



Agma – słowiańska mantra.

Bazyliszek – mityczne stworzenie będące kompilacją koguta, węża i żaby; niebezpieczne, gdyż zabijało wzrokiem.

Belt – niewidzialny demon sprowadzający ludzi na błędne szlaki.

Boginki – pierwotna nazwa rusalek, zwanych również wilami, gdyż odbierały ludziom rozum.

Bzioniczek – duch opiekuńczy, mieszkający pod krzewem czarnego bzu.

Chmurnik (zwany też planetnikiem lub obłocznikiem) – demon kierujący chmurami, odpowiedzialny za burzę, grad i deszcz; wyobrażany jako antropomorficzna postać ciągnąca chmury na linach lub stwór niosący je na swoich barkach.

Daźbóg (Daźbóg, Daćbóg) – słowiańskie bóstwo solarne, utożsamiane bezpośrednio ze słońcem; syn Swaroga.

Dobrochoczy – demon leśny.

Domowik – opiekuńczy demon domowy.

Dziwanna – wymieniona przez Jana Długosza w panteonie bogów słowiańskich, jest wiele hipotez dotyczących jej znaczenia w dawnej wierze; łączy się ją m.in. z życiem, roślinnością, miłością.

Jaryło (utożsamiany często z Jarowitem) – bóstwo płodności, wiosny; bohater wiosennych obrzędów płodnościowych, podczas których stary Jaryło był zastępowany młodym; utożsamiany z kultem wegetacyjnym, ale i z wojną.

Kikimora (sziszimora) – złośliwy demon domowy, wyobrażany jako drobna niewiasta o nieco zdeformowanym ciele; jej atrybuty to wrzeciono i kołowrotek.

Kościej – demon zwany też Matołą, Bubakiem, sprawujący nadzór nad ludźmi parającymi się magią.

Kupała – w księżce w znaczeniu Noc Kupały, czyli święto przesilenia letniego, najkrótsza noc w roku przypadająca w okolicach 21–22 czerwca.

Latawiec – istota demoniczna mająca wpływ na wiatr, utożsamiana z duszą poronionego dziecka, wisielca lub złoczyńcy.

Lel i Polel – postaci z mitologii słowiańskiej, wspomniane przez kronikarza Macieja Miechowitę.

Licho – demon czyniący wiele szkód, przyczyna nieszczęść; wędrujący od gospodarstwa do gospodarstwa.

Lado – według Borysa Rybakowa bóstwo związane z miłością i wegetacją; używano też tego słowa na określenie oblubieńca (wg Aleksandra Brücknera).

Marzanna – zagadkowa postać wymieniona przez Jana Długosza jako jedna ze słowiańskich bogiń, postrzegana często jako bogini śmierci, zimy, niszczycielskiej siły natury, innym razem traktowana jako upersonifikowana, życiodajna siła.

Mokosz – bogini płodności i urodzaju, utożsamiana z Matką Ziemią oraz traktowana jako partnerka Peruna.

Nawia – miejsce, gdzie według Słowian podążają duchy zmarłych.

Perun – bóg nieba, piorunów.

Plonek – opiekuńczy demon, troszczący się o dobre plony i należyte ich przechowywanie.

Podłaźniczka (podłaźnik) – gałąź jodły, świerka lub sosny zawieszana podczas Szczodrych Godów pod sufitem.

Pogoda (Podaga) – bogini wymieniona przez kronikarza Jana Długosza.

Polewik – demon polny żyjący w zbożu.

Raróg – w mitologii słowiańskiej ognisty ptak, wcielenie samego Swaroga lub jego towarzysza.

Rodzanice – trzy demony przeznaczenia, wyznaczające ludzki los.

Szczodre Gody – słowiańskie święto obchodzone w najkrótszy dzień w roku, przypadające 22 grudnia.

Sobótki – palenie ognisk połączone z obrzędami i tańcami; poprzedzały święta Stada lub Noc Kupały.

Stado – słowiańskie święto wiosny, płodności. Wspomina o nim w kronice Jan Długosz.

Strzybóg – demon, władca wszystkich wiatrów.

Strzyga – krwiożerczy demon żeński.

Swaróg – bóg nieba, najbardziej pierwotny w słowiańskich wierzeniach; z Perunem stanowią transformację tego samego bóstwa.

Świst i Poświst – bóstwa wiatru, które czczono na Łysej Górze.

Tryzna – stypa, uroczystość na cześć osoby zmarłej.

Utopiec – demon wodny, stawał się nim zazwyczaj człowiek, który się utopił.

Wąpierz – zmarły, którego ciało nie zostało spalone, wstający z grobu, by żywić się krwią żywych; późniejsze nazwy to: upiór, wampir.

Wieńcowe – dożynki, święto plonów obchodzone na zakończenie zniw.

Żywia – bogini życia.

Słownik roślin



Biedrzyca – kozłek lekarski (waleriana).

Blekit – blekit pospolity to roślina trująca, o liściach podobnych do pietruszki.

Caryzka – nazwę tę używano w odniesieniu do różnych ziół, najczęściej trujących.

Nazywano tak m.in. wilczą jagodę, jaskier ostry, tojad, a nawet mandragorę (tak zwracano się do tej rośliny podczas rytualnego wykopywania jej). Także Mickiewicz w balladzie Świtez trujące rośliny nazwał carami.

Hycza – zwyczajowa nazwa bzu czarnego.

Lubczyk – roślina lecznicza, ale też przypisywano jej właściwości magiczne, miała przynosić szczęście w miłości; uważana za afrodyzjak.

Łopian – jako roślina lecznicza wspomaga trawienie, łagodzi bóle reumatyczne, usuwa toksyny, ma działanie przeciwgorączkowe.

Mordownik – zwyczajowa nazwa tojadu, rośliny trującej.

Piołun – bylica piołun to roślina lecznicza, ale też mająca toksyczne działanie; w kulturze ludowej przypisywano jej magiczne właściwości ochronne.

Podagrycznik – podagrycznik pospolity, roślina lecznicza o właściwościach moczopędnych i przeciwzapalnych; obecnie bardzo rozpowszechniona na terenie Polski jako trudny do usunięcia chwast.

Ruta – ruta zwyczajna jest rośliną leczniczą o właściwościach rozkurczowych i moczopędnych, ma też właściwości poronne; w kulturze Słowian roślina magiczna, chroniąca przed złymi czarami.

Wrotycz – roślina lecznicza, stosowana w ziołarstwie, między innymi zwalcza pasożyty i odstrasza owady.

Żegawka – pokrzywa. Pokrzywa zwyczajna jest bardzo przydatna w ziołolecznictwie. Uzupełnia niedobory żelaza, ma właściwości moczopędne, ściągające, przeciwzapalne i wiele innych.

Żywokost – żywokost lekarski między innymi przyspiesza gojenie się naskórka, ma działanie przeciwzapalne, stosuje się go na oparzenia, owrzodzenia i trudno gojące się rany.